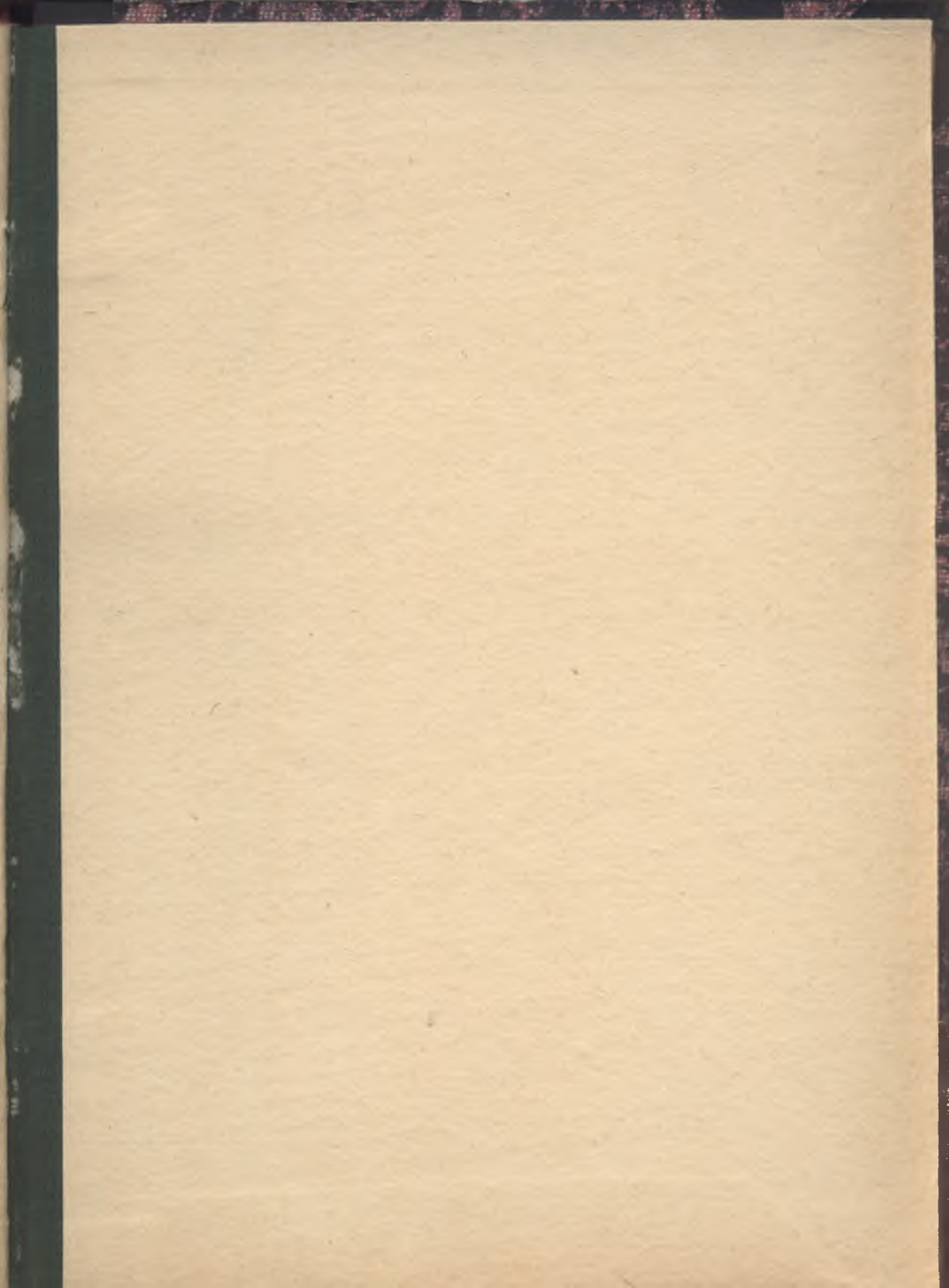
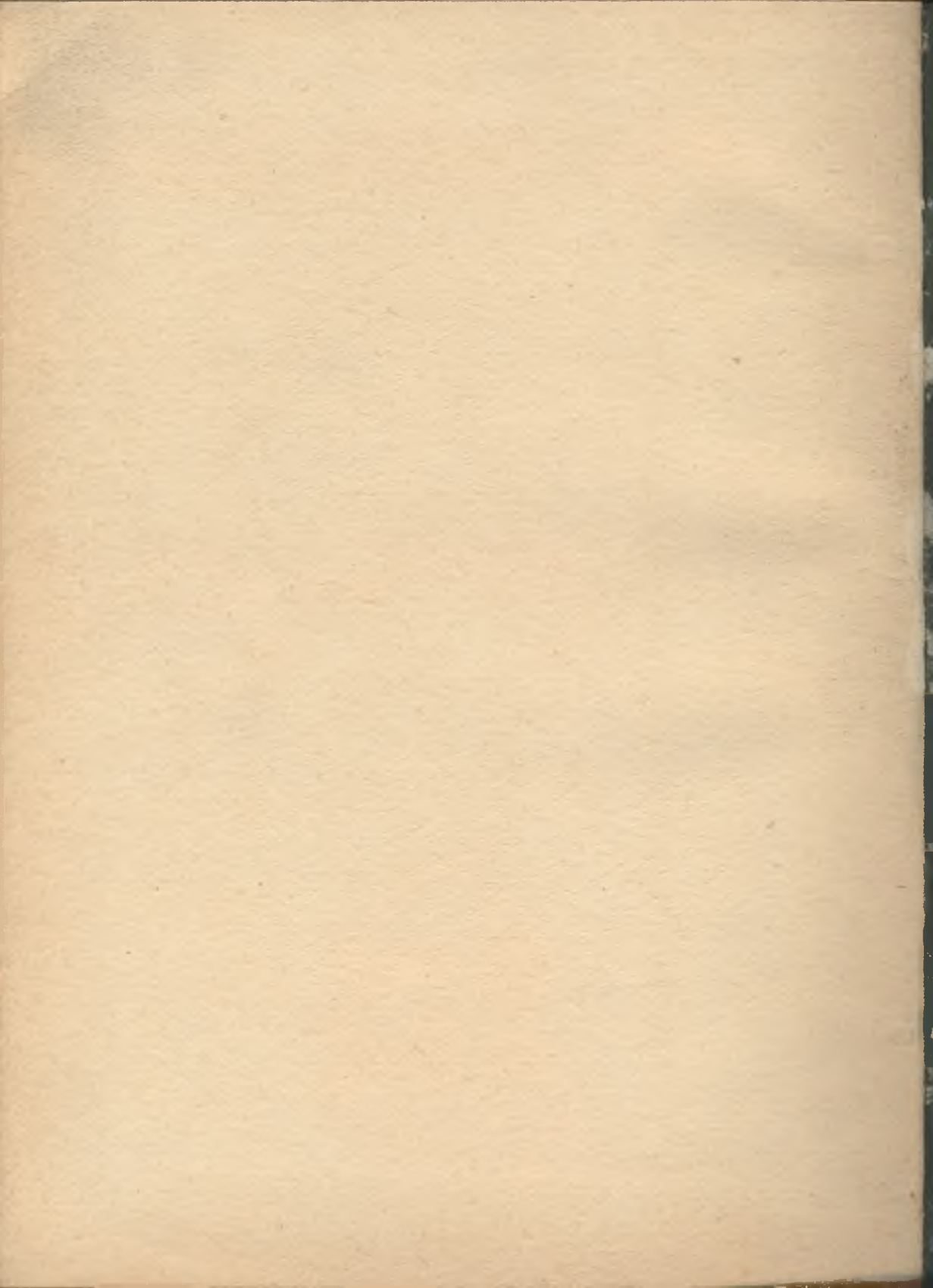










C.00236811

348177

18 VI

6821



Kalendar' *Zhivot*

1

9

5

5



KALENDARZ » ZWROTU «

NA ROK

1955

ROCZNIK II

WYDAWCA

POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W CZECHOSŁOWACJI
Zarząd Główny PZKO - Czeski Cieszyn, ul. Gottwalda 18



Darowat

Ludwik Brozek
Kierownik Muzeum



1955

Rok Mickiewiczowski

1955

Rok 1955 jest rokiem zwyczajnym o 365 dniach.

CZTERY PORY ROKU

Wiosna astronomiczna rozpoczyna się w roku 1955 dnia 21 marca o godzinie 11 czasu środkowo-europejskiego, w momencie, gdy słońce przecina równik niebieski i wstępuje w znak Barana. — Wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Lato astronomiczne rozpoczyna się dnia 22 czerwca o godzinie 6, w momencie, gdy słońce wstępuje w znak Raka. — Solsticjum letnie. — Najdłuższy dzień, najkrótsza noc.

Jesień astronomiczna rozpoczyna się dnia 23 września o godzinie 21, w momencie, gdy słońce przecina równik niebieski i wstępuje w znak Wagi. — Jesienne zrównanie dnia z nocą.

Zima astronomiczna rozpoczyna się dnia 22 grudnia o godzinie 16, w momencie, gdy słońce wstępuje w znak Koziorożca. — Solsticjum zimowe. — Najkrótszy dzień, najdłuższa noc.

ZACMIENIA SŁOŃCA I KSIĘŻYCA

W roku 1955 będą miały miejsce trzy zaćmienia: dwa słońca i jedno zaćmienie księżyca. Dwa z tych zaćmień będą widoczne na Śląsku.

I. 20 czerwca wypada całkowite zaćmienie słońca na Śląsku niewidzialne. Będzie ono widoczne w Azji Południowej, w Afryce Wschodniej, w Australii, na Oceanie Indyjskim oraz na Pacyfiku.

II. 29 listopada będzie miało miejsce częściowe zaćmienie księżyca widzialne na Śląsku. Poza tym będzie ono widoczne w Europie, w Afryce, w Azji, w Australii, na Oceanie Indyjskim i na Pacyfiku. Wejście księżyca do półcienia nastąpi o godz. 15, min. 51,1, do cienia o godz. 17, min. 21,4; środek zaćmienia przypada na godz. 17, min. 59,4, wyjście księżyca z cienia na godz. 18, min. 37,4, a wyjście z półcienia na godz. 20, min. 7,7. Wielkość zaćmienia wyraża się liczbą 0,125, gdy za jednostkę przyjmiemy średnicę tarczy księżyca.

III. 14 grudnia wypada obrączkowe zaćmienie słońca. Będzie ono widzialne w Europie Południowo-Wschodniej, w Afryce, w Azji, na Oceanie Indyjskim i na Zachodnim Pacyfiku. Koniec zaćmienia przypada na Śląsku Cieszyńskim w czasie wschodu słońca.

Wszystkie podane wyżej momenty liczone są w czasie środkowo-europejskim.

DWANAŚCIE ZNAKÓW NIEBIESKICH

Znaki wiosenne	Znaki letnie	Znaki jesienne	Znaki zimowe
 Baran	 Rak	 Waga	 Koziorożec
 Byk	 Lew	 Niedźw.	 Wodnik
 Bliźnięta	 Panna	 Strzelec	 Ryby

Podane w kalendarium dla każdego dnia znaki niebieskie oznaczają tę część Zwierzyńca Niebieskiego, w której znajduje się księżyc w południe greenwich'skie, tj. o godz. 13 czasu środkowo-europejskiego danego dnia.

WSCHODY I ZACHODY SŁOŃCA I KSIĘŻYCA

W niniejszym Kalendarzu „Zwrotu” zostały momenty wschodów i zachodów słońca i księżyca obliczone ściśle z ważnością dla Śląska Cieszyńskiego. Momenty wschodów i zachodów słońca i księżyca podane są w czasie urzędowym, tj. w czasie środkowo-europejskim.

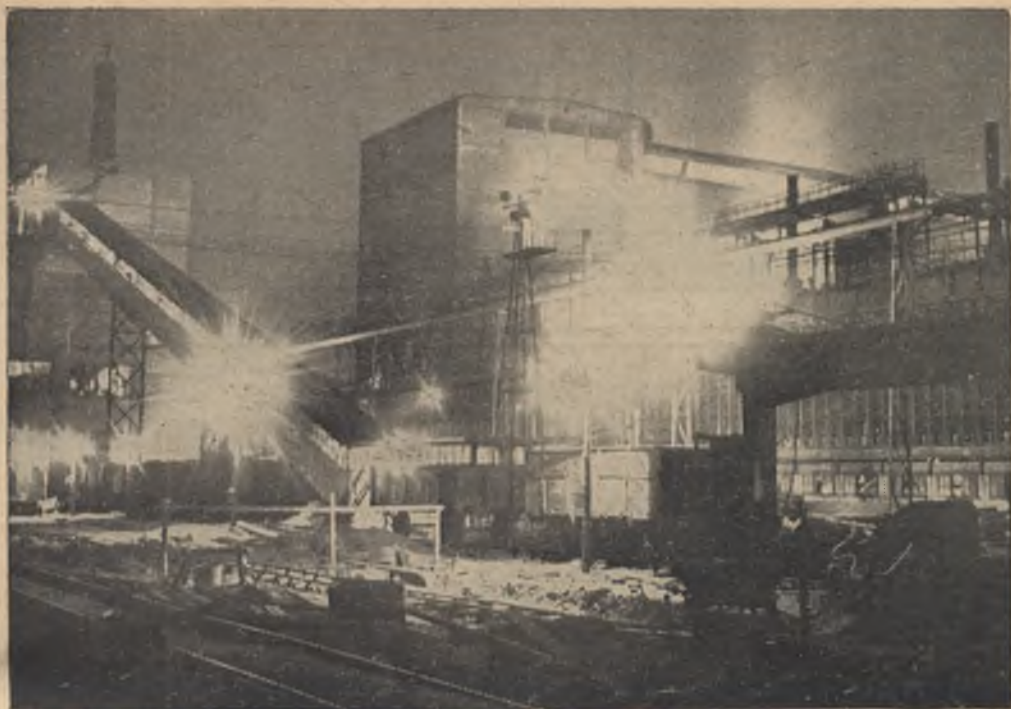
ROK ŻYDOWSKI 5716 rozpocznie się dnia 17 września 1955.

ROK MAHOMETAŃSKI 1375 rozpocznie się dnia 20 sierpnia 1955.

Danych astronomicznych dostarczył do niniejszego kalendarza prof. dr K. Kozieł.



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycza	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	S	Nowy Rok	Nowy Rok	7 ⁴⁴	15 ⁵³		10 ⁵⁹	—
2	N	N. po N. R. Mak.	N. po N. R. A. i S.	7 ⁴⁴	15 ⁵⁴		11 ⁰¹	0 ²⁶
3	P	Genowefy	Enocha	7 ⁴⁴	15 ⁵⁵		11 ²⁷	1 ⁴⁶
4	W	Tytusa b.	Izabeli	7 ⁴⁴	15 ⁵⁶		12 ⁰⁰	3 ⁰⁸
5	Ś	Telesfora	Szymona	7 ⁴³	15 ⁵⁷		12 ⁴⁴	4 ²⁸
6	Cz	Trzech Króli	Epifanii	7 ⁴³	15 ⁵³		13 ⁴²	5 ⁴¹
7	P	Juliana	Izydora	7 ⁴³	15 ⁵⁹		14 ⁵²	6 ⁴²
8	S	Seweryna	Bogdana	7 ⁴³	16 ⁰¹		16 ¹¹	7 ²⁰
9	N	1 po 3 Kr. An.	1 po Ep. Mar.	7 ⁴²	16 ⁰²		17 ³²	8 ⁰⁵
10	P	Jana Dobr.	Pawła ap.	7 ⁴²	16 ⁰³		18 ⁵²	8 ³²
11	W	Aleksandra	Magdaleny	7 ⁴¹	16 ⁰⁵		20 ⁰³	8 ⁵⁴
12	Ś	Ernesta	Czesława	7 ⁴¹	16 ⁰⁶		21 ²¹	9 ¹⁴
13	Cz	Weroniki	Hilarego	7 ⁴⁰	16 ⁰⁷		22 ³¹	9 ³²
14	P	Hilarego	Feliksa	7 ³⁹	16 ⁰⁹		23 ⁴⁰	9 ⁴⁹
15	S	Pawła ap.	Dąbrowki	7 ³⁹	16 ¹⁰		—	10 ⁰⁸
16	N	2 po 3 Kr. Mar.	2 po Ep. Wl.	7 ³⁸	16 ¹²		0 ⁴⁸	10 ²⁹
17	P	Antoniego op.	Antoniego p.	7 ³⁷	16 ¹³		1 ⁵⁵	10 ⁵⁴
18	W	Katedry św. Piotra	Pryski	7 ³⁶	16 ¹⁵		3 ⁰⁰	11 ²³
19	Ś	Henryka	Erwina	7 ³⁵	16 ¹⁶		4 ⁰¹	12 ⁰²
20	Cz	Fabiana i Sebastiana	Fabiana i Sebastiana	7 ³⁴	16 ¹⁸		4 ⁵⁷	12 ⁴⁹
21	P	Zgon W. I. Lenina	Zgon W. I. Lenina	7 ³³	16 ¹⁹		5 ⁴⁵	13 ⁴³
22	S	Wincentego	Wincentego	7 ³²	16 ²¹		6 ²⁶	14 ⁵⁰
23	N	3 po 3 Kr. N. P. M.	3 po Ep. Jan.	7 ³¹	16 ²³		6 ⁵⁸	16 ⁰⁰
24	P	Tymoteusza	Tymoteusza	7 ³⁰	16 ²⁴		7 ²⁵	17 ¹³
25	W	Nawr. św. Pawła	Nawr. św. Pawła	7 ²⁹	16 ²⁶		7 ⁴⁸	18 ²⁷
26	Ś	Polikarpa	Polikarpa	7 ²⁸	16 ²⁸		8 ⁰⁸	19 ⁴²
27	Cz	Jana Chr.	Jana Złotoustego	7 ²⁷	16 ²⁹		8 ²⁷	20 ⁵⁸
28	P	Karola W.	Karola W.	7 ²⁶	16 ³¹		8 ⁴⁶	22 ¹⁵
29	S	Franciszka S.	Waleriana	7 ²⁵	16 ³³		9 ⁰⁷	23 ³⁴
30	N	4 po 3 Kr. Mar.	4 po Ep. Mar.	7 ²³	16 ³⁴		9 ³¹	—
31	P	Piotra z N.	Ludwika	7 ²²	16 ³⁶		10 ⁰²	12 ⁴⁸
 FAZY KSIĘŻYCA: Pierwsza kwadra ☾ dnia 1-go o godz. 21, min. 29. — Pełnia ☽ dnia 8-go o godz. 13, min. 44. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 15-go o godz. 23, min. 13. — Now ☽ dnia 24-go o godz. 2, min. 6. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 31-go o godz. 6, min. 5. Dnia przybywa o 1 godzinę 5 minut.								



Piękna jest nocą gra światel w Nowej Hucie im. Klementa Gottwalda w Końcycach

3 stycznia 79 rocznica urodzin Wilhelma Piecka, prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej

8 stycznia 53 rocznica urodzin Georgija Maksymilianowicza Malenkowa, prezesa Rady Ministrów ZSRR

15 stycznia Dzień Czechosłowackiej Artylerii

36 rocznica zamordowania Karola Liebknechta i Róży Luxemburg

21 stycznia 31 rocznica śmierci Włodzimierza Iljicza Lenina (1924)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżyc	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	W	Ignacego	Wandy	7 ²⁰	16 ³⁸	☾	10 ⁴⁰	2 ¹³
2	S	N. M. P. Gromn.	Oczyszcz. P. M.	7 ¹⁹	16 ³⁹	☾	11 ³⁰	3 ²⁶
3	Cz	Błażeja b. m.	Błażeja	7 ¹⁷	16 ⁴¹	☾	12 ³³	4 ³⁰
4	P	Andrzeja Kors.	Weroniki	7 ¹⁶	16 ⁴³	☾	13 ⁴⁶	5 ²¹
5	S	Agaty p. m.	Agaty	7 ¹⁵	16 ⁴⁵	☾	15 ⁰⁵	6 ⁰¹
6	N	Starozapust. D.	Starozapust. D.	7 ¹³	16 ⁴⁶	☾	16 ²⁵	6 ⁵²
7	P	Romualda op. ☾	Ryszarda ☾	7 ¹¹	16 ⁴⁸	☾	17 ⁴²	6 ⁵⁶
8	W	Jana z M.	Salomona	7 ¹⁰	16 ⁵⁰	☾	18 ⁵⁸	7 ¹⁷
9	S	Apolonii p. m.	Apolonii	7 ⁰⁸	16 ⁵¹	☾	20 ¹⁰	7 ³⁶
10	Cz	Scholastyki	Renaty	7 ⁰⁷	16 ⁵³	☾	21 ²¹	7 ⁵⁴
11	P	Eufrozyny	Eufrozyny	7 ⁰⁵	16 ⁵⁵	☾	22 ³⁰	8 ¹²
12	S	Grzegorza IV pap.	Eulalii	7 ⁰³	16 ⁵⁷	☾	23 ³⁸	8 ³³
13	N	Mięsopustna K.	Mięsopustna K.	7 ⁰¹	16 ⁵⁸	☾	—	8 ⁵⁶
14	P	Walentego ☾	Walentego ☾	7 ⁰⁰	17 ⁰⁰	☾	04 ⁵	9 ²⁴
15	W	Faustyna	Faustyna	6 ⁵⁸	17 ⁰²	☾	14 ⁸	9 ⁵⁹
16	S	Julianny	Julianny	6 ⁵⁶	17 ⁰³	☾	24 ⁶	10 ⁴¹
17	Cz	Konstancji p.	Konstancji	6 ⁵⁴	17 ⁰⁵	☾	33 ⁷	11 ³³
18	P	Symeona b. w.	Zuzanny	6 ⁵²	17 ⁰⁷	☾	42 ¹	12 ³⁴
19	S	Konrada w.	Konrada	6 ⁵⁰	17 ⁰⁹	☾	45 ⁶	13 ⁴¹
20	N	Zapustna L.	Zapustna En.	6 ⁴⁹	17 ¹⁰	☾	52 ⁶	14 ⁵³
21	P	Feliksa	Eleonory	6 ⁴⁷	17 ¹²	☾	55 ¹	16 ⁰⁸
22	W	Eleonory ☾	Małgorzaty	6 ⁴⁵	17 ¹⁴	☾	61 ²	17 ²⁴
23	S	Popielec	Seweryna	6 ⁴³	17 ¹⁵	☾	63 ³	18 ⁴¹
24	Cz	Macieja ap.	Macieja ap.	6 ⁴¹	17 ¹⁷	☾	65 ²	20 ⁰⁰
25	P	Zwycięstwo czechostowackiego ludu pracującego — Pamiętny dzień RCzS		6 ³⁹	17 ¹⁹	☾	71 ³	21 ²⁰
26	S	Bogusława	Bogusława	6 ³⁷	17 ²⁰	☾	73 ¹	22 ⁴¹
27	N	1 Postna Wstępna	1 Postna Wstępna	6 ³⁵	17 ²³	☾	80 ⁶	—
28	P	Romana	Romana	6 ³³	17 ²⁴	☾	84 ⁵	0 ⁰¹
 FAZY KSIĘŻYCA: Pełnia ☾ dnia 7-go o godz. 2, min. 43. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 14-go o godz. 20, min. 40. — Nów ☾ dnia 22-go o godz. 16, min. 54. Dnia przybywa o 1 godzinę 33 minuty.								



Dzisiejszy budynek polskiej szkoły ludowej w Szumbarku

2 lutego 12 rocznica zwycięstwa wojsk radzieckich pod Stalingradem
23 lutego Dzień Armii Radzieckiej i radzieckich sił morskich.
25 lutego 7 rocznica zwycięstwa czechosłowackiego ludu pracującego — Pamiętny dzień
CzSR



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nleb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	W	Antoniny m.	Albina	6 ³¹	17 ²⁵	☾☾	9 ²⁸	1 ¹⁷
2	Ś	Heleny	Ludwika	6 ²⁹	17 ²⁷	☾☾	10 ²⁶	2 ²³
3	Cz	Kunegundy p.	Kunegundy	6 ²⁷	17 ²⁹	☾☾	11 ³⁴	3 ¹⁷
4	P	Kazimierza kr.	Kazimierza	6 ²⁵	17 ³⁰	☾☾	12 ⁴⁹	4 ⁰⁰
5	S	Euzebiusza	Fryderyka	6 ²³	17 ³²	☾☾	14 ⁰⁶	4 ³²
Zgon Józefa Wissarionowicza Stalina 1953								
6	N	2 Postna Sucha	2 Postna Sucha	6 ²¹	17 ³⁴	☾☾	15 ²⁸	4 ⁵⁹
7	P	Tomasza z Akw.	Felicji	6 ¹⁸	17 ³⁵	☾☾	16 ³⁸	5 ²¹
8	W	Międzynarodowy Dzień Kobiet		6 ¹⁶	17 ³⁷	☾☾	17 ⁵¹	5 ⁴¹
9	Ś	Franciszki w.	Prudentego	6 ¹⁴	17 ⁴⁰	☾☾	19 ⁰²	5 ⁵⁸
10	Cz	40 męczenników	Aleksandra	6 ¹²	17 ⁴⁰	☾☾	20 ¹²	6 ¹⁷
11	P	Konstantyna	Rozyny	6 ⁰⁰	17 ⁴²	☾☾	21 ²	6 ³⁷
12	S	Grzegorza W.	Grzegorza	6 ⁰⁸	17 ⁴³	☾☾	22 ²⁸	6 ⁵⁹
13	N	3 Postna Głucha	3 Postna Głucha	6 ⁰⁵	17 ⁴⁵	☾☾	23 ³³	7 ²⁵
14	P	Zgon Klementa Gottwolda 1953		6 ⁰³	17 ⁴⁷	☾☾	—	7 ⁵⁷
15	W	Długosza	Krzysztofa	6 ⁰¹	17 ⁴⁸	☾☾	0 ³³	8 ³⁷
16	Ś	Cyriaka d.	Cyriaka	5 ⁵⁹	17 ⁵⁰	☾☾	1 ²⁷	9 ²⁵
17	Cz	Patrycego	Kornelii	5 ⁵⁷	17 ⁵¹	☾☾	2 ¹³	10 ²¹
18	P	Edwarda	Anzelma	5 ⁵⁵	17 ⁵³	☾☾	2 ⁵²	11 ²⁴
19	S	Józefa Obl.	Józefa	5 ⁵³	17 ⁵⁵	☾☾	3 ²⁴	12 ³³
20	N	4 Post. Środopostna	4 Post. Środop.	5 ⁵⁰	17 ⁵⁶	☾☾	3 ⁵¹	13 ⁴⁵
21	P	Benedykta	Benedykta	5 ⁴⁸	17 ⁵⁸	☾☾	4 ¹⁴	15 ⁰⁰
22	W	Oktawiana	Oktawiana	5 ⁴⁶	17 ⁵⁹	☾☾	4 ³⁵	16 ¹⁷
23	Ś	Pelagii	Zygmunta	5 ⁴⁴	18 ⁰¹	☾☾	4 ⁵⁵	17 ³⁶
24	Cz	Gabriela arch.	Gabriela	5 ⁴²	18 ⁰³	☾☾	5 ¹⁶	18 ⁵⁷
25	P	Zwiast. N. M. P.	Zwiast. P. M.	5 ³⁹	18 ⁰⁴	☾☾	5 ⁴⁰	20 ³⁰
26	S	Emanuela	Emanuela	5 ³⁷	18 ⁰⁶	☾☾	6 ⁰⁷	21 ⁴³
27	N	5 Postna Czarna	5 Postna Czarna	5 ³⁵	18 ⁰⁷	☾☾	6 ⁴²	23 ⁰³
28	P	Amalii	Amalii	5 ³³	18 ⁰⁹	☾☾	7 ²⁶	—
29	W	Cyryla d. m.	Eustachego	5 ³¹	18 ¹⁰	☾☾	8 ²¹	0 ¹⁴
30	Ś	Kwiryna	Gwidona	5 ²⁹	18 ¹²	☾☾	9 ²⁷	1 ¹³
31	Cz	Balbiny p.	Amosa pr.	5 ²⁶	18 ¹³	☾☾	10 ⁴⁰	1 ⁵⁹
FAZY KSIĘŻYCA:  Pierwsza kwadra ☾ dnia 1-go o godz. 13, min. 40. — Pełnia ☽ dnia 8-go o godz. 16, min. 41. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 16-go o godz. 17, min. 36. — Nów ☾ dnia 24-go o godz. 4, min. 42. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 30-go o godz. 21, min. 10. Dnia przybywa o 1 godzinę 53 minuty.								



MOST PRZYJAŹNI

W roku 1954 odbyła się uroczystość otwarcia nowozbudowanego mostu granicznego przez rzekę Olzę w Czeskim Cieszynie — Cieszynie. Most ten nazwano Mostem Przyjaźni. Powyższe zdjęcie przedstawia most graniczny Cz. Cieszyn — Cieszyn w dniu uroczystości. Od lewej: wiceminister Gospodarki Komunalnej PRL Stanisław Sroka i czechosłowacki wiceminister Komunikacji Józef Rajchl.

-
- 5 marca 2 rocznica śmierci Józefa Wissarionowicza Stalina (1953)
 - 8 marca Międzynarodowy Dzień Kobiet
 - 9 marca 63 rocznica urodzin Mateusza Rakosi'ego, gen. sekretarza Węgierskiej Partii Pracujących
 - 14 marca 2 rocznica śmierci prezydenta CzSR Klementa Gottwalda, przewodniczącego Komunistycznej Partii Czechosłowacji (1953)
 - 18 marca 84 rocznica Komuny Paryskiej



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońce		Znaki	Księżyc	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Hugona b. w.	Teodora	5 ²⁴	18 ¹⁵	♈	11 ⁵⁸	2 ³⁴
2	S	Franciszka z P.	Walerii	5 ²²	18 ¹⁷	♈	13 ¹²	3 ⁰³
3	N	6 Postna Palmowa	6 Postna Palmowa	5 ²⁰	18 ¹⁸	♈	14 ²⁵	3 ²⁵
4	P	Izydora b. w.	Ambrożego	5 ¹⁸	18 ²⁰	♈	15 ³⁷	3 ⁴⁵
5	W	Wincentego	Hozeasza	5 ¹⁵	18 ²	♈	16 ⁴⁸	4 ⁰⁴
6	Ś	Celestyna pap.	Ireneusza	5 ¹³	18 ²³	♈	17 ⁵⁷	4 ²³
7	Cz	Zielony Czwartek ☺	Apolonii ☺	5 ¹¹	18 ²⁴	♈	19 ⁰⁶	4 ⁴¹
8	P	Wielki Piątek	<i>Wielki Piątek</i>	5 ⁰⁹	18 ²⁶	♈	20 ¹⁴	5 ⁰³
9	S	Wielka Sobota	Dymitra	5 ⁰⁷	18 ²⁸	♈	21 ²⁰	5 ²⁸
10	N	Wielkanoc	Wielkanoc	5 ⁰⁵	18 ²⁹	♈	22 ²²	5 ⁵⁸
11	P	Pon. Wielkanocny	Pon. Wielkanocny	5 ⁰³	18 ³¹	♈	23 ¹⁸	6 ³⁵
12	W	Juliusza	Juliusza	5 ⁰¹	18 ³²	♈	—	7 ¹⁹
13	Ś	Justyna	Justyna	4 ⁵⁹	18 ³⁴	♈	0 ⁰⁷	8 ¹²
14	Cz	Waleriana	Waleriana	4 ⁵⁷	18 ³⁵	♈	0 ⁴⁸	9 ¹²
15	P	Anastazji ☾	Olimpii ☾	4 ⁵⁵	18 ³⁷	♈	1 ²²	10 ¹⁷
16	S	Lamberta m.	Arona	4 ⁵³	18 ³⁹	♈	1 ⁵⁰	11 ²⁶
17	N	1 po W. Przew.	1 po W. Biała	4 ⁵⁰	18 ⁴⁰	♈	2 ¹⁴	12 ³⁸
18	P	Apoloniusza	Apoloniusza	4 ⁴⁸	18 ⁴²	♈	2 ³⁶	13 ⁵²
19	W	Tymona	Tymona	4 ⁴⁶	18 ⁴³	♈	2 ⁵⁶	15 ⁰⁸
20	Ś	Krzysztofa	Agnieszki	4 ⁴⁴	18 ⁴⁵	♈	3 ¹⁷	16 ²⁸
21	Cz	Szymona b.	Szymona	4 ⁴²	18 ⁴⁶	♈	3 ³⁹	17 ⁵⁰
22	P	Urodziny W. I. Lenina 1870	—	4 ⁴⁰	18 ⁴⁸	♈	4 ⁰⁵	19 ¹⁵
23	S	Wojciecha a.	Wojciecha	4 ³⁸	18 ⁴⁹	♈	4 ³⁷	20 ³⁹
24	N	2 po W. Jerz.	2 po W. Jerz.	4 ³⁶	18 ⁵¹	♈	5 ¹⁸	21 ⁵⁷
25	P	Marka	Marka ew.	4 ³⁵	18 ⁵³	♈	6 ¹¹	23 ⁰³
26	W	Kleta pr.	Zbigniewa	4 ³³	18 ⁵⁴	♈	7 ¹⁶	23 ⁵⁵
27	Ś	Teofila	Anastazego	4 ³¹	18 ⁵⁶	♈	8 ²⁹	—
28	Cz	Karola	Karola	4 ²⁹	18 ⁵⁷	♈	9 ⁴⁶	0 ⁵⁵
29	P	Piotra m. ☾	Sybilli ☾	4 ²⁷	18 ⁵⁹	♈	11 ⁰²	1 ⁰⁵
30	S	Katarzyny Sen.	Eutropiusza	4 ²⁵	19 ⁰¹	♈	12 ¹⁷	1 ³⁰
FAZY KSIĘŻYCA: Pełnia ☺ dnia 7-go o godz. 7, min. 35. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 15-go o godz. 12, min. 0. — Nów ☾ dnia 22-go o godz. 14, min. 6. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 29-go o godz. 5, min. 23. Dnia przybywa o 1 godzinę 44 minuty.								



Obrazek z Górnej Łomnej. Stary gawędziarz ludowy sporządza „dągi“ na „strugacej stolicy“.

-
- 4 kwietnia Święto państwowe Węgierskiej Republiki Ludowej
 - 5 kwietnia 10 rocznica ogłoszenia rządowego Programu Koszyckiego
 - 15 kwietnia 43 rocznica urodzin Kim Ir Sena, prezesa Gabinetu Ministrów oraz prezesa Partii Robotniczej Koreańskiej Republiki Ludowej.
 - 18 kwietnia 63 rocznica urodzin Bolesława Bieruta, pierwszego sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
 - 22 kwietnia 85 rocznica urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina (1870)



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nleń.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	N	Święto Pracy	Święto Pracy	4 ²³	19 ⁰²	♈	13 ²⁸	1 ⁵¹
2	P	Atanazego	Zygmunta	4 ²²	19 ⁰³	♈	14 ³⁹	2 ¹⁰
3	W	Znal. św. Krzyża	Moniki	4 ²⁰	19 ⁰⁵	♈	15 ⁴⁸	2 ²⁸
4	Ś	Floriana	Floriana	4 ¹⁸	19 ⁰⁶	♈	16 ⁵⁶	2 ⁴⁷
5	Cz	Powstanie ludu praskiego		4 ¹⁶	19 ⁰⁸	♈	18 ⁰³	3 ⁰⁸
6	P	Jana w ol.	Bogumiła	4 ¹⁵	19 ⁰⁹	♈	19 ⁰⁹	3 ³¹
7	S	Flawii	Flawii	4 ¹³	19 ¹¹	♈	20 ¹⁵	4 ⁰⁰
8	N	4 po W. Stan.	4 po W. Stan.	4 ¹¹	19 ¹³	♈	21 ¹¹	4 ³⁴
9	P	Święto państwowe Republiki Czechosłow.		4 ¹⁰	19 ¹⁴	♈	22 ⁰²	5 ¹⁶
10	W	Izydora	Daniela	4 ⁰⁸	19 ¹⁵	♈	22 ⁴⁶	6 ⁰⁶
11	Ś	Mamerta b.	Wojciecha	4 ⁰⁷	19 ¹⁷	♈	23 ²¹	7 ⁰³
12	Cz	Pankracego	Pankracego	4 ⁰⁵	19 ¹⁸	♈	23 ⁵¹	8 ⁰⁶
13	P	Serwacego b.	Serwacego	4 ⁰³	19 ²⁰	♈	—	9 ¹³
14	S	Bonifacego b.	Bonifacego	4 ⁰²	19 ²¹	♈	0 ¹⁶	10 ³²
15	N	5 po W. Rog. Z.	5 po W. Rog. Z.	4 ⁰¹	19 ²³	♈	0 ³⁸	11 ³³
16	P	Jana Nepom.	Jana Nepom.	3 ⁵⁹	19 ²⁴	♈	0 ⁵⁸	12 ⁴⁶
17	W	Paschalisa	Brunona	3 ⁵⁸	19 ²⁵	♈	1 ¹⁸	14 ⁰¹
18	Ś	Feliksa k.	Feliksa	3 ⁵⁶	19 ²⁷	♈	1 ³⁹	15 ²⁰
19	Cz	Wniebowst. P.	Wniebowst. P.	3 ⁵⁵	19 ²⁸	♈	2 ⁰³	16 ⁴³
20	P	Bernarda	Bernarda	3 ⁵⁴	19 ²⁹	♈	2 ³¹	18 ⁰⁷
21	S	Heleny	Heleny	3 ⁵³	19 ³¹	♈	3 ⁰⁷	19 ⁹
22	N	6 po W. Jul.	6 po W. Jul.	3 ⁵¹	19 ³²	♈	3 ⁵⁵	20 ⁴³
23	P	Dezyderiusza	Dezyderiusza	3 ⁵⁰	19 ³³	♈	4 ⁵⁶	21 ⁴⁴
24	W	Joanny wd.	Zuzanny	3 ⁴⁹	19 ³⁵	♈	6 ⁰⁸	22 ³⁰
25	Ś	Urbana	Urbana	3 ⁴⁸	19 ³⁶	♈	7 ²⁶	23 ⁰⁵
26	Cz	Filipa N.	Mieczysława	3 ⁴⁷	19 ³⁷	♈	8 ⁴⁶	23 ³³
27	P	Jana pap.	Lucjana	3 ⁴⁶	19 ³⁸	♈	10 ⁰⁴	23 ⁵⁶
28	S	Magdaleny	Magdaleny	3 ⁴⁵	19 ⁴⁰	♈	11 ¹⁸	—
29	N	Zielone Święta	Zest. Ducha Św.	3 ⁴⁴	19 ⁴¹	♈	12 ³⁰	0 ¹⁶
30	P	Feliksa pap.	Hilarego	3 ⁴³	19 ⁴²	♈	13 ³⁹	0 ³⁵
31	W	Anieli	Petroneli	3 ⁴²	19 ⁴³	♈	14 ⁴⁷	0 ⁵³
 FAZY KSIĘŻYCY: Pełnia ☾ dnia 6-go o godz. 23, min. 14. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 15-go o godz. 2, min. 42. — Now ♀ dnia 21-go o godz. 21, min. 58. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 28-go o godz. 15, min. 1. Dnia przybywa 1 godzinę 22 minuty.								



W podgórskiej wiosce Niebory na Śląsku czechosłowackim obchodzono dnia 30 maja 1954 roku uroczyste 90 rocznice czołowego rewolucjonisty śląskiego i pierwszego internacjonalisty polskiego, jakim był Paweł Oszelda, bohater „Wiosny Ludów”. Paweł Oszelda urodził się w Nieborach i tutaj także w 90 rocznicę jego śmierci odsłonięto w miejscowej szkole polskiej tablicę pamiątkową. Tablica ta została wmurowana na korytarzu szkolnym z inicjatywy Miejsowego Koła PZKO. W uroczystości Oszeldowskiej w Nieborach wzięło udział 3000 uczestników.

-
- 1 maja Święto Pracy — Dzień wolny od pracy
 - 5 maja 10 rocznica powstania ludu praskiego
 - 137 rocznica urodzin Karola Marksa (1818)
 - 7 maja Dzień czechosłowackiego radia
 - 9 maja Święto państwowe Republiki Czechosłowackiej (10 rocznica wyzwolenia przez Armię Radziecką 1945) — Dzień wolny od pracy
 - 14—17 maja 34 rocznica założenia KPCz (1921)
 - 19 maja 65 rocznica urodzin Ho-Czi-Mina, prezydenta Republiki Demokratycznej Wietnamu
 - 31 maja 53 rocznica urodzin Wiliama Široký'ego, premiera Rządu Republiki Czechosłowackiej i członka KC KPCz



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	Ś	Gracjany	Nikodema	3 ⁴¹	19 ⁴⁴	♊	15 ⁵⁵	1 ¹³
2	Cz	Międzynarodowy Dzień Dziecka	Efraima	3 ⁴¹	19 ⁴⁵	♋	17 ⁰¹	1 ³⁶
3	P	Erazma	Erazma	3 ⁴⁰	19 ⁴⁶	♌	18 ⁰⁵	2 ⁰²
4	S	Klotyldy kr.	Karpazjusza	3 ³⁹	19 ⁴⁷	♍	19 ⁰⁵	2 ³⁵
5	N	Trójcy Św. Fl.	Trójcy Św. Fl.	3 ³⁹	19 ⁴⁸	♎	19 ⁵⁹	3 ¹⁴
6	P	Norberta	Benigna	3 ³⁸	19 ⁴⁹	♏	20 ⁴⁵	4 ⁰²
7	W	Lukrecji	Lukrecji	3 ³⁸	19 ⁵⁰	♐	21 ²³	4 ⁵⁷
8	Ś	Medarda b.	Medarda	3 ³⁷	19 ⁵¹	♑	21 ⁵⁴	5 ⁵⁸
9	Cz	Boże Ciało	Felicjana	3 ³⁷	19 ⁵¹	♒	22 ²⁰	7 ⁰⁴
10	P	Zagłada Lidic	Zagłada Lidic	3 ³⁶	19 ⁵²	♓	22 ⁴³	8 ¹²
11	S	Barnaby ap.	Barnaby	3 ³⁶	19 ⁵³	♈	23 ⁰³	9 ²¹
12	N	2 po Z. Św. On.	1 po Tr. Św. Baz.	3 ³⁶	19 ⁵³	♉	23 ²²	10 ²²
13	P	Antoniego	Antoniego	3 ³⁵	19 ⁵⁴	♊	23 ⁴²	11 ⁴⁴
14	W	Bazylego	Tobiasza	3 ³⁵	19 ⁵⁵	♋	—	12 ⁵³
15	Ś	Wita	Wita	3 ³⁵	19 ⁵⁵	♌	0 ⁰³	14 ¹⁷
16	Cz	Zenona	Justyny	3 ³⁵	19 ⁵⁶	♍	0 ²⁸	15 ³⁸
17	P	Lecha	Lecha	3 ³⁵	19 ⁵⁶	♎	1 ⁰⁰	17 ¹⁰
18	S	Marka	Marka	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♏	1 ⁴⁰	18 ¹⁸
19	N	3 po Z. Św. Ger.	2 po Tr. Św. Pr.	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♐	2 ³⁴	19 ²⁵
20	P	Reginy	Sylasa	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♑	3 ⁴¹	20 ¹⁹
21	W	Alojzego G.	Albana	3 ³⁵	19 ⁵⁷	♒	4 ⁵⁸	21 ⁰¹
22	Ś	Paulina b.	Achazego	3 ³⁵	19 ⁵⁸	♓	6 ²⁰	21 ³³
23	Cz	Wandy	Wandy	3 ³⁶	19 ⁵⁸	♈	7 ⁴²	21 ⁵⁸
24	P	Jana Chrzcziciela	Jana Chrzcziciela	3 ³⁶	19 ⁵⁸	♉	9 ⁰⁰	22 ²⁰
25	S	Prospera b.	Prospera	3 ³⁶	19 ⁵⁸	♊	10 ¹⁵	22 ⁴⁰
26	N	4 po Z. Św. J. i P.	3 po Tr. Św. Jer.	3 ³⁷	19 ⁵⁸	♋	11 ²⁷	22 ⁵⁸
27	P	Władysława kr.	Władysława	3 ³⁷	19 ⁵⁸	♌	12 ³⁷	23 ¹⁶
28	W	Leona pap.	Leona	3 ³⁷	19 ⁵⁸	♍	13 ⁴⁵	23 ⁴⁰
29	Ś	Piotra i Pawła	Piotra i Pawła	3 ³⁸	19 ⁵⁸	♎	14 ⁵²	—
30	Cz	Emilii	Lucyny	3 ³⁸	19 ⁵⁸	♏	15 ⁵⁷	0 ⁰⁵

FAZY KSIĘŻYCA:

Pełnia ☾ dnia 5-go o godz. 15, min. 8. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 13-go o godz. 13, min. 37. — Nów ☾ dnia 20-go o godz. 5, min. 12. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 27-go o godz. 2, min. 44.

Do 22 czerwca przybywa dnia o 20 minut, następnie zaś do końca czerwca ubywa dnia o 3 minuty.





Uroczystości dziesięciolecia Polski Ludowej poprzedzało wiele różnych imprez w całym kraju. Na zdjęciu Zespół Pieśni i Tańca „Starówka”, który bierze udział w barwnym korowodzie młodzieży na ulicach Warszawy.

1 czerwca Międzynarodowy Dzień Dziecka
10 czerwca 13 rocznica zagłady Lidic
24 czerwca 13 rocznica zagłady Leżaku



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangeliczne	Słońca		Znaki nleb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Aarona	Haliny	3 ³⁹	19 ⁵⁸	☾	16 ⁵⁸	0 ³⁶
2	S	Nawiedz. N. M. P.	Marii	3 ⁴⁰	19 ⁵⁷	☾	17 ⁵⁴	1 ¹²
3	N	5 po Z. Św. Hel.	4 po Tr. Św. Kor.	3 ⁴⁰	19 ⁵⁷	☾	18 ⁴³	1 ⁵⁷
4	P	Prokopa	Józefa K.	3 ⁴¹	19 ⁵⁷	☾	19 ²⁴	2 ⁵⁰
5	W	Cyryla i Metodego — Pamiętny dzień CzSR	☾	3 ⁴²	19 ⁵⁶	☾	19 ⁵⁷	3 ⁵⁰
6	Ś	Jana Husa — Pamiętny dzień CzSR	☾	3 ⁴³	19 ⁵⁶	☾	20 ²⁵	4 ⁵⁵
7	Cz	Estery	Lecha	3 ⁴³	19 ⁵⁵	☾	20 ⁴⁹	6 ⁰³
8	P	Kiliana	Kiliana	3 ⁴⁴	19 ⁵⁵	☾	21 ¹⁰	7 ¹²
9	S	Weroniki	Anatolii	3 ⁴⁵	19 ⁵⁴	☾	21 ²⁹	8 ²²
10	N	6 po Z. Św. 7 br.	5 po Tr. Św. Am.	3 ⁴⁶	19 ⁵⁴	☾	21 ⁴⁸	9 ³⁴
11	P	Pelagii	Pelagii	3 ⁴⁷	19 ⁵³	☾	22 ⁰⁸	10 ⁴⁶
12	W	Jana Gw. ☾	Henryka ☾	3 ⁴⁸	19 ⁵²	☾	22 ³¹	12 ⁰¹
13	Ś	Małgorzaty p.	Małgorzaty	3 ⁴⁹	19 ⁵¹	☾	22 ⁵⁹	13 ¹⁹
14	Cz	Bonawentury	Ziemowita	3 ⁵⁰	19 ⁵¹	☾	23 ³¹	14 ²⁸
15	P	Henryka	Rozesłanie Apostołów	3 ⁵¹	19 ⁵⁰	☾	—	15 ⁵⁵
16	S	N. M. P. Szkapl.	Ruty	3 ⁵²	19 ⁴⁹	☾	0 ²⁰	17 ⁰⁶
17	N	7 po Z. Św. Al.	6 po Tr. Św. Al.	3 ⁵³	19 ⁴⁸	☾	1 ¹⁸	18 ⁰⁶
18	P	Szymona	Karolny	3 ⁵⁴	19 ⁴⁷	☾	2 ³⁰	18 ³⁸
19	W	Wincentego a P. ☾	Pawełki ☾	3 ⁵⁵	19 ⁴⁶	☾	3 ⁵⁰	19 ²⁹
20	Ś	Eliasa pr.	Eliasa pr.	3 ⁵⁷	19 ⁴⁵	☾	5 ¹³	19 ⁵⁸
21	Cz	Daniela pr.	Daniela pr.	3 ⁵⁸	19 ⁴⁴	☾	6 ³⁴	20 ²²
22	P	Marii Magdaleny	Marii Magdaleny	3 ⁵⁹	19 ⁴³	☾	7 ⁵²	20 ⁴³
23	S	Apolinarego	Apolinarego	4 ⁰⁰	19 ⁴¹	☾	9 ⁰⁸	21 ⁰³
24	N	8 po Z. Św. Kr.	7 po Tr. Św. Cyr.	4 ⁰²	19 ⁴⁰	☾	10 ²⁰	21 ²¹
25	P	Jakuba ap.	Jakuba ap.	4 ⁰³	19 ³⁹	☾	11 ³⁰	21 ⁴⁴
26	W	Anny ☾	Anny ☾	4 ⁰⁴	19 ³⁸	☾	12 ³⁰	22 ⁰⁹
27	Ś	Natalii	Marty	4 ⁰⁵	19 ³⁶	☾	13 ⁴⁵	22 ³⁷
28	Cz	Innocentego	Pantaleona	4 ⁰⁷	19 ³⁵	☾	14 ⁴⁶	23 ¹¹
29	P	Marty	Olgi	4 ⁰⁸	19 ³⁴	☾	15 ⁴⁷	23 ⁵³
30	S	Heleny wd.	Abdona	4 ¹⁰	19 ³²	☾	16 ³⁸	—
31	N	9 po Z. Św. Ign.	8 po Tr. Św. Bon.	4 ¹¹	19 ³¹	☾	17 ²²	0 ⁴³
 FAZY KSIĘŻYCA: Pełnia ☾ dnia 5-go o godz. 6, min. 28. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 12-go o godz. 21, min. 31. — Nów ☾ dnia 19-go o godz. 12, min. 34. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 26-go o godz. 16, min. 59. Dnia ubywa o 59 minut.								



OBCHÓD 10-LECIA POLSKI LUDOWEJ W LUBLINIE

Na zdjęciu: I Sekretarz KC PZPR Bolesław Bierut, członek Prezydium KC PZPR, I zastępca Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR Marszałek Związku Radzieckiego — Nikołaj Bulganin, członek Biura Politycznego KC PZPR Przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki, członek Biura Politycznego wiceprezes Rady Ministrów Marszałek Polski Konstanty Rokossowski — zwiedzają Stare Miasto w Lublinie dnia 22 lipca 1954.

- 2 lipca 6 rocznica śmierci Jerzego Dimitrowa (ur. 18. 6. 1882)
- 3 lipca Międzynarodowy Dzień Spółdzielczy
- 5 lipca Słowiańscy apostołowie Cyryl i Metody — Pamiętny dzień CzSR.
- 6 lipca 540 rocznica spalenia Mistrza Jana Husa — Pamiętny dzień CzSR.
- 11 lipca Święto państwowe Mongolskiej Republiki Ludowej
- 22 lipca Święto państwowe Polskiej Republiki Ludowej



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	P	Piotra w ok.	Piotra	4 ¹²	19 ²⁹		17 ⁵⁸	1 ⁴¹
2	W	Porcjunkuli	Gustawa	4 ¹⁴	19 ²⁸	☾	18 ²⁹	2 ⁴⁴
3	Ś	Znal. św. Szczep. ☾	Augusta ☾	4 ¹⁵	19 ²⁶	☾	18 ⁵⁴	3 ⁵²
4	Cz	Dominika w.	Dominika	4 ¹⁷	19 ²⁵	☾	19 ¹⁶	5 ⁰¹
5	P	N. M. P. Śnieżnej	Oswalda	4 ¹⁸	19 ²³	☾	19 ³⁶	6 ¹²
6	S	Przem. Pańskie	Sykstusa	4 ¹⁹	19 ²¹	☾	19 ⁵⁵	7 ²⁴
7	N	10 po Z. Św. Kaj.	9 po Tr. Św. Don.	4 ²¹	19 ²⁰	☾	20 ¹⁶	8 ³⁶
8	P	Cyriaka	Krystyny	4 ²²	19 ¹⁸	☾	20 ³⁷	9 ⁵¹
9	W	Romana	Romana	4 ²⁴	19 ¹⁶	☾	21 ⁰³	11 ⁰⁷
10	Ś	Wawrzyńca	Wawrzyńca	4 ²⁶	19 ¹⁴	☾	21 ³⁵	12 ²⁴
11	Cz	Zuzanny p. ☾	Zuzanny ☾	4 ²⁷	19 ¹³	☾	22 ¹⁵	13 ⁴⁰
12	P	Klary	Klary	4 ²⁸	19 ¹¹	☾	23 ⁰⁷	14 ⁵²
13	S	Hipolita	Kasjana	4 ³⁰	19 ⁰⁹	☾	—	15 ⁵⁴
14	N	11 po Z. Św. Euz.	10 po Tr. Św. Euz.	4 ³²	19 ⁰⁷	☾	0 ¹¹	16 ⁴⁵
15	P	Wniebowz. N. M. P.	Marii	4 ³³	19 ⁰⁵	☾	1 ²⁵	17 ²⁶
16	W	Jacka i Rocha	Rocha	4 ³⁴	19 ⁰³	☾	2 ⁴⁶	17 ⁵⁷
17	Ś	Mirona ●	Anastazego ●	4 ³⁶	19 ⁰³	☾	4 ⁰⁷	18 ²³
18	Cz	Heleny	Heleny	4 ³⁷	19 ⁰⁰	☾	5 ²⁶	18 ⁴⁶
19	P	Benigny p.	Emanuela	4 ³⁹	18 ⁵⁸	☾	6 ⁴⁴	19 ⁰⁶
20	S	Bernarda op.	Bernarda	4 ⁴⁰	18 ⁵⁶	☾	7 ⁵⁸	19 ²⁷
21	N	12 po Z. Św. Joan.	11 po Tr. Św. W.	4 ⁴²	18 ⁵⁴	☾	9 ¹¹	19 ⁴⁸
22	P	Tymoteusza	Tymoteusza	4 ⁴³	18 ⁵²	☾	10 ²²	20 ¹¹
23	W	Filipa B.	Zacheusza	4 ⁴⁵	18 ⁵⁰	☾	11 ³⁰	20 ³⁹
24	Ś	Bartłomieja	Bartłomieja	4 ⁴⁶	18 ⁴⁸	☾	12 ³⁵	21 ¹¹
25	Cz	Ludwika kr. ●	Ludwika ●	4 ⁴⁸	18 ⁴⁶	☾	13 ³⁶	21 ⁵⁰
26	P	Aleksandra m.	Zefiryna	4 ⁴⁹	18 ⁴⁴	☾	14 ³⁰	22 ³⁶
27	S	Róży p.	Mariana	4 ⁵¹	18 ⁴²	☾	15 ¹⁷	23 ³¹
28	N	13 po Z. Św. Aug.	12 po Tr. Św. Aug.	4 ⁵²	18 ⁴⁰	☾	15 ⁵⁶	—
29	P	Słowackie Powstanie Narodowe — Pamiętny dzień Republiki Czechosłowackiej		4 ⁵³	18 ³⁸	☾	16 ²⁰	0 ⁵¹
30	W	Pociesz. N. M. P.	Rebeki	4 ⁵⁵	18 ³⁶	☾	16 ⁵⁶	1 ³⁷
31	Ś	Rajmunda w.	Hilarii	4 ⁵⁷	18 ³³	☾	17 ²⁰	2 ⁴⁶
 FAZY KSIĘŻYCY: Pełnia ☾ dnia 3-go o godz. 20, min. 30. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 11-go o godz. 3, min. 33. — Nów ● dnia 17-go o godz. 20, min. 58. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 25-go o godz. 9, min. 51. Dnia ubywa o 1 godzinę 41 minut.								



TRADYCYJNE ŚWIĘTO GÓRALSKIE W JABŁONKOWIE.

Co roku odbywa się w Jabłonkowie na Śląsku czechosłowackim tradycyjne „Święto Góralskie“. W sierpniu 1954 roku na „Święto Góralskie“ przybyło do Jabłonkowa około 20.000 ludzi.

15 sierpnia Święto państwowe Koreańskiej Republiki Ludowej
 23 sierpnia Święto państwowe Rumuńskiej Republiki Ludowej
 29 sierpnia 11 rocznica Słowackiego Powstania Narodowego (1944) — Pamiętny dzień
 CzSR



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znaki nieb.	Księżycza	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	Cz	Bronisławy p.	Idziego	4 ⁵⁸	18 ³¹	♌	17 ⁴¹	3 ⁵⁷
2	P	Stefana kr. ☉	Stefana ☉	4 ⁵⁹	18 ²⁹	♍	18 ⁰¹	5 ⁰⁹
3	S	Eufrozyny p.	Bronisławy	5 ⁰¹	18 ²⁷	♎	18 ²²	6 ²³
4	N	14 po Z. Św. Roz.	13 po Tr. Św. Roz.	5 ⁰³	18 ²⁵	♏	18 ⁴⁴	7 ³⁸
5	P	Urbana pap.	Wawrzyńca	5 ⁰⁴	18 ²³	♐	19 ⁰⁸	8 ⁵⁵
6	W	Zachariasza	Bolesława	5 ⁰⁵	18 ²¹	♑	19 ³⁹	10 ¹²
7	Ś	Reginy	Reginy	5 ⁰⁷	18 ¹⁹	♒	20 ¹⁶	11 ²⁹
8	Cz	Narodz. N. M. P.	Narodz. M. P.	5 ⁰⁹	18 ¹⁷	♓	21 ⁰⁴	12 ⁴²
9	P	Dzień Górników ☾	Dzień Górników ☾	5 ¹⁰	18 ¹⁴	♈	22 ⁰³	13 ⁴⁷
10	S	Mikołaja z Tol.	Jodoka	5 ¹¹	18 ¹²	♉	23 ¹²	14 ⁴⁰
11	N	15 po Z. Św. Pr. i J.	14 po Tr. Św. Pr.	5 ¹³	18 ¹⁰	♊	—	15 ²³
12	P	Tobiasza	Gwidona	5 ¹⁴	18 ⁰⁸	♋	0 ²⁸	15 ⁵⁷
13	W	Aureliusza	Aureliusza	5 ¹⁶	18 ⁰⁶	♌	1 ⁴⁷	16 ²⁵
14	Ś	Podw. św. Krzyża	Podw. św. Krzyża	5 ¹⁷	18 ⁰³	♍	3 ⁰⁵	16 ⁴⁸
15	Cz	Nikodema	Nikodema	5 ¹⁹	18 ⁰¹	♎	4 ²²	17 ¹⁰
16	P	Kornela pap. ●	Ludmiły ●	5 ²⁰	17 ⁵⁹	♏	5 ³⁷	17 ³⁰
17	S	Justyny p.	Kornela	5 ²²	17 ⁵⁷	♐	6 ⁵⁰	17 ⁵¹
18	N	16 po Z. Św. Tom.	15 po Tr. Św. Tyt.	5 ²⁴	17 ⁵⁵	♑	8 ⁰²	18 ¹⁴
19	P	Januarego	Konstancji	5 ²⁵	17 ⁵²	♒	9 ¹²	18 ⁴⁰
20	W	Eustachego	Eustachego	5 ²⁶	17 ⁵⁰	♓	10 ¹	19 ¹⁰
21	Ś	Mateusza ap.	Mateusza ap.	5 ²⁸	17 ⁴⁸	♈	11 ²²	19 ⁴⁷
22	Cz	Maurycego	Maurycego	5 ²⁹	17 ⁴⁶	♉	12 ¹⁹	20 ³⁰
23	P	Tekli p.	Tekli	5 ³¹	17 ⁴³	♊	13 ⁰⁹	21 ²¹
24	S	Mieczysława	Mieczysława	5 ³²	17 ⁴¹	♋	13 ⁵¹	22 ¹⁹
25	N	17 po Z. Św. Kl.	16 po Tr. Św. Kl.	5 ³⁴	17 ³⁹	♌	14 ²⁷	23 ²²
26	P	Józefata b. m.	Cypriana	5 ³⁵	17 ³⁷	♍	14 ⁵⁶	—
27	W	Władysława	Władysława	5 ³⁷	17 ³⁵	♎	15 ²¹	0 ²⁹
28	Ś	Wacława kr.	Wacława	5 ³⁹	17 ³²	♏	15 ⁴³	1 ³⁸
29	Cz	Michała arch.	Michała	5 ⁴⁰	17 ³⁰	♐	16 ⁰⁴	2 ⁴⁹
30	P	Hieronima	Hieronima	5 ⁴²	17 ²⁸	♑	16 ²⁵	4 ⁰²
		FAZY KSIĘŻYCA: Pełnia ☾ dnia 2-go o godz. 8, min. 59. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 9-go o godz. 8, min. 59. — Now ♀ dnia 16-go o godz. 7, min. 19. — Pierwsza kwadra ♀ dnia 24-go o godz. 4, min. 40. Dnia ubywa o 1 godzinę 47 minut.						



PZKO jest organizatorem nie tylko wielu imprez publicznych o charakterze masowym jak np. „Święta Góralskiego“ czy zainicjowanego po raz pierwszy w roku 1954 „Dnia Oszeldy“ — ale także troszczy się o wychowanie kadr działaczy kulturalno-oświatowych. W tym celu PZKO w każdym roku urządza szkolenia kadr i to w różnym zakresie kultury twórczej i odtwórczej. W roku 1954 odbyły się staraniem Głównego Zarządu PZKO kursy dla reżyserów teatrów amatorskich, dla dyrygentów śpiewaczych, kierowników świetlicowych, odbył się także kurs charakteryzacji teatralnej.

Powyżej na zdjęciu uczestnicy kursu SLA w sali wykładowej w schronisku na Kozubowej.

-
- 2 września Święto państwowe Wietnamskiej Republiki Ludowej
 - 6 września 55 rocznica urodzin Walko Czerwenkowa, premiera Rządu Bułgarskiej Republiki Ludowej, gen. sekretarza KP Bułgarii (1950)
 - 7 września Dzień lotnictwa czechosłowackiego
 - 8 września 12 rocznica zamordowania bohatera narodowego Juliusza Fučika
 - 9 września Dzień Górników
 - 17 września Święto państwowe Bułgarskiej Republiki Ludowej
 - 39 rocznica urodzin Jundzagijma Cedenbala, prezesa Rady Ministrów Mongolskiej Republiki Ludowej
 - 21 września Dzień Prasy
 - 23 września 63 rocznica urodzin G. Dajmanowa, przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego Bułgarskiej Republiki Ludowej (1892)
 - 30 września 17 rocznica zdrady monachijskiej

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znak nieb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	S	Remigiusza ☿	Benigna ☿	5 ⁴³	17 ²⁶	☿	16 ⁴⁷	5 ¹⁸
2	N	Święto Pokoju	Święto Pokoju	5 ⁴⁵	17 ²⁴	☿	17 ¹¹	6 ³⁵
3	P	Teresy od Dz. J.	Lukrecji	5 ⁴⁶	17 ²¹	☿	17 ⁴⁰	7 ⁵
4	W	Franciszka S.	Franciszka S.	5 ⁴⁸	17 ¹⁹	☿	18 ¹⁷	9 ¹⁴
5	Ś	Placyda	Flawii	5 ⁴⁹	17 ¹⁷	☿	19 ⁰²	10 ³¹
6	Cz	Dzień Armii Czł.	Dzień Armii Czł.	5 ⁵¹	17 ¹⁵	☿	19 ⁵⁹	11 ³⁹
7	P	Justyny	Szczęsnego	5 ⁵²	17 ¹³	☿	21 ⁰⁵	12 ³⁷
8	S	Brygidy ☾	Pelagii ☾	5 ⁵⁴	17 ¹¹	☿	22 ¹⁹	13 ²³
9	N	19 po Z. Św. Dion.	18 po Tr. Św. Dion.	5 ⁵⁶	17 ⁰⁹	☿	23 ³⁶	13 ⁵⁹
10	P	Franciszka B.	Franciszka B.	5 ⁵⁷	17 ⁰⁷	☿	—	14 ²⁸
11	W	Wincentego K.	Emiliana	5 ⁵⁹	17 ⁰⁴	☿	0 ⁵²	14 ⁵²
12	Ś	Maksymiliana	Maksymiliana	6 ⁰⁰	17 ⁰²	☿	2 ⁰⁸	15 ¹⁴
13	Cz	Edwarda kr.	Kaliksta	6 ⁰²	17 ⁰⁰	☿	3 ²¹	15 ³⁴
14	P	Kaliksta pap.	Edwarda	6 ⁰³	16 ⁵⁸	☿	4 ³⁴	15 ⁵⁵
15	S	Jadwigi ●	Jadwigi ●	6 ⁰⁵	16 ⁵⁶	☿	5 ⁴⁵	16 ¹¹
16	N	20 po Z. Św. Gaw.	19 po Tr. Św. Gaw.	6 ⁰⁷	16 ⁵⁴	☿	6 ¹⁶	16 ⁴²
17	P	Małgorzaty	Florentego	6 ⁰⁸	16 ⁵²	☿	8 ⁰⁴	17 ¹¹
18	W	Łukasza ew.	Łukasza ew.	6 ¹⁰	16 ⁵⁰	☿	9 ⁰⁹	17 ⁴⁵
19	Ś	Urszuli p.	Piotra	6 ¹¹	16 ⁴⁸	☿	10 ⁰⁸	18 ²⁶
20	Cz	Ireny	Eunice	6 ¹³	16 ⁴⁶	☿	11 ⁰¹	19 ¹⁴
21	P	Korduli p.	Urszuli	6 ¹⁵	16 ⁴⁴	☿	11 ¹⁶	20 ⁰⁹
22	S	Jana Kap.	Korduli	6 ¹⁶	16 ⁴²	☿	12 ²⁴	21 ⁰⁹
23	N	21 po Z. Św. Raf.	20 po Tr. Św. Sew.	6 ¹⁸	16 ⁴⁰	☿	12 ⁵⁵	22 ¹⁴
24	P	Piotra z Al. ☽	Salomei ☽	6 ²⁰	16 ³⁸	☿	13 ²¹	23 ²⁰
25	W	Jana Kant.	Ziemowita	6 ²¹	16 ³⁶	☿	13 ⁴⁴	—
26	Ś	Ewarysta p. m.	Ewarysta	6 ²³	16 ³⁵	☿	14 ⁰⁵	0 ²⁹
27	Cz	Sabiny m.	Sabiny	6 ²⁵	16 ³³	☿	14 ²⁶	1 ⁴⁰
28	P	Dzień unarodowienia	Dzień unarodowienia	6 ²⁶	16 ³¹	☿	14 ⁴⁷	2 ⁵³
29	S	Narcyza b.	Narcyza	6 ²⁸	16 ²⁹	☿	15 ¹¹	4 ⁰⁹
30	N	22 po Z. Św. Kl.	21 po Tr. Św. Kl.	6 ²⁹	16 ²⁷	☿	15 ³⁸	5 ²⁸
31	P	Lucylli ☿	Pam. Reform. ☿	6 ³¹	16 ²⁵	☿	16 ¹²	6 ⁴⁹
 FAZY KSIĘŻYCY: Pełnia ☾ dnia 1-go o godz. 20, min. 17. — Ostatnia kwadra ☾ dnia 8-go o godz. 15, min. 4. — Nów ☾ dnia 15-go o godz. 20, min. 32. — Pierwsza kwadra ☽ dnia 24-go o godz. 0, min. 4. — Pełnia ☽ dnia 31-go o godz. 7, min. 4. Dnia ubywa o 1 godzinę 49 minut.								



*„GOROLE Z PIOSKU”
Na takim alegorycznym wozie przybyli gorole z Piosku na „Święto Góralskie 1954”
do Jablonkowa.*

-
- 1 października Święto państwowe Chińskiej Republiki Ludowej (1949)
 6 października Dzień Armii Czechosłowackiej
 7 października Święto państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej (1949)
 16 października 47 rocznica urodzin generała Envera Hodży, premiera rządu Ludowej
 Republiki Albańskiej, gen. sekretarza Albańskiej Partii Robotniczej (1908)
 28 października Dzień unarodowienia — Dzień wolny od pracy



Listopad



MIESIĄC PRZYJAŹNI

Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znak nle.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	W	Wszystkich Świętych	Wszystkich Świętych	6 ³³	16 ²⁴	☾	16 ⁵⁴	8 ⁰⁹
2	S	Dzień Zaduszny	Dzień Zaduszny	6 ³⁵	16 ²²	☾	17 ⁴⁹	9 ²⁴
3	Cz	Huberta b.	Bogumiła	6 ³⁶	16 ²⁰	☾	18 ⁵⁴	10 ²⁴
4	P	Karola B.	Modesty	6 ³⁸	16 ¹⁹	☾	20 ⁰⁸	11 ¹⁹
5	S	Zachariasza	Elżbiety	6 ³⁹	16 ¹⁷	☾	21 ¹⁶	11 ⁵⁹
6	N	23 po Z. Św. Lid. ☾	22 po Tr. Św. L. ☾	6 ⁴¹	16 ¹⁵	☾	22 ⁴³	12 ²¹
7	P	Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa — Pamiętny dzień RCzS		6 ⁴³	16 ¹⁴	☾	23 ⁵⁹	12 ⁵⁷
8	W	Maura	Maura	6 ⁴⁵	16 ¹²	☾		13 ¹⁹
9	Ś	Teodora	Teodora	6 ⁴⁶	16 ¹¹	☾	1 ¹²	13 ⁴⁰
10	Cz	Andrzeja z A.	Nimfy p.	6 ⁴⁸	16 ⁰⁹	☾	2 ²⁴	14 ⁰⁰
11	P	Marcina b.	Marcina	6 ⁴⁹	16 ⁰⁸	☾	3 ³⁴	14 ²¹
12	S	5 Braci Polaków	Jonasa	6 ⁵¹	16 ⁰⁶	☾	4 ⁴³	14 ⁴⁵
13	N	24 po Z. Św. Dyd. ☾	23 po Tr. Św. Hom. ☾	6 ⁵³	16 ⁰⁵	☾	5 ⁵²	15 ¹²
14	P	Hipacego	Serafiona	6 ⁵⁴	16 ⁰⁴	☾	6 ⁵⁷	15 ⁴⁴
15	W	Ślan'sława K.	Leopolda	6 ⁵⁶	16 ⁰²	☾	7 ⁵⁹	16 ²³
16	Ś	Edmunda	Edmunda	6 ⁵⁸	16 ⁰¹	☾	8 ⁵⁴	17 ⁰¹
17	Cz	Międz. Dzień Stud.	Międz. Dzień Stud.	6 ⁵⁹	16 ⁰⁰	☾	9 ⁴²	18 ⁰¹
18	P	Romana m.	Grzegorza	7 ⁰¹	15 ⁵⁹	☾	10 ²²	18 ⁵⁹
19	S	Elżbiety kr.	Elżbiety kr.	7 ⁰³	15 ⁵⁷	☾	10 ⁵⁵	20 ⁰²
20	N	25 po Z. Św. Fel.	24 po Tr. Św. Fel.	7 ⁰⁴	15 ⁵⁶	☾	11 ²³	21 ⁰⁷
21	P	Ofiar N. P. M.	Ofiar. M. P.	7 ⁰⁶	15 ⁵⁵	☾	11 ⁴⁶	22 ¹³
22	W	Cecylii p. ☾	Cecylii ☾	7 ⁰⁷	15 ⁵⁴	☾	12 ⁰⁸	23 ²¹
23	Ś	Urodz. Kl. Gottwalda	Urodz. Kl. Gottwalda	7 ⁰⁹	15 ⁵³	☾	12 ²⁸	—
24	Cz	Jana od Krz.	Emilii	7 ¹⁰	15 ⁵²	☾	12 ⁴⁸	03 ¹
25	P	Katarzyny p.	Katarzyny	7 ¹²	15 ⁵¹	☾	13 ¹⁰	1 ⁴³
26	S	Konrada	Konrada	7 ¹³	15 ⁵¹	☾	13 ³⁴	2 ⁵⁹
27	N	1 Adw. Wal.	1 Adw. Wal.	7 ¹⁵	15 ⁵⁰	☾	14 ⁰⁴	4 ¹⁸
28	P	Zdzisława	Zdzisława	7 ¹⁶	15 ⁴⁹	☾	14 ¹²	5 ³⁹
29	W	Saturnina ☾	Bogdana ☾	7 ¹⁸	15 ⁴⁸	☾	15 ³¹	6 ⁵⁷
30	Ś	Andrzeja ap.	Andrzeja	7 ¹⁹	15 ⁴⁷	☾	16 ³³	8 ⁰⁹

FAZY KSIĘŻYCA:

Ostatnia kwadra ☾ dnia 6-go o godz. 22, min. 56. — Nów ☾ dnia 14-go o godz. 13, min. 1. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 22-go o godz. 18, min. 29. — Pełnia ☾ dnia 29-go o godz. 17, min. 50.

Dnia ubywa o 1 godzinę 23 minuty.





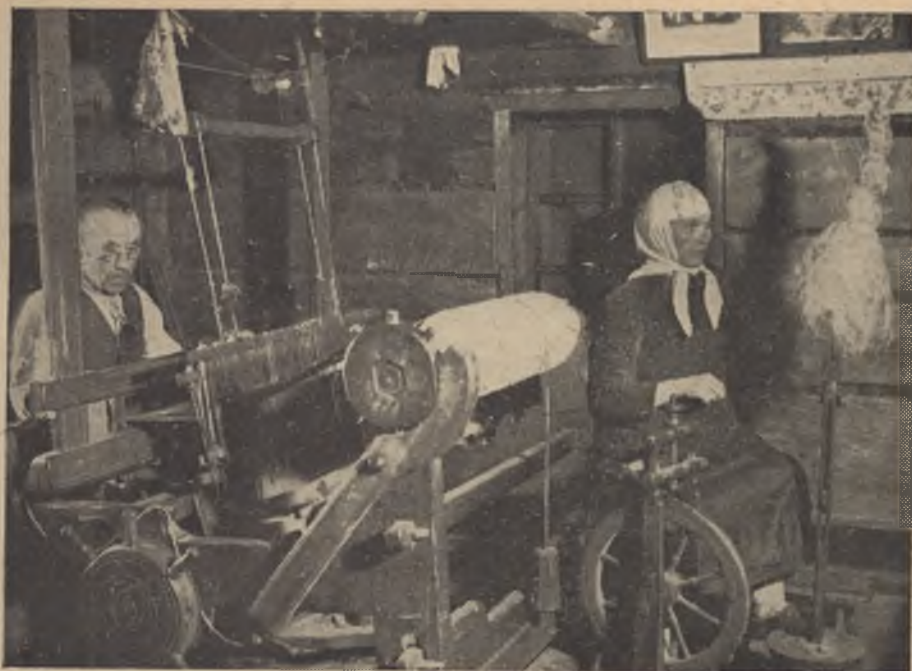
Piękną działalność rozwija wśród młodzieży szkolnej na Śląsku czechosłowackim teatr kukielkowy PZKO „Bajka”. We wrześniu 1954 roku odbyło się w małej podgórskiej wiosce cieszyńskiej Guty tysięczne przedstawienie „Bajki”.

Na zdjęciu siedmiu członków zespołu „Bajki” wraz z swym kierownikiem Ferdynandem Królem oraz goście obecni na tysięcznym przedstawieniu „Bajki” w Gutach.

-
- 7 listopada 38 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (1917) —
Pamiętny dzień CzSR
- 8 listopada 54 rocznica urodzin Gheorghe Gheorghiu Deja, prezesa Rady Ministrów
Rumuńskiej Republiki Ludowej, sekretarza gen. Rumuńskiej Partii Robotniczej (1901)
- 10 listopada 11 rocznica śmierci bohatera narodowego Jana Švermy (1914)
- 17 listopada Międzynarodowy Dzień Studentów
- 23 listopada 59 rocznica urodzin prezydenta Republiki Czechosłowackiej Klementa Gott-
walda, przewodniczącego KPCz (1896)
- 28 listopada 135 rocznica urodzin Fryderyka Engelsa (1820)
- 29 listopada Święto państwowe Albańskiej Republiki Ludowej



Dnie		Święta rzym. katolickie	Święta ewangelickie	Słońca		Znak nleb.	Księżycy	
				wsch.	zach.		wsch.	zach.
1	Cz	Eligiusza	Długosza	7 ²⁰	15 ⁴⁷		17 ⁴⁶	9 ⁰⁸
2	P	Aurelii	Aurelii	7 ²²	15 ⁴⁶		18 ⁰⁶	9 ⁵⁵
3	S	Franciszka K.	Kasjana	7 ²³	15 ⁴⁶		20 ²⁷	10 ³¹
4	N	2 Adw. Bar.	2 Adw. Bar.	7 ²⁴	15 ⁴⁵		21 ⁴⁶	11 ⁰⁰
5	P	Saby op.	Saby	7 ²⁶	15 ⁴⁵		23 ⁰¹	11 ²⁴
6	W	Mikołaja b. ☾	Mikołaja ☾	7 ²⁷	15 ⁴⁴		—	11 ⁴⁵
7	Ś	Ambrożego	Agaty	7 ²⁸	15 ⁴⁴		0 ¹⁵	12 ⁰⁶
8	Cz	Niep. P. N. M. P.	<i>Dzień Pokutny</i>	7 ²⁹	15 ⁴⁴		1 ²⁵	12 ²⁷
9	P	Leokadii	Joachima	7 ³⁰	15 ⁴³		2 ³⁵	12 ⁴⁹
10	S	N. M. P. Loret.	Judyty	7 ³¹	15 ⁴³		3 ⁴³	13 ¹⁵
11	N	3 Adw. Dan.	3 Adw. Dan.	7 ³²	15 ⁴³		4 ⁴⁹	13 ⁴⁵
12	P	Zenona m.	Epimacha	7 ³³	15 ⁴³		5 ⁵¹	14 ²¹
13	W	Łucji p.	Łucji	7 ³⁴	15 ⁴³		6 ⁴⁹	15 ⁰¹
14	Ś	Spiridiona ●	Nikazego ●	7 ³⁵	15 ⁴³		7 ³⁹	16 ⁵⁵
15	Cz	Waleriana b.	Ignacego	7 ³⁶	15 ⁴³		8 ³²	16 ⁵²
16	P	Albiny	Ananiasza	7 ³⁷	15 ⁴³		8 ³⁷	17 ⁵³
17	S	Łazarza b.	Łazarza	7 ³⁸	15 ⁴⁴		9 ²⁶	18 ⁵⁷
18	N	4 Adw. Grac.	4 Adw. Ol.	7 ³⁹	15 ⁴⁴		9 ⁵¹	20 ⁰³
19	P	Urodziny Prezydenta CzSR Ant. Zápotockiego	Teofila	7 ³⁹	15 ⁴⁴		10 ¹³	21 ⁰⁹
20	W	Teofila m.	Teofila	7 ⁴⁰	15 ⁴⁵		10 ³³	22 ¹⁷
21	Ś	Urodziny J. W. Stalina	Urodziny J. W. Stalina	7 ⁴¹	15 ⁴⁵		10 ⁵²	23 ²⁶
22	Cz	Aleksego ☾	Beaty ☾	7 ⁴¹	15 ⁴⁵		11 ¹²	—
23	P	Wiktorii kr.	Wiktorii	7 ⁴²	15 ⁴⁶		11 ³⁴	0 ³⁷
24	S	Adama i Ewy	Adama i Ewy	7 ⁴³	15 ⁴⁷		12 ⁰⁰	1 ⁵²
25	N	Boże Narodzenie	Narodz. Chr. P.	7 ⁴²	15 ⁴⁷		12 ³³	3 ⁰⁹
26	P	Szczepana	Szczepana	7 ⁴³	15 ⁴⁸		13 ¹⁴	4 ²⁷
27	W	Jana ew.	Jana ew.	7 ⁴³	15 ⁴⁹		14 ⁰⁸	5 ⁴²
28	Ś	Młodzianków	Młodzianków	7 ⁴³	15 ⁴⁹		15 ¹⁶	6 ⁴⁸
29	Cz	Tomasza Kant. ☾	Jonatana ☾	7 ⁴⁴	15 ⁵⁰		16 ³⁴	7 ⁴³
30	P	Dawida kr.	Dawida	7 ⁴⁴	15 ⁵¹		17 ⁵⁷	8 ²⁵
31	S	Sylwestra pap.	Boguchwała	7 ⁴⁴	15 ⁵²		19 ²¹	8 ⁵⁸
 FAZY KSIĘŻYCY: Ostatnia kwadra ☾ dnia 6-go o godz. 9, min. 35. — Nów ● dnia 14-go o godz. 8, min. 7. — Pierwsza kwadra ☾ dnia 22-go o godz. 10, min. 39. — Pełnia ☽ dnia 29-go o godz. 4, min. 44. Do 22 grudnia ubywa dnia o 23 minuty, następnie zaś do końca grudnia przybywa dnia o 4 minuty.								



Dnia 26. 7. 1954 zmarł jeden z ostatnich tkaczy cieszyńskich Józef Sikora („Krajczok”) z Milikowa pod Kozubową. Krajczok był także znanym pieśniarzem ludowym. — Na zdjęciu Józef Sikora za warsztatem tkackim...

-
- 5 grudnia 19 rocznica ogłoszenia Konstytucji Stalinowskiej ZSRR
 - 12 grudnia 12 rocznica zawarcia umowy o sojuszu, przyjaźni i wzajemnej pomocy między Czechosłowacją i Związkiem Radzieckim (1943)
 - 19 grudnia 71 rocznica urodzin prezydenta republiki Antonína Zápotockého (1884)
 - 21 grudnia 76 rocznica urodzin Mao-Tse-Tunga, prezesa Centralnej Ludowej Rady Rządowej Chińskiej Republiki Ludowej i przewodniczącego KP Chin (1893)

Ziemia rodzinna

Oczy nam całuje kłosami żyta,
Twarz pieści wiatrem Beskidów,
Potokami śpiewa, słonka śmiechem wita
Nas w lata wielkie, które z nami idą.

Pomostami rusztowań o ojczyźnie mówi,
Gdzie rzekł człowiek — towarzysz: „stworzę
Cymiljańskie morze” i dał ludowi
Potęgę gromów i atom rozświecił w oborze.

Uczy miłosnych uścisków letniej nocy,
W taniec po pracy porywa ręce
I rytmem wielkiej, naszej, ludzkiej mocy
Pląsa w ludowej, nowej piosence.

I gospodarzyć jak w Sowietach uczy,
Z roli dobywać złoto ciężkich gron
I zwierząt stada, jako nigdy, tuczyć
I dzieci tulić do zdrowych piersi i łon.

— — —
Umiłowałem ziemię swoją,
Lecz nad nią kocham ludzi,
Którzy się z wszystkich domów świata roją,
Których wietnamskie, wolne słonko budzi,

Którzy na szczytę z chatek górskich idą
I z błędowickich długich czworoboków,
Z domków hutniczych, z wielkich bloków Łyżbic
I ze Stalingradu na kopalnię „Pokój”!

A kiedy na trawie ogrodów
Rozkwitną dzieci — orchidee,
Róże i matki, grające krwią młodą,
Z oczkami, w których niebo się śmieje —

Jesteś mi, ziemio Śląska, bliską
Rzeźbioną, ludową kołyską.

Józef Krzywoń



*Prezydent Antoni Zápotocký w rozmowie z odznaczonymi górnikami
z Zagłębia Ostrawsko-karwińskiego*

JÓZEF MRÓZEK

O dalszy krok naprzód

Ubiegł znowu rok, rok wytężonej pracy na wszystkich odcinkach naszego życia. Przebyliśmy dalszy etap naszego marszu do socjalizmu, zbliżyliśmy się o krok do celu naszych usiłowań. Wiele sukcesów i zwycięstw odnieśliśmy w walce o nowe i lepsze, wiele radości spotkało nas na naszej drodze. Bo jakże radosne i słoneczne jest życie, kiedy człowiek wie, że pracuje dla siebie i swych dzieci, kiedy widzi realne wyniki swego wysiłku. Cieszy wtedy człowieka praca, wkłada w wysiłek swoje serce i duszę, rośnie jego samopoczucie i dumą, dumą człowieka nowego, człowieka socjalistycznego. A kiedy przypomnimy sobie tamte czasy, złe i krzywdzące, i porównamy stare z nowym, to słońce zaślepi nasze serce, radość zaświeci w oczach a duszę rozpiera chęć wykonania czegoś wielkiego, czegoś co przyniosłoby chwałę

naszej ojczyźnie ludowej. Jakże wiele się zmieniło, jakże inaczej wygląda świat. I słońce piękniej i radośniej świeci i gwiazdy mrugają zadowolone. I dziwi się człowiek, że znajdują się jeszcze wśród nas ludzie, którzy tych rzeczy nie dostrzegają. I dziwi się, że są na świecie ludzie, którzy pragną zniszczyć ten nasz słoneczny kraj, zamącić nasze spokojne i radosne życie. Wiemy, że są niestety tacy ludzie na świecie. Oni to przynieśli śmierć i zniszczenie pięknej Korei, Indochinom i innym krajom walczącym o wolność. W ich fabrykach produkują się czołgi, samoloty wojenne, armaty i inne narzędzia śmierci. Oni znieważyli i zbezsześcili naukę przez wykorzystanie energii atomowej dla celów zbrodniczych, do mordowania i zabijania ludzi. Są to ci, którzy w obawie o swoje bogactwa tłumią w swych krajach wszelką myśl

postępową, prześladując najlepszych synów swego kraju, są to mordercy Juliusza i Ethel Rosenbergów. Znamy tych ludzi, wiemy że to amerykańscy miliarderzy, którzy chcieliby panować nad światem. W ich siedzibie — Wallstrecie — legną się potworne myśli, świadczące o zdegenerowaniu ich inicjatorów. Świadczą one zarazem o okropnym strachu prowodyrów imperializmu przed postępem, przed nową ideą, która zwycięsko idzie przez świat. Czyż my, czyż cała postępową część ludzkości patrzeć będzie beczynn timer na usiłowania tej kliki morderców i podżegaczy wojennych? Nie! My walczymy i walczyć będziemy przeciw wszelkim zamiarom rozpętania nowej wojny. My nie pozwolimy już nigdy, by nasze spokojne budowanie skalał brud faszyzmu choćby w wydaniu USA. My stoimy na straży, a z nami Związek Radziecki, Chiny Ludowe, państwa demokracji ludowej oraz postępową część ludzkości na Zachodzie, która nie może pogodzić się z warunkami w jakich żyje, nie może pogodzić się z polityką uprawianą przez kilkadziesiąt rodzin wielkiego kapitału. Walka trwa. A w tej walce kapitał przegrywa sromotnie. Cios za ciosem spada na jego głowy, przygważdżają go mocne i nieodparte argumenty Związku Radzieckiego, narastają sprzeczności w samym obozie imperialistów. Mimo wszelkich przeszkód i intryg ze strony kliki rządzącej w USA, zawarto pokój w Korei oraz w Wietnamie, Kambodży i Laosie. Po ośmiu latach krwawej wojny ucichły armaty w tych krajach, które walczyły o wolność swego kraju i wolność tę wywalczyły. Zawarcie pokoju w Indochinach to wynik pokojowej polityki obozu pokoju, sukces cenny i ważny. Jest to zarazem dalszy cios dla imperialistów, zawiodła tym razem nawet ich wypróbowana broń — propaganda uprawiana przez „Głos Ameryki” czy inne tego rodzaju instytucje. Coraz bardziej przekonują się ludzie o fałszu i zakłamaniu owej propagandy.

Nie należy się temu dziwić. Przecież każdy ma możliwość porównania głoszonych przez osławione rozgłoszenie bredni i bzdurstw z faktycznym stanem rzeczy. Kogóż więc chcą przekonać bied-

ni sługusi imperializmu? Nawet wyświechtane hasło — jakoby oni bronili kultury zachodniej przed komunizmem straciło już dawno swój blask i nikogo już dziś nie przekona. Komunizm nie zagraża kulturze, kulturze prawdziwej, postępowej, która ludzkości przyniosła wiele wspaniałych osiągnięć i wartości. Kulturze i cywilizacji zagraża ta inna „kultura”, kultura spłodzona przez imperializm, kultura fałszu, zakłamania, zbrodni, pornografii i występku. Taka jest rzeczywistość, tak mówią fakty. Kultura w rękach imperialistów stała się tylko dobrym interesem, za pomocą którego zabijane jest w człowieku poczucie piękna, dobroci i miłości. Zabija jego sumienie, wychowuje młodzież na zwyrodniałych zbrodniarzy i morderców, wiemy, kto prześcignął swych poprzedników faszystów niemieckich w ich podłym rzemiośle.

Tej kulturze, kulturze faszystowskiej — komunizm zagraża. Taką kulturę usunie z widowni dziejowej przyszłość, rozprawi się z wszystkimi jej prowodyrami. Taka kultura nie może istnieć w XX wieku, wieku wspaniałego rozwoju i osiągnięć myśli ludzkiej. Kultura imperializmu musi zginąć, ponieważ bezczęści ona prawdziwą kulturę, znieważa człowieka, przynosi hańbę ludzkości. Prawdziwa kultura, oparta o bogate i postępowe tradycje kultury światowej, o bogate tradycje ludowe, zrodziła się na wschodzie, tam, gdzie buduje się nowy świat, gdzie człowiek rozumiał sens swego życia, gdzie władzę w swe ręce wziął lud pracujący. Jest to kultura socjalistyczna, kultura ludu pracującego, dla niego zrodzona, jemu służąca. Kultura socjalistyczna to wiedza i nauka wśród mas ludowych, to Mickiewicz w każdej chacie, to nowy lepszy człowiek, nowe piękniejsze życie. Czyż nie warto dla takiej sprawy żyć i pracować?

Kultura socjalistyczna to słońce i radość, to dobrobyt i szczęście dla ludzi pracy. W oparciu o tę kulturę pracuje i nasz Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji. Pracuje coraz lepiej, jak wykazują wyniki roku ubiegłego. Przekonują się coraz liczniejsze

szeregi naszych członków o konieczności pracy na odcinku kultury i oświaty. Przekonują się o dobrodziejstwie i korzyściach, które dla człowieka ta praca przynosi, przekonują się o jej wielkiej wartości i doniosłości. Przekonują się powoli wszyscy o słuszności naszych słów, że kultura ma być socjalistyczna w swej treści a narodowa co do formy. Inaczej ani być nie może. Wszak w słowach tych zawarte jest wszystko co ma służyć ludowi, co ma mu przynieść pożytek, uprzyjemnić życie po ciężkiej lecz twórczej pracy. Słowa te, wcielone w czyn, dadzą naszemu ludowi to, czego nie dały ani nie mogły dać rządy Republiki przedwojennej. Dają nam one prawo wyżycia się w swojej kulturze narodowej, niczym nie hamowane i krępowane. A tylko od nas samych zależy w jakiej mierze potrafimy z prawa tego korzystać.

Spróbujmy obecnie ocenić naszą pracę w roku ubiegłym, powiedzmy sobie otwarcie o jej dodatnich i ujemnych stronach. Pocieszającym faktem jest, że rok ubiegły upłynął pod znakiem coraz większego nasilenia pracy kulturalnej w terenie. Powstały liczne, nowe zespoły, piosenka polska i słowo polskie dociera powoli i tam, gdzie dotychczas głucho było i ciemno. Rosną szeregi naszej organizacji. Setki nowopozyskanych członków, nowozałożone Koło Miejskowe w Wędryni-Zaolziu, Nydku-Głuchowej, Dolnej Łomnej-Kamienitym i Mostach-Szańcach, to piękny sukces naszych pracowników społecznych. Powstał nowy zespół taneczny przy ZP w Czeskim Cieszynie, który pięknie się rozwija.

I powiat karwiński nie pozostaje w tyle. W myśl uchwały Konferencji Powiatowej PZKO został utworzony powiatowy „Zespół Pieśni i Tańca”, mający odtworzyć w swych programach artystycznych piękno naszej kultury ludowej Zagłębia. Zespół ten, który samorzutnie nazwano „Górnikiem”, cieszy się gorącym poparciem naszego społeczeństwa i rokuje na przyszłość piękne nadzieje. Wspaniałym przeglądem naszego dorobku kulturalnego był Konkurs Twórczości Ludowej, zorganizowany przez Wydział Oświatowy przy PRN. Niemniej piękne były wyniki. Trzecie

miejsce teatralnego zespołu świetlicowego, Koła PZKO w Orłowej za „Sprawę rodzinną”, oraz pierwsze miejsce chóru mieszanego „Harmonia” w Łazach na szczeblu okręgowym mówią wymownie o naszej pracy.

Niemniej dzielnie spisały się nasze Koła PZKO w akcji przygotowań do wyborów, które w roku ubiegłym odbyły się u nas. Nasze Koła i poszczególni członkowie zadokumentowali swą pracę, że stosunek naszego społeczeństwa do ustroju jest naprawdę pozytywny. Wysiłek naszego społeczeństwa w czasie wyborów spotkał się z należyтым uznaniem czynników partyjnych i administracji ludowej. Uznanie to powinno nas cieszyć i zachęcić do jeszcze lepszej pracy na odcinku ideologicznym.

Dużo dałoby się pisać o pracy naszych Kół, naszych zespołów. Jedno jest wszakże pewne. Teren nasz żyje i pracuje. Trzeba tylko stałej opieki ze strony ZG i ZP, by praca ta stale się rozwijała, by nie ugasła żadna iskierka zapału w terenie.

Jest rzeczą jasną, że w pracy naszej nie brak i usterek. Jedną z nich to stara bolączka — słaba działalność świetlicowa. Mało jest takich Kół, gdzie praca świetlicowa kontynuowana jest regularnie i systematycznie, jest zarazem i dobrze zorganizowana. W większości Kół świetlica pracuje nieregularnie, w niektórych zaś w ogóle nie pracuje. Taki stan nie może nas zadowalać. Nasze Koła powinny zrozumieć znaczenie świetlicy, musimy osiągnąć tutaj lepsze wyniki. Świetlica — to ośrodek kultury w danej gminie, to nowa forma pracy, forma dobra i przynosząca dobre wyniki, o ile jest dobrze organizowana. Dlatego też hasłem naszym powinno być „świetlica i to świetlica czynna” — w każdym Kole PZKO. Nie mogą się skarżyć nasze Koła na brak pomocy ze strony ZG. Były systematycznie wydawane materiały świetlicowe, które w wielu wypadkach leżały w Kole niewykorzystane, od maja ub. roku wydawane są „Wskazówki dla świetlic”, miesięcznik, poświęcony wyłącznie pracy świetlicowej, zawierający konkretne wskazówki i rady jak urządzić wieczór świetlicowy. Jest prawdą, że w terenie mamy mało

wyszkolonych w tym kierunku pracowników. Jednakowoż z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że odbyło się już kilka kursów dla pracowników świetlicowych i chyba tylko brak kontroli ich pracy powoduje stan, jaki obecnie na tym odcinku notujemy. W roku bieżącym będziemy musieli zwrócić na ten odcinek baczniejszą uwagę, by osiągnąć i tutaj lepsze rezultaty.

Dalsza sprawa, która wymaga dyskusji, to stosunek naszych członków do PZKO. Nie jest on jeszcze taki jaki być powinien. Wielu naszych członków dotychczas nie zrozumiało znaczenia naszej organizacji dla naszego społeczeństwa, obojętnie patrząc na sprawy związane z pracą naszej organizacji. Taki stosunek do organizacji nie przyczynia się do wzrostu jej znaczenia, ale osłabia ją, obniża jej wartość. Stan ten jest dla nas przykrym faktem, świadczy o naszej niedostatecznej pracy w tym kierunku. Za wszelką cenę musimy znaleźć drogę do naprawy. Musimy nauczyć naszych członków kochać naszą organizację jako swoją, jako potrzebną i konieczną. Każdy nasz członek powinien czuć się odpowiedzialnym za pracę naszej organizacji, czuć się częścią składową wielkiego i silnego kolektywu, który ma piękne zadanie przed sobą do wykonania. Nasz Związek powinien tworzyć jedną wielką rodzinę, którą cechuje zgoda, wytrwałość oraz umiłowanie naszej rodzimej kultury. Kiedy stan taki osiągniemy, wtedy będziemy mogli sobie powiedzieć, że wykonaliśmy jedno z najważniejszych zadań.

Powinniśmy w dalszym ciągu zwracać baczna uwagę na szkolenie naszych członków, na wychowanie nowego człowieka. Jeszcze dużo zaległości notujemy na tym odcinku. A nam nie wolno tej sprawy bagatelizować, nie wolno odsuwać się od tego problemu, który stale jest ważny i aktualny. Wystarczy rozglądnąć się wokół siebie, aby zobaczyć jak wiele mamy jeszcze do wykonania. Wiele jest jeszcze wśród nas takich ludzi, którzy nie zrozumieli nowej rzeczywistości, nie pojmują oni takiej prostej rzeczy, że pracują na swoim, że wszystko bogactwo naszej ziemi jest wspólną własnością ludzi pracy. Bronią się ci

ludzie uporczywie przed nowymi formami pracy, nie odczuwają w pracy na swym odcinku radości i ciepła cechującego człowieka nowego, człowieka socjalistycznego.

Kilka problemów a jakże wielkie i ważne dla nas zadanie. Są one nieodłączną częścią olbrzymiego wysiłku naszych narodów na drodze do socjalizmu.

Reasumując powyższe stwierdzić należy, że dużo już wykonaliśmy ale niemniej trzeba jeszcze wykonać. Wytyczne dla pracy na tym odcinku dał nam X Zjazd Partii a nam trzeba w myśl tych wytycznych pracować i postępować. Realizacja zadań wytyczonych X Zjazdem na wszystkich odcinkach naszego życia kulturalnego i gospodarczego to linia naszego postępowania w nadchodzącym okresie. W tym kierunku też powinny zmierzać nasze usiłowania, nasz wysiłek. Znając nasze społeczeństwo, należy sądzić, że zadania te spełnimy dobrze.

Historia naszego Związku — chociaż krótka — obfituje w różne momenty. Były chwile rozwoju i twórczej pracy, były i chwile zniechęcenia i obojętności. Ufajmy, że obecnie praca nasza znalazła się w stadium trwałego rozwoju, że wskaźnik diagramu naszej pracy pójdzie stale w górę. Nasze społeczeństwo stać na to, jego żywotność i siła moralna jest wielka. W pracy tej oprzeć się musimy o bogate tradycje naszej kultury ludowej, która dała naszemu społeczeństwu wiele pięknych wartości. Za naszą pracę jesteśmy odpowiedzialni przed przyszłością, przed potomnymi, którzy będą oceniać nasz wkład w wielkie dzieło budownictwa socjalistycznego. Pracujmy więc tak, by ta ocena wypadła jak najlepiej. Za naszą pracę jesteśmy wreszcie odpowiedzialni przed naszą partią i władzą ludową. Nie wolno nam więc zdradzić zaufania tych czynników, które prowadzą nasze narody do wspaniałej przyszłości, do dobrobytu, radości i pokoju. Wykonamy zadania, które nam nowa rzeczywistość wskazuje, wykonamy z radością, ponieważ wiemy, że na końcu naszej drogi, naszych usiłowań i wysiłku czeka nas wspaniała nagroda, czeka nas socjalistyczna przyszłość.

Józef Mrózek



Premier Rządu Republiki Czechosłowackiej Viliam Široký, który w roku 1954 bawił w gościnie u hutników trzynieckich na Śląsku Cieszyńskim

Praca Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji z perspektywy dwóch ostatnich lat

Na trzecim Zjeździe PZKO, który nazwano Zjazdem przełomowym, wytyczono śmiałe zadania ofensywy w pracy kulturalno-oświatowej na najbliższy 2-letni okres. Przypominając tę uchwałę trzeba nam zauważyć, że zaledwie kilka miesięcy dzieli nas od IV Zjazdu PZKO, który odbędzie się w pierwszym półroczu 1955. Zjazd ten wyda ocenę w jakim stopniu wywiązaliśmy się z poruczonego zadania. Sporządzimy więc przedwczesny bilans naszych wysiłków już w tym czasie, kiedy X Zjazd KPCz wytyczył nowe zadania, nie tylko na odcinku gospodarczym, ale i na odcinku kulturalnym. Bądźmy świadomi tego, że praca kulturalno-oświatowa stanowi nieodłączną część pracy politycznej wśród mas, nieodłączną część naszej walki o wychowanie człowieka. Szczególnie w naszej pracy na wsi w zwalczaniu starych nawyków i przyzwyczająń w torowaniu drogi nowemu, troska o człowieka o jego rozwój kulturalno-oświatowy posiada wielkie znaczenie. To właśnie zadanie w pracy społecznej spełnia i nasz PZKO, którego główną wytyczną jest nie tylko praca kulturalno-oświatowa wśród szerokich mas naszych członków ale w ogóle wśród ludności polskiej w Czechosłowacji. O znaczeniu tej pracy dla szerokich warstw społeczeństwa tak mówił na X Zjeździe KPCz tow. Kopecky: „Gdy wyliczamy rozmach naszej troski o potrzeby kulturalne ludu pracującego, trudno nam jest przeprowadzić jakiegokolwiek porównanie ze stanem pierwszej republiki, ponieważ wówczas państwo łożyło bardzo znikome środki na potrzeby kultury przy czym lud pracujący był zupełnie wykluczony z korzystania z najwartościowszych dóbr kulturalnych. To, co w naszym kraju uczynione zostało w ciągu ostatnich lat na polu kultury jest naprawdę rewolucją kulturalną, która nie przedstawia nic innego, jak tylko wyzwolenie czło-

wieka z ciemnoty, w której sztucznie utrzymywał go ustrój kapitalistyczny. Lud pracujący, który rządzi w swym kraju, w pełni dysponuje wszelkimi środkami kultury, oświaty i kształcenia się, posiada wszelkie środki do tego, aby mógł się podnosić pod względem duchowym, kulturalnym, aby mógł prowadzić bogate, piękne i radosne życie. Z takiej perspektywy chcemy i my dzisiaj podsumować pracę naszego Związku, zastanowić się w jaki sposób pomaga on przy budowaniu zrębów socjalizmu.

Uchwały III Walnego Zjazdu PZKO mówiły w większej części o zaktywizowaniu naszych świetlic, to znaczy o propagowaniu życia świetlicowego w najszerzej skali.

Nie chcemy twierdzić, że życie świetlicowe przed Trzecim Zjazdem PZKO nie istniało, ale musimy powiedzieć, że nie spełniało swojego zadania. Ograniczaliśmy się tylko do urządzania różnych występów. Brak było w tej pracy tak zw. wieczorów świetlicowych, w których udział brałyby wspólnie wszystkie nasze zespoły, a przede wszystkim zespoły małe. Również powiatowe konferencje delegatów Kół PZKO, które odbyły się w początkach 1954 roku, przyczyniły się do ożywienia pracy i zainteresowania szerokich mas działalnością kulturalno-oświatową. Konferencje te cechowała przede wszystkim wartościowa dyskusja, zaś uchwały przyjęte przez delegatów Kół PZKO umiały sprecyzować zadania dotyczące wszechstronnego rozwoju naszego Związku. Specjalną uwagę poświęcono w nich pracy zespołów świetlicowych, które są podstawą naszej działalności kulturalnej. Tak samo uchwały III Walnego Zjazdu PZKO z większej części wskazywały na zaktywizowanie pracy naszych świetlic. Widzimy więc, że praca świetlicowa i działalność zespołów były



Na zdjęciu 26 członków (trzech nieobecnych) plenum wraz z prezydium Głównego Zarządu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji, który został wybrany na III zjeździe PZKO w r. 1952. Czwarty Zjazd PZKO odbędzie się w r. 1955



*„GÓRNIK“
nowopowstały Zespół Pieśni i Tańca pow. Zarządu PZKO w Karwinie*

głównym punktem zainteresowań delegatów, stąd też wysiłek ZG i ZP został skierowany w tym właśnie kierunku.

Od tego też czasu notujemy znaczną poprawę w naszej pracy. Dzisiaj pracuje w powiecie czesko-cieszyńskim regularnie 10 świetlic, w powiecie karwińskim 16 a w powiecie bogumińskim 2. Są to wyniki małe, ale widoczne. Również w Kołach PZKO przy Wyższych Uczelniach, które tak samo zostały powołane do życia na mocy uchwały III Zjazdu PZKO, życie świetlicowe ruszyło naprzód. Dobrze pracuje świetlica przy Wyższej Uczelni w Ołomuńcu i Bernie. Inne świetlice PZKO przy Wyższych Uczelniach rozwijają działalność świetlicową, walczą jednak z poważnymi trudnościami — z brakiem odpowiednich lokalów. Znaczną pomocą dla pracy świetlicowej okazały się kursy urządzone przez ZG PZKO dla kierowników świetlicowych. Kursy te obsłowoło w przeciągu dwóch ostatnich lat 60 uczestników, z których niestety zaledwie połowa włączyła się do aktywnej pracy świetlicowej. Zadaniem ZG PZKO będzie nie tylko dalsze szkolenie kierowników świetlic, ale przede wszystkim kontrolowanie ich pracy przez urządzenie regularnych odpraw kierowników świetlicowych, które zawsze zostaną połączone z praktycznymi pokazami życia świetlicowego. Komisja Świetlicowa PZKO, która jest głównym dysponentem programów pracy świetlicowej wywiązuje się ze swoich obowiązków sumiennie. Wszystkie materiały pomocnicze, które wysyłano dotychczas do terenu, były właśnie przez nią ustalane i dopełniane. Ostatnio wychodzą one w formie powielonych „Wskazówek dla świetlic”. Ta przykładowa inicjatywa ZP PZKO Karwina znalazła zainteresowanie w terenie, bo okazuje się, że materiały te są istotną pomocą i spełniają swoje zadania. „Wskazówki” cieszą się wielkim zainteresowaniem wszystkich naszych powiatów, o czym świadczy fakt, że musiano powołać do życia redakcję „Wskazówek”, która koordynuje wszystkie materiały napływające z terenu. Z tego miejsca należy także zwrócić uwagę wszystkim tym, którzy dotychczas nie zainteresowali się na-

szymi „Wskazówkami dla świetlic”, że moralnym obowiązkiem każdego członka PZKO jest współpraca z Komisją Świetlicową PZKO w celu usprawnienia jej dalszej pracy. Lecz nie tylko nasze świetlice jako całość, ale i poszczególne działy życia świetlicowego w okresie od III Zjazdu PZKO zaznaczają wzrost swojej aktywności. Tak np. nasze śpiewactwo, które szczególnie w powiecie czesko-cieszyńskim ruszyło naprzód. Podniosła się liczba zespołów małych. Powstały również zespoły muzyczne, jak np. zespół mandolinistów w Lesznej Dolnej. Śpiewactwo ma wytyczoną linię oraz jest prowadzone przez dobrych fachowców. Na wyróżnienie z pośród dydygentów zasługują tow. Firla, Fierla, Heczko, Mazur, Wolny, Chowaniec, Gąsior, Siwek, którzy swój wolny czas poświęcają krzewieniu śpiewactwa. ZG PZKO urządził również kurs dla dyrygentów w roku ubiegłym, w roku bieżącym dla 76 młodych dyrygentów. Pocieszającym objawem był udział młodych nauczycieli i uczniów Gimnazjum Pedagogicznego z Orłowej w kursie dyrygentów urządzonym w roku 1954 w Hradcu. Jest to początek długofalowego szkolenia i ZG PZKO wierzy, że po absolwowaniu kilku kursów wzrosną szeregi dyrygentów i każde Koło PZKO będzie posiadało dyrygenta świetlicowego zespołu śpiewaczego. Stanowczo więcej uwagi trzeba poświęcić małym zespołom śpiewaczym i doborowi odpowiedniego repertuaru dla nich. Z zadania tego powinien się wywiązać Dział Śpiewaczy przy ZG PZKO, który dotychczas wydał dla zespołów śpiewaczych 14.500 egzemplarzy nut oraz 10 pieśni na trzy równe głosy. Wielką pomocą w pracy śpiewaczo-muzycznej to miesięcznik „Życie Śpiewacze”, dostarczany przez ZG w ilości 30 sztuk do terenu. Jest to pismo fachowe, wychodzące w Polsce. ZG PZKO żywi nadzieję, że bracia śpiewacza po tamtej stronie Olzy dołożą wszelkich starań, ażeby to jedyne pismo fachowe docierało w większej ilości pod adresem ZG PZKO w Czechosłowacji.

Chlubne jest sprawozdanie z pracy naszych zespołów teatralnych. Na naszym terenie działa obecnie 55 zespołów

teatralnych PZKO, które wystawiły w przeciągu od III Zjazdu do br. chwili 179 przedstawień teatralnych. W ostatnim czasie powstały nowe zespoły teatralne PZKO, a to w powiecie czesko-cieszyńskim 7, w powiecie karwińskim 5. Poziom artystyczny naszych zespołów amatorskich stale się podnosi. Zaczęliśmy od przedstawień sztuk klasyków radzieckich i polskich, aby przeciwdziałać przeciwko wystawianiu bezwartościowych sztuk w rodzaju „Zemsta cyganki” itp. Obecnie nasze zespoły wystawiają już także sztuki współczesne, nawiązujące do problematyki dnia dzisiejszego i walki o socjalizm. Praca zespołów amatorskich staje się instrumentem naszej propagandy, pomocą w mobilizowaniu szerokich mas do wykonywania zadań stawianych naszemu Związkowi przez rząd i partię. Wydział III przy ZG PZKO (teatralny) organizuje bezpośrednią pomoc zespołom, a to w ten sposób, że na każde terenowe przedstawienie wysyła fachowców, którzy w bezpośredniej dyskusji z zespołem służą mu pomocą i radą. W tych celach skompletowano także biblioteczkę teatralną, która liczy obecnie 272 egzemplarzy. Mimo to, odczuwamy brak odpowiednich sztuk scenicznych. W ciągu dwóch ostatnich lat wyszkolił PZKO 66 reżyserów. Urządzono w powiatach kursy charakterystyki teatralnej, dekoracji i kostiumologii. Do poważnego ożywienia pracy teatralnej przyczyniło się ogłoszenie przez ZG współzawodnictwa zespołów teatralnych, którego wyniki

zostaną ogłoszone pod koniec grudnia 1954. W omawianym okresie czasu na specjalne wyróżnienie zasługują za swą pracę zespoły amatorskie PZKO z Trzyńca, Orłowy i Skrzeczonia. Trzeba również wspomnieć o zespołach małych, które na małych scenach i w trudnych warunkach potrafią wystawić nawet taką sztukę, jak „Odwety” Kruczkowskiego (zespół PZKO w Nydku).

Wielką rolę w dziedzinie oświatowo-wychowawczej dla dziatwy i młodzieży szkolnej na Śląsku czechosłowackim odgrywają przedstawienia teatru kukielkowego PZKO „Bajka”, który w miesiącu wrześniu 1954 r. odegrał swoje 1000 przedstawienie w Gutach. Obok radosnej zabawy i przeżyć, dostarczonych przez „Bajkę” młodzieży, spełnia teatrzyk ten dużą misję społeczną. Repertuar teatrzyku był bardzo urozmaicony. Podkreślić należy fakt, że kierownik teatrzyku kukielkowego tow. Król sam napisał kilka sztuk, które cieszyły się wielkim powodzeniem wśród młodzieży.

Wielką pomocą w pracy kulturalno-oświatowej jest wydawany przez PZKO znany wszystkim członkom miesięcznik „Zwrot”, redagowany bojowo i cieszący się szczerą sympatią wielotysięcznej rzeszy czytelników. Pismo to, które cechuje wysoki poziom, znane jest szeroko i daleko także i poza granicami naszej Republiki. O jego wysokim poziomie ideologicznym świadczy ta rzeczywistość, że miesięcznik ten został w Niemczech Zachodnich zakazany. Wokół



Fragment pochodu jednej z manifestacji PZKO na rzecz pokoju

„Zwrotu” skupia się dosyć duży wachlarz współpracowników. Pismo odczuwa częściowy brak korespondentów terenowych.

Chlubą naszego Związku oraz całego społeczeństwa to Sekcja Literacko Artystyczna (w skrócie SLA), która w ostatnich dwóch latach wykazuje bardzo żywą działalność. Przede wszystkim na odcinku literackim mamy do zanotowania szereg poważnych wyników. Wydane ostatnio książki Pawła Kubiśza, Henryka Jasiczka, Anny Zawadzkiej, Józefa Ondrusza znalazły w terenie wielkie zrozumienie. „Rapsod o Oszełdzie” tłumaczony jest na język słowacki. O książkach SLA pojawiło się szereg recenzji na łamach poważnych pism polskich, czeskich i słowackich.

Na Konkurs Literacki SLA-PZKO (1953—54) wpłynęło kilkadziesiąt prac. Dowodzi to, że możemy już dzisiaj mówić o rozbudzeniu twórczości literackiej u nas.

Nie inaczej przedstawia się sprawa w dziedzinie malarstwa artystycznego. Urządzane wystawy malarskie SLA cieszą się wielkim zainteresowaniem nie tylko społeczeństwa polskiego ale także społeczeństwa czeskiego. Wspaniałe talenty jakimi są Franciszek Świder, Rudolf Żebrok i dobrze zapowiadający się Gustaw Nowak, godnie reprezentują malarstwo polskie na ogólnopolskim terenie Republiki. Tak literaci jak i malarze, grupujący się w SLA są w większej części również członkami ogólnopolskich związków pisarzy czy plastyków.

Wielkie zadanie społeczno-wychowawcze odgrywają nasze regionalne zespoły amatorskie. Najstarszym zespołem, który reprezentuje regionalizm śląski to bezprzecznie „Gorol”, który jest znany daleko i szeroko poza naszym terenem. Tradycyjna jego impreza „Święto Góralskie” urządzane co roku w Jabłonkowie, stało się imprezą przekraczającą ramy krajowe, którą śmiało można porównać z „Dniem Górnika”.

Piękna działalność „Gorola” stała się bodźcem do utworzenia nowych zespołów. I tak ostatnio powstał w powiecie karwińskim podobny zespół regionalny „Górnik”, który liczy obecnie 160 człon-

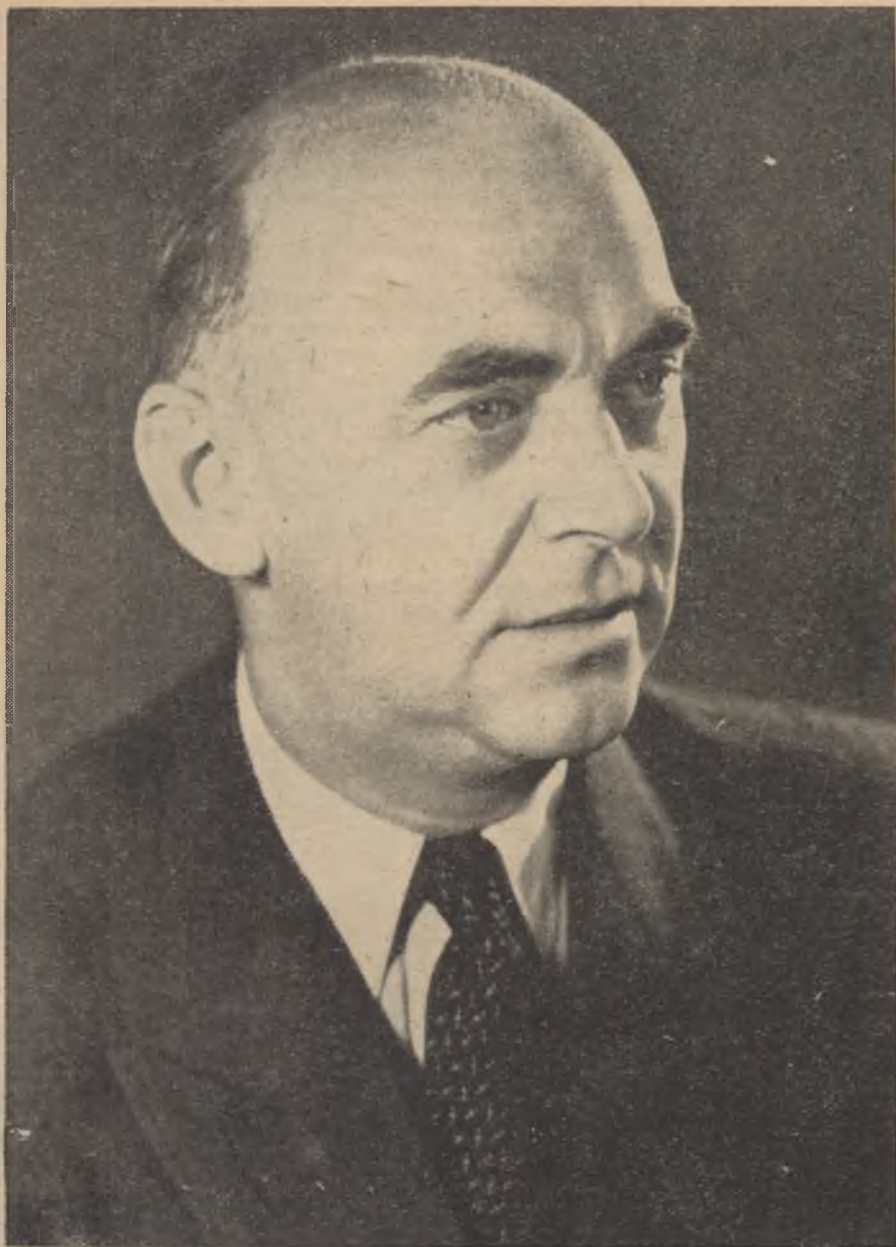
ków; wystąpił on po raz pierwszy ze swym programem na „Święcie Góralskim” w r. 1954 w Jabłonkowie. Zaznaczyć należy, że zespół ten powołano do życia w bardzo trudnych warunkach finansowych i jedynie dzięki pomocy społeczeństwa polskiego i Kół PZKO powiatu karwińskiego, zespół ten w przeciągu 3 miesięcy prawie w zupełności został wyposażony w potrzebne stroje.

W powiecie czesko-cieszyńskim powstał również Powiatowy Zespół Taneczny PZKO, liczący wraz z orkiestrą 35 osób. Zespół ten jest załącznikiem przysiężnego powiatowego zespołu pieśni i tańca. Także w powiecie bogumińskim pomyślnie rozwija się praca Powiatowego Chóru Męskiego PZKO, który w bieżącym roku już kilkakrotnie wystąpił z wielkim powodzeniem na różnych imprezach.

Przeglądem pracy wszystkich zespołów świetlicowych był tegoroczny Konkurs Twórczości Ludowej, który organizowały wydziały oświaty Rad Narodowych we wszystkich powiatach. Udział zespołów PZKO był naprawdę masowy. W konkursie wzięło udział 15 zespołów teatralnych, 49 śpiewaczych, 6 zespołów małych, 17 solistów, 16 zespołów tanecznych. Szereg zespołów śpiewaczych, tanecznych i teatralnych zakwalifikowało się do okręgowej eliminacji Twórczości Ludowej, na pierwszym miejscu był to zespół teatralny z Orłowy za wystawienie „Sprawy rodzinnej” Lutowskiego. Uzyskał 3 miejsce w Okręgowym Festiwalu w Ostrawie. Również chór mieszany z Łazów i „Harfa” cieszyńska zajęły pierwsze i drugie miejsce w skali okręgowej.

Udział zespołów PZKO w KTL został oceniony przez powiatowe i okręgowe wydziały oświaty RN jako bardzo dobry, przy czym podkreślono dobrą pracą masowo-polityczną PZKO.

Dalszym przeglądem pracy PZKO są coroczne Festiwale ZG PZKO połączone z brewiami pracy zespołów świetlicowych. W roku 1953 zapoczątkował ZG ten nowy rodzaj imprezy i po zebraniu odpowiednich doświadczeń, Festiwal w roku 1954 poprzedzony posiedzeniem aktywu funkcyjariuszy Kół PZKO, od-



WACŁAW KOPECKI

*czechosłowacki minister kultury, który darzy wielką życzliwością sprawę rozwoju
oświaty i kultury ludności polskiej w Czechosłowacji*

niósł swój propagandowy i wychowawczy sukces.

Niezależnie od własnych imprez, zespoły PZKO wzięły udział także w akcjach przedwyborczych i we wszystkich imprezach ogólnopństwowych. W wielu miejscowościach zespoły nasze były jedynymi wykonawcami programu kulturalno-oświatowego. Te wszystkie dane są najlepszym sprawdzianem jak nasza organizacja pojmuje swe społeczne poslannictwo, jak wywiązuje się ze swych zadań.

Od III Zjazdu pozyskano 1976 nowych członków do naszego Związku. Powstało 5 Kół przy Wyższych Uczelniach i 2 dalsze Koła PZKO w powiecie czesko-cieszyńskim.

Jedną z najpiękniejszych tradycji naszego Związku, to okres w którym obchodzimy Dzień Oświaty i Książki. Dotychczas impreza ta odbywała się u nas w przeciągu jednego tygodnia. Na podstawie poczynionych doświadczeń okres trwania okazał się stanowczo za krótki i dlatego ustalono czas tej imprezy na przeciąg jednego miesiąca. Miesiąc Oświaty, Książki i Prasy, to przegląd generalny naszego całorocznego dorobku w dziedzinie upowszechniania kultury i oświaty wśród ludności polskiej zamieszkałej w granicach CzSR, to dowód zadowolenia z wykonanej pracy, to równocześnie okres usunięcia luk i niedomagań i oceny naszych wysiłków. W tegorocznym (1954) Miesiącu Oświaty, Książki i Prasy zmobilizowaliśmy wszystkie Koła PZKO, aby stanęły na wysokości swego zadania, boć oświata, nauka i sztuka, to nasza broń w walce o wychowanie nowego pokolenia, budowniczych socjalizmu, to broń o lepsze jutro. W miesiącu tym pozyskaliśmy również wielką ilość nowych członków, odbiorców naszych czasopism i prasy postępowej. Również urządzone wystawy książki cieszyły się dużą popularnością, albowiem pierwszy kiermasz książkowy wykazał 69.000 egz. książek sprzedanych.

Blisko dwuroczny bilans pracy kulturalno-oświatowej naszego Związku przedstawia się dodatnio. Z pracy tej możemy być zadowoleni. Podkreślić jednak należy, że praca nasza byłaby

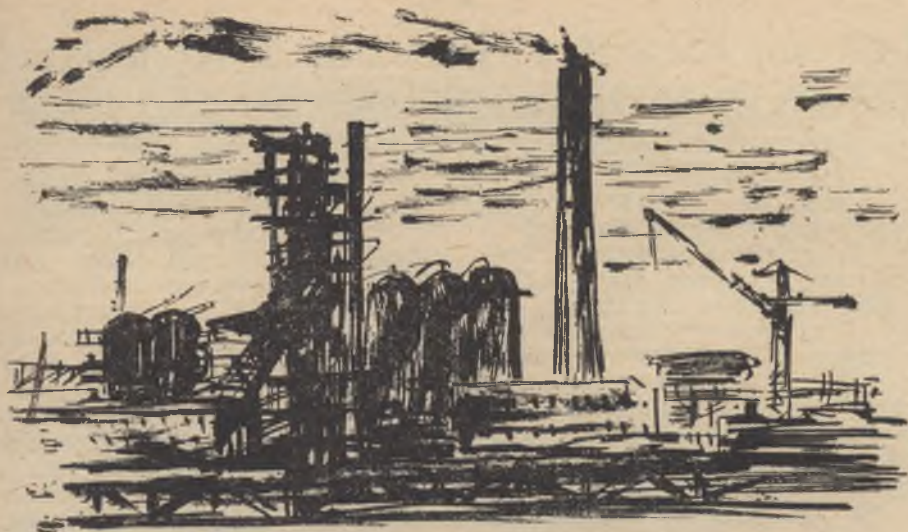
o wiele lepsza, gdyby w szeregi naszych aktywistów włączyła się cała nasza inteligencja. Dotychczas społecznie pracuje pewna część nauczycieli, którzy zdawają sobie dokładnie sprawę z obowiązków wobec naszego społeczeństwa. Lecz społeczeństwo polskie na Śląsku czechosłow. posiada także dalszą inteligencję jak lekarzy, inżynierów, agronomów itd. Lecz ta inteligencja zachowuje się zazwyczaj biernie wobec pracy społecznej. I ten problem musimy zrewidować, przypatrzyć się mu bliżej...

Na koncie naszym notujemy wiele sukcesów. To jednak nie upoważnia nas do zaśnięcia na laurach. Piętrzą się przed nami wielkie zadania. Spełnimy je tylko wtedy, o ile będziemy się kierowali radami Zdeňka Nejedlého, który mówi: „...pracować powinniśmy zawsze i wszędzie z radością, ponieważ radość jest największym bodźcem życia, ponieważ praca wykonana z radością, daje największe zadowolenie.”

Bohumil Goj — Józef Wantuła



30 maja 1954 roku obchodzono w Nieborach po raz pierwszy t. zw. „Dzień Oszedy”



TEOFIL BIJOK

Huty i hutnik

Trzyniec — huty — koksownie —
motory — maszyny ...
Las wysokich kominów maszem chmury
bodzie —
Ludzie, bagry i dźwigi w pracy koro-
wodzie
Suną, winą, kręcą się jak w płasach
olbrzymów.

Hen, aż w stoki Beskidów wiatr dym
niesie siny —
Na nim promień drga złoty o słońca
zachodzie
Płynie lekko przestworzem jak tratwa
na wodzie,
Ponad lasy i niwy, nad szczyty —
doliny ...

A gdy nocą się niebo nad hutą rozświeci,
Wtedy się radujemy z tej łuny jak dzieci.
Bo wiemy, że to hutnik wytop nowy
puszcza.

I wiemy — kiedy do form stal ciekącą
leje,
że to dla nas odlewa nowe życia dzieje
I do władzy tyranów dawnych nie
dopuszcza.

Teofil Bijok

Huta im. Klementa Gottwalda w Kończycach

wspaniały obraz budownictwa socjalistycznego w Czechosłowacji

(Reportaż napisany specjalnie dla „Kalendarza Zwrotu 1955”.)

Zbłądziwszy w jeden jesienny dzień 1949 roku na rozległe grunty w Kończycach przy Ostrawie, które kiedyś były majątkiem obszarnika Prawdy, dostrzegając przed sobą czarno-brunatne łany rozkopanej ziemi, to tutaj bagry wgrzyzały się w ziemię. Opodal skrzypiał spychacz posuwający z uporem hałdy wykopanej gliny, na którą oczekiwały już przygotowane auta ciężarowe, które następnie po bagnistych, rozkisłych „drogach” terkotały z ciężkim ładunkiem.

Woda, błoto, glina, deszcz...

Nadeszła zima, przybyli nowi ludzie — brygadnicy. Ludzie z każdego zakątka Republiki, wszyscy z jedną myślą, aby budować pierwszą budowlę socjalizmu — DONBAS.

Tam, gdzie w jesieni śpiewały swą monotonną pieśń bagry i spychacze, teraz w zimie roku 1949 zaczęły się rysować wykopane fundamenty a niedaleko od nich wznosiły się rusztowania. Mróz posrebrzał je coraz częściej i śniegu przybywało. Po przymrozkach zaczął się pojawiać siarczysty mróz, po lekkich płatkach śniegu nawiał śniegu głęboko.

Przestrzeń, gdzie przystąpiono do budowy Donbasu, zaległ śnieg grubym całunem.

Lecz ludzie młodzi czy starzy, budowali dalej. Ba, nawet tynkowali, betonowali, budowali po pierwszy raz w historii Republiki tak wielką budowlę w zimie. Budowali budowlę, która tak potrzebna była Republice, budowlę, bez której dalszy rozwój naszego przemysłu i gospodarki narodowej byłby nie do pomyślenia.

Kpiarzy, ironistów, ludzi pozbawionych wiary, wątpiących, że na terenie rozciągającym się między Bartowicami, Wracimowem i Kończycami wyrośnie do sześciu lat wielki nowoczesny kombinat

hutniczy, nie brakowało. Ci wszyscy powoływali się na dowód, że stare huty w Witkowicach budowali kapitaliści sto lat. Sto lat! — A my, niedoświadczeni, my mamy zbudować nowoczesne huty w przeciągu sześciu lat?

Na szczęście nie budowano tych hut ze słów i gadulstwa, ale przez sumienną pracę tysięcy brygadników, chłopców i dziewcząt, konstruktorów, murarzy i techników, dzięki którym budowano tak wielką budowlę, o której w Koszycach jak i w Karlowych Warach mówiono, że jest to nasza pokojowa twierdza...

★ ★ ★

Mijał miesiąc po miesiącu w kalendarzu lat 1950-51. Kiedy w tym czasie przybyłeś na rozległe pola byłego obszarnika Prawdy nie spostrzegłeś już rozoranych łarów roli z stosami ziemniaczanych badyli. Tu i tam wystrzelała w górę wielka budowla. Czy tylko budowla?

Nie, to była siła, piękność, duma — brama socjalizmu! Jeśli zaś rozglądniesz się dokładnie, to zobaczysz jak powstają pierwsze warsztaty pracy, w których z rąk hutników wychodzi pierwszy bogaty owoc pracy.

Kończyce rosną w dzieło piękna.

Wtedy budowniczowie Donbasu przystąpili do uroczystego oficjalnego nazwania potężniejszego hutniczego kombinatu. Wielką budowlę nazwali imieniem naszego pierwszego robotniczego prezydenta. Nowa Huta Klementa Gottwalda stała się symbolem wysiłku rozbudowy. Wszystkie dni na budowlach Nowej Huty im. Klementa Gottwalda w Kończycach nie były różowe, nie wszyscy byli zadowoleni. Szkodnicza działalność Slanskiego i tutaj pozostawiła swe ślady. Brakowało środków komunikacyjnych. Szwankowały dostawy



W pobliżu Ostrawy w Kończycach na polach b. obszarnika Prawdy powstała Nowa Huta im. Klementa Gottwalda

materiałów, robotnicy nie byli zadowoleni z mieszkań, jakość jedzenia była pod poziom. Do Kończyc przybył towarzysz Antoni Zapotocky. Poszedł wprost między murarzy, cieśli, konstruktorów. A później zwołano aktyw. Byli tam technicy, kierownictwo budowl i najlepsi pracownicy, wtedy znaleziono sposób pokonania wszystkich trudności, które natychmiast usunięto, aby cel — prędkiego dobudowania Nowej Huty Klementa Gottwalda — został osiągnięty. Według wzoru i doświadczeń z wielkimi budowlami socjalistycznymi w Związku Radz. także i na kończyckiej budowl współzawodnictwo socjalistyczne stało się bodźcem inicjatywy robotników. Każdy chciał złożyć Republice swój dar w formie skróconego terminu lub lepszej jakości pracy. Na przykład ile dni i nocy w jednym ciągu pracowała montażowa załoga Henryka Hrabca. Ile dziesiątek godzin bez przerwy montował konstrukcję zespół Franciszka Białka, ile nocy po sobie syczał niebieski płomień spawacza Czimbury, tylko dlatego, aby pierwszy wielki piec w NHKG wy-

tapiał żelazo. Słowa Antoniego Zapotockiego zacytowane z wiersza Nerudy

**„Przed żadną przeszkodą
głów swoich nie schylimy...”**

wlały nową siłę do żył i serc budowniczych Nowej Huty Klementa Gottwalda.

Huta rosła, potężniała...

„Nie ma takiej przeszkody, której by nie pokonali bolszewicy!”

To hasło umieszczone na wysokości pierwszego wielkiego pieca, z którego już wyciekało żelazo i powtarzane na transparentach w innych warsztatach pracy, burcowało budowniczych NHKG do nowych wysiłków. Wszystkie te wysiłki były zwycięskie. Wynik ich przejawiał się w tym, że oko dostrzegało nowe szeregi czerwonych konstrukcji, że powstawały nowe hale, wykopy i wysmukłe ceglanne kominy, które nad warsztatami pracy tworzyły las...

Jeśli przybyłeś na budowlę, to spotykałeś się z pochwalnymi słowami o „żelaznym dziadku” Masyrze, o tym czło-

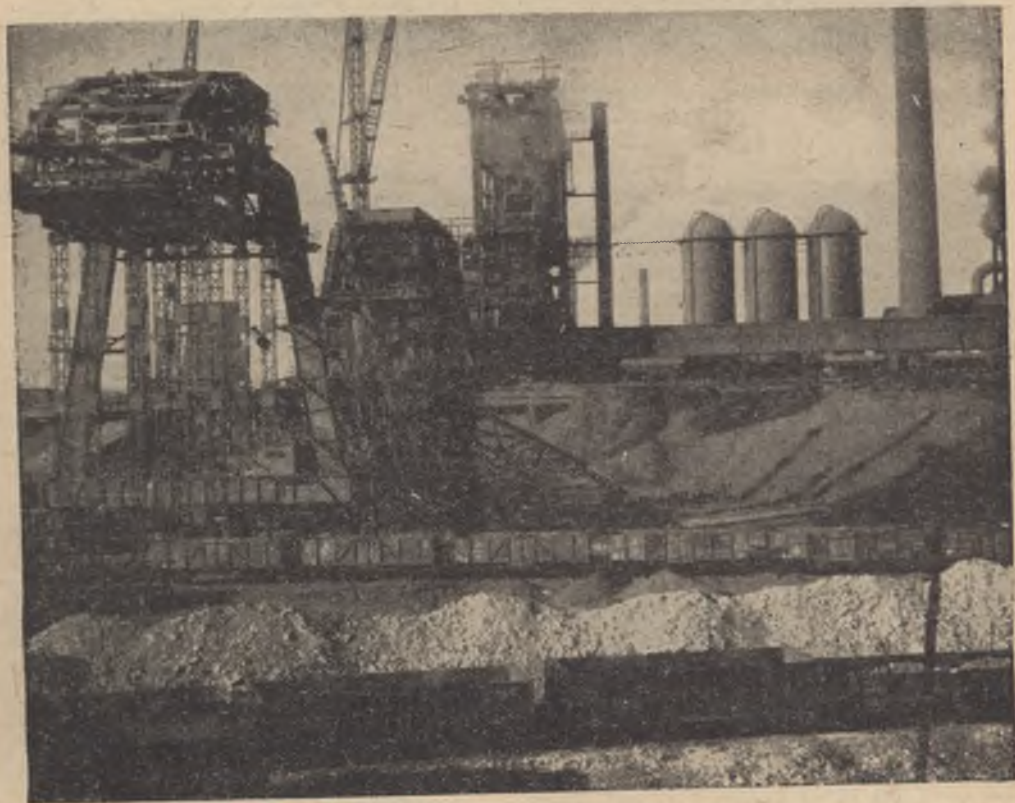
wieku, który wychował przeszło 100 zdolnych hutników, nie mogłeś nie dosłyszeć słów o Słowaku Dominiku Červenem, który w Nowej Hucie Klementa Gottwalda stał się najlepszym kopaczem, gdyż dla niego żadna norma nie była sztywna. Na łamach gazetek ściennych coraz częściej pojawiały się nazwiska Videlky, Vrzala, Buchtika, Kowalczyka, Mañaska, Bortla i innych. Każde nazwisko to piękny przykład bohaterstwa pracy. To uderzenie obuchem dla tych, którym zabrakło wiary, że Nowa Huta im. Kl. Gottwalda zostanie wybudowana do końca roku 1954.

★ ★ ★

Jeśli byś dzisiaj znalazł się w Nowej Hucie Klementa Gottwalda w Końcach, nie wiedziałbyś z razu, gdzie się najpierw popatrzeć. Na pewno chciałbyś skierować swe kroki w stronę wielkich

pieców. W towarzystwie któregoś z hutników wszedłbyś na rampę wielkiego pieca, rozglądałbyś się dokoła z zatajonym oddechem i z podziwem obserwowałbyś wszystko wokół siebie.

I dostrzegłbyś dymiące baterie kokso-
we, spowite ustawicznym szarobiałym dymem, dalej oddziały hutniczej chemii, gdzie z węgla wytwarzane są liczne produkty i gdzie również z węgla wyprodukowany koks płynie na automatycznych pasach i biegnie do wielkich pieców. Jeszcze dalej zaciekawi cię potężny nasyp rudy, na wierzchołku którego z wagonów jest automatycznie wyładowywana ruda wprost do nowoczesnej aglomeracji, gdzie jest sortowana. A tego nawet pewny jestem, że oczy twe dłużej zawisłyby spojrzeniem na Weronice. Nie jest to żadna dziewczyna lecz potężna kładź, do której spływa żelazo, i z której płynne żelazo przechodzi



Fragment Nowej Huty im. Klementa Gottwalda

do specjalnej maszyny, gdzie sformowane zostaje w ostygie kawałki, które następnie w dziesiątkach wagonów podróżują do dalszych fabryk w Republice, aby tam zostały poddane właściwej obróbce. Stąd z rampy wielkiego pieca zobaczysz i stalownię z radzieckim urządzeniem elektroautomatycznym. Z olbrzymich pieców martenowskich jakby w prawidłowym rytmie wypływa wysokogatunkowa żółtożółta stal, która następnie w formie wlewków transportowana jest do walcowni, do głębokich pieców, aby potem przebyć dalszy proces produkcyjnej obróbki, który odbywa się przy pomocy specjalnych urządzeń, jedynych i najnowocześniejszych w Republice. Lecz stąd z rampy wielkiego pieca nie potrafiłbyś w dalszym ciągu śledzić dalszego procesu podgotówki stali a to najważniejsze i najciekawsze nie może ci zostać nieznane. Dlatego zejść z rampy z powrotem, a kroki zaprowadzą się do najpotężniejszej budowy Nowej Huty Klementa Gottwalda, jaką jest kuźnia. Ta budowa posiada w Europie tylko jednego konkurenta. Tu właśnie w kuźni ciężkie stalowe ingoty prasuje najcięższa tłocznia w Europie środkowej, hydrauliczna tłocznia z ciśnieniem 12.000 ton. Jej pierwsze wykucia w wadze do 24 ton zostały dokonane w lecie i na jesieni roku 1953. Z tych wykutych produktów wielką radość posiadają robotnicy na wielkich budowlach komunizmu w Związku Radzieckim i w Polsce, dokąd były przeznaczone. A teraz co krok to nowa niespodzianka. Nigdzie tutaj nie zobaczysz kończyckiego hutnika ciężko pracować. Tę ciężką pracę wykonywują za niego maszyny. Na przykład taki dźwig, używany do przenoszenia rudy. Mój panie, to jest olbrzym, który bardzo szybko daje sobie radę z całym sznurem naładowanych wagonów ciężarowego pociągu. Tutaj także nigdzie nie dostrzeżesz hutnika spoconego, czy hutnika z łopatą. Mechanizacja pracy w Nowej Hucie im. Kl. Gottwalda odnosi zwycięstwo nad ciężką harówką.

Miło jest także patrzeć na drogę, którą zbudowano pod Nową Hutę Kl. Gottwalda. Codziennie tędy przejeżdża setki

aut ciężarowych, głęboko pod ziemią uwijają się po jej chodnikach hutnicy. Deszcz na nich nie pada a zarazem ułatwia to pracę w hucie, gdyż ruch w „metro kończyckim” nie zderza się z ruchem w warsztatach pracy Nowej Huty.

Miło byłoby ci śledzić pociągi ciężarowe, jazdę wagonów, w których załadowano rudę, wapno, urządzenia i wszelkie inne materiały, które prawidłowo przybywają od Cieszyzna, Frydku i Ostrowy. Patrzałbyś na pociągi wiozące gotowe produkty, które dziennie opuszczają hale fabryczne tego najnowocześniejszego kombinatu hutniczego. Patrzałbyś na wyniki twórczej pracy najmłodszych hutników w Republice.

Nowa Huta im. Kl. Gottwalda w Kończycach została zbudowana! Nową Hutę wybudowali robotnicy w terminie! Nie za sto lat, jak przedpowiadały niedowiarki, ale za lat sześć! Jak wspaniałe to było święto kiedy w pierwszej połowie roku 1953 budowniczym NHKG wręczany był uroczystie Czerwony Sztandar Rządu, sztandar, który otrzymują tylko najlepsi robotnicy fabryk w Republice. Był to zaszczyt za wybitną pracę, za sukcesy osiągnięte w dziedzinie rozbudowy Nowej Huty Klementa Gottwalda.

★ ★ ★

Na dawnych polach byłego obszarnika Prawdy w Kończycach nie powstały tylko fabryczne hale hutnicze, tam za gazowniami znajduje się „Osada miu”, osiedle budowniczych Nowej Huty Klementa Gottwalda, dawniej było tam za ledwie kilka drewnianych szop. A dzisiaj na tym samym miejscu jest szkoła, ratusz, dom kultury, w którym znalazły pomieszczenie kino i biblioteka. Jest tutaj taki dom towarowy, że podobnego jemu nie znajdziesz ani w Karwinie, ani w Trzycu czy Boguminie lub Cieszynie. A co dopiero mówić o ośrodku zdrowotnym. Trudno byłoby poszukać w kraju bogaciej wyposażonej sali lekarskiej, czy pokoi szpitalnych dla chorych, a jeszcze dalej za kombinatem Nowej Huty Kl. Gottwalda dostrzeżesz osiedle kończyckich hutników zwane „Śidlowec”. W osiedlu tym są domy a w nich mieszkania, w mieszkaniach zaś znajdziesz wbudowane kuchnie z lodówką



Na jednej budowli Nowej Huty w Kończykach...

i wszystkim tym, co dziś potrzebne jest do nowoczesnego gospodarstwa domowego. Do Nowej Huty Klementa Gottwalda przynależy także rozległe osiedle „Stalingrad”, ciągnące się wzdłuż bieleckiego lasu. Z tych właśnie osiedli codziennie przywożą tramwaje i autobusy kończyckich hutników do pracy i odwożą ich z pracy. Stale przybywa tutaj więcej takich hutników, którzy do pracy jeżdżą na swych motocyklach czy w autach. Budowniczy Nowej Huty Kl. Gottwalda z wiosną r. 1950 z większej części odchodzili stąd na inne miejsca pracy, na budowie zapór wodnych, nowych miast, osiedli, torów kolejowych i fabryk. Wielu z nich pozostało wiernych Kończycom. Wyszkolili się i dzisiaj widzimy, że były robotnik budowlany, a dawniej jeszcze fryzjer stał się dobrym wytopowym stali. Byłego subiekta sklepowego odnajdziemy tutaj jako doświadczonego spawacza. Zaś przy wielkim piecu pracuje jako technik były buchal-

ter, w walcowni byli cieśla. Ci wszyscy potrafili się żyć ze swoją nową hutą. Są z nich dobrzy hutnicy — fachowcy. Nasza nowa epoka pozwoliła im na awans, zaszeregowała ich do szczęśliwego życia.

Jest zima, koniec 1950 roku.

Pierwsze oddziały warsztatów fabrycznych zgłaszają wykonanie całorocznego planu. Przebliski słońca giną nad oddziałami warsztatów fabrycznych najnowocześniejszego hutniczego kombinatu kraju śląsko-ostrowskiego i Republiki. Ze stalowni nagle wybucha czerwona zorza płynącej stali. Zaś tam dalej modre płomienie liżą baterie koksowni, a przy spuście z wielkiego pieca tysiące iskier znaczy drogę płynnemu żelazu do olbrzymiej kadzi.

Nowa Huta Kl. Gottwalda żyje. Żyje dniem i nocą. Dla piękna i siły Republiki. Dla szczęścia jej ludu.

Vlastimil Čudek

W odwiedzinach u mistrza przetopów szybkościowych

Gabriel Hřivňák — to człowiek znany już dzisiaj w całej Republice. Znają go wszyscy stalownicy i wytopowi. To człowiek, który wydobył setki tysięcy ton stali z Simens-Martenowskich pieców. Dobry to wytopowy, dobry przyjaciel, dobry człowiek. Zresztą najlepiej świadczy o tym jego uśmiech, który trudno czasem opisać. Rzadkim bowiem gościem była radość i uśmiech w młodości Hřivňáka. Nie załamało go to jednak. Najlepiej zaś przekona nas o tym tak zwane zwierciadło duszy, jego oczy. Potrafią one zajaśnieć, cieszyć się, potrafią jednak i gniewać się. Ktoś mógłby powiedzieć, że te właśnie oczy które już przeszło 40 lat codziennie patrzą w rozpalone do białości gardło pieca martenowskiego, na pewno przygasły w blasku. Nieprawda. Właśnie, wręcz przeciwnie. Jeśli kochasz pracę, jeśli kochasz rojowisko setek tysięcy ognistych iskerek fosforycznych, które towarzyszą każdemu spustowi to jakbyś rozumiał i pokumał się z martenem. Dlatego właśnie oczy Hřivňáka każdorazowo zabłysną, kiedy przetop pobija normę i przejdzie w przetop szybkościowy.

Tak było i w kwietniu 1954 r. Właśnie oczy zdradzały Hřivňáka.

„Co tobie się stało Hřivňáku?” — pytają towarzysze z pierwszej stalowni.

„Dziwnie mi jakoś na sercu — mówi ze wzruszeniem — zresztą nie będę tego ukrywał, otrzymałem zaproszenie na zamek, do Prezydenta.” Słowa te wywołały burzę śmiechu, który był dowodem radości i entuzjazmu. Nie obeszło się i bez gratulacji w postaci potężnych szturchańców. Nawet ten malutki Iwan, który na razie skacze wokół marteny, ucząc się rzemiosła stalowniczego, podaje Hřivňákowi swoją malutką rękę. I on gratuluje. Towarzysze ze starej stalowni w Witkowicach dawno już spodziewali się czegoś podobnego. Wiadomo bowiem, że żaden sukces nie obywa się u nas bez nagrody. Hřivňák

zaś naprawdę na nią zasłużył. Nie na darmo go przecież nazywają mistrzem przetopów szybkościowych.

Sukces Gabriela Hřivňáka, który miał pojechać na zamek po Order Republiki, najwyższe wyróżnienie za pracę, ucieszył wszystkich w stalowni. Ucieszył on tak samo współbraci hutników w Trzyńcu i Boguminie. Przecież i oni korzystali z jego cennych doświadczeń i im Hřivňák radził, w jaki sposób uzyskać dobrą stal, w jaki sposób uzyskać jej jak najwięcej.

Bo te 40 lat pracy w stalowni przyniosły mu bogaty zasób doświadczeń. Wystarczy każdemu jeśli robotniczy dyrektor huty, tow. Lička powie — „Hřivňák”, powtórzy on jeszcze kilka razy jego nazwisko i doda: — „To na pewno chłop na wskroś uczciwy. W trzynastym roku rozpocząłem z nim smarowanie koryt...”

Zresztą, komentarze tutaj są zbyteczne. Stara stalownia VHKG nieustannie zajmuje pierwsze albo drugie miejsce w Republice. Trzykrotnie już zdobyła Czerwony Sztandar, w ostatnim zaś roku Pięciolatki Gottwalda, którą nawiasem mówiąc wykonano w skróconym o miesiąc terminie, było 2369 przetopów szybkościowych. Kiedykolwiek zaś zapytacie tego czy owego stalownika w VHKG, w Trzyńcu albo też Boguminie, to każdy sukces takiego przetopu łączył będzie z nazwiskiem Hřivňáka — mistrza przetopów szybkościowych.

★ ★ ★

Padął ulewny deszcz. Ciężkie, nasyczone chmury wodą dotykały wysokich kominów huty witkowickiej. Ostrawa wtedy ponuro przywitała siedemnastoletniego Hřivňáka. Mimo to młodziutki Gabriel się uśmiechał. Z zainteresowaniem obserwował dymiące kominy, przysłuchając się hukowi maszyn. Spod oka zerkał jedynie na miejskiego policjanta, noszącego na czapce odznakę monarchii austriacko-węgierskiej. Nie

posiadał bowiem żadnych dokumentów, jedynym zaś jego majątkiem poza kilkoma halerzami był list od siostry z Ostrawy, która pisała:

„Przyjeżdżaj, znajdziemy Ci chyba jaką pracę.”

Gabriel jednak nie przyjechał, ale spod samego Przemyśla przyszedł na piechotę. Uciekł po prostu ze służby. Cóż to bowiem było za życie w domu? Ojciec, robotnik leśny, od świtu do zmroku pracował w lesie, starając się zapracować choć parę groszy na siedmioro dzieci, które głodne czekały w drewnianej chałupie. Matka zmarła mu, kiedy ukończył pierwszy rok życia. W dwunastym roku oddał go ojciec na służbę do miejscowego rolnika. Tam dopiero poznał Gabriel, jak twardy jest każdy kawałek chleba. Pomimo tego, że miał dopiero 12 lat, musiał orać, bronić, żąć, zwozić drzewo z lasu, po prostu wykonać wszystkie roboty jak dorosły parobek. O szkole nawet nie myślał. Ciężko czasem było młodemu Gabrielowi. Piąty rok pracował już u miejscowego kułaka, którego żona opowiadała wszystkim, że uważa Gabriela po prostu za członka rodziny. Nawet miała poniekąd rację — należał do nich; skakać bowiem musiał tak jak mu rozkazywano. Stopniowo zatracił Gabriel swoje własne ja. I wtedy przypomniał sobie o starszej siostrze, która wyszła za mąż



Kiedyś przed wielu wielu laty przybył z Galicji za chlebem do Ostrawy chłop Grzywniak... A dzisiaj w nowej rzeczywistości Hřivnař to jeden z czołowych przetopowych w hucie w Witkowicach

na Morawy. Napisał do niej i teraz właśnie mając jej adres w kieszeni, szuka jej w Ostrowie.

Początkowo przekonał się, że w Ostrowie pomimo tylu fabryk, panuje taka sama nędza jak w Przemyśle. Nie łatwo było o pracę. W fabrykach, dokąd udawał się Gabriel, mówiono mu, że jest za słaby. Podobnie było na kopalniach i w hucie. A zresztą dosyć często padło i takie pytanie, — coś ty w ogóle za jeden? Gdzie masz potrzebne dowody? Mamy dosyć własnych ludzi.

Młody organizm chciał jeść, a pracy znaleźć nie było można. U siostry tak samo nie mógł zostać, ta miała bowiem dosyć własnych kłopotów.

Koledzy, z którymi zapoznał się już Gabriel radzili mu: „Spróbuj pójść do Goltberga, do Zabrzeu, ten się nie troszczy o formalności ani też nie pyta o żadne dowody.”

Gabriel poszedł. Goltberger zatrudnił każdego. Był nawet na tyle „łaskawym”, że codziennie rano wypłacał zaliczkę na obiad. Nie bał się, że ktoś ucieknie. Cóż by bowiem bezrobotny jadł jutro?

Na brudnym papierze pisze Goltberger nazwisko robotników zgłaszających się do pracy. „Grzywniak” — sylabizuje wolniutko Goltberger. — „Idźcie z Kominikiem, który jest kierownikiem grupy do kanału. Wieczorem przyjdźcie sobie po wypłatę.”

Grzywniak długo zastanawia się i myśli o Goltbergerze. Nie może zrozumieć tego, że ten potrafi każdego zatrudnić.

— Bracie, Goltberger, ten się rozumie na rzeczy, ma kontakt z różnymi firmami, ot, poprosto ręką rękę myje. Ty się nie martw, że robi to za darmo, z sympatii, albo z dobrego serca do bezrobotnych — odpowiadał Kominiek Gabrielowi.

U Goltberga pracował Gabriel 5 miesięcy. Pracował przy budowach, pracował z żelazem i w hucie. Tam podobało się mu najbardziej. I po długich prośbach otrzymał tam pracę. Nadszedł dzień drugiego lutego roku 1913, który na zawsze pozostaje w pamięci Gabriela Grzywniaka. Wtedy po raz pierwszy przyszedł do starej stalowni. Przydzie-



*Na zdjęciu Hřivnač przyjmuje z rąk przedstawicieli Partii i Rządu
wysokie odznaczenie za bohaterstwo pracy*

lono go do pierwszego pieca martenowskiego, koło którego latał po prostu z miotłą, smarował rynienki i odnosił próbki. Od tego czasu do dnia dzisiejszego pracuje na jedyne. Ponad 40 lat przy jednym piecu martenowskim.

W ciągu tych 40 lat dużo się zmieniło w starej stalowni witkowskiej. Na miejsce małych pieców powstały większe, więcej nowoczesne; usunięto harówkę, mechanizacja zaczęła pomagać wytopowemu. Zmienił się stosunek wytopowego do wytopowego. Często opowiadał o tym Hřivňák młodszemu wytopowemu. — „Czyż to było możliwe, aby człowiek tak ot sobie po prostu wyrzucano z pracy, czyż fakt, że ktoś słuchał przemówienia Gottwalda był dostatecznym powodem do zwolnienia go z pracy?” Na takie pytania młodych hutników trudno odpowiadać. Hřivňák jednak odpowiada, doradza, porównuje czasy ubiegłe z dniem dzisiejszym. Młodzi nie przeżyli tego co on, trudno im się więc dziwić, że zarzucają go różnymi pytaniami, kręcą głowami. W ten sposób Hřivňák nie tylko że odpowiada na pytania, ale doradza i to wszystkim, jak wytapiać stal. Sam jest bowiem niezgłębionym zbiornikiem doświadczeń, które uezierał w ciągu dziesiątek lat swej pracy.

★ ★ ★

24 lipca, w drugim roku pięciolatki Gottwalda dziennik ostrawski „Nová Svoboda” pisze: „**Pierwsze przetopy szybkościowe w starej stalowni WHKG.**” Organ związków zawodowych „Praca” ogłasza: „**Wytopowi Hřivňák, Kovařík i Prieczko pięć przetopów szybkościowych w ciągu jednego dnia.**” Same nagłówki gazet mówią już dużo. Nie wspominają jednak o tym, że jest to wynik długoletnich doświadczeń Gabriela Hřivňáka, inicjatora przetopów szybkościowych. Niedługo potem dowiadujemy się o dalszych przetopach szybkościowych. Stalownia w Kładnie wzywa witkowiczów do współzawodnictwa. Wytopowi podejmują wezwanie. Zakasali rękawy, pragnąc za każdą cenę odnieść zwycięstwo nad wytopowymi Kładna. W Witkowicach przy boku Hřivňáka wy-

raasta jego rywal wytopowy Kovařík. To ten sam, którego Gabriel uczył wytapiać stal. Dla samego Hřivňáka to prócz zadowolenia osobistego, radość nie miała. Sam jednak zaczyna się radzić znanego wytopowego radzieckiego Priwalowa. Rady dopomogły. Gabriel Hřivňák obniżył o 10 minut przetop szybkościowy Kovaříka, później zaś i ten drugi czas skrócił o dalsze minuty. Jeden przetop szybkościowy następował po drugim. Każdy przetop Hřivňáka jest szybszy niż wyznacza plan. Iskra współzawodnictwa socjalistycznego zapaliła Witkowie i inne stalownie.

Opowiadając o tym, Gabriel Hřivňák patrzy zawsze w dal. A wtedy mówią jego oczy, mówią o radości i o szczęściu. To właśnie te oczy, które jaśnieją wtedy, kiedy czas przetopu zwycięża normę...

— „Republika potrzebuje stali. Budujemy Donbas, nowe osiedla, zapory wodne, nowe zakłady pracy, samochody, traktory, — któż wie, co wszystko jeszcze” — mówił Gabriel Hřivňák do wytopowych kiedy wzywał ich do współzawodnictwa, kiedy doradzał im w jaki sposób przeprowadzać przetopy szybkościowe.

Dzisiaj stosując doświadczenia Gabriela Hřivňáka pracują dziesiątki stalowników, dziesiątki wytopowych w Witkowicach, w Kładnie w Królowym Dworze, w Trzyńcu i Boguminie. Według metody Hřivňáka pracują na Węgrzech i w stalowniach polskich. Z jego doświadczeń jest przyswajana metoda pracy daleko i szeroko na świecie, dociera do wszystkich zakątków państw demokracji ludowej. Hřivňák nie mógł zapomnieć o swym kraju rodzinnym, o Polsce. Dlatego też sam osobiście opracował metodę wytapiania stali, dokładnie ją opisał i objaśnił, tak aby jego doświadczenia jak najwięcej pomogły wytopowym w hutach Lenina w Polsce. Wierzmy, że im na pewno pomagają. Ponad 40 lat pracuje już Gabriel Hřivňák w starej stalowni Witkowic, ponad 40 lat zamienia już żelazo w kutą stal. W tę właśnie stal, która pomaga budować nowe zakłady, silną republikę, która staje się stalowo-silną.

Vlastimil Čudek

Spolszczył Leon P.

Zwycięstwo jednej brygady górniczej

Zaczęło się od tego, że w marcu 1954 roku zespół Eryka Owczarzewego w kopalni — gigancie, jaką jest kopalnia im. „Armii Czechosłowackiej” w Karwinie przebił na odcinku technika Alfreda Spusty 602 m chodnika. W miesiąc później sława chodnikowców karwińskich rozeszła się po całej Republice.

Nie do wiary, w jaki sposób dokonał tego ten zespół?

Rozpoczęły się zajazdy różnych inżynierów i techników a nawet i górników ze wszystkich zagłębi na kopalnię Armii Czechosłowackiej. Każdy chciał się przekonać o tym wydarzeniu, które trąciło posmakami niewiarygodnej fantazji. W rzeczywistości jednak każdy się przekonał o entuzjazmie i umiłowaniu pracy przez górników, o nowej organizacji jaką tutaj w Karwinie wprowadzili postępowi górnicy wraz z technikami. Wydarzenie to, które wywołało rewolucję w górnictwie Republiki, tak oto się rozpoczynało...

Pod koniec roku 1953 odbyło się w karwińskim hotelu zakładowym zebranie chodnikowców i ścianowców, techników i inżynierów. Mówiło się o tym i o owym, próbowano rozwiązać problem jeden i drugi, zasadnicza jednak część dyskusji nastawiona była na wykonanie planu wydobywania. Znamy już podobne dyskusje i wiemy, że w wypadkach takich przede wszystkim szuka się przyczyn.

Jeden z górników powstał, rozłożył ręce i spokojnie mówi.

— Ktoś może powiedzieć, że tak albo nie. Ja jednak twierdzę, że wina spoczywa w robotach przygotowawczych. Czy posiadamy jakąś rezerwową ścianę? Sami wiecie; że nie. O ile dojdzie do jakiejś awarii musimy czekać tak długo, dopóki nie zostanie usunięta. Dlaczego w okresie tym nie moglibyśmy przejść na ścianę rezerwową? Tu właśnie leży przyczyna, która tamuje nasze wydobywanie.

Było to właśnie w tym okresie, kiedy Alojzy Puk z kopalni „Pokój” przebił tyle chodnika, ile w poprzednich miesiącach przebiła podwójna ilość ludzi. Powoli osiągalna granica zbliżała się do 400 m w miesiącu.

I o tym mówiono na zebraniach.

— Tak macie rację, aby jednak zyskać odpowiednie rezerwy chodników chodnikowców, należałoby pracować tak jak pracuje tow. Puk. Przyznajcie jednak, że nie mamy do tego warunków — mówi jeden z towarzyszy od stołu przydziałowego.

— A właśnie, że mamy! — odezwał się głos z sali.

— Mówię wam, że mamy i to doskonale. Wtedy już wszyscy poznali głos inżyniera Franciszka Paidary z giganta — kopalni im. Armii Czechosłowackiej. Wszyscy go znali. Zawsze pełen energii, przyzwyczajony był mówić i postępować naprawdę po męsku. Takim był dla górników w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim, jeszcze wtedy, kiedy rąbał razem z nimi węgiel w filarze, takim jest jako przełożony chodnikowców z karwińskiej kopalni — giganta; ten jego rys charakteru znają i sportowcy, kiedy po swej pracy chętnie przychodzi na boisko.

— Doskonale mówisz, chętnie bym to zobaczył. Mówić można wszędzie, ale przebić bracie 400 metrów chodnika w przeciągu miesiąca, to raczej lepiej uważać na język i nie wypuszczać słów na wiatr. —

W ten sposób odezwał się jeden inżynier — kolega inż. Paidary, człowiek, który znany jest na kopalni jako fachowiec na słowo wzięty.

Paidar nie dał się jednak zapędzić w kozi róg.

— Towarzyszu inżynierze, jak mnie tutaj widzisz stać, mówię ci, że nie 400 ale 500 metrów chodnika przebiję u nas na „Armii” z zgraną załogą.



Alfred Spusta, inż. Franciszek Paidar oraz kierownik zespołu Eryk Owczarzy kontrolują wykonanie przedsięwziętego wyczynu

Odważne te słowa wywołały u wielu obecnych ironiczny uśmiech.

— To jest fantazja Paidaro, nie myślisz tego chyba poważnie — mówi drugi inżynier.

— To nie fantazja ani też chępliwość — odwracając się, mówi do wszystkich Paidar. — Obiecuję wam towarzysze, że postaram się w naszej kopalni — gigantycznie osiągnąć granicę 500 metrów, ba, pozwolę sobie twierdzić, że później nie zatrzymam się nawet na 600 metrach.

— Referent z ciebie kapitalny, Paidaro — przerywa mu kolega inżynier — czy jednak nie zajrzałeś troszeczkę głębiej do kieliszka?

Na sali słychać śmiech. Paidar jednak nie pozwala się zbić z tropu.

— Nie, ja trochę dokładniej wglądałem w broszury opisujące metodę Boryskina. Na sali wybucha ponownie śmiech. Każdy z osobna wyczuwa jednak, że większa część sali okazuje swą sympatię inżynierowi Paidarowi.

Drugi inżynier próbuje jednak ratować sytuację.

— Wiesz co, zróbmy zakład, funduję twoim chłopcom, Paidaro, litr dobrej śliwownicy za każdy metr, który przebieciesz ponad długość 300 metrów. W przeciwnym zaś wypadku ty zapłacisz za każdy metr, jaki brakował będzie do wytyczonej granicy chodnika. Czy przyjmiesz?

Rękawica została rzucona, było nią wezwanie do współzawodnictwa. Oczy wszystkich kierują się na Paidarę. Rzeczywiście stoi tutaj jak człowiek, który pozwolił ponieść się słowom, może ich żałuje i chętnie by je cofnął. Tak tu i ówdzie mniemano. W rzeczywistości jednak Paidar podejmuje wezwanie, przypieczętowując to podaniem ręki. Zakład został przyjęty.

W początkach roku 1954 wielu górników zapomniało o tym zebraniu w hotelu, o zakładzie zaś prawie nikt nie pamiętał. Chodnikowcy jednak i technicy, którzy troszczyli się o roboty przygotowawcze, o zakładzie pamiętali. Górnictwem opracowywano plan postępowania.

Inżynier Franciszek Paidar udał się do Sylwestra Szafarczyka, jednego z najlepszych szybkościowców chodnikowych. Szafarczyk, to młody i sympatyczny człowiek. Lubią go wszyscy; każdą pracę potrafi wykonać, nie spsoki żadnego żartu. Potrafi być bezkompromisowym, potrafi patrzeć nawet przez palce na błąd gdy się przydarzy bezwiednie. Szafarczyka właśnie wybrał inżynier Paidar do prowadzenia zespołu, który wyteży siły, aby uzyskać najlepszy wynik szybkiego bicia chodników.

W styczniu zorganizowano na kopalni szkolenie, które miało zaznajomić górników z metodą pracy Boryskina. Wielu górników było przeciwnym temu, wielu nie przyszło na pogadankę.

— Cóż znowu za nowinki, przecież to jedynie większa harówka dla nas, trzeba nam to otwarcie powiedzieć. Nie musimy swego postępowania skrywać w bawełnie. Tak mówiło wielu szybkościowców, drwiąc prócz tego z tych, którzy popierali nową metodę, według której stachanowiec radziecki Leon Boryskin osiągnął niespotykaną dotychczas wydajność.

Ta sprawa wymagała długich przeko-

nywań i niejednokrotnie nawet twar-
dych słów.

Pierwszego lutego zjechała do kopalni
im Armii Czechosłowackiej w Karwinie
grupa górników z Sylwestrem Szafar-
czykiem na czele. Załoga nie prowadziła
nawet między sobą rozmowy. Po cóż bo-
wiem, z zadaniami swymi zapoznali się
już dawniej. Obowiązkiem jej było
przebić w miesiącu lutym 500 metrów
chodnika.

Niestety, zaraz w pierwszych dniach
spotkała ją nieprzyjemna niespodzianka.
Niesprzyjające warunki dołowe i poja-
wienie się gazów powstrzymało chodni-
kowców w ich drodze naprzód. Strzelcy
dołowi zastosować musieli zastępczy ma-
teriał wybuchowy.

Sytuacja stała się poważna. Przeciwni-
nicy metody Boryskina śmiali się w
kulak.

Ludzie z innych odcinków mówili —
chcieliście 500 metrów, dobrze będzie,
kiedy przebijecie 200. Szafarczykowie
jednak nie ustępowali. Mocniej zacisnęli
zęby, po „wyfaraniu” zaś na powierz-
chnię codziennie omawiali postęp swej
pracy. Nawet do domu się im nie chciało
odchodzić, zadanie bowiem dotychczas
nie było wykonane.

Były to dni pełne napięcia na kopalni
Armii Czechosłowackiej, dni pełne bo-
jowości, zapału i entuzjazmu. Szafarczy-
kowiec ulepszając nieustannie organi-
zację pracy, posuwali się metr za
metrem, zdobywali chodnik.

No, nie było można ustąpić. Zaczęła
się walka na śmierć i życie. Na ten
odcinek pracy zjeżdżali funkcjonariusze
zakładowej organizacji partii i rady za-
kładowej. Urządzano z ludźmi pogadan-
ki. Sprawa przebicia 500 metrów chod-
nika w przeciągu miesiąca stała się
sprawą całej kopalni — giganta. Dawno
już przestało to być sprawą jedynie in-
żyniera Paidary.

Na gazetkach ściennych dużymi
czcionkami oznaczano postęp kolektywu
Szafarczyka. Rozgłośnia zakładowa pra-
wie co godzinę informowała załogę o
przebiegu pracy kolektywu.

Ot... i koniec lutego. Lotem błyska-
wicy rozeszła się po całym państwie
wiadomość, że kolektyw Sylwestra Sza-
farczyka przebił w przeciągu jednego

miesiąca 507,5 m chodnika, pobijając
w ten sposób o głowę wszelki rekord
w szybkim biciu chodników w Repu-
blice.

Rząd Republiki przysłał zespołowi
Szafarczyka telegram gratulacyjny:

„Towarzysze, gratulujemy Wam w
osiągnięciu takiej wydajności. Rekord
Wasz, który naprawdę oceniamy, jest
niecodzienny.”

Do Karwiny zaczęły zjeżdżać załogi
z innych zagłębi węglowych.

Malkontenci, których nigdy nie brak,
mówili — w to, że tamci uzyskali taki
wynik, wierzymy, ale jest to raczej
przypadek. Stale takich wyników osią-
gać nie będzie można.

W krótkim jednak czasie i ci „nie-
wierzący Tomasz” musieli kapitulować.
Bowiem już w marcu zespół Eryka
Owczarzego pracujący na odcinku Al-
freda Spusty próbuje osiągnąć nowe
rekordy. Próba nie dała czekać długo
na realizację. Bowiem w marcu zespół
Owczarzego przebił 620 metrów chod-
nika.



Grupa karwińskich chodnikowców z zespołu
Owczarzego

Słowa inżyniera Paidary wypowiedziane na zebraniu w hotelu zakładowym stały się faktem dokonanym. Nie wiemy czy wygrana zakładu została wręczona zwycięzcom, wiemy o tym, że szybkościowcy w biciu chodników na kopalni im. Armii Czechosłowackiej w Karwinie przebili 2500 metrów chodnika ponad ustalony plan. Taki jednakże jest wynik zakładu, który warto było zadokumentować przez odpowiedni wysiłek.

Disiaj metoda Boryskina zadomowiła się już w Karwinie na wszystkich odcinkach. Nie tylko jednak w Karwinie,

nowy ruch Boryskinowców, ruch który gwarantuje nam wykonanie wyższego planu wydobywania węgla kamiennego rozszerzył się z Karwiny na całe Zagłębie.

Przed rokiem jeszcze prace przygotowawcze w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim były problemem. Dzisiaj jest całkiem inaczej. Całą zasługę, jeśli chodzi o zmianę tego stanu rzeczy, przypisać należy chodnikowcom karwińskim.

Miroslaw Samolevič

Spolszczył L. P.

LEON PODSOLCZAN

Karwińska dynastia wyzyskiwaczy i ciemieżców ludu

Według źródeł historycznych stała się wieś Karwina własnością rodu Larischów pod koniec XVI wieku. Przybył wówczas — jak głosi podanie ludowe — przodek Larischów do Karwiny piechotą, niosąc w ręku węzełek z talarami, za które nabył prawa dziedzicznego pana wsi. O skromnych początkach tego, później potężnego rodu magnackiego, świadczy poniekąd także ówczesna nazwa rodowa Larisch de Lgota. Z Lgoty, obojętnie której, mogła pochodzić w drugiej połowie XVI wieku tylko szlachta niedawno nobilitowana. Sama zaś nazwa osobowa Larisch jest śląskim zdrobnieniem łacińskiego Laurentius, Laurenty (odpowiednik ogólnopolskiego Wawrzyk, od Wawrzyniec) a spotykamy je w odmianach Larysz, Lorysz, Loriś, Lares itp. jako nazwiska chłopskie zarówno w starych zapisach, jak i spotykane do dziś w różnych stronach historycznego Śląska.

W ustnym podaniu przekazywane opowiadania ludowe zgodnie odmawiają karwińskim Larischom wszelkich cech rycerskości, a za to wyraziście mówią o ich wielkiej zachłanności, podstępach sprytnych i bezlistosnym uciskaniu poddanego ludu dawniej, a rzesz robotniczych już w nowszych czasach. Ten

chóralny sąd ludu zresztą w całej pełni potwierdzają fakty historyczne.

Tytuł barona z przydomkiem „Z Lhoty i Karwiny” uzyskał Jan Fryderyk Larisch w roku 1654. W młodości swej był to gorliwy protestant, by później nagle i raptem przejść na katolicyzm i wkrótce zasłynąć jako pomysłowy tępicieł reformacji. Wiernie oddany Habsburgom, których własnością rodową stało się od niedawna Księstwo Cieszyńskie, zdobywał tytuły i urzędy, aż osiągnął najwyższy — urząd hetmana Księstwa, to znaczy pierwszego urzędnika cesarskiego w naszym kraju. O tym to „wybitnym” przedstawicielu rodu Larischów zachował się niezwykle surowy sąd ówczesnego dziekana fryszackiego Fryd. Chalika w rękopiśmiennym „Status Archipresbyteratus Freistadiensis” z roku 1679, zawarty również w zwanych „Visitationsberichte” Jugnitzą*). Według tego źródła baron uciskał brutalnie karwińskich poddanych i bezwstydnie szantażował proboszczów, w ogóle miały być jego poczynania

*) Źródła pośrednie: Londzin, „Kościoły drewniane na Śląsku Cieszyńskim”. Str. 149 oraz miesięcznik „Zwrot” nr 2/1954 str. 11, kol. 2.

(wbrew oficjalnemu mniemaniu), „dla kościoła zawsze szkodliwe”. Okrucieństwu tego dziedzicznego pana należy przypisać to, że Karwina w drugiej połowie XVII wieku była bez porównania najbardziej wyludnieniem dotkniętą wsią dziekanatu frysztackiego. Glebae adscripti po prostu uciekali w góry i na Słowację, żeby ująć spod jarzma nieludzkiego pana.

Najbardziej znamiennej skłonnością rodową karwińskich Larischów było robienie majątku. Rody szlacheckie, cieszyńskie albo tu świeżo osiadłe, zwykle po okresie dominowania od jednej do trzech generacji wskutek marnotrawstwa upadały i zanikały. Larische co do trybu życia nie byli lepsi, umieli jednak przy wszystkim robić interesy kosztem lekomyślniejszej od siebie szlachty, głównie kosztem swych poddanych. Wspomniany już wyżej Jan Fryderyk dzięki walkom religijnym podwoił swój stan posiadania w Karwinie. Syn jego, Henryk Ferdynand dokupił dzielnicę Solcę, Stonawę i drugą połowę Olbrachcic, tudzież państwo cierlickie i w roku 1730 zamienił swój majątek w ordynację. Jego brat i spadkobierca (bezżennie zmarłego) uzyskał od Marii Teresy za usługi oddane monarchii Habsburgów tytuł hrabiowski. Wnuk tego pierwszego hrabiego, Jan Józef Antoni, poślubia ostatnią latorośl rodu Mönnichów, zdobywając tym m. i. Rychwałd i Zabłocie tudzież dodatek szlachecki do swego prostego nazwiska. Kupuje dominium Niem. Lutyni, wreszcie w roku 1792 nabywa Frysztat z przynależnymi wioskami, Starym Miastem, Zawadą itd. Pod koniec życia posiada już blisko dwa tysiące hektarów ziemi, staje się obok Habsburgów posiadaczem największego latyfundium w Księstwie Cieszyńskim. Ród się rozrasta i dalej potężnieje z biegiem czasu, wykupuje powiat frysztacki nieledwie do reszty, nabywa posiadłości ziemskie, forwarki, gorzelnie, lasy w sąsiednich powiatach: frydeckim, rybnickim, bielskim.

W czasach po kongresie wiedeńskim (r. 1816) Larisch-Mönnichowie poczynają interesować się przemysłem. Znajdują złote runo w karwińskich pokładach węgla kamiennego — feudalni

reakcyjni panowie stają się na wielką miarę kapitalistami. Knuta w rękach hrabiowskich „folwarterów” zapędza poddaną ludność już nie tylko do roboty „na pańskim”, co teższe chłopcy, a jakże licznie również nieletni chłopcy muszą przez dwanaście i więcej godzin na dobę pracować ciężko w ciemnościach podziemnych, wśród tysiąca niebezpieczeństw, żeby z ich potu i krwi nieustannie rosła potęga i bankowe konto „ekseklencji” oraz członków jego rodziny. W r. 1873 przenoszą Larischowie swoją rezydencję z Frysztatu z powrotem do Karwiny na pagórek Solcy, gdzie żeniącemu się Henrykowi ojciec Jan wybudował wielki luksusowy pałac. Może średniewieczny feudał i zimno wyrachowany kapitalista — gdy znużą go intrygi na dworze cesarskim w Wiedniu albo znudzi pobyt w uzdrowiskach zagranicznych — na Solcy u swych stóp obserwować będzie znojące się dla niego mrowie ludzkie. Będą tu mogli zjeżdżać się na polowania podówczas najmożniejsi tego świata z cesarzem Wilhelmem na czele i knuć plany, pruskie plany podboju świata.

We wspomnieniach starych ludzi, w znikomej tylko części zapisanych, nie rzadko wspomina się o karwińskiej „barborze” i legendarnej ławie dębowej, do której za czasów ustawowo obowiązującej pańszczyzny przywiązywano za niedbujących się w pełnieniu robot „na pańskim” i wymierzano uroczyscie ciężkim kijem chłostę, jako karę, z celem zastraszenia ogółu poddanych. Oto dla ilustracji kilka znamiennych słów, wyjętych z opisu topograficznego Niem. Lutyni: „We dworze lutyńskim między stodołami a chlewami bywała wielka piwnica z kratami. Tam zawierano ludzi, którzy nie chcieli odbywać pańszczyzny, a potem odprowadzano ich albo odwołano do Karwiny po baty za karę” (w roku 1848 zrewoltowani chłopcy oblęgli zamek w Karwinie, darowali życie oblężonym oficjalistom hrabiowskim, ale wymogli wydanie „barbory”, którą porąbali i spalili. Pańszczyznę po roku „wiosny ludów” urzędowo zniesiono, ale przywódca tej rebelii chłopskiej Michnik, wolontier z Żywocic, przypłacił swoje wystąpienie życiem w cieszyńskim więzieniu). Majątki chłopów, którzy z po-

wodu nadmiaru robót pańszczyźnianych i kar uciekali ze wsi, Larischowie zagarniali. Świadectwem tego pozostały takie nazwy miejscowe, jak: Póńczowiec, Witoszowiec (w Karwinie) Gatnarowiec, (w Raju) Czernikowiec, Guńkowiec (w St. Mieście) i inne, niegdyś grunty sielskie. Zabierali także posiadłości wolnych chłopów, wykupione spod obowiązków pańszczyzny, gdy właściciel takiego gruntu umarł bezpotomnie, świadectwem tegoż jest np. „Wolenterówka” w Karwinie na pół zapomniana nazwa pół na wschód od posiadłości farskich, ciągnąca się aż na pagórek zwany Henrykowa. W tejsze Karwinie o Szyndlerówce (dawnym młynie) oraz gruncie przy Stonawce mówi opowiadanie, że wygrał ją hrabia Larisch, ostatni austriacki prezydent krajowy Śląska, za jeden wieczór w karty, a Szyndlera zatrudnił później na kopalni jako wಾಗowego. Takich i podobnych wypadków w różnych miejscowościach było wiele. Larischowie nabywcy czuwali i byli wszędzie, gdzie nadarzała się sposobność choćby drobnego zaokrąglenia fortuny.

Jako przemysłowcy węglowi nie odznaczyli się inteligencją ani większą przedsiębiorczością. Do studiów technicznych nikt z rodu Larisch-Mönnichów się nie kwapił, wyręczałi się dyrektorami. (Jedynie najstarszy syn ostatniego „pana na Solcy wybrał inżynierię, zresztą w Przybramie zastrzelił się). Do tych magnatów należał węgiel kamienny i koks w Karwinie, oni to posiadali rozległe obszary po obu stronach Olzy, olbrzymie kapitały i wpływy, zajmowali wysokie stanowiska w Monarchii od ministra aż po prezydenta Śląska, lecz możliwość budowy hutnictwa i innego przemysłu pozostawili odłogiem; aż zbudowali ten przemysł w Witkowicach i gdzieindziej Rotschildowie, Hoheneggerowie i inni. Zatrudniali tysiące robotników, ale poza budową baraków i kolonii robotniczych w samej Karwinie, nędza mieszkaniowa w przeludnionym powiecie fryszackim nic ich nie obchodziła; wbrew nieustannemu wzrostowi produkcji węgla i milionowych zysków w ostatnich czterdziestu latach swojego panowania nie dali na niepodkopanych

terenach na prawym brzegu Olzy, we Frysztacie i okolicznych gminach, zbudować ani jednego domu mieszkalnego. — Gdy w latach dwudziestych nadszedł kryzys gospodarczy wydalali górników i robotników z pracy całymi setkami. A pozostałym pozwalali pracować przez dwa do trzech dni w tygodniu, choć na kopalniach innych przedsiębiorstw w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim, należącym do tego samego trustu pracowano przez pięć do sześć dni w tygodniu. Gdy robotnik — ojciec rodziny zarabiał u Larischa często nie więcej jak 400 koron miesięcznie, to dyrektorzy otrzymywali miesięcznie dwadzieścia i więcej tysięcy. Taki np. centralny dyrektor Zajíček, bezdzietny, otrzymujący rocznie ponad jeden milion koron gaży i premii, defraudował w okresie pierwszej republiki około 11 milionów, a wobec sądu zeznał później cynicznie, że brał tylko swoją część, Larisch sam co możliwego tuszował i krył, żeby nie wyszły na jaw olbrzymie oszustwa, popełniane przez długie lata na szkodę robotników i państwa. Po „sławnym” Zajíčku centralnym dyrektorem Larischa został dyrektor Zadra, syn prostego robotnika włoskiego, „telijana”, lecz teraz brutal i wróg zaciekle klasy robotniczej, zresztą, jako gorliwy Niemiec w r. 1945 powiesił się w obozie dla Niemców.

W całej swej historii był ród karwińskich Larischów wytrwałym wrogiem kulturalnych potrzeb i dążeń śląskocieszyńskiego ludu. Tak np. już w protokołach dziekana Chalika oraz wizytatora biskupskiego Klaybora w roku 1679 zapisano o szkole w Karwinie „Ogród szkolny jest, lecz szkoły nie ma z winy (ex negligentia) pana kolatora”, marszałka i hetmana Księstwa Cieszyńskiego, między innymi także przeciwnika języka polskiego w kościele karwińskim. Larischowie z wyrachowania podtrzymywali morawszczyznę na Śl. Cieszyńskim, choć sami z dawiem dawną hołdowali niemieźźnie. Zakuty prusak i osobisty przyjaciel cesarza Wilhelma hr. Henryk Larisch Mönnich, tak ciężko bolał nad przegraną państw centralnych i niemczyzny w pierwszej wojnie światowej, że stary pan hrabia, z rozpaczą popełnił samobójstwo. Syn jego, ostatni



Współczesne pokolenie górników Zagłębia Ostrawsko-karwińskiego

pan na Solcy, dr. Jan Larisch, był godnym następcą swego ojca. Cyniczną grę narodowości niemieckiej w sporze polsko-czeskim o Śląsk Cieszyński z lat 1918—20 obmyślało się nie gdzie indziej, tylko w Solcy, na zamku. W tym krytycznym momencie, gdy w dalekim miasteczku belgijskim w Spaa zapadła decyzja podziału kraju, wtedy kapita-

lista międzynarodowy i zakapturzony junkier pruski jeszcze osobiście puszczał w ruch macki dyplomatyczne, aby konferencja poważnie jak najmocniej Polskę i Czechosłowację. Działal w tym duchu, żeby Polska poczuła się stroną jak najbardziej pokrzywdzoną, aby przepaść urazy i niechęci oddzielała od siebie Polaków i Czechów w imię interesu

kapitalizmu i do czasu, gdy uzbrojone po zęby prusactwo będzie mogło sięgnąć krwawą łapą po oba kraje, Czechosłowację i Polskę.

Nade wszystko byli Larisch-Mönnichowie śmiertelnymi wrogami organizującej się klasy robotniczej. Bo ta dostrzegała zbrodniczość kapitalistyczną, bo, pouczana tysiącem wypadków nieszczęśliwych i krzyczących kontrastów, burzyła się, strajkowała, domagała się bezpieczeństwa pracy oraz podwyżki zarobków, co wszystko groziło umniejszaniem milionowych zysków. Tak tedy żaden zbuntowany parobek dworski nie otrzymał pracy na hrabiowskiej kopalni, a wyrzuceni za bramę na „książęcych” górnicy daremnie dopraszali się przyjęcia na „grofowskich”. Socjalista i diabeł — to było w oczach hrabiowskich jedno. Ale zdarzało się, że nawet wobec organizacji klerykalnej umiał „Ekscelencja” rzucić maskę dobrotliwego pracodawcy i pokazać obrzydliwie wykrzywioną twarz zachłannego kapitalisty i feudała. Tak np. polsko-klerykalnym towarzyszom we Frysztacie przyobiegał Larisch po I wojnie światowej parokrotnie wolną parcelę przed „mizerkowskim” dworem. Gdy z czasem rozeszły się słuchy o postanowionej przez te towarzystwa budowie domu na przyobiecanej parceli, hrabia „sfiksłował” sprawę w ten sposób, że ową parcelę od ziemskiego urzędu parcelacyjnego otrzymała organizacja czeskiego „Sokoła”. Gdy zaś przedstawiciele oszukanych towarzystw poszli dopraszać się łaski, hrabia wyłożył swe karty na stół, oświadczając: „Macie wpływy w Warszawie, tak spowodujcie zaniechanie parcelacji moich dworów po polskiej stronie Śląska a dam wam nie tylko szumną parcelę, lecz także materiały na budowę”. Lecz z tej „oferty” nie było można skorzystać... Zaś arystokratyczny oszust wyniósł ze sprawy tę korzyść, bo udało mu się rzucić kość niezgody między miejscowych Polaków i Czechów. Dla dopełnienia tego obrazu wypada przypomnieć dwie inne sprawy. Krótko przed opisaną aferą podarował pan hrabia niemieckim sportowcom we Frysztacie jednohektarową parcelę przy drodze darkowskiej. Zaś parę lat później, w Karwinie, spre-

zentował „turnerom”, to jest bogatej mniejszości niemieckiej, i pierwszorzędną miejscę i materiały na budowę „turnhalli”. Tak powstała nowa dalsza kuźnia na karwińskim szlaku jawnej roboty germanizacyjnej, w której prócz tajnych przygotowań do wojny sporządzano listy proskrypcyjne przyszłych ofiar, rekrutujących się z miejscowego, słowiańskiego elementu robotniczego.

Zresztą, pomimo istnienia w różnych miejscowościach takich centrów spiskowych jak karwińska „turnhalle”, zamek w Solcy pozostał bodajże główną i najlepiej zakonspirowaną meliną hitlerowską. Tu działali najzaufańsi oficjaliści wraz z najmłodszym synem hrabiego. Tak więc np. w sierpniu 1939 roku czyniła policja polską szerokie poszukiwania za składami broni hitlerowskiej „Kampforganisation” a o głównym składzie broni i amunicji w mauzoleum w parku zamkowym w Solcy jej się nawet nie śniło; bo nie przyszło jej przed tym na myśl, żeby rewidować auto, w którym jeździło hrabiątko, późniejszy oficer NSKK. Któż w ogóle byłby przypuszczał, że nadzieja narodu, Graf Hans, weźmie po opanowaniu Karwiny przez hitlerowskich najeźdźców, osobiście udział w torturowaniu na śmierć sędziego dra Wacława Olszaka, który był przecie lekarzem domowym hrabiowskiej rodziny... albo, że obojętnie patrzył, jak na kopalniach pod jego kierownictwem gestapowcy i „werkszuce” dobijają wystrzałami lub kolbami upadających z wycieńczenia jeńców — czerwonoarmiejców. Do drobnych robót jego „ersatz — ekscelencji” wypadałoby zaliczyć chodzenie po kopalniach karwińskich i przymuszanie opornych robotników do przyjęcia „Volkslisty”. Choć właściwie i to było zbrodnią, boć w niejednym wypadku pociągnęło za sobą śmierć ofiary w znieawidzonym mundurze „Wehrmachtu”.

Stary „ekscelencja” Graf Dr Johann Larisch-Mönnich, może trochę podejrzliwy i nieufny, trzymał się zdala od krzykliwych manifestacji hitlerowskich. Do krwawo okupacyjnej roboty ze względu na wiek, rzecz prosta, nie nadawał się. Oficjalnie przed szerszą publicznością wystąpił z okazji swego 70

letniego jubileuszu w r. 1942. W uroczyscie herbem rodu i symbolami niemieckiego nacjonalizmu przyozdobionej hali centrali elektrycznej w Karwinie, w spowiciu olbrzymiej swastyki wychwalał niemiecki Neuordnung i wyrażał wdzięczność za to, że było mu danym dożyć tych tak wspaniałych czasów. W dwa lata później dożył również tej chwili, że pijany korpus oficerski cofającego się w popłochu „wehrmachtu” popasający w Solcy, podpalił mu zamek. Do dziś, prawdę mówiąc, nie wiadomo, co było istotną przyczyną tej „iluminacji”, czy demoralizacja wśród żołdactwa hitlerowskiego, czy obawa, że bogaty pałac niedługo padnie cało w ręce zwycięskiej Armii Czerwonej, czy też działał tu strategiczny plan doświadczanego w przewrotnych knowaniach rodu. Ale jakkolwiek było, to jedno jest pewne, że w ów dla karwiniaków pamiętny wieczór od pożaru zamku pana na Solcy zaczęła się historyczna, nieodwracalna i ostateczna likwidacja „panowania”, i wyzysku kapitalistów Larisch-Mönnichów, których ręce splamione są straszną plamą krwi robotniczej

— ludzi poniewierki i nędzy. Tych, którzy dzisiaj sprawują władzę ludową w swoim kraju.

Jeśli przed dziesięciu laty hrabiowscy wyzyskiwacze uszli z życiem i bezkarnie, to nie znaczy to, że lud bardzo dobrze zdaje sobie sprawę z tego, z kim dzisiaj sprysnął się przeciwko niemu ten czy ów gagatek z rodu karwińskich Larischów-Mönnichów, kujących swe wściekłe plany zemsty na powrót w kancelariach Adenauera czy w szpiegowskich spelunkach amerykańskiego wywiadu w Niemczech Zachodnich albo też w pięknie ułożonym ubraniu wizytowym na dworze królewskim w Anglii. Na tym samym dworze przed wielu laty została przygarnięta i „białogwardyjska czeta” uszłych popleczników cara, która tak jak dzisiaj Larische-Mönnichowie marzyła daleko za granicą Związku Radzieckiego o odzyskaniu z powrotem swych magnackich fortun, i władzy. Lecz cierpki jest i będzie jej miraż doświadczeń, nieodwracalna jest karta historii, której lud jest panem sobie i dla siebie.

• Leon Podsolczan



Nowe socjalistyczne miasto na Śląsku czechosłowackim, które powstaje na terenie Będowic i Szumbarku



Długa i ciernista była droga ostrawsko-karwińskiego proletariatu górniczego, prowadząca do stworzenia w Zagłębiu masowego, klasowego ruchu robotniczego. Na nic jednakże w końcu zdała się potęga wszechwładnych miejscowych baronów węglowych, wydatnie wspomaganych przez feudalno-burżuazyjny aparat władzy państwowej oraz przez kler obydwu wyznań, trzymający niepodzielnie w swych rękach „rząd dusz” wyzyskiwanych górników i robotników. W codziennej walce z różnorodnymi przejawami wyzysku kapitalistycznego, szykanami i represjami starostów powiatowych, policji i sądów, z wszelkimi próbami galwanizowania ze strony ambon i konfesjonatów konserwatywnej, pełnej pokory i poddania, pańszczyźnianej mentalności niedawnego chłopca pańszczyźnianego, w walce z próbami dywersji w własnych szeregach, kierowanymi pod różnymi postaciami z zewnątrz — formowała i rozprzestrzeniała się w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim w latach 90-tych ub. w. świadomość klasowa, świadomość roli i zadań, stojących przed proletariatem w jego zmaganiach z kapitalistycznym ustrojem społecznym. Drogo przychodziło płacić górnikom i robotnikom za każde wydarte potentatom węglowym ustępstwo, płacili znojem i krzywdą szykanowanych, pozbawionych pracy, ściganych i więzionych szczególnie aktywnych jednostek, głodem i nędzą swych licznych rodzin w dniach strajków, a nie rzadko płacili

własną krwią. Najbardziej krwawy epizod ostrawsko-karwińskiego proletariatu górniczego w walce z wyzyskiem baronów węglowych rozegrał się właśnie w pamiętnym maju 1894 r.

Po burzliwych latach 1889—90, w których proletariatu górniczy Zagłębia wystąpił w szeregu masowych strajkach, domagając się polepszenia warunków pracy i bytu, usunięcia najjaskrawszych i najbrutalniejszych przejawów srożącego się w Zagłębiu wyzysku, zapanało na obszarze rewiru względny spokój. Ostre represje postrajkowe długo paraliżowały dalszy rozwój puszczającego właśnie w tym czasie pierwsze pędy, politycznego i zawodowego ruchu robotniczego w Zagłębiu. Przypływ fali rewolucyjnej na przełomie lat 80—90-tych ub. w. napędził sporo strachu ostrawsko-karwińskim potentatom węglowym i ich poplecznikom. Posypały się więc próby złamania i zduszenia w zarodku groźnego wroga. Na kopalniach i koksowniach rozszalał ostry terror; najmniej przejaw niezadowolenia z panujących w pracy stosunków, podejrzenie przynależności do stowarzyszenia robotniczego lub nawet tylko czytania prasy socjalistycznej powodowało wyrzucenie na bruk i pozbawienie źródła egzystencji.

Represje pracodawców okazują się jednakże bezskuteczne. Właśnie pierwsza połowa lat 90-tych ub. w. stoi pod znakiem szczególnego wzrostu nasilenia agitacji socjalistycznej, krzepnięcia i

rozwoju pierwszych form organizacyjnych. Nie przebiega on łatwo. Wierne psy gończe baronów węglowych Masłowski i Kortüm, starostowie powiatowi w Mistku i Frysztacie, nie szczędzą zabiegów, by przy pomocy stojących im do dyspozycji środków administracyjnych i policyjnych nie dopuścić do rozszerzenia się i umasowienia działalności organizacji robotniczych. „Nie zezwalano na odbywanie zebrań,” wspomina w swym pamiętniku jeden z czołowych działaczy robotniczych Zagłębia późniejszego okresu, „prawo zrzeczenia się i odbywania zebrań wymazał w Ostrawskim z spisu żyjących starosta powiatowy Masłowski.”¹⁾ Zgromadzenia odbywają się nielegalnie względnie są organizowane dla szczupłego grona jako poufne. Jedną z najskuteczniejszych form walki w tym czasie stają się korespondencje do pisma górniczego „Na Zdar”, założonego w Pradze z inicjatywy I Zjazdu Górników i Hutników w Austrii, w styczniu 1891 r. W korespondencjach tych autorzy piętnują znane im wypadki szykanowania górników ze strony nadzoru, zrywania akordu, nawołują do utworzenia własnej, rewirowej organizacji zawodowej. Jesienią 1893 r., po uprzednim osiedleniu się na stałe w Zagłębiu redaktora „Na Zdar” Piotra Cingra, dochodzi w październiku do założenia własnego organu „Odborné Listy” oraz Stowarzyszenia Górniczo-hutniczego „Prokop”. W następnych miesiącach mnożą się zebrania stowarzyszenia w ważniejszych miejscowościach Zagłębia, wzrasta frekwencja biorących w nich udział. Bardzo symptomatycznym zjawiskiem rozszerzania się wśród miejscowego proletariatu górniczego poczucia świadomości klasowej stają się wybory delegatów (tzw. starszych) do kas brackich. Podczas kiedy do r. 1893 na stanowiska te wybierano wyłącznie urzędników kopalnianych, to począwszy właśnie od owego roku do zarządu kas brackich zaczynają wchodzić coraz częściej i coraz liczniej sami górnicy.

Imponująco przebiega 1 Maj 1894 r. w Zagłębiu, szczególnie w jego zachodniej, ostrawskiej części. Załogi kopalń hr. Wilczka, Zwierzyny, Kolei Płn. oraz

częściowo Gwarectwa Witkowskiego porzucają pracę, w manifestacjach okolicznościowych bierze udział przeszło 10 tysięcy osób. Po raz pierwszy od pamiętnego maja 1890 r. proletariat górniczy wychodzi na ulice miast i osiedli Zagłębia, domagając się realizacji głównych postulatów międzynarodowego ruchu robotniczego. Święto majowe upływa spokojnie, bez zakłóceń.

Do komplikacji nadchodzi już w dniu następnym. Od r. 1890 na kopalniach Kolei Płn. panował mniej czy więcej przestrzegany zwyczaj 8-godzinnych zmian przed i po świętach oraz niedzielach. W dniu 2 maja, przypadającego w tym roku na dzień przed Wniebowstąpieniem, dyrekcje kilku kopalń odmówiły udzielenia zgody na przepracowanie tylko 8 godzin. Załogi kopalń „Hermenegilda”, „Jakub” oraz „Wilhelm” porzucają skutkiem tego w tym samym dniu pracę. W piątek, dnia 4 maja do strajku dołącza się kopalnia „Jan Maria”, w sobotę — „Emma”.

Złamanie przez dyrekcje kopalń Kolei Płn. zwyczajowej 8-godzinnej zmiany stało się li-tylko bezpośrednią przyczyną wybuchu strajku, przysłowiową ostatnią kroplą. Istotne przyczyny porzucenia pracy przez załogi wspomnianych wyżej kopalń leżały głębiej, scharakteryzowane zostały w postulatach strajkujących, zdecydowanie odrzuconych przez pracodawców. Żądania te sprowadzały się do następujących punktów: 8-godzinne dnia pracy, pełnego wypoczynku niedzielnego, podwyżki zarobków o 25%, położenie kresu na przyszłość ordynarnemu i obrażającemu godność ludzką sposobowi postępowania nadzoru, wreszcie niewydalaniu z pracy oraz nieszykanowaniu członków komitetu strajkowego i innych przedstawicieli strajkujących. O tym, że postulaty skrócenia czasu pracy, podwyżki zarobków oraz polepszenia traktowania górników ze strony przełożonych dotyczyły najbardziej palących podówczas problemów ostrawsko-karwińskich górników i robotników, świadczy niesłychanie szybkie rozpowszechnienie się strajku w dniach następnych na pozostałe kopalnie Kolei Płn. i hr. Wilczka, dalej na szyby Księcia Salm, Gwarectwa, Zwie-

rzyny oraz częściowo rotschildowskiego gwarectwa witkowskiego. W ten sposób do wtorku 8 maja unieruchomiony zostaje prawie cały rewir ostrawski. Z drugiej strony fakt zlokalizowania strajku w zachodniej (ostrawskiej) części Zagłębia dowodzi niezbicie o szczególnej radykalizacji mas górniczych właśnie na tym obszarze — kolebce ruchu robotniczego w Zagłębiu, głównej sferze wpływów „Prokopa” i jego organu „Odborných Listů”. Rewir karwiński, leżący dotychczas raczej poza zasięgiem działania pierwszej organizacji górniczej, nie przyłącza się do akcji strajkowej.

Pomimo że strajk objął przeszło dwie trzecie ogółu zatrudnionych w ostrawskiej części Zagłębia, początkowy jego przebieg, jak donosi ówczesna prasa, był spokojny. „Spokój nie został nigdzie zakłócony — pisze czasopismo „Zář”, wychodzące w Przybramiu — robotnicy przechadzali się w małych grupach, panowała piękna pogoda. W okolicznych lasach rozbrzmiewały miejscami wesołe dźwięki orkiestry, młodzież tańczyła. Wygląd zewnętrzny miasta i okolicy nie dostarczał niczego specjalnie interesującego, nie zaobserwowaliśmy żadnego groźnego zachowania się, pomimo, iż zwiedziliśmy cały teren strajku.”²⁾ Wkrótce jednakże miało stać się inaczej.

Nadszedł krytyczny dzień, środa 9 maja 1894. Na wiadomość o zmuszeniu do pracy przez dyrekcję kopalni „Trójca” w Pol. Ostrawie grupy liczącej około 40 górników, zbiera się w wczesnych godzinach rannych przed kopalnią tłum strajkujących. Kordon żandarmerii zamyka dalszą drogę do kopalni. Tłum rośnie, napływają górnicy i robotnicy z pozostałych okolicznych strajkujących kopalń. Górnicy domagają się wstępu na teren kopalni, chcąc zorientować się co do ilości pracujących oraz dotrzeć do zawiadowcy szybu. Wachmistrz Marek, dowódca oddziału żandarmerii, odmawia wpuszczenia na teren szybu masy zgromadzonych górników, wzywa tłum do rozejścia się, grożąc w przeciwnym razie użyciem broni palnej. Dalszy bieg wypadków potoczył się błyskawicznie. „Na wąskiej drodze, po której obydwu stronach wznoszą się domy, na tej wąskiej spadzistej drodze, stłoczonych zostało

około tysiąca osób, parcie wprzód stojących w tyle unieruchamia przednie szeregi zebranych”, tak oto charakteryzuje lokalna gazeta ostrawska sytuację w krytycznym momencie.³⁾ „Nie orientując się, co się dzieje przed nami — wspomina jeden z manifestantów, znajdujący się w tylnych szeregach, usiłowaliśmy pchać pochód wprzód.”⁴⁾ W tym, jak relacjonują „Odborné Listy” pojawiły się w tyle wozy ciężarowe i wjechały w tłum górników, górnicy nie mogąc ustąpić na boki, popchnęli w przód, skutkiem czego stojący przed nimi robotnicy zostali zmuszeni do poczynienia 3—4 kroków do przodu. Kiedy wachmistrz to spostrzegł, odrzucił od siebie stojącego przy nim robotnika, cofnął się do tyłu, poruszył kapeluszem w górze i dał rozkaz otwarcia ognia.”⁵⁾

Zagrzmiały salwy manlicherów ośmiu żandarmów, do zbitej w wąskiej ulicy masy górników z odległości nie większej niż 15 kroków. „Zaraz po pierwszym wystrzale lud próbował ratować się ucieczką.” Na przeszkodzie stanęła jednakże wąska droga zatarasowana częściowo różnego rodzaju wehikułami, każdy uciekał więc, gdzie tylko mógł. „Niektórzy nie widząc innego ratunku, skoczyli do przodu między żandarmów, kryjąc się za ich plecami (stąd też bierze wersja, że jeszcze w trakcie ognia lud rzucił się na żandarmów).”⁶⁾ Żandarmi nie poprzestali na pierwszej salwie, padła druga i trzecia. „Oddano w całości 27 strzałów... można... przyjąć, że każdy prawie wystrzał trafił 2 osoby... Kiedy rozwiął się leniwy dym, oczom przedstawił się straszny widok. Dookoła na ziemi leżało 40 osób... prawie w wszystkich wypadkach nastąpiło zdruzgotanie i złamanie kości.”⁶⁾ Ściany domów zbryzgane krwią, krew górników zbarwiła drogę i popłynęła do przydrożnego rowu.”⁷⁾ Ogółem ginie 13 osób, w tej liczbie 1 ośmioletnie dziecko śpieszące do szkoły, liczba ciężko rannych (około 50) kilkakrotnie przewyższyła ilość zabitych, ściśle jej określenie było niemożliwe z uwagi na to, że część rannych w obawie przed śledztwem schroniła się do domów i pozostała w domowym leczeniu, stąd też odnośne

dane podane przez prasę znacznie się między sobą różnią.

Większość rannych waha się od 18 do 26 lat, tylko w kilku wypadkach przekracza trzydziestkę. Wśród zamordowanych naliczono 3 ojców rodzin, osierocili oni 15 dzieci.

Wiadomość o krwawym starciu strajkujących z żandarmerią w Polskiej Ostrawie rozniosła się lotem błyskawicy nie tylko w najbliższej okolicy lecz na obszarze całej b. monarchii. Proletariat Zagłębia odpowiada znacznym wzmocnieniem akcji strajkowej; rozszerza się ona w następnych dniach na Pietwałd, Porębę i Orłowę. 11 maja strajk osiąga swój punkt kulminacyjny, strajkuje 16 tysięcy górników i robotników, co stanowi 55% łącznej ilości zatrudnionych w Zagłębiu załóg kopalnianych,⁸⁾ wg innych danych nawet 19 tysięcy osób (64% ogółu górników i robotników).⁹⁾ Groźby wyrzucania strajkujących z pracy i mieszkań werkowych nie przynoszą żadnych wyników. Na teren strajku skierowne zostaje z garnizonu cieszyńskiego wojsko dla utrzymania porządku. Mimo jednakże powszechnego oburzenia jakie ogarnęło proletariat Zagłębia masy górnicze zachowują się spokojnie, nie dając się sprowokować do żadnych wystąpień, które by posłużyć mogły za pretekst do wystąpienia wojska. Stanowisko władz miejscowych jest zdecydowanie wrogie dla strajkujących. W obawie przed demonstracyjnym pogrzebem ofiary 9 maja zostają pogrzebane cichaczem nocą. Oślawiony wróg ruchu robotniczego w Zagłębiu starosta frydecki Masłowski wydaje wespół z kierownikiem urzędu górniczego w M. Ostrawie Rielem 11 maja odezwę do strajkujących robotników. „Kaźda próba przeforsowania postulatów w drodze wstrzymania się od pracy, bez poprzedniej wypowiedzi, głosi odezwę, jest sprzeczna z ustawą, urzędy zdecydowanie przeciwstawiają się wszelkim wypadkom zmuszania do porzucenia pracy oraz próbom wstrzymywania innych robotników groźbami czy przemocą od kontynuowania pracy.”¹⁰⁾ W całym Zagłębiu wzmaga się fala aresztowań szczególnie zaangażowanych w ruch robotniczym jednostek.

9 maj odbija się donośnym echem da-

leko poza granicami Zagłębia. W Wiedniu, Bernie zorganizowane zostają specjalne zebrania demonstracyjne, na których uczestnicy protestują przeciw samowoli ostrawsko-karwińskich baronów węglowych oraz miejscowych władz państwowych. W Radzie Państwa w Wiedniu posłowie Pernerstorfer i hr. Karnitz domagają się powołania w trybie nagłym 20-osobowej komisji parlamentarnej do zbadania krwawych zająć w Falknowie w Czechach, gdzie w dn. 4 maja policja zraniła 9 robotników oraz w Polskiej Ostrawie. Wniosek zostaje po bardzo żywej dyskusji odrzucony 162 głosami przeciw 83; przeciw wnioskowi głosowało między innymi również in corpore Koło Polskie, a wraz z nim polski przedstawiciel ziemi cieszyńskiej kś. Świeży.

Po 17 dniach trwania akcji strajkowej strajk załamuje się. Potentaci węglowi Zagłębia jeszcze jeden raz okazują się mocniejsi. Wyrzucanie z pracy i mieszkań werkowych, brak dostatecznych funduszy zapomogowych — wszystko to zmusza strajkujących, do powrotu do pracy w dniu 19 maja, bez uzyskania natychmiastowych ustępstw ze strony pracodawców. Epilogiem jakby całego krwawego strajku majowego staje się rozprawa sądowa przeciw 22 oskarżonym, uczestnikom zająć polsko-ostrawskich, przeprowadzana w Cieszynie w dniu 22 maja. W mowie oskarżycielskiej prokurator usiłuje zrzucić odpowiedzialność za wypadki z dn. 9 maja na samych robotników, uzbrojonych rzekomo w oskardy, usiłujących przemocą przerwać się przez kordon żandarmerii na teren kopalni. Cała ta farsa sądowa skończyła się skazaniem 2 robotników na 13 i 9 miesięcy ciężkiego więzienia, dalszych 2 osób na 3 miesiące oraz 14 na karę 2 miesięcy więzienia, 4 pozostałych uniewinniono. 56 miesięcy więzienia dla robotników, srebrny krzyż zasługi i awans służbowy dla bezpośredniego sprawcy rzezi polsko-ostrawskiej wachmistrza Marka, mianowanego później urzędnikiem sądowym w Bilowcu — oto wyniki dochodzeń władz państwowych w sprawie krwawego maja 1894 r. w Zagłębiu Ostrawsko-karwińskim. Jeden z aresztowanych w następujący sposób charak-

teryzuje stosunki i traktowanie oskarżonych i zasądzonych w więzieniu. „W więzieniu cieszyńskim traktowano nas brutalnie. Przydzielono nam najgorsze cele z brudnymi i zawszonymi siennikami i kołdrami do tego stopnia, że byliśmy zmuszeni sypiać całkowicie nagi. Bielizny nam ani nie wymieniano ani też nie prano, w ciągu całych 7 tygodni byłem w jednej koszuli. Dozorcy więzienni traktowali nas jako galerników. Obrzucali nas wyzwiskami, bili pętami kluczy.”¹¹⁾

Fiasko krwawego maja 1894 r. jest tylko pozorne. W tym samym jeszcze roku kopalnie Kolei Pn., kś. Salm, gwarantowania Zwierzyny przechodzą z 12 do 10-godzinnego dnia pracy na dole. Jeden z zasadniczych postulatów strajku zostaje tym samym częściowo osiągnięty, wbrew zaciętemu oporowi kapitalistów Zagłębia.

Znaczenie strajku majowego nie sprowadza się jednakże bynajmniej do tego tylko połowicznego, doraźnego sukcesu. **W walce z wyzyskiem kapitalistycznym** „od czasu do czasu robotnicy odnoszą zwycięstwo, ale tylko przejściowe. Właściwym wynikiem ich walk jest nie bezpośrednie powodzenie czytamy w Manifestie Komunistycznym, lecz coraz szerzej sięgające jednoczenie się robotników”¹²⁾ Właśnie wypadki polsko-ostrowskie w poważnym stopniu przyczyniają się do zdemaskowania prawdziwego oblicza różnych rzekomych obrońców proletariatu górniczego, występujących czy to pod postacią organizatorów klerykalnych, rozbijackich stowarzyszeń robotniczych czy też w charakterze reprezentantów „ponad-klasowej”, rzekomo obiektywnej władzy państwowej, mających na oku jedynie dobro „ogółu”, interes „całego społeczeństwa”. Możliwość skonfrontowania przez ostrowsko-karwiński proletariát górniczy głoszonych haseł i czczych deklaracji z rzeczywistością postawą, zajętą przez nich wobec strajku majowego ułatwia tysiącom górników i robotników Zagłębia przezwyciężać w sobie wszystkie dotychczasowe iluzje odnośnie stanowiska władzy państwowej, kleru, części burżuazji w stosunku do panującego wyzysku kapitalistycznego, pozwa-

la zerwać istniejące dotychczas nici łączności, sięgające korzeniami dawnej pańszczyźniany-poddańczej mentalności chłopów feudalnego a tym samym prowadzić do wzrostu świadomości klasowej miejscowego proletariatu, do zrozumienia istoty i konieczności walki z panującym stanem rzeczy. W tym sensie krwawy maj 1894 r. staje się jednym z punktów zwrotnych w kształtowaniu się psychiki i odrębności klasowej ostrowsko-karwińskich górników i robotników.

Klerykalne, finansowane przez hr Wilczka piśmko „Práce”, wychodzące w M. Ostrowie, pisało w związku z strajkiem: „Pióro trzęsie się w rękę, krew ścina się w najgłębszych wnętrzościach kiedy pomyśli się, że w wyniku uroczystości majowej popłynęła w naszym, miłym kraju ojczystym krew wielu niewinnych...” Po tej pompacyjnej i pretensjonalnej inwokacji autor przystępuje do frontalnego aktu, pełnego jadowitych inwektyw a zarazem fałszywego strojenia się w maskę prawdziwego obrońcy wyzyskiwanych i równocześnie tumanionych robotników. „Kwitnącą przyrodę majową naszego Bogiem pożegnanego raj, nawiedziły gawrony, — przywódcy przesadzonych zasad, którzy tam, gdzie panował dawniej przynajmniej spokój, zasiali ziarno niezgody, które puściło pędy, rozrastało się i rozrasta, ale które nie dojrzeje. Gniew, litość i ból wzbierają się w każdym szczerym przyjacielu ludu na widok postępowania tych osób, które nie mając niczego więcej do stracenia, prowadzą swą na pierwszy rzut oka słuszną w rzeczywistości kłamliwą argumentacją, całe rodziny do upadku, które to tam, to wkrótce gdzie indziej, nie troszcząc się o smutne konsekwencje, roznamietają i burzą lud, do tego stopnia, że w wielu wypadkach wystarczy jedna jedyna iskra, by tłący żar niezadowolenia wybuchł gwałtownym płomieniem żalosnych skutków dla całych rodzin poszczególnych jednostek i całe okolice doprowadzi do rozpaczliwego położenia gospodarczego.”¹³⁾

Jaki jest wobec tego pozytywny sposób rozwiązania palącego problemu społecznego, ostrość którego unaoczniała

właśnie wypadki polsko-ostrowskie. Rozbijacka prasa „robotnicza” Zagłębia przytacza tu zgodnie fragment przemówienia w Radzie Państwa ministra Falkenhayna, jednego z największych wrogów ruchu robotniczego na terenie b. Monarchii, wygłoszonego w trakcie dyskusji nad interpelacją Pernerstorfera w sprawie rzezi w Falknowie i Ostrawie. Cytujemy za redagowanymi przez znanego renegata klasowego ruchu robotniczego Zagłębia, Łukaszczyka pismem „Zajmy dëlńictwa”: ... Nie pomogą tu żadne hasła agitacyjne, żadne szczucie agitacyjne, tylko najprostszy kamień mądrości, a nim jest: Powrót do Boga. Powrót do Boga, wiara w Boga, poddanie się przykazaniom bożym — to są najlepsze lekarstwa współczesnej choroby społecznej.¹⁴⁾

Powyższe credo Falkenhayna mogło zachwycić ostrowsko-karwińskich baronów węglowych oraz ich popleczników i sługów. Falkenhaynowi wtórował w parlamencie wiedeńskim w czasie wspomnianej wyżej dyskusji kś. Świeży, jeden z czołowych filarów polskiego burżuazyjnego obozu narodowego na Śląsku Cieszyńskim, staczającego się już w tym czasie zdecydowanie na pozycje reakcyjne, ugody i współpracy z obszarnikami i kapitalistami ziemi cieszyńskiej. „My zaś, którzy wierzymy, deklarował z trybuny parlamentarnej Świeży w czerwcu 1894 r., oczekujemy poprawy złego od wiary, a religijne i piękne słowa, które tu niedawno powiedział minister rolnictwa (Falkenhayn), że „ludność chcąc istnieć koniecznie musi powrócić do Boga” znalazły w całym kraju potężny odgłos.” Nie ma innego wyjścia poza ucieczkę w chimeryczną nadziemską przyszłość, ponieważ tu na ziemi zdaniem mówcy „zło będzie zawsze, póki świat światem a ci którzy ludziom obiecują, że uwolnią świat od wszystkiego złego — ci haniebnie łżą i kłamią”.¹⁵⁾

Ucieczka w zaświaty, miraże opieki boskiej i mglistej miłości bliźniego nie mogły jednakże zadowolić mas proletariackich Zagłębia, na każdym kroku gnębionych i wyzyskiwanych, natrafiających w codziennym swym życiu na diametralnie przeciwnie sytuacje od tych, w jakich znajdowali się owi poszukiwa-

cze nadziemskich kamieni mądrości. Nic więc dziwnego, że ostrowsko-karwiński górnicy i robotnicy w swej masie coraz to lepiej i coraz to jaśniej zaczynają rozumieć klasową istotę panującego porządku rzeczy, że coraz to liczniej i zdecydowanie wybierają drogę, jaką wskazywał im klasowy ruch robotniczy. „Jak gdyby inny duch opanował wielu naszych górników, skarży się w sierpniu 1894 r. „Gwiazdka Cieszyńska”. ... Teraz wielką część górników opanował jakiś duch nienawiści,”¹⁶⁾ a w dwa miesiące później „Socjaliści nasi swe zagonny coraz dalej zapuszczają. Myślą, że Orłowa i Dąbrowa dla ich żniwa dosyć przygotowane, posuwają się dalej. Tego roku w Polskiej Lutyni zapuszczają swoje sieci ... , teraz zamysłają i w Niemieckiej Lutyni zgromadzenia urządzić.”¹⁷⁾

W tym procesie radykalizacja mas proletariackich Zagłębia i wzrostu świadomości klasowej odegrały krowawy maj 1894 r. w Polskiej Ostrawie wybitną rolę właśnie w sensie „coraz szerzej sięgającego jednoczenia się robotników”. Represje postrajkowe chybiają celu, w drugiej połowie 1894 r. jesteśmy świadkami znacznego liczebnego wzrostu organizacji „Prokop”. W listopadzie tego roku liczba członków Stowarzyszenia dochodzi do 10 tys., klasowy ruch robotniczy przestaje koncentrować się w rewirze ostrowskim, swym zasięgiem zaczyna obejmować całe Zagłębie. W tym samym jeszcze roku powstają grupy miejscowe w Radwanicach, Lutyni Polskiej, Orłowej, Dąbrowej i w szeregu innych miejscowości śląskiej części Zagłębia.

Wzrasta świadomość klasowa proletariatu górniczego rewiru śląskiego, stojącego dotychczas na uboczu i stroniącego od walki ostrowskich górników i robotników o polepszenie warunków pracy i bytu. Już w listopadzie 1894 r. załogi kopalń Zofii w Porębie, Eugeniusza w Pietwałdzie, Bettiny w Dąbrowej, Szybu Głównego w Orłowej oraz Szybu Nowego w Łazach porzucają pracę. Akcja nie przynosi co prawda spodziewanych rezultatów, głównie na skutek braku odpowiednio zdyscyplinowanej, sprężysto kierowanej, masowej organi-

zacji robotniczej, która mogłaby odpowiednio pokierować strajkiem, — były to przecież dopiero początki klasowego ruchu robotniczego na obszarze śląskiej części Zagłębia. Nie mniej, strajk listopadowy jest wymownym świadectwem fermentu, jaki zaczyna ogarniać coraz to liczniejsze szeregi górników w tej części Zagłębia Ostrawsko-karwińskiego. Stąd właśnie, z rewiru karwińskiego rzucone zostaje w dwa lata później — w lutym 1869 r., hasło do kolejnego poważniejszego wystąpienia, które przeradza się w następstwie w strajk generalny proletariatu całego już Zagłębia. Miesięczna akcja strajkowa osiąga swój szczyt w dniu 7 marca, w dniu tym nie podejmuje pracy, według zamieszczonych danych, pochodzących od Jiczńskiego, jednego z głównych ówczesnych kapita-listycznych maklerów rewiru, około 15 tys. górników i robotników — połowa łącznej ilości zatrudnionych w owym czasie na ostrawsko-karwińskich kopalniach i koksowniach.¹⁸⁾

Krwawy strajk majowy 1894 r. po-

siadał doniosłe znaczenie dla dalszego kształtowania się w Zagłębiu klasowego ruchu robotniczego. Poniesione przez proletariat górniczy ofiary nie poszły na marne, krew 12 zamordowanych górników i robotników nie pociekła na próżno.

Rok później, w pierwszą rocznicę rzezi polsko-ostrowskiej odsłonięty został w obecności ca 10 tys. osób pomnik ku czci ofiar 9 maja 1894 r., Nie obeszło się i tu rzecz jasna bez interwencji władz państwowych. Passus napisu na pomniku „Towarzyszom zastrzelonym w strajku...” musiał zostać zmieniony na „Towarzyszom poległym w strajku”.¹⁹⁾ Uroczyscie co roku obchodzone rocznice wypadków ostrawskich stały się odąd dla miejscowego proletariatu górniczego okazją do zmanifestowania niezłomnej woli dalszej walki z kapitalistycznym ustrojem społecznym, walki, której jedną z najchlubniejszych kart stał się właśnie strajk majowy r. 1894.

Józef Chlebowczyk

1. Prokeš J.: „Deset let boje a utrpení ostravských horníků. 1893—1903“. M. Ostrava 1903, s. 22.

2. „Zář“, Příbram. 16. V. 1894 r., nr II, cyt. za „Památník hornického krveprolití ve Slezské Ostravě 9 května 1894“. S. 37.

3. „Mährisch-schlesische Grenzboten“. M. Ostrau, r. XVIII, dr. 56, 11. V. 1894, s. 1—2.

4. „Památník hornického krveprolití...“, 1. c., s. 21, relacja A. Pasterniaka.

5. „Odborné Listy“. Časopis horníků a hutníků Moravy a Slezska. 17. V. 1894 r.

6. „Mährisch-schlesische Grenzboten...“, 1. c.

7. Brda W.: „Dzieje z życia i walki górników w ostrawsko-karwińskim zagłębiu“. M. Ostrava 1912, s. 27—8.

8. Jiczinsky W.: „Bergmännische Notizen aus dem Ostrau-Karwiner Steinkohlenreviere 1856—1898“. M. Ostrau 1898.

9. „Odborné Listy“... 1. c.

„Zář“... 1. c. podaje nawet liczbę 20 tys. strajkujących.

„Przedsвіт“ w numerze z maja (nr 5) 1894 r. przytacza następujące zestawienie liczby strajkujących:

w pierwszych dniach strajku 3 tys., 6. maja — 9 tys., 8. maja — 14 tys., 12. maja — 20 tys., 17. maja — 5 tys.

10. „Práce“. Politický týdeník pro dělnictvo. M. Ostrava, r. IV, nr 20, 13. V. 1894, s. 3.

11. „Památník hornického krveprolití...“, 1. c. s. 22. Relacja Sliwy J.

12. Marks K. — Engels F.: „Manifest Komunistyczny“. Warszawa 1946, s. 47.

13. „Práce“. R. IV, nr 20, 13. V. 1894, s. 2.

14. „Zájmy dělnictva“. List věnovaný zájmům katolického dělnictva a řemeslnictva. R. I, č. 5, 25. IV. 1894 r.

15. Galicz J. dr.: „Kš. Ignacy Świeży“. Cieszyń 1933, s. 68/9.

16. „Gwiazdka Cieszyńska“. Cieszyn, r. 47, nr 33, 18. VIII. 1894, s. 329.

17. Ibidem, r. 47, nr 41, 13. X. 1894, s. 411.

18. Jiczinsky W.: „Bergmännische Notizen...“, 1. c. s. 39.

19. „Odborné listy“, r. III, nr 10, 16. V. 1895, s. 5. — „Duch času“. M. Ostrava. R. XVI, nr 37, 9. V. 1914, s. 1.



Osobowość nauczyciela szkoły socjalistycznej

Wiele już napisano o wychowaniu i nauczaniu młodego pokolenia. W ustroju budującym socjalizm zagadnienie to cieszy się specjalną opieką partii i rządu, ponieważ chodzi tu o wychowanie nowego człowieka.

Głównym ośrodkiem wychowawczym to szkoła. Kiedyś była to szkoła burżuazyjna, która pod szumnym hasłem apolityczności służyła interesom burżuazji, wychowywała młodzież w duchu pokory i uległości wobec tych, którzy mienili się być panami tego świata.

Dzisiaj jest to szkoła nowa, szkoła socjalistyczna, która ma wychować młodzież na dzielnych i wykształconych obywateli swej ojczyzny, obywateli świadomych swej roli w społeczeństwie budującym nowy ład społeczny. Jest to szkoła nasza, służąca ludowi i jego potrzebom. Mówiąc o szkole, nie można pominąć osoby nauczyciela — głównej to postaci w niej. W jego bowiem rękach skupia się cała praca wychowawcza, on jest głównym i decydującym czynnikiem na tym odcinku. Nie ulega wątpliwości, że jest to zadanie wielkie i odpowiedzialne, kładące na nauczyciela wysokie wymagania. Zważywszy ważność i doniosłość całej sprawy, jaką bez wątpienia jest praca nauczyciela — nasuwa się mimo woli pytanie: jaki powinien być nauczyciel nowej szkoły, jakimi zaletami powinien wyróżniać się ten, któremu powierzono tak piękne a zarazem odpowiedzialne zadanie? Odpowiedź znajdziemy u wielkich pedagogów radzieckich, którzy w swych dziełach przedstawili nam obraz nauczyciela nowego typu, nauczyciela szkoły socjalistycznej. Wglądnijmy więc śmiało w ich dzieła i powiedzmy sobie wszystko, co sprawy tej dotyczy, a co dla nikogo nie jest i nie powinno być tajemnicą.

Mówiąc o pracy nowej szkoły mamy na myśli wychowanie człowieka nowe-

go, człowieka o postępowych, socjalistycznych poglądach. W tym kierunku powinien pracować nauczyciel, do tego powinna zmierzać cała działalność wychowawcza. Rzecz jasna, że chcąc wychować młodzież w nowym duchu, musi przede wszystkim sam nauczyciel być przekonany o słuszności idei, którą głosi. Nie może być inaczej. I dlatego też pierwszą, najważniejszą cechą nauczyciela szkoły socjalistycznej to wysoka ideowość, opierająca się o naukę marksizmu-leninizmu, o materialistyczny pogląd na świat. Ta nauka, jej tezy powinny przejawiać się w codziennej pracy nauczyciela, z niej powinien on czerpać siłę do pokonywania trudności i przeszkód, których na odcinku pracy wychowawczej nie brakuje. Marksizm-leninizm — to nauka o prawdzie. Mówi ona do człowieka językiem jasnym i zrozumiałym, dostępnym dla każdego, kto zdolnym jest zerwać z ciemnotą, fałszem i zakłamaniem idealistycznym. Światopogląd idealistyczny, to pęta hamujące rozwój myśli ludzkiej, utrudniające nam pracę na odcinku wychowawczym. Dlatego też słuszne jest żądanie, że nauczyciel szkoły socjalistycznej powinien być człowiekiem stojącym zdecydowanie po stronie nauki i prawdy. Nauczyciel, który dotąd tej zasadniczej rzeczy nie zrozumiał, nie spełni swego zadania tak, jak każe chwila dziejowa, jak tego wymaga nowa rzeczywistość. W jego pracy powstaną luki i niedomówienia, które — rzecz oczywista — odbiją się ujemnie na całokształcie jego pracy. Wiadomo bowiem, że wychowanie burżuazyjne pozostawiło w psychice ludzkiej ślady, których nie tak łatwo się wyzbyć. Trzeba usilnej i systematycznej pracy nad sobą, by wyobcować jad, którym zatruto nasze dusze. Nauczyciel więc powinien stale i systematycznie studiować i uczyć się, wgłębiać się w dzieła wielkiej nauki Marksa i Lenina, aby w taki sposób



W roku 1954 obchodzono w Bystrzycy na Śląsku czechosłowackim 180-letni jubileusz polskiej szkoły ludowej. Na zdjęciu dawny, pierwszy budynek szkoły

podnosić swój poziom ideowo-polityczny.

Nauczyciel nie tylko wychowuje, ale również uczy. Drugą więc zasadniczą cechą nauczyciela będzie głęboka wiedza, wszechstronne wykształcenie. Powinien on doskonale opanować pedagogikę, psychologię wychowawczą, anatomię i fizjologię dziecka oraz wiadomości o higienie szkolnej. Całkowicie powinien opanować metodykę nauczania, ponieważ nie zawsze ten jest dobrym nauczycielem, kto posiada głęboką wiedzę a nie potrafi zaznajomić z jej tajnikami drugich, być dobrym nauczycielem wykładawcą. Umiejętność nauczania to niezmiernie ważna, wprost niezbędna cecha nauczyciela. Nie przychodzi też ona łatwo. Trzeba dłuższego czasu, czasem wieloletniej praktyki, by osiąść tę umiejętność, stać się dobrym nauczycielem-metodykiem.

Ważna cecha osobowości nauczyciela, to wysokie uświadomienie narodowe,

oparte o zasady internacjonalizmu proletariackiego. Dobry nauczyciel to zarazem dobry patriota, uświadomiony członek swego narodu, kochający swą ojczyznę i swój naród i szanujący inne narody. Te zasady powinien nauczyciel wpajać w serca młodzieży, w tym kierunku powinien zmierzać proces wychowawczy w szkole. Wychowanie patriotyczne, to ważny odcinek pracy, szczególnie zaś ważny dla nas, żyjących na terenie Śląska Cieszyńskiego zamieszkałego przez Czechów i Polaków.

Podwójną więc uwagą powinno nasze nauczycielstwo tak czeskie, jak polskie darzyć ten ważny odcinek, konsekwentnie przestrzegać zasad internacjonalizmu proletariackiego, ponieważ jest to jedyna droga do zgodnego współżycia obu narodowości, wzajemnego szacunku i pełnego poszanowania tradycji narodowych.

Przedstawiliśmy w głównych zarysach osobowość nauczyciela nowej szkoły, za-

poznaliśmy się z zaletami, które kwalifikują go na stanowisko wychowawcy młodego pokolenia. Obraz ten nie byłby zupełny, gdybyśmy go nie dopełnili dalszymi cechami dobrego nauczyciela. Jest to przede wszystkim umiejętność podejścia do dzieci oraz zdolność wytworzenia harmonijnego, zgodnego kolektywu młodzieżowego. Poznać charaktery dzieci, umieć pozyskać sobie ich zaufanie i miłość, to sprawa niełatwa. Nie każdy nauczyciel może się tym osiągnięciem pochlubić. Chcąc zdobyć miłość, przywiązanie i szacunek dzieci, musi nauczyciel przede wszystkim sam pokochać dzieci, musi być bezwzględnie sprawiedliwy w ich traktowaniu, nie wolno mu być pobłażliwym wobec wykroczeń przeciw regulaminowi. Zawsze i wszędzie powinien on pamiętać o tym, że w jego osobie widzą dzieci wzór i przykład. Jego więc zachowanie i postępowanie powinno być zawsze nienaganne, godne jego stanowiska.

Jeszcze jedno należałoby dodać, aby obraz nauczyciela nowej szkoły socjalistycznej był zupełny. Każdego nauczyciela, który chce dobrze wykonywać powierzone mu zadanie i chce być dobrym wychowawcą, musi oprócz powyższych zalet cechować umiłowanie swego zawodu. Musi on mianowicie ukochać swój zawód, ukochać pracę nauczycielską. Bowiem praca nauczyciela różni się od innych zawodów, bezpośrednio wpływa on na kształtowanie się charakteru dzieci, w jego ręce oddano to, co najdroższe w narodzie. Praca to niezmiernie odpowiedzialna, dlatego też wymaga całego serca, wymaga poświęcenia, zapału, cierpliwości i żarliwości. Zawodu nauczycielskiego nie można traktować jako rzemiosła. Jest to zawód piękny i szlachetny, a temu, kto go ukochał i sumienie spełnia swe obowiązki, przyniesie wiele prawdziwego zadowolenia i radości.

Zarysowaliśmy pokrótce właściwe



Dzisiejszy gmach polskiej szkoły ludowej w Końskiej (Trzyńcu), która została założona przed 161 laty

uosobienie nauczyciela nowej szkoły, po-
stać nauczyciela ideowego. Nasuwa się
pytanie, czy nasz polski nauczyciel na
śląsku czechosłowackim osiągnął już
ów idealny poziom, czy spełnia wszyst-
kie warunki, o których powyżej mowa?
Wśród licznej rzeszy naszego nauczy-
cielstwa mamy dużo wybitnych pedago-
gów, mamy i nauczycieli przeciętnych,
niekiedy nawet nauczycieli „pod po-
ziom”. W każdym bądź razie nikt z nich
nie powie o sobie, że jest idealnym pod
każdym względem nauczycielem. Nasz
nauczyciel ma wiele wybitnych cech, ma
wszakże i braki, które musi poprzez
usilną pracę nad sobą stale usuwać. Po-
winien on pamiętać, że nie wolno mu
zostawać w tyle, ale zawsze kroczyć w
czołówce ideologicznych pracowników,
którzy stanęli otwarcie na platformie
nowego, marksistowsko-leninowskiego
światopoglądu.

Jest to sprawa niezmiernie ważna i
nam nie wolno uchylać się od odpowie-
dzialności na tym odcinku, ponieważ

winniśmy to naszej wspólnej sprawie,
winniśmy to przyszłości i przyszłym po-
koleniom.

Nie miałem zamiaru mówić o pracy
naszego nauczycielstwa. Zadaniem ar-
tykułu było zaznajomienie czytelnika z
osobowością nauczyciela nowego typu,
nauczyciela naszej nowej, socjalistycznej
szkoły. Sądzę, że przynajmniej w ogól-
nych zarysach mi się to udało.

Kończowa wzmianka o naszym nauczy-
cielu wymknęła mi się spod pióra dla-
tego, ponieważ wyczuwam tutaj naj-
większą lukę w jego charakterystyce,
którą będzie trzeba jak najprędzej usu-
nać. Ten bowiem, któremu powierzono
tak ważne zadanie do wykonania, jakim
jest wychowanie młodzieży, powinien
zrozumieć, że społeczeństwo budujące
nowy ład społeczny, nowy, lepszy świat,
ma prawo wymagać od wychowawcy
młodego pokolenia wysokiej ideowości
i pełnego sprostania wymogom i pra-
wom nowej rzeczywistości.

Józef Mrózek

MAKSYM RYLSKI

Lenin z nami

Gdy rodził się nowy świat, w proch
Przewrócił zatrute wiekami —
My w bojach, cierpieniach i trudach
Nieśliśmy słowa: wielki Lenin z nami!

Gdy nasz dzień, jak jasny okręt,
Przeplynał nad spienionymi falami —
Od gór Kaukazu i do fińskich skał,
Grzmiały słowa: mądry Lenin z nami!

Gdy powiódł w walce świętej
Ludowe siły do jasnej bramy,
Wielki Stalin wzywa nas do boju —
Mówimy: wielki Lenin z nami!

Spolszczył z ukraińskiego **Józef Bojar**

Franciszek Liszt o języku polskim

Zamieszczając pod powyższym tytułem artykuł o wielkim kompozytorze Franciszku Liszcie, chcemy przypomnieć, że nazwisko tego przyjaciela Chopina związane jest w pewnych okresach jego współczesności także z dziejami Śląska. Autor symfonicznego poematu p. t. „Prometeusz” bawił często w różnych zakątkach całego Śląska. Tutaj na ziemi śląskiej powstały nawet pewne jego utwory muzyczne, jeśli wspomnieć zamek Lichnowskich w Hradcu przy Opawie. Liszt bawił także na zamku w Cieszyńcu, gdzie koncertował w czasach satrapy Kalchberga, jednego z oskarżycieli czołowego rewolucjonisty polskiego z okresu „Wiosny Ludów” jakim był Paweł Oszelda z cieszyńskich Nieborów.

Red.

Na pierwszy rzut oka — tytuł może i trochę dziwi. Jakże do tego przyszło — zadajemy sobie pytanie — że genialny autor poematów symfonicznych: „Tassa”, „Prometeusza”, „Hamleta” i „Mazepy”, twórca pełnych czaru Rapsodj i Koncertów: Es-dur i A-dur, wielostronnie utalentowany artysta, wirtuoz i pisarz — wypowiedział się na temat języka polskiego?

Franciszek Liszt (1811—1886), po ojcu Węgier, zaś po matce Niemiec, geniusz muzyczny. „Najznakomitszy fortepianista i w ogóle obok Paganiniego największy nowszych czasów wirtuoz” — jak go określali współcześni — bardziej może niż którykolwiek ze sławnych podówczas znanych naszemu narodowi cudzoziemców zbliżył się był do Polaków. Przyjaciół serdeczny Chopina, lubiący przebywać w Paryżu w kółkach jego rodaków, poznał Polaków jeszcze bliżej, bo we własnym ich kraju. Dwukrotna wizyta mistrza fortepianu w Polsce (rok 1843 i 1847) wywołała olbrzymi entuzjazm i to nie tylko ze strony gospodarzy, ale i gości, który dzięki swojej szerokiej, serdecznej naturze czuł się w ojczyźnie Chopina, — jak ryba w wodzie.

Z artystycznej też wyprawy na kontrakty kijowskie (1847) uniósł Liszt z

sobą do Weimaru Muzę z Woroniniec, Karolinę z Iwanowskich Wittgenstein i to razem z jej córeczką, która odziana w polski strój i oparta o weimarski fortepian — będzie również natchnieniem mistrza tonów.

Wpływów więc polskich nie brakło, jak widać, nic też dziwnego, że jak na cudzoziemca — z dobrym znawstwem spraw psychiki polskiej napisana została przez Lisztą (choć rzekomo do spółki z panią Karoliną, czy może tylko korzystając z jej uwag) książka o Fryderyku Chopinie („Frédéric Chopin”, Lipsk 1852), tłumaczona na kilka języków, pierwsza propagująca kult Chopina w całym świecie.

Składający hołd pośmiertny przyjacielowi „natchnień jego wykonawca” — jak Liszt sam o sobie powiedział — w tej to właśnie książce z całą wylewnością i swadą, która go cechowała, wypowiedział się na temat języka polskiego. Zanim jednak podamy ową charakterystykę, na którą spojrzeć musimy — pamiętajmy — z odległości całego wieku, pobbłżając ówczesnym pojęciom o języku, gawędziarstwu, „wykwintnemu” stylowi, no i „artystowskiemu” podejściu do rzeczy — zacytujemy z tłumaczenia Felicjana Faleńskiego: „Fr. Szopen przez F. Lisztą”, W-wa 1873, jedną z rozsianych w różnych miejscach książki uwag Liszta dotyczących mowy polskiej „we względzie psychologicznym”. Oto więc dla przykładu (str. 38—38):

„Dnia pewnego troje nas było razem. Podczas kiedy grał Szopen, jedna z najświetniejszych Kobiet paryskich, słuchając go, doznała takiego wrażenia, jak kiedy się to błądzi wpośród zasianego grobowcami cmentarzyska wschodniego, które z dala obiecywało raczej cieniste tylko, pełne wdzięku ustronie. Dumając nad tym, spytała go: skąd też pochodzić może to pełne poszanowania uczucie, które bezwiednie obudza w duszy na wi-



*Franciszek Liszt z lat cieszyńskiej
„Wiosny Ludów“*

dok pomników, nie mających z pamięcią serca nic wspólnego — a zarazem dla czego utwory jego tenże sam wpływ niepojęty zdają się wywierać? Zwyciężony tym zapytaniem nabrzmiałym łzami, z otwartością rzadką u artysty zazdrosnego tajemnic, które skrzętnie w najtajniejszym skarbcu serca swego schował — rzekł na to: — że kluczem do zrozumienia obu tych wpływów, mogłoby być jedynie słowo: żałość, słowo w żadnym innym języku nieznane, równie jak i w żadnym innym kraju nieznane jest uczucie, które ono określa. Wymawiając ten wyraz, powtarzał go sobie po kilka razy z rzędu — właśnie jakby już ucho jego dźwięku tego dziwnie chciwe było. Mawiał też nieraz, że jakbądźby go kiedy wesołym widziano (a zdarzało się to nawet dość często), nigdy przecież ani na chwilę od usposobienia tego, z którym już na świat przyszedł zupełnie wolnym nie bywa.

Żałość — wyraz to dziwnie szerokiego znaczenia, dziwniejszych jeszcze głębi pełen. Wyobrażając sobie najrozmaitsze stopnie nastroju ducha, wypowiada on wszelkie zasmucenia i wszelkie skruchy

towarzyszące nieuleczonej tęsknocie, która z pokorą przed niezbлагanym Opatrzności zrządzeniem blade pochyla czoło. Ale zarazem, stosownie do osobistości cierpiącego, bywa też cichym szemraniem, wybuchami wyrzutów, zrywaniem się do pomsty, i wreszcie groźbą huczącą w głębi serca — co wszystko razem składa się w jedną płoną gorycz, w której nie ma pierwiastków zbawienego pokarmu.

To tedy uczucie smutne, w istocie bądź srebrzystymi, bądź płomiennymi swymi odbłaskami, barwi koniecznie każdy utwór Szopena.”

Szerzej jednak o języku polskim rozpisał się Liszt już nie przy omawianiu twórczości muzycznej swego przyjaciela, ale charakteryzując jego usposobienie. Oto np. „Szopen z najbliższymi swymi bardzo troskliwie utrzymywał stosunki listowe — ale wyznać należy, że jedynie z nimi”. Wprost — „jedną z osobliwości jego było”, że „za nic w świecie” nie skreśliłby kilku słów do obcego człowieka i że „aby uniknąć konieczności napisania łańdź nic nie znaczącego świstka” — bywało, „że wolał przebyć Paryż cały z końca w koniec, dla odmówienia jakiego obiadu, lub dania żądanych objaśnień, byle sobie tylko oszczędzić trudu napisania kilku wierszy”. A przecież — jak pisze Liszt (str. 80, 182)...

„Powiadając, że zdarzało mu się robić w tym względzie wyjątki i to na korzyść niektórych pięknych pań jego kraju, i że są takie, które się pochwalić mogą: że mają od niego listy po polsku pisane. Niesłychane to u niego stale przyjętej zasady pogwałcenie, usprawiedliwić się chyba może przyjemnością, jaką mu sprawiało używanie mowy rodzinnej; nie tylko bowiem z ziolkami językiem swego kraju rozmawiać lubił, ale i dosadne jego wyrażenie cudzoziemcom z upodobaniem nieraz tłumaczył. Wybornie znał francuski język, jak w ogóle niemal wszyscy Słowianie; do tego pochodzenie jego jeszcze mu silniej w znajomości tej dopomagało. A przecież, francuszczyznę bardzo nisko ocenił, zarzucając jej chłód i brak dźwięczności. W tym względzie, podzielał tylko powszechne ziolków swoich przekonanie,

którzy w ogóle po francusku z wielką mówią łatwością, często nawet sami między sobą, i nieraz bieglej niż po polsku; a jednak utrzymywać zwykli, że tylko w swoim języku posiadają odpowiednie wyrażenia dla tych tysiącznych odcieni, które wydają się być myśli migotaniem. Zdaniem ich mowie francuskiej to stosownej wspaniałości, to słów dostatecznie namiętnych, to wreszcie wdzięku pociągającego braku. Bywa nieraz spytasz ich o wytłumaczenie ci jakiego wiersza czasem tylko oderwanego słowa, które sobie po polsku wymienią: — „o! to się nie da żadną miarą wyrazić” — niechybnie ci z góry powiedzą. Następnie próbują rzecz objaśnić, i oto pokazuje się: że tam jest tyle do wypowiedzenia, samym już tego wyrazu wymówienia sposobem, a dalej znaczenia jego bogactwem, rozlicznymi stosownie do okoliczności odcieniami — że chyba on istotnie wyrazić się nie da. Już w tych kilku powszechnie tam przyjętych sposobów mówienia, które dotąd tu i ówdzie przytoczyłem, dowód mieć można: że język polski obfituje w środki obrazowania rzeczy oderwanych, i że w przebiegu swojego rozwoju miał sposobność, pomiędzy najsprzeczniejszymi ideami, kunsztownie ustalić zbliżenia. Z tego wszystkiego powyższywały się owe do kolorytu żywości, bijące z każdego dosadniejszego w nim wyrażenia, a zarazem osobliwsze słów działania, tak że powiedzieć by o nich można: że konieczne budzą w umyśle dźwięk, odpowiadający tercji, który natychmiast myśl w akord minorowy lub majorowy ukształca. Bogactwo podobnej mowy nastęrcza dziwną łatwość w wyborze stosownego do okoliczności nastroju; niemniej przecież, to samo bogactwo, w niektórych razach, także utrudnieniem się staje; stąd bardzo być może, że ów tyle rozpowszechniony w Polsce obcych języków użytek przypisać wypadnie pewnemu, że tak powiem, ducha lenistwu, które oszczędzić by sobie raść utrudzenia w wyszukiwaniu odpowiednich wyrażeń w języku pełnym nagłych głębi, a zarazem tak ściślej zwięzłości, że tuzinkowość staje się w nim niezdolna a prześlizgiwanie się po wierzbach niemal niepodobnym. Niewyraźne oddźwięki lada jako

określonych uczuć, wymykają się silnym gramatycznym jego wiązadłom; nie osiedzi się w nich żadna myśl chuda lub oklepana, przy bliższym bowiem z mocą słów zetknięciu, konieczne stać się musi śmieszna lub nic warta. Nie czemu też innemu zapewne, tylko tym niepoślednim właściwościom języka zawdzięcza literatura tego kraju, w porównaniu z liczbą pisarzy, stosunek acydzień większych niż gdzie indziej. Ośmielając się bowiem używać go, już przez to samo mistrzem się stajesz.”

W długim zaś przypisku wyjaśnia jeszcze Liszt (str. 82—84):

„Byłoby nieszusnym odmówić mu przytem harmonii muzycznej. Dziwny to bowiem przesąd twierdzić: jakoby zbyt spójgłosek miał koniecznie językowi twardość nadawać, — należy to bezwzględnie od sposobu ich łączenia. Przeciwnie, języki niektóre właśnie przez to blade miewają i zimny koloryt, że im brak dźwięków stale oznaczonych i napiętnowanych siłą. Dopiero to częsty powrót pewnych spójgłosek mowę wybitną wzmacnia rytmicznością — przewaga zaś samogłosek stanowi tylko tło rozcięzione, które kunsztownie przyćmić tu i ówdzie nie lada bywa potrzebą. W tym względzie, niesformie jedynie sprzecznych dźwięków potrącanie się przykrym sposobem na ucho działać może. Ale nie tak jest u Słowian. W łączeniu u nich spójglosem, nie dosłyszysz nigdy niezgodności — nawet wtedy, kiedy cię to raczej uderza swoją trudnością, niż powabem pociąga. Dźwięków mają wielkie bogactwo, potęgowane jeszcze mnóstwem odcieni. Głoska Ł, dla cudzoziemca niemal do wymówienia niepodobna, nie ma przecież w sobie nic twardego. Sprawia ona niby wrażenie dotknięcia wełnianej tkaniny — jest to coś sobie szorstkiego i sprężystego zarazem. Porównanie to rozciągnąć się nawet godzi do całego ogółu wrażenia, jakie słyszenie tych języków na ucho cudzoziemca wywiera. W języku polskim znajdziesz do tego niejeden wyraz, jak najdokładniej dźwiękiem swoim naśladowujący przedmiot, który wypowiada. Weźmy nie dalej jak sam ten wyraz dźwięk. Podobnaż dotykalnie uwydatnić uczucie, jakie z pojęcia tego zmysłowi słuch przypada?

Bogactwo nie znanych nigdzie więcej pomiędzy spółgłoskami kombinacji wielką tu bywa pomocą. Dodajmy do tego zmiekczenia ich i stwardnienia, a także samogłoski nosowe, wreszcie użycie Y, równie dla cudzoziemca jak Ł nieprzystępne, i równie jak ta głoska do wysokiego stopnia migotliwe. Tysiączne te, tak już w sobie subtelne i tak ruchliwe środki, w ustach kobiet, nabierają jeszcze pewnej śpiewności i powabnego przeciągania, po którym to nawyknieniu, słysząc je nawet jak najbieglej obcym językiem mówiące, z łatwością narodowość ich odgadniesz. Jest i w tym jeszcze niezliczona moc odcieni — uderzeń, nacisków, natężeń, spadków, przejść modulacyjnych, to powolnych, stopniowanych, to nagłych, to w wymawianiu pojedynczych wyrazów, to w zaokrąglaniu zdań lub okresów całych, i to zawsze stosownie do przedmiotu rozmowy — w czym wszystkim dziwnie się czuje oszołomionym uczony cudzoziemca — zwłaszcza jeśli jeszcze towarzyszy temu dowcipny uśmiech a złośliwe spojrzenie, przypominające zdradliwą postawę niektórych ptaków, wabiących swym szczebiotem, a to tylko, ażeby z tropu

zbić myśliwca. W istocie nawet, mowę tę w ustach Polek, nie bez słuszności pewnej, szczebiotaniem nazwać się godzi. Umieją jej one słodczy nadawać i pieszczotliwość, jakiej daremnie byś znowu w ustach mężczyzn szukał. Ci ostatni bowiem, raczej poważne brzmienia z niezwykłą starannością uwydatnić w niej radzi; ale też słysząc to pojmujesz snadno, dlaczego tak świetnie u nich kwitła niegdyś wymowa. Niemniej przecie i dla poezji niwa tam bogata. Stąd coś za rozmaitość rytmów, miar, wystarczająca na wszelkie rodzaje potrzeby muzyczne, nie tylko w zakresie liryki, ale dramatu, a nawet epopei. Zbliżano język polski z rosyjskim, w tym samym zupełnie stosunku, co łacinę z włoszczyzną. W istocie, język rosyjski więcej ma dźwięków powłóczystych, kołysanych, rzec by można wzdychających. Rytmiczność jego osobliwie się do śpiewu nadaje, tak dalece, że niektóre poezje Żukowskiego i Puszkina, zdają się być gotową melodią: taki Szal czarny, taki Talizman, na przykład, czytane głośno, sprawiają od razu wrażenia jakiego ariosa, lub słodkiego cantabile."

Janina Siwowska



Stylowa szklarnia na zamku cieszyńskim, gdzie przed stu laty koncertował Franciszek Liszt

Obrona górali beskidzkich przed uciskiem panów feudalnych i ich walki o byt

Ludność południowych, górskich okolic Śląska Cieszyńskiego, osiedliła się tam na innych warunkach, niż ta, która zajęła północne i środkowe części kraju. Tu nie przydzielano pierwszym osadnikom kawałków gruntu nadającego się do uprawy roli, które też uprawiali i przy nich się osiedlali. Tu pierwszymi osadnikami byli albo zawodowi robotnicy leśni, albo bezrolni chłopci, zarabiający na życie pracą w lesie, wyrabiający dla dworu właściciela kraju, księcia cieszyńskiego, gonty i rąbiący dla niego drzewo opałowe. Jedni i drudzy dostawali zwykle zamiast zapłaty pieniężnej kawałki gruntu po wyrąbanym lesie, które oczyszczali z pni i krzewów, i jeżeli nie mieli mieszkania pod górami, na nich stawiali sobie z drzewa miejscowego prymitywne chaty na schronienia dla siebie, rodziny i bydła, jeżeli je mieli. Z drzewa, które rosło naokoło nich, budowali chaty, robili narzędzia gospodarcze, sprzęty domowe, wozy i wszystko, co im było potrzebne, w lasach paśli swoje bydło, bez przeszkody ze strony właściciela, który w czasie kolonizacji górskiej nie miał z nich dochodów, i dlatego pozwalał tym pierwszym osadnikom korzystać z nich z początku bezpłatnie oraz paść w nich bydło bez ograniczenia, również bez żądania opłat od niego.

Do otrzymanych od księcia kawałków gruntu górale przyrąbывali często nowe kawałki w sąsiedztwie, tworzyli tzw. przyrobiska i wyrobiska, które książęca służba lasowa zwykle przyjmowała do wiadomości, nakładając tylko pewne opłaty w pieniądzu lub w drobie, co właściciel-książę też chętnie widział, bo to był prawdopodobnie pierwszy jego dochód z lasu.

Przez długi czas był spokój w górach beskidzkich. Z czasem ze skupionych osad powstawały wsie w Beskidach, najpierw Mosty przy przełęczy Jabłon-

kowskiej, potem Istebna, Jaworzynka, później Wisła i inne.

Lecz w ciągu XVIII w. sytuacja w górach uległa gruntownej zmianie. Las zaczął przynosić dochód przez wywóz drzewa do Galicji i Węgier, wzrosło zapotrzebowanie jego w kraju, dla huty, która powstała w Ustroniu (1772), dla urządzeń kopalnianych dla rozwijającego się górnictwa. Odtąd zarząd dóbr książęcych zaczął ochraniać las przed dowolnym korzystaniem przez górali, ograniczać pastwiska w lasach, żądać zapłaty za drzewo opałowe i budulcowe i to do tego stopnia, że góralowi, który nie zapłacił za drzewo na gonty, zrzucono dach z chałupy, dalej nakładać opłaty od bydła pasionego, zabierać łąki leżące wśród lasów, aby je zalesić, nawet takie, które były kupione przez poprzedników u zarządu dóbr. Jeżeli górale mieli umowy kupne w rękach, to im je zabierano, aby ich pozbawić dowodów. Za branie drzewa z lasu bez osobnego pozwolenia lub z miejsc nie wyznaczonych karano górali pieniężnie, więzieniem lub pracą przymusową w kajdanach.

Dla górali mających zwykle bardzo mało uprawnej roli i żyjących przede wszystkim z hodowli bydła, rozległość terenów pastwiskowych, znaczna ilość bydła, dowolne korzystanie z lasów, wśród których siedzieli, było kwestią życia, dlatego dla obrony poprzedniego stanu rzeczy wyteżyli wszystkie siły. Powstała walka między nimi a zarządem dóbr książęcych i jego urzędnikami, którzy jako Niemcy, wrogo już z góry usposobieni do ludności, z którą mieli do czynienia, dawali się jej dotkliwie we znaki. Oto etapy tej walki, opisane w aktach b. Komory cieszyńskiej, teraz archiwum państwowego p. t. Strittakten der Gebirgsgemeinden wegen strengen Hutungs, Holzungs und Ziegenwirtschaft

in den Waldungen und Saalaschen 1796—1822.

W lipcu 1795 dwadzieścia gmin górskich wniosło do cesarza skargę na ucisk ze strony urzędników kameralnych, na którą nastąpiła odpowiedź 8 XII 1795. Treść tej skargi ani odpowiedzi akta Komory nie podają, tylko w kilka dni potem leśniczy jabłonkowski doniósł o gwałtach dokonanych przez górali i mieszczan jabłonkowskich w lasach książęcych. Widocznie górale niezadowoleni z odpowiedzi cesarskiej sami sobie wyrazili sprawiedliwość, korzystając z lasów tak, jak to przedtem czynili. W następnym roku wezwano wójtów z Ligotki, Wisły i Nawsia, aby się stawili przed władzą, gdzie im przypomniano zarządzenie cesarskie z 8 XII 1795 a równocześnie doniesiono o gromadach tajnych w Puńcowie, gdzie chłopci obu Ligot Górnej i Dolnej omawiali postępowanie urzędników książęcych, ich ucisk, ograniczania, wymuszania i szukali sposobów zaradzenia temu. Równocześnie radzili także urzędnicy nad sposobami zapobieżenia wystąpieniom górali, środki proponowane przez nich nie prowadziły do celu, gdyż były tego rodzaju, że górale nie mogli ze swoją szkodą zaniechać oporu. Nie pomogła też rezolucja cesarska z 23 II 1796, wystosowana do gmin będących prywatną własnością księcia cieszyńskiego (Alodialnych) w języku polskim. W tym samym języku wygotały też gminy kameralne odpowiedź na nią.

Górale próbowali nawet wciągnąć do akcji po swojej stronie morawian, lecz bez skutku. W swojej walce zwracały się gminy do władz politycznych kraju, do zarządu dóbr kameralnych, wносиły prośby i przedstawienia, gdy od nich nie uzyskały przychylnego załatwienia, wtedy poszły wyżej. Wystosowały obszerny memoriał do cesarza, podpisany przez wójtów i przysiężnych. Sprawa była tak żywotna dla gmin, że wójtowie, choć mianowani przez zarząd dóbr i zależni od niego, zsolidaryzowali się tym razem z resztą mieszkańców i wystąpili w ich imieniu w obronie ich uprawnień. „Z sercem głęboko zasmuconym i płaczącymi oczyma” skarżyły się gminy na ucisk zwierzchności i urzędników książęcych,

na narzucanie im nowych ciężarów, których przodkowie ich nie znali, na ukracanie im praw. „W ufności w sprawiedliwość Księcia prosiliśmy przez dwóch swoich posłów o zniesienie wszelkich nowości, przywrócenia dawnych stosunków i poprzednich danin. Ci dwaj posłowie wręczyli prośbę osobiście księciu i otrzymali przyrzeczenie ustne, że będziemy zostawieni przy dawnym i że na nasze pismo otrzymamy odpowiedź pisemną. Lecz dana nam za pośrednictwem Komory rezolucja nie przyniosła żadnych ulg, owszem wbrew naszym oczekiwaniom, wyrzucała nam upór i niegodziwość, a zarazem zawierała całkiem nieuzasadnione groźby, urzędnicy po tej rezolucji postępują jeszcze gorzej z nami i oczerniają nas przy każdej sposobności, przedstawiając nas za buntowników. Dlatego z początku nie wiedzieliśmy, czy mamy wątpić w wiarygodność owej rezolucji, która zostaje w tak rażącej sprzeczności z ustnym przyrzeczeniem księcia, czy też mamy przypuścić, że nasza zwierzchność została przez urzędników błędnie poinformowana. Dalsza droga do niej jest już zamknięta, zwłaszcza, że się robi starania, aby wyszukać tych, którzy przepisywali naszą prośbę i grozi się karami za to. Zwracaliśmy się także do urzędu okręgowego i prosiliśmy cztery razy o pomoc, ale daremnie. Do kogoż zatem mamy się zwrócić, jak nie do Waszej Cesarskiej Mości, naszego łaskawego ojca, którego ludzkość i sprawiedliwość jest powszechnie ceniona i który troskliwie dba o to, żeby każdy stan utrzymał się przy swoich prawach.”

Następują potem memorialne szczegółowe zażalenia, spisane z widoczną głęboką nienawiścią do zarządu Komory, zrodzoną z ciągłej walki w stosunkach z urzędnikami. „To także przyczynia się do naszej szkody — piszą na końcu memoriału — że zarząd Komory składa się z samych krewnych. W takich warunkach nie może być poddanym dobrze. Do nas przychodzi strzelec w podartym ubraniu, nie mając nic jak gołe ciało. Po 4 czy 5 latach tyje i dochodzi do majątku, który wycisnął na biednych poddanych.”

Gminy prosiły cesarza jeszcze raz o usunięcie krzywdy i zostawienia ich przy dawnych powinnościach i prawach, obiegając za to modlić się o zdrowie dla niego i najświetniejsze zwycięstwo nad Francuzami (1796, wojny napoleońskie).

Do zbadania zażaleń górali wyznaczono komisję, od której jednak nie mogli się doczekać załatwienia sprawy, a sądząc, że ich memoriał nie doszedł do wiadomości cesarskiej, wnieśli w następnym roku nową prośbę, a po paru miesiącach drugą, w której już posunęli się do grózb. „Jeżeli my, biedni poddani i teraz jeszcze nie uzyskamy ulg, to niechybnie spotkają nas ze strony urzędników kameralnych jeszcze większy ucisk i kary, a wtedy możemy w rozpacz zwrócić się nie przeciw cesarzowi ani także księciu, lecz przeciw dokuczliwym urzędnikom i wywołać jakiś bunt, skoro już i tak jest wrzenie.” (Fr. Popiołek, Historia Osadnictwa w Beskidzie śląskim).

Odpowiedź na te skargi nastąpiła w roku 1800. Sprowadzono wojsko i to wymusiło na góralach zaniechania oporu. Przemocą narzucono wsiom beskidzkim układ, nazwany ugoda, na mocy którego

z terenu pastwiskowego odjęto na razie dziesiątą część, tj. przeszło 4000 morgów i przeznaczono na zalesienie. Ażeby góralom złagodzić tę stratę, przyrzeczono im, że ci, których opłata ryczałtowa wynosiłaby więcej niż by się należało od ilości bydła utrzymanego, będą płacić tylko od tej ilości, którą rzeczywiście chowają, podczas gdy dotąd żądano od nich, zabierając im pastwiska i zmuszając do redukcji bydła czyli tzw. wysady, tej samej opłaty, którą uiszczali poprzednio od większej ilości bydła. Nadto przyrzeczono góralom, że pozostawione im pastwiska nie będą zmniejszane przez zakładanie nowych osad lub nową sprzedaż łąk, lecz że posiadacze ich będą na zawsze zabezpieczeni w swym posiadaniu. Przyrzeczenia tego jednak nie dotrzymano i w dalszym ciągu umniejszano pastwiska, a tym samym i hodowlę bydła, która przy tym sposobie gospodarowania, w jakich była prowadzona, tj. przy sałasznictwie, nie mogła bezwarunkowo obejść się bez obszernych terenów pastwiskowych.

Zagrożeni utratą podstawy swego bytu, jaką była gospodarka hodowlana na terenie górzystym, mało nadającym się



Władysław Cejnar — Szkic z Bukowca

do uprawy roli z powodu lichej gleby i niekorzystnego klimatu, stawili górale czynny opór przeciw zarządzeniom władz. Łąki kupione przez przodków i posiadane od kilkudziesięciu lat, uważali za swoją własność i bronili jej jak mogli. W r. 1836 komisja regulacyjna, złożona z urzędników Komory, kazała w Mostach postawić nowe kopce graniczne oddzielające pastwiska od lasów. Górale je zburzyli w obawie, że one mają na celu nową redukcję pastwisk, a nakazu przywrócenia ich, wydane go przez zarząd dóbr książęcych i idący mu na rękę cieszyński urząd okręgowy, nie usłuchali pomimo surowych kar, jakie zastosowano wobec opornych. Sprowadzono znowu wojsko i żołnierze zmusili mostowian biciem i znęcaniem się do odbudowania kopców.

Kiedy urzędnicy leśni przystąpili w Jaworzynce do sadzenia lasu na dotychczasowym terenie pastwiskowym, o obszarze 100 morgów, górale próbowali temu przeszkodzić. Żony ich zasiadły dołki przygotowane pod sadzonki, ale zostały pobite przez urzędników, urzędnik kameralny Langer połamał szable na ich głowach, kilkudziesięciu górali wsa-

dzono do więzienia a na wieś całą naślano egzekucję wojskową (1838).

Jak z tego widać, walka w górach między mieszkańcami wsi a zarządem dóbr książęcych nie ustała pomimo tzw. ugody z r. 1800. Przeciwnie w XIX wieku ona się nawet rozszerzyła. Przy końcu XVIII wieku górale paśli przeszło 8 tysięcy sztuk bydła rogatego, krów i cieląt oraz przeszło 17 tysięcy owiec i kóz. W r. 1813 wyszło rozporządzenie cesarskie, zakazujące surowo trzymania kóz, jako niebezpiecznych dla kultury leśnej, zwłaszcza na granicy z Galicją i Węgrami. Odtąd główny atak zarządu dóbr książęcych skierowany był przeciw hodowli kóz. Górale protestowali energicznie przeciw zakazowi, gdy starostwo cieszyńskie powtórzyło zakaz cesarski z zaznaczeniem, że do 15 IV 1817 kozy mają być usunięte ze sąsiedztwa pod grozą rozstrzelania ich, usłuchali dopiero wtedy, gdy wojsko już miało nadejść, lecz gdy cesarz w tym roku przejeżdżał do Galicji, wnieśli prośbę do niego o pozwolenie na trzymanie kóz w sąsiedztwie. Sprawa ta ciągnęła się jeszcze długo i dlatego zasługuje na osobne przedstawienie.

JERZY SLIZIŃSKI

Bracia Czescy w Polsce

Spadkobiercami oraz kontynuatorami postępowych tradycji husyckich stali się w czasie, kiedy kalikstyni daleko już odeszli od rewolucyjnej linii Taborytów — Bracia Czescy. Oni to wpłynęli szczególnie silnie na rozwój języka, szkolnictwa oraz piśmiennictwa czeskiego w XVI i na początku XVII wieku. Jak żywo przedstawiała się działalność wydawnicza Braci, szczególnie na początku XVI stulecia, świadczy fakt następujący w Czechach, w latach 1500—1510 wydano drukiem 70 książek. Z tego 60 wyszło z drukarni Jednoty. Z pięciu istniejących w tym czasie drukarni, aż trzy należały do Braci.

Dziełem szczególnie ważnym pod względem językowym, był mistrzowski przekład „Biblii Kralickiej” (wydany w 6 tomach w latach 1579—1593 w Kralicach). Przekład ten, w epoce Odrodzenia Narodowego przyczynił się w dużej mierze do powstania nowego języka czeskiego, zdolnego do wyrażania wszelkich poetyckich obrazów, myśli i wzruszeń.

Jednota Braci Czeskich rekrutowała się początkowo z biedoty miejskiej i wiejskiej. Brat Grzegorz Krajíř, wytrwały jej organizator, zespółił resztki Taborytów, Braci Morawskich, Chelčických, Adamitów, Waldensów i innych

z tymi, którzy w roku 1458 osiedli we wsi Kunwald na Morawach i prowadzili życie w zgoda komunistycznej jedności.

Podłożem ich nauki były pisma Piotra Chelčického, zmarłego około 1460 roku autora „Postilly” i „Siet’ viery pravé”, w której poddał on ostrej krytyce ustrój kościelny i społeczny, biorąc za podstawę swego systemu filozoficznego wyłączenie Ewangelii. W imię hasła religijnych prowadził on walkę przeciwko świeckim i kościelnym feudałom. Każda walka z feudalizmem musiała przecież w owych czasach, jak pisze Engels, „wystać w przebraniu religijnym”.

Bracia uznawali bezwzględną równość wszystkich członków Jednoty, zachowali przy tym jednak prawo własności prywatnej. Uznawali króla jako wykonawcę władzy świeckiej, odrzucali natomiast — podobnie jak i Husyci — władzę papieża.

Jednota była przede wszystkim organizacją społeczną. Stanowisko to sprecyzowano wyraźnie już na pierwszym zjeździe Jednoty w roku 1464, na którym obecni byli delegaci wszystkich gmin czeskich i morawskich. Bracia prowadzili życie karne i pracowite. Nawet duchowni ich żywili się początkowo z pracy własnych rąk. Członkowie Jednoty początkowo nie mogli jednak służyć w wojsku, nie zajmowali się ani handlem, ani karczmarstwem, oraz nie mogli początkowo piastować żadnych urzędów gminnych lub państwowych. Zakazane były ponadto wszelkie gry i tańce. Z pokorą i cierpliwością poddawali się wszelkim przeciwnościom losu i cierpieniom, których było niemało.

Bracia, od chwili gdy oficjalnie odłączyli się od kalikstynów, stali się przedmiotem stałych prześladowań. Prześladowania te doszły do największego nasilenia po zwycięsko dla Habsburgów zakończonej wojnie szmalkadzkiej oraz po tragicznej bitwie pod Białą Górą, która pozbawiła Czechów samodzielności państwowej na okres 298 lat.

W roku 1548 Ferdynand wymierzył ostry cios Jednocie, godzącej w system feudalnej nierówności stanowego podziału społeczeństwa na klasę panów i klasę wyzyskiwanych chłopów i biedoty

wiejskiej. Bracia, zamieszkali na terenach, należących bezpośrednio do króla, musieli opuścić ojczyznę.

Wtedy wygnanym Czechom — było ich około 800 — Polska podała bratnią dłoń, udzielając im azylu. Część emigrantów zatrzymała się w Wielkopolsce w posiadłościach Rafała Leszczyńskiego, Andrzeja Górki, Jakuba i Stanisława Ostrorogów i innych, część zaś udała się w dalszą podróż do Prus Książęcych.

W Wielkopolsce przyjęto wygnańców nader serdecznie i wkrótce zyskali sobie oni licznych zwolenników. O przychylnym ustosunkowaniu się społeczeństwa polskiego do pobratymców najlepiej świadczą słowa, którymi kończy się list Gabriela Danielova, wygnańca z Litomyśla, z lipca 1548 roku do brata Macieja, krawca z Domażlic: „...i tak z łaski Boga wszechmogącego przyjaciół mamy tu takich, że o lepszych i w Litomyślu, gdzieśmy się rodzili, trudno, za co niech Panu Bogu chwała będzie na wieki!”



Poděbrady, wieś założona przez wygnańców czeskich w Polsce



*Czeska szkoła w Poděbradach (Gościęcice)
w Polsce*

Również i dla swojej nauki znaleźli oni wśród ludności polskiej bardzo podatny grunt. Józef Lukaszewicz przytacza w swojej pracy p. t. „O kościołach Braci Czeskich w dawnej Wielkopolsce” 70 miejscowości, w których znajdowały się zbory Jednoty, m. in. Poznań, Koźminek, Leszno, Łobżenica, Ostroróg, Skoki i Szamotuły.

Najważniejszym ośrodkiem Braci w Wielkopolsce stało się po upadku gminy w Ostrorogu — Leszno. Emigrantów z 1548 roku przyjął bardzo przychylnie Rafał Leszczyński, starosta radziejowski, który jako pierwszy z katolickiej rodziny Leszczyńskich przyjął konfesję Braci i oddał koło roku 1550 Braciom do użytku katolicką dotychczas farę leszczyńską.

Szczególnego znaczenia nabrało Leszno w roku 1628, gdy główna grupa emigrantów czeskich, z Janem Amosem Komenským przybyła i osiadła w owym

wielkopolskim mieście. W tym roku po raz drugi przyjęła Polska wygnanych z ojczyzny Braci.

Oprócz Leszna osiedli Bracia — przybyło ich wtedy około 1700 — głównie w Kobylinie, Skokach, Włodawie, Baranowie, w Toruniu oraz na Śląsku, szczególnie w Brzegu, Oławie i Wrocławiu.

Do Leszna przywieziono w kwietniu 1628 roku słynną drukarnię kralicką, archiwum Jednoty oraz bogate księgozbiory. Tu w Lesznie, aż do chwili, gdy spłonęło miasto w 1656 roku — przebywał z pewnymi przerwami Jan Amos Komenský, twórca nowej pedagogiki i rzecznik zasady powszechnego nauczania w języku ojczystym. W roku 1656 spłonął i dom Komenskiego w Lesznie, i z nim dorobek 30 lat pracy — materiał do słownika czesko-łacińskiego („Thesaurus linguae bohemicae”) niepowetowana strata dla nauki, razem z innymi rękopisami i z jego biblioteką.

W Lesznie mieściła się słynna szkoła dzieła wielkiego myśliciela: „Dydaktyka”, „Janua linguarum reserata”, „Informatorium szkoły macierzyńskiej” i in.

W Lesznie mieściła się słynna szkoła Jednoty, wśród której figurują nazwiska takiej znakomitości, jak Jan Rybiński, Andrzej Węgierski, Jan Amos Komenský, Jan Chodowiecki, późniejszy rektor szkoły św. Piotra w Gdańsku i inni.

Pamięć o Komenskim i o Braciach w Lesznie żyje dotychczas. Z dawnego cmentarza członków Jednoty zachowały się liczne nagrobki i do dziś dnia widnieje nad głównym wejściem do kościoła św. Jana napis na wmurowanym kamieniu: „Aedes sacrates coetus Christi Lesnensis confessionis Bohemicae fundavit anno MDCLII, erexit MDCLIII, exornavit MDCLIV.”

W okresie jubileuszu 400-lecia miasta Leszna tamtejsze liceum pedagogiczne nazwano imieniem Jana Amosa Komenskiego. Uroczystość z tym związana odbyła się w dniu 14 września 1947 roku podczas akademii, na której obecna była liczna delegacja czeska. W tym samym roku nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika wielkiego myśliciela na placu jego imienia. Jedna sala w Muzeum Le-

szczyńskich poświęcona jest autorowi „Dydaktyki”. Wystawiono tam jego portret, fotokopie autografów Komen-
skiego, kart tytułowych pierwszych wydań jego dzieł, reprodukcje jego portretów oraz kilka jego dzieł.

Na Śląsku gdzie miejscowe obywatelstwo opiekowało się gościnnie dążącymi do Wielkopolski emigrantami już w roku 1548 — stare rękopisy wymieniają takie miasta jak Kłodzką, Duszniki, Bolesław, Wrocław i in. —, gdzie niektórzy emigranci z roku 1628 znaleźli schronienie i dokąd po pożarze Leszna przewieziono słynną drukarnię kralicką, (znajdowała się aż do roku 1661 w Brzegu) przybyli liczni Czesi, którzy w gnębionej przez absolutyzm habsburski krządaniami jezuitkami ojczyźnie potajemnie nadal podtrzymywali wiarę ojców po zakończeniu wojny austriacko-pruskiej, gdzie Śląsk przypadł Fryderykowi II.

Już w roku 1741 przybywają grupkami, szczególnie z okolicy Hradce Králové, Náchoda, Litomyšla, Čáslavi i in-



„Babička“ Jašíková w Strzelinie

nych miast czeskich i koncentrują się głównie w Ziębicach. Z Ziębic udali się emigranci czescy — byli wśród nich nie tylko Bracia, ale i inni reformowani — do okolic Strzelina, Opola i Kępna w Wielkopolsce. Do Strzelina dotarli wygnańcy w roku 1749. Osiedli oni na Starym Mieście i założyli w tymże roku w odległości ok. 2 km wieś Husinec (Gęsinić), w roku 1764 Poděbrady (Gościcięcice) i na początku XIX wieku osiedli w Pęczu, Kuropatniku i założyli Dębice, wszystko w pobliżu Strzelina. Do dziś dnia żyje tam około 600 potomków emigrantów czeskich.

Potomkowie emigrantów po dziś dzień mówią językiem czeskim a ich dzieci uczą się w szkole czeskiej, którą dla nich po ciężkich latach niewoli hitlerowskiej, gdy nie wolno było mówić na ulicy po czesku, urządziła Polska Ludowa. Młodzież szkolna odwiedziła w ubiegłych latach Czechosłowację i zapoznała się z krajem, skąd pochodzili jej przodkowie. Żywe są u strzeleńskich Czechów stare ludowe pieśni, ale i nowe, tak zwane „placanky” powstały w nowej ojczyźnie. Oto jedna z nich:

Neber si holku z Kočolek,
ta nemá ani podolek.
Neber si holku z Poděbrad,
ta nemá ani kolovrat.
Neber si holku z Husince,
ta nemá ani púl hrnce.
Vem ty si holku ze Štrálu,
ona má bednu toláru.
Budeš s ni skákat a vejskat,
nebude se ti nic stejskat.



Malżeństwo Mach w Pstrąnej



Stary cmentarz ewangelicki w Pstrážnej

Badając latem 1954 roku miejscowości na Śląsku, w których przebywali Bracia Czescy, zawitałem i do Strzelina. Trudno opisać, jak gościnnie mnie tam przyjęto. Głównie przebywałem u „dėdečka” Jařika na Starym Mieřcie w Strzelinie, który, chociaż liczy 72 lata, jako murarz wykonał w kwietniu 1954 roku 215% normy, o czym mi z dumą opowiadał.

Gdy okoliczni mieszkańcy dowiedzieli się o celu mego przybycia, przynosili mnie pokazać stare kancjonały braterskie, biblie czeskie i inne starodruki, które przywieźli ich przodkowie do nowej ojczyzny, które przechodzą z pokolenia na pokolenie i przechowywane są z największą pieczołowitością i zaprosili mnie do swoich domów. Żyją wśród nich jeszcze słowa: „Nic nevzali sebou, po všem bylo veta, než Bibli Kralickou a Labyrint svėta” (Komenskiego). Opowiadali mi stare podania o założeniu Husinca i legendę o „růžovým paloučku”, którą i Alojzy Jirásek wydał w swych „Starých povėstech českých”. Po tym, z „Babičkou” Jařikową odwiedzaliśmy Husinec i Podėbrady, gdzie kierownik czeskiej szkoły, Edward Chorażyczewski udostępnił mi starą kronikę szkolną, a po drodze wstąpiliśmy „na kafe” do kazańdzieja gminy kolonistów, Henryka Vitvara, której żonie zawdzięczam to, że mogłem zanotować kilka ładnych legend.

W opolskim żyją potomkowie emigrantów, mówiący po czesku już tylko w Lubinie — i to tylko pokolenie najstar-

sze. Osiemdziesięcioletni „dėdeček” Prokop tak się ucieszył, że „tak pěknė poradim mluvit česky”, że mnie podczas całego mego pobytu w tej wsi nie odstępował ani na krok i odprowadził mnie aż na dworzec w Popielowie.

Potomkowie wygnańców z pobliskiego Grecza i Piotrogradu wrócili po wyzwoleniu do Czechosłowacji.

Jeszcze w pobliżu Kudowy, w Pstrážnej, żyją potomkowie Braci Czeskich, którzy koło roku 1742 osiedli w tej wsi. Wieś tę, położoną tuż przy granicy czeskiej dobrze znał i twórca czeskiej realistycznej powieści historycznej — Alojzy Jirásek. Tam, na starym cmentarzu ewangelickim dał on odpocząć Baltazarowi Užd'anowi, staremu „salakvardovi” ze „Skalaków”, i z Pstrážnej pochodzi żołnierz czeski, występujący w opowiadaniu Jiráska p. t. „Na hranicích”.

Wiekowe są tradycje przyjaźni polsko-czeskiej, a jedną z najpiękniejszych kart dziejów tej tradycji jest pobyt Braci w Polsce. Oni to głosili idee postępowe, przyczynili się w wieku XVI i XVII do wspaniałego rozkwitu szkolnictwa w Polsce i nie pozostawali bez wpływu na rozwój polskiego języka poetyckiego.

Jerzy Slizinski



W roku 1954 zbudowano w podgórskiej wiosce cieszyńskiej Rzece szkołę dla uczniów hutniczych z Trzyńca

Historia zaciętego boju o „Jenufę” Leona Janaczka

Rok 1954 był jubileuszowym rokiem muzyki czeskiej, dziwnym zbiegiem okoliczności przypadły na jego okres rocznice wszystkich najwybitniejszych muzyków czeskich, a więc 130 rocznica urodzin Fryderyka Smetany (12 marca 1824), 70 rocznica jego śmierci (12 maja 1884), 50 rocznica śmierci Antoniego Dworzaka (1 maja 1894) oraz 100 rocznica urodzin trzeciego z plejady wielkich kompozytorów czeskich — Leona Janaczka (3 lipca 1854). Leona Janaczka łączy z Śląskiem Cieszyńskim bliskie pokrewieństwo, jego ród wywodzi się z cieszyńskiej wioski Śmiłowic, zaś w roku wystawienia jego najwybitniejszej opery „Jenufa” w (czeskim oryginale „Její pastorkyně”) w Bernie, otrzymał był propozycję objęcia stanowiska dyrektora Konserwatorium Warszawskiego, którą niestety odrzucił. Gdyby ją przyjął — a chodzi o najwybitniejszą uczelnię w Polsce — to jego nazwisko byłoby najściślej związane także z historią muzyki polskiej.

Rok wystawienia „Jenufy” w Bernie jest początkiem zaciętej walki o wystawienie tej opery w Pradze. Janaczek pracował dziewięć lat nad libretem „Jenufy”, pióra Gabrieli Preis, która opiewa w nim w żywych kolorach życie wsi morawskiej (1894—1903). Ponieważ metropolią życia muzycznego Czech była Praga, Janaczek starał się usilnie o to, aby opera ta została wystawiona w Pradze, gdyż tylko tak mógł uzyskać uznanie w kraju i na świecie.

Janaczek przebywa i pracuje przez długi okres życia w Bernie. Tam zaczął jako chłopiec śpiewać w chórze klasztorным Augustynów i tam też uzyskał pierwsze wykształcenie, wtajemniczające go w kunszt muzyczny, dzięki wytrwałemu dyrygentowi Krzyżkowskiemu. W Bernie Janaczek uczy jako nauczyciel muzyki w seminarium nauczycielskim, później na gimnazjum,

tam prowadzi szkołę organistów i jest czynny jako dyrygent chóralny oraz krytyk muzyczny. W piśmie „Hudební listy” omawia on w dość krytyczny sposób wszystkie wydarzenia świata muzycznego, co stało się po części przyczyną jego długoletniego niepowodzenia z wystawieniem „Jenufy” w „Narodním Divadle” w Pradze.

W numerze „Hudebních listův” z 15 stycznia 1887, pojawiła się bowiem następująca ostra ocena premiery opery Karola Kowarzowica, ówczesnego kapelmistrza opery berneńskiej p. t. „Ženichowie”. Ponieważ recenzja ta była głównym powodem odrzucenia później przez Narodní Divadlo w Pradze partytury „Jenufy” podajemy ją w całości.

Afisz teatralny z dnia 8 stycznia 1887 brzmi „Premiera opery komicznej itd. „Ženichowie”. Muzykę napisał Karol Kowarzowicz”. Opera była wystawiona z wielkim powodzeniem. Lecz która melodia lub który motyw tej opery utkwił wam w pamięci? Czy ta opera jest napisana dramatycznie? Ja bym nie podał „muzykę do opery napisał”, ale — wykonana została komedia Machaczka również z muzyką, gdyż muzyka i libretto nie stoją w żadnym związku z sobą. Możliwość do tego libreta napisać jakąś nową operetkę, a do tej muzyki jakiś dramat, gdyż muzyka jest pełna ciemnych chmur, rozpaczliwych krzyków i pchnięć sztyletem. Dlatego „Ženichowie” są szczególnym zjawiskiem u Machaczka — ale w żadnym wypadku nie u Kowarzowica i to kilkakrotnie pobudza do śmiechu. O talencie muzycznym kompozytora świadczy uwertura, falująca w trójdźwiękach: ta was należyście ogłuszy.”

Nie należy się więc dziwić, że kiedy autor takiej recenzji nadesłał partyturę swej opery do Teatru Narodowego w Pradze, w którym naonczas był ów nieszczęsny kompozytor „Ženichów” —



Leon Janacek

Karol Kowarzowicz dyrygentem i kierownikiem, że partytura wróciła do Janáčka z dopiskiem, „dzieło nie nadaje się do wykonania”. Janacek miał wtedy pięćdziesiąt lat, włożył w operę cały swój talent i całe serce.

Stronice partytury pełne są łez kompozytora, który w czasie pisania opery przeżywał najcięższy dramat swego życia — śmierć ukochanej córki Olgi, której pamięci zarazem była opera poświęcona. Otrzymałszy tak bezwzględną odpowiedź z Pragi, Janacek był bliski załamania. Żona kompozytora w ten sposób opisuje tę tragiczną chwilę:

„Było to w pokoju, w którym umarła Olga. Mój mąż siedział przy biurku. Chwycił się za głowę i zaczął gwałtownie szlochać. Pod wpływem ciężkiej presji, oskarżał siebie, że nic nie umie. Nie mogłam tego znieść. Zawsze wierzyłam w jego posłannictwo artystyczne, wierzyłam w wielkość i piękno „Jenufy”. Objęłam jego głowę rękoma i starałam się go, sama płacząc, pocieszyć jak mogłam.”

Ciężki cios z Pragi został nieco załagodzony na skutek oferty z opery w Bernie, aby przysłać partytury „Jenufy” celem jej wystawienia. Wykonanie „Je-

nufy” w Bernie było wielkim wydarzeniem zarówno w życiu kulturalnym Berna jak w życiu Janáčka. Widownia odczuła oryginalność dzieła, które wniosło spory szmat życia morawskiego na scenę. Treść opery to historia nieśczęśliwej miłości Jenufy do Szczepana. Na scenie pojawiają się rekruci, widzimy taniec wiejski oraz ludowy obrzęd weselny. Operę przyjęto entuzjastycznie, gorąco, oklaskom nie było końca. Na premierze byli również krytycy z Pragi, którzy w obiektywny sposób podkreślili niezwykle walory tego dzieła. Krytyk Chvala mówił o nowym typie podkładu muzycznego pod słowa, bez starych form o nieprzerwanej tonacji muzycznej bez jakichś szczególnych motywów; podkreśla realistyczny charakter śpiewanego słowa i niezwykłą dramatyczność wyrazu muzycznego. Doradza natomiast autorowi większy rozmach polifoniczny i orkiestralny w muzyce. Drugi krytyk, Brandenburg, który również dostrzegł oryginalność stałego recytatywu Janáčkowskiego, w którym kompozytor wykorzystał długoletnie studia nad melodyką słowa mówionego i potrafił tak wiernie oddać to w muzyce, że krytyk pisze w swej ocenie, iż wskutek tego odtworzenia w muzyce melodyki słowa używanego w mowie potocznej, czeskiej „Jenufy” nie da się przetłumaczyć na żaden inny język, jeżeli dzieło nie ma na tym uciepieć. Brandenburg jednak pomylił się, bo rycytatywy Janáčkowskie są nie tylko odtworzeniem mowy ludowej, ale przede wszystkim odzwierciedleniem wewnętrznej pasji twórczej wielkiego talentu, dlatego tłumaczenie na inne języki nie odbiera jej charakterystycznego piękna.

Mimo tak przychylnych krytyki, Janacek musiał czekać trzynaście lat, walcząc wytrwale, zanim jego opera została wystawiona w Pradze i przyniosła mu rozgłos światowy. Powodzenie w Bernie nie było miarodajne dla urobienia mu opinii, ponieważ, jak słusznie ktoś zauważył, — w Bernie miały także powodzenie opery kompozytorów mniejszego talentu, takiego Hrazdiry czy Horaka. Co prawda Janacek był również w Pradze znany jako kompozytor o cha-

rakterze folklorystycznym, jako autor ludowego baletu „Rakosz Rakoczy”, którego muzyka oparta o melodie pieśni i tańców morawskich, cieszyła się wielkim powodzeniem w czasie wystawy folklorystycznej w Pradze w roku 1895, ale to nie zniaczyło, żeby uzyskał palmę poważnego kompozytora operowego.

Do przełamania lodów w tym wypadku przyczynili się głównie doktor Franciszek Vesely, założyciel i kierownik zakładów leczniczych w Luhaczuwicach, jego żona śpiewaczka koncertowa oraz literat Peška-Šipek, pochodzący z uzdrowiska Bohdanec. Tych trzech znając muzykę „Jenufy”, będąc adoratorami, postanowiło pomóc kompozytorowi do wystawienia opery w Pradze. Użyto w tym celu podstępny zrealizowanego w miejscowości uzdrowiskowej Bohdanec. Muzykolog Mareš opisuje ten ważny moment w sposób następujący:

„W roku 1915 przyjechał do Bohdanca, gdzie był wtedy lekarzem uzdrowiskowym dr. Vesely, dyrektor Národního Divadla — Schmoranz. Peška z przydomkiem Šipek, przyjaciel Schmoranza i Kowarzowica znał dobrze „Jenufę” i cenił wysoko jej muzykę, dlatego użył wobec Schmoranza podstępu. Pani Calma-Vesely musiała śpiewać wyjątki z „Jenufy” przy otwartym oknie właśnie wtedy, kiedy on przechadzał się z dyrektorem Schmoranzem po parku, tak aby ten słyszał śpiew. W pierwszym dniu Schmoranz dziwił się temu, że nie zna tak ciekawej muzyki. W drugim i trzecim dniu stopniowała się jego ciekawość, ale Peška nie zdradził się ani słówkiem. Schmoranz w końcu nie wytrzymał, dał się zaprowadzić do pani Vesely i tam dowiedział się, że te wysoce dramatyczne partie muzyczne pochodzą z wyśmiewanej opery „Jenufy”. Trochę zraziło to Schmoranza, ale został pozyskany. Gorzej było z mistrzem Kowarzowicem. Ten był twardy w uporze jak krzemień. Dopiero, gdy mu Šipek zagroził, że zerwie z nim węzły przyjaźni, jeżeli przynajmniej nie przegłębnie partytury „Jenufy”, zaczął ją studiować i został tak samo zniewolony ciekawą muzyką jak Schmoranz. W końcu operę przyjął i wykonał ją w Pradze w r. 1916.”

Kapitulacja Kowarzowica nie odbyła się jednak bez „ale”, były chwile, gdy zdawało się, że tak misternie zadziergnięte nici zostaną zerwane. Kowarzowicz przyjął co prawda „Jenufę” do wykonania, ale pod warunkiem, że kompozytor zgodzi się ze względu na podkreślenie dramatyczności na pewne... skreślenia, retusze i dodatki. A były to niemałe retusze, na które sobie Kowarzowicz pozwolił, chodziło nie tylko o zdwojenia instrumentalne, mocniejszą instrumentację, przede wszystkim w scenie końcowej (happy end), ale nawet na wprowadzenie pewnych imitacji (tak zwanych uzupełnień melodii przez powtórzenie we formie echa). W pewnym momencie Janaczek oświadczył, że nie rozumie sensu tych wszystkich skreśleń i poprawek — tak, że tylko dzięki pośrednictwu dr. Veselego i jego małżonki nie doszło do zerwania stosunków. Są tutaj żywione przypuszczenia, że Kowarzowicz zaprojektował pewne zmiany w operze nie tylko ze względów rzeczowych, ale ze względu na swój prestiż, aby w ten sposób usprawiedliwić swoje początkowo odmowne stanowisko. Dość na tym, że dziś „Jenufę” wystawia się z wszystkimi dodatkami i poprawkami Kowarzowica, który zresztą był kompozytorem operowym i posiadał dużą rutynę sceniczną. (Jego opera „Psohlavci” była w roku 1954 wykonywana w Pradze pod gołym niebem.) W wyciągu fortepianowym na każdym miejscu, gdzie Kowarzowicz wniósł poprawki widnieje adnotacja — „dodał Kowarzowicz”. Z drugiej jednak strony trzeba przyznać, że Kowarzowicz dołożył wszelkich starań, aby premiera wypadła doskonale. Tak obsada ról przez najwybitniejszych śpiewaków, jak dokładne przygotowanie opery zarówno pod względem muzycznym i reżyserskim, stało na wysokim poziomie.

Wrażenie, jakie wywarło wystawienie opery w Pradze było nadzwyczajne. Słuchacze szaleli z zachwytu i zgotowali Janaczekowi niemilknącą owację. Wystawienie „Jenufy” w Pradze było wielkim zwycięstwem Janaczka i przyniosło mu uznanie, odtąd stał się głośnym kompozytorem tak w kraju jak i za granicą. Powodzenie opery sprawiło, że

niebawem (1918) wystawiono „Jenufę” we Wiedniu i to jeszcze w lepszym wykonaniu niż w Pradze (Jerica śpiewała Jenufę, a polska śpiewaczka Korolewicz-Wajdowa ... Kostelnickę).

Może najlepszym sprawdzianem wrażenia, jakie wywarła „Jenufa” w Pradze, jest list znanego kompozytora czeskiego Ostrčila do Janaczka.

„Pańska ‚Pastorkyně’ wywarła na mnie potężne wrażenie. Rzadko kiedy wychodziłem z opery z uczuciem takiego zachwyty jak po piątkowej premierze. Umie Pan trzymać słuchaczy przez cały wieczór jakby w kleszczach. Żyję jeszcze stale pod urokiem Pańskiej muzyki, przypominam sobie poszczególne sceny opery, przeglądám wyciąg fortepianowy, jednym słowem jestem urzeczony Pańską sztuką. Miałem wielką radość z ogromnego powodzenia Pańskiego dzieła i z pierwszorzędnego wykonania. Był to

zaiste obowiązek Narodního Divadla, aby wyteńczyć wszystkie siły celem naprawienia wyrządzonej krzywdy. Proszę przyjąć uprzejmie gratulacje z okazji tego zasłużonego powodzenia oraz życzenie, aby przełamanie lodów otwarło Pańskim dziełom drogę do serc ludzkich. Smichov, 28 maja 1916.

Ostrčil.”

W tym powszechnym uznaniu odezwał się tylko jeden głos krytyki i to bardzo niebezpieczny, ponieważ pochodził ze strony zasłużonego wielbiciela i znawcy Smetany...

Tak skończyła się walka o uznanie dla „Jenufy”. Kosztowała ona Janaczka wiele chwil ciężkich, wiele wysiłków, samozaparcia, zanim dzieło Janaczka zdobyło sobie trwałe znaczenie nie tylko w historii muzyki, lecz cieszy się coraz większą popularnością na wielu scenach świata.

Karol Hławiczka

KAROL PRYMUS

HENRYK NITRA

rzeźbiarz i malarz ziemi cieszyńskiej

Henryk Nitra urodził się 18 czerwca 1891 roku w Szobiszowicach, powiat Frydek. Jako syn małorolnego chłopa w trudnych warunkach zdobywał pierwsze wykształcenie. Zdradzając talent artystyczny wbrew woli rodziców porzuca szarą codzienną pracę i udaje się na studia rzeźbiarskie do Wałaskiego Międzyrzecza na Morawach. Po ukończeniu średniej szkoły rzeźbiarskiej młody artysta marzy o studiach za granicą. Mając trochę zaoszczędzonego grosza udaje się piechotą do Wiednia, gdzie w dalszym ciągu pracuje, studiuje i artystycznie dojrzewa. Brak środków do życia zmusza go do porzucenia studiów i do powrotu do domu. Pierwszą wojnę światową Nitra spędził w armii austriackiej. Przydzielono go do oddziału, który projektował i wykonywał nagrobki i cmentarze wojskowe. Pracując wspólnie z rzeźbiarzami innych narodowości ma tutaj możliwość pogłębienia swoich sprawności

i umiejętności, a co najważniejsze, zostaje u niego zachowana ciągłość pracy artystycznej. Po powrocie z wojska zapisał się Nitra na Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, specjalizując się w rzeźbie w pracowni prof. Laszczki. W Krakowie Henryk Nitra natrafia na właściwe środowisko i odpowiednią atmosferę artystyczną. Nie mając środków na pełne ukończenie studiów młody artysta uczy się i pracuje ze zdwojoną energią, by w jak najkrótszym czasie zdobyć maksimum wiedzy i doświadczenia.

Jako dojrzały artysta i wierny syn ziemi śląskiej wraca w strony rodzinne i osiedla się na stałe w Błędowicach Górnych za Olzą, na Śląsku Cieszyńskim. Tam buduje sobie własny domek i własną pracownię rzeźbiarską i rozpoczyna pracę twórczą, pracę artystyczną, której pozostaje wierny aż do chwili zgonu.

W pracowni swej Nitra wykonuje najrozmaitsze prace rzeźbiarskie, a to sprzęty kościelne, ołtarze, meble bogato zdobione, wozy pogrzebowe itp. Do poważnych prac rzeźbiarskich należy ołtarz w polskim kościele ewangelickim w Czeskim Cieszynie, Orłowej i ołtarz w kaplicy w Szumbarku. Obok wymienionych prac wykonywał Nitra portrety w płaskorzeźbie i rzeźbie, płaskorzeźbione tryptyki. Artysta ten wyszedł z ludu cieszyńskiego, wniknął głęboko w ten lud, zrół się z nim i pozostał mu wierny aż do śmierci. Walcząc o kawałek chleba poznał cienie i blaski życia, co predestynuje go na artystę wybitnie ludowego. Ukochał nade wszystko pracę, człowieka pracy, który jest głównym tematem jego twórczości. Henryk Nitra znany był głównie jako rzeźbiarz. Jego umiłowaną postacią jest górnik „hawiryz śląski”, hawiryz Zagłębia Ostrawsko-karwińskiego. Do postaci tej wraca przy każdej sposobności. Jego postacie górników potraktowane są zawsze realistycznie, są mocne, są zawsze skupione w sobie.

Gdy patrzymy na jego „Górnika”, zdającego się schodzić w mroki podziemi i trzymającego latarkę w obu dłoniach, to w całej tej dziwnie urzekającej i szlachetnej postaci dostrzegamy wbrew naszej woli symbol pracy, poświęcenia i światła. W bogatej twórczości Nitry — rzeźbiarza, jej tematyką jest przede wszystkim górnik i górnicy. A górnik dla tego twórcy ludowego, to znaczy robotnik, który rozprasza mrok, przeistacza ten mrok w światłość, w chleb powszedni, w szatę, w dach nad głowę. Henryk Nitra wyrastał w środowisku górniczym, znał trud pracy górniczej, znał jego twardą duszę, jego złote serce. Obraz postaci górniczej kształtował ten prekursor plastyki cieszyńskiej długo w swojej wyobraźni, zanim chwycił za dłuto. Setki rzeźb w drzewie rozproszonych jest po całym Śląsku i po całej Czechosłowacji. Nitra umiał drzewu nadawać życie* w swych rzeźbach. Jego postacie to nie martwe modele, ale żywe istoty budzące w nas głębokie refleksje życiowe, kiedy je oglądamy. Nitra obok



Henryk Nitra — Tryptyk cieszyński



Henryk Nitra

górnika rzeźbił hutnika, matkę Ślązaczkę z dzieckiem nad kołyską, to znowu śląskie życie domowe, pracę przy żarnach, w izbie kuchennej, na polu przy żniwach, kojącą Ślązaczkę, płaczące dziecko, to znów górali śląskich, chłopów, pionierów ruchu narodowego na Śląsku. Wewnętrzny przymus skłania H. Nitę do tematyki robotniczej. Henryk Nitra zawdzięcza wszystko, co osiągnął, własnej pracy. Praca artystyczna Polaka na Śląsku czechosłow. była wówczas twarzą i żmudna. Mało było wielbicieli sztuki a jeszcze mniej jej nabywców. H. Nitra nie zraża się tymi trudnościami, przeciwnie, one go hartują, pozwalają wnikać w życie w otaczającą rzeczywistość i dostrzegać te problemy społeczne, które każą mu walczyć poprzez swą sztukę — pobudzając do intensywniejszej pracy. Wyprodukowane dzieła sztuki, ten skromny i proletariacki społecznik pakuje do plecaka, osobiście zanoszą pod strzechy śląskie, przemierzając Śląsk wszerz i wzdłuż. Podczas takiej wędrówki sprzedaje swoje wytwory i krzewi sztukę wśród ludzi pracy i w instytucjach społecznych, spełniając ważną rolę pioniera kultury artystycznej, a tym

samym przygotowując lepsze warunki pracy twórczej młodszym rzeszom artystów na tych terenach. W okresie tym Henryk Nitra urządził szereg wystaw w kraju i za granicą, które cieszyły się dużym powodzeniem i zjednały mu powszechne uznanie i imię dobrego artysty. Henryk Nitra należy do najwybitniejszych rzeźbiarzy regionu śląskiego za Olzą w owym czasie.

Nitra obok pracy artystycznej pracuje również społecznie. Kiedy w roku 1937 powstał w Czechosłowacji Śląski Związek Literacko-Artystyczny z siedzibą w Czeskim Cieszynie, Henryk Nitra należy do bardzo czynnych organizatorów i popularyzatorów tego Związku i jest członkiem jego Zarządu. Bierze żywy udział w wystawach. Obok rzeźby wystawia również akwarele.

Nadchodzi okres okupacji. Artysta musi opuścić spokojne osiedle, strony rodzinne i podzielić los wielu Polaków-patriotów. W tym czasie widzimy go na łańcuchach we Lwowie, a następnie w Krakowie, gdzie żyje w wielkiej biedzie i nędzy. Obok pracy fizycznej część czasu poświęca na pracę malarską.

Po wyzwoleniu Śląska w roku 1945 Henryk Nitra osiada w Cieszynie (Polska). Sterany i znękany przejściami okupacyjnymi zabiera się zaraz do pracy. Skupia koło siebie skromną garstkę artystów śląskich, zakłada ekspozyturę Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków, którego prezesem był aż do chwili zgonu.

Nitra uważał, że samo tworzenie, to dopiero połowa pracy artysty, sztukę należy udostępnić szerokim masom. Zorganizował wspólnie z kolegami po polskiej stronie Śląska Cieszyńskiego szereg wystaw, które cieszyły się dużą frekwencją i uznaniem. Nitra bierze również udział w wystawach wojewódzkich, krajowych i zagranicznych. Wielką zasługą Nitry — po drugiej wojnie światowej — jest to, że skupił on koło siebie niezrzeszonych artystów amatorów, wychował ich, kształcił. Zabiegał usilnie u władz związkowych o to, aby „samorodne talenty” mogły należeć do Związku Art. Plastyków z chwilą, gdy prace młodych, ludowych talentów będą na poziomie i będą odpowiadały wymaganiom; wciągał je



H. Nitra — *POPIERSIE* — rzeźba w drzewie

do grona zawodowych artystów, popularyzował, pokazał szerszej rzeszy publiczności przez umożliwienie wystawiania prac. Spełniał tu ważną misję społeczną, wyławiając utalentowane jednostki i wskazując im właściwe drogi dalszej pracy nad sobą. Nitra przez całe życie służył sztuce, był jej szermierzem, popularyzatorem.

H. Nitra jest nie tylko rzeźbiarzem, ale jest również i malarzem. Po ciężkiej i żmudnej pracy dłużej dla wytchnienia chwytą za pędzel i maluje. Maluje dużo wtedy, kiedy choroba nie pozwala mu na uciążliwą pracę w drzewie. Tematem jego twórczości malarskiej w tym okresie jest człowiek pracy, jego warsztat pracy, fabryki, kopalnie, typy ludowe, stare zabytki, krajobraz rodzinny, sceny z życia ludu.

Należy podkreślić to, że wchodzi on do warsztatu pracy i wydobywa na światło dzienne szarego człowieka pracy. Pokazuje nam go w czasie jego pracy. — Będą to prace takie, jak w pracowni szewskiej, szwaczka, górnicy w sztolni, w warsztacie ceramicznym i wielu innych. — Prace jego potraktowane są realistycznie.

Nitra obok górnika ukochał piękno ziemi cieszyńskiej i krajobrazu śląskiego. Przemierza Śląsk wszerz i wzdłuż, wyszukując najpiękniejsze i najciekawsze zabytki, zakątki i utrwała je na płótnie w oleju, a głównie w akwarcli. Należy tu podkreślić bardzo silne przywiązanie do ziemi ojczystej. Dalszą cechą jego malarstwa to swoista dla niego oryginalność, nie posługująca się żadnymi wzorami, nie ulegająca żadnym obcym wpływom ani nie dająca się ponieść żadnym modnym nowinkom. H. Nitra wyrobił sobie swój własny styl. Dzięki tym zdobyczom talentu prace Nitry są bardzo sugestywne, przemawiają bezpośrednio do widza. Nitra malował i rzeźbił bardzo dużo. Nie prowadził spisu swoich prac ani ich nabywców, dlatego trudno ustalić katalog i trudno ująć całość jego twórczości.

Na uwagę zasługują jeszcze typy lu-



„NA SZYCHTE“
Rzeźba w drzewie Henryka Nitry

dowe, jak np. Ślązaczki, zabytki architektoniczne; prace te obok wartości malarzkich posiadają i znaczenie muzealne.

Na uwagę zasługuje fakt, że Nitra nie był malarzem akademickim, był raczej samorodnym talentem. I dlatego też podziwiać należy jego głęboką myśl w doborze tematu, w ujęciu. Maluje wszystko, krajobraz, martwą naturę, portret, sceny obyczajowe, rodzajowe. Czasem pociąga go tajemnicza kopalnia węgla, nocny krajobraz Cieszyna czy okolicy, innym razem widzimy go w warsztacie pracy, tu znowu górnicy pracują w ciemnej sztolni z lampkami...

Nitra tworzy do ostatniej chwili swe go życia. Krótko przed swoją śmiercią wykończył płaskorzeźbę partyzanta i grupy górników. Snuje cały szereg planów na przyszłość — — —

Nie dokończył licznych prac, które miały wzbogacić jego dorobek artystyczny. Nagle i niespodziewanie, prawie że w ciągu pracy, nieubłagana śmierć wyrwała mu z ręki dłuto rzeźbiarskie, i pędzel malarzski. Przestało bić serce wiel-

kiego syna Ziemi Cieszyńskiej. Sztuka śląska poniosła niepowetowaną stratę — Nitra wyrósł z ludu, lud ten odtwarzał, dla tego ludu tworzył, opiewał go, był jego nauczycielem, jego artystyczną wypowiedzią.

Ponieważ całe życie Henryka Nitry jest przykładem twardej, nieugiętej, pełnej poświęcenia pracy dla ludu polskiego po obu stronach Olzy, dla człowieka pracy, a cała jego działalność artystyczna miała za temat lud prosty, była realistyczna i to w okresie, kiedy realizm nie był jej oficjalnym programem, postać jego przejdzie do historii, jako jednego z oryginalnych przedstawicieli polskiej sztuki rzeźbiarskiej i malarzkiej na Śląsku Cieszyńskim. Nitra umarł w stosunkowo młodym wieku, ale te nieprzemijające wartości artystyczne, które pozostawił po sobie, przypominają go będą każdemu pokoleniu. Henryk Nitra dobrze więc zapisał się w ludzkiej pamięci a także na kartach historii rzeźby i malarstwa regionu śląskiego.

Karol Prymus



H. Nitra — ŻNIWA — płaskorzeźba

Szanujmy nasze lasy

dumny majestat przyrody

Gronie, nasze gronie...
śląska wy ozdobę — —

Niewątpliwie przyznamy rację tej ludowej piosence beskidzkiej, w której nieznany autor wypowiedział umiłowanie naszych gór i groni, naszych lasów beskidzkich.

Bo trudno sobie wyobrazić nasze gronie bez lasów, bez tego szumu oraz zieleni świerków, buków i jodeł. Już od lat szkolnych uczono nas kochać i szanować las. Uczono nas poznawać go i rozróżniać jego rodzaje. Nie trudno będzie każdemu z nas rozpoznać las świerkowy od sosnowego, liściasty od szpilkowego. Są i tacy, którzy umieją rozpoznać różne rzadkie krzewy leśne, byliny, trawy. Do rzadkości należą już ludzie rozpoznający po głosie wszystkie gatunki zwierząt czy też ptaków leśnych.

Wszyscy na swój sposób lubimy las, lecz i z ręką na sercu możemy sobie powiedzieć, że go nie znamy.

Kiedyś, nie tak dawno jeszcze, lubiano przy różnych okazjach posługiwać się przysłowiem: był las, nie było nas, nie będzie nas a będzie las.

Dzisiaj, raczej zastosować by można było to przysłowie nieco w zmienionym brzmieniu: nie było nas, był las — nie będzie lasu, nie będzie nas! Pomyśli ktoś, że to zbyt groźna prognoza. Bynajmniej. Historia może nam posłużyć wielu konkretnymi wypadkami.

W Ameryce Południowej, gdzie dla celów zysku wykarczowano bezwzględnie wielkie obszary lasów, dzisiaj, w miejscach tych, mimo usilnych zabiegów plantatorów rozpanoszyła się pustynia, piaski, niosące śmierć roślinom, zwierzętom i ludziom.

Las, to potęga, kierująca się swoistymi prawami, których dociekać muszą uczeni i specjaliści przez długie, długie lata.

W latach, kiedy człowiek posługiwał się prymitywną siekierą, wyrąb lasu posuwał się powoli. Na obszarach Europy i innych kontynentów olbrzymie połacie zajmowały puszcze, lasy nieprzeniknio-



SARENKA Z KOZUBOWEJ

Jednej lipcowej nocy 1954 roku zabłąkała się młoda sarenka do schroniska na Kozubowej w Beskidzie czesko-cieszyńskim. Sarenka ta oswoiła się tak dalece z ludźmi w schronisku, że już od wielu miesięcy przybywa stale na swój nocleg do wspomnianego schroniska.

ne, potężne, w których znajdował swoją kryjówkę zwierz, o którym dzisiaj dowiadujemy się z kronik czy też podręczników. Chociaż drzewo było podstawowym budulcem, to wyrąb lasu posuwał się dość powoli.

Dopiero zachłanny kapitalizm zabrał się rażno do bezwzględnej eksploatacji lasów. Mechaniczne piły, nowoczesny sprzęt przyspieszyły proces wyrębywania lasów. Wyrębywano lasy... na ich miejsce posuwał się pług. Lasy umieją się mścić i płać niespodzianki... Na Pomorzu, Niemcy chcąc zaprowadzić swoisty „ordnung” w lasach pomorskich, postanowili wyciąć według ich zdania stare, niepotrzebne, wykrzywione drzewa dziuplaste, nie przedstawiające żadnej wartości. Na ich miejsce zasadzili równo, rzadkami, jak na pruskiej musztrze wojskowej, jednowiekowe drzewka. Cóż się stało? Lasy te zostały obgryzione ze szpilek przez gąsienice pewnych motyli, gdyż nie było ptaków tępiących te owady. Brakło im bowiem miejsca na gniazda.

Mimo rozpaczliwych i kosztownych wysiłków, niszczenia owadów, trucia świecami dymnymi, obsypywania drzew proszkiem arsenikowym z samolotów, mimo dalszych jeszcze zabiegów las zamierał i trzeba go było wyciąć. Dopiero inne owady pasozytujące na gąsienicach szkodników, powstrzymały klęskę. Zemściła się nieznajomość praw lasu i to na pozór z powodu drobiazgu, którego nikt nie przewidział.

Zbocza naszych Beskidów porastały ongiś wspaniałe lasy, przeważnie jodłowo-bukowe. I te lasy usiłowano „poprawić”, zasadzając na miejscu mało wartościowych, w owym czasie, buków i jodeł, mniej wybredny na glebę, szybciej rosnący a trwały jako materiał — świerk. Lasy te obecnie wysychają. Co gorsza, na miejsce wyschniętych świerków, trudno jest wprowadzić ponownie jodłę. I tutaj odbiła się nieznajomość wymagań poszczególnych gatunków drzew.

Dawniej słynne były w świecie polskie sosny. Z najpiękniejszych sosen ciosano maszty okrętowe, które na holenderskich, angielskich okrętach pływały po

całej ziemi. Ceny za takie maszty były nieprawdopodobnie wysokie. Rozchwytywano je na wszystkich targach europejskich.

Z zasobami drzewa na świecie nie przedstawia się sprawa bynajmniej do brze. Największe zasoby drzewa na świecie istnieją jeszcze w Związku Radzieckim. Poza tym potężne lasy posiada jeszcze Kanada i Ameryka Północna. Afryka, Azja środkowa i południowa, Ameryka Południowa i Australia posiadają lasów w stosunku do swej powierzchni bardzo niewiele. Na pozór niejednemu wydawać się może, że obecnie zmniejszyło się zapotrzebowanie na drzewo. Dawniej potrzebowaliśmy dużo drzewa na opał, na budowlę, domy, mosty, sprzęty domowe. Dziś wszak budujemy z cegły czy betonu, opalamy mieszkania i fabryki węglem, sprzęty sporządzamy z metalu. Mamy już różne masy, które zastępują drzewo. To wszystko prawda. Ale na miejsce dawnych przyszyły nowe potrzeby. Potrzebujemy coraz więcej papieru, celulozy, garbników, żywic i innych surowców pochodzenia drzewnego. Używamy go zastępczo jako materiału pędnego do motorów spalinyowych. Do codziennego użytku potrzebujemy go wciąż jeszcze dużo. Na meble, sprzęty, drzwi, podłogi. Nie możliwe jest bez ogromnej ilości drzewa górnictwo. Widzimy więc, że mimo pozornego uniezależnienia się od drzewa, potrzebujemy go coraz więcej.

Znaczy to, że powinniśmy szanować nasze lasy. Nie będzie tu mowa o obowiązkach leśnika i pracowników leśnych, lecz raczej o obowiązkach każdego obywatela. Kiedyś lasy należały do możnych panów, hrabiów, baronów czy kapitalistów. Dzisiaj las jest majątkiem wszystkich obywateli, wobec tego jest udostępniony dla wszystkich. Wypielęgnowanie nowego lasu to nie fraszka. W skład lasu wchodzi wiele składników, drzew, krzewów, roślin zielnych, zwierząt większych lub mniejszych, grzybów i bakterii. W lesie zachodzi wiele procesów życiowych, a każdy proces życiowy zależy znów od wielu czynników, od składu gleby, nawodnienia, klimatu, wpływu innych organiz-

mów, a przede wszystkim człowieka. Zbadanie i wyhodowanie lasu wymaga wiele wysiłków. Mogą o tym powiedzieć uczeni radzieccy, którzy w tej dziedzinie mają wielkie doświadczenia. W Związku Radzieckim znajdują się dziesiątki instytutów leśnych, które zajmują się przeszłością i przyszłością lasów radzieckich.

Nie zapominajmy nigdy, że łatwiej namalować obraz, wybudować katedrę niż odtworzyć raz zniszczony las. Nasze lasy to niezmiernie ważny czynnik w zachowaniu zdrowia narodu. Las reguluje skład powietrza, oczyszcza go z kurzu, wpływa na stan nawodnienia podłoża, usuwa zabagnienia, zmniejsza ilość szkodliwych dla zdrowia moczarów. Daje niewątpliwie znaczną ilość korzyści pośrednich, jagód, grzybów, roślin leczniczych, jest ośrodkiem życia zwierzyny łownej, nie mówiąc już o przeżyciach estetycznych, o pięknie spacerów po ścieżkach leśnych, o wspaniałej grze ko-

lorów i cieni, o urokach świtów i zachodów słońca na polanach leśnych.

Na naszym terenie, mocno uprzemysłowionym, lasy spełniają rolę wielkiego filtra, oczyszczającego powietrze z gazów i pyłów naszych hut i kopalń. W naszych lasach na wycieczkach świątecznych nabieramy świeżego powietrza do płuc, nabieramy sił do dalszej pracy.

Szanujmy przeto nasze lasy. Nie niszczy my drzewek, ziół, kwiatów. Nie zapalajmy ognisk w miejscach zakazanych. Nie płoszmy zwierzyny. Szanujmy każde drzewo, każdy krzew w naszych wsiach i miastach. Zastanówmy się długo, zanim chwycimy za siekierę. To, co zetniemy za pół godziny, rosło kilkadziesiąt lat! Raczej starajmy się miejsce puste zapełnić nowymi drzewami, niech rosną i szumią, niech są — według słów piosenki — ozdobą naszego Śląska.

Henryk Jasiczek



*Na samym szczycie górskiej puszczy w Beskidzie cieszyńskim zwanej Miąższem znajduje się... polana. Puszcza Miąższ, która rozpościera się na terenie przyra-
leżnym do wioski Łomnej, podlega od niedawna prawu ochrony państwowej jako
rzadki rezerwat leśny*

Czeskocieszyńska „Scena Polska” w sezonie 1953-54

Retrospektywne spojrzenia na ubiegłe wydarzenia pozwolą nam oceniać je więcej prawdziwie, bez domieszek tendencyjności, co oczywiście ma zazwyczaj miejsce, gdy jesteśmy świadkami tych zdarzeń. Wyłuskiwanie zaś prawdy, rzeczowy i prawdziwy sąd o tym, co się działo, to ważny, bodajże podstawowy czynnik oceny.

I my, patrząc na Scenę Polską, oceniając jej dorobek i wkład w dzieje naszej kultury na Śląsku czechosłowackim, musimy spojrzeć retrospektywnie (choć w mniejszej skali) na jej dotychczasową pracę.

Jacek Wiłłowicz w zeszłorocznym Kalendarzu „Zwrotu” uczynił tylko pobieżny przegląd działalności Sceny; czyniąc to, poddał lekkiej krytyce wszystkie jej przedstawienia, jakie odbyły się w okresie dwu lat jej trwania. Chcąc uniknąć dublowania krytyki, (co miało miejsce u Wiłłowicza) przystępuję dzisiaj do oceny roku trzeciego działalności Sceny Polskiej w Cz. Cieszylinie.

Pierwszą sztuką sezonu 1953-54 to „Śluby Panieńskie” Al. Fredry. Oceniając poziom tego spektaklu ograniczam się do zasadniczych spostrzeżeń krytycznych spektaklu jako całości, jako wyniku pracy całego kolektywu.

„Śluby Panieńskie”, jako dzieło pracy reżysera, wyszło nadspodziewanie dobrze. Przyczynił się do tego nie tylko sam reżyser W. Rybicki, lecz w dużej mierze prawdopodobnie i były student dziś już gotowy aktor R. Mencnarowski. Sam kolektyw aktorski, jako całość, wywiązał się również dosyć godnie z powierzonego mu zadania. Nie biorę w tym wypadku pod uwagę pewnych mylnie interpreto-
wanych postaci.

Jedno tylko dało się odczuć w tym spektaklu. Brak artystycznego opanowania słowa rymowanego, brak melodyjności słowa. Wyjątek stanowi tutaj premiera „Ślubów Panieńskich” z R. Mencnarowskim, jako Gustawem.

Mowa wierszowana, to mowa artystyczna, która powinna oddziaływać w tym wypadku na słuchacza, nie tylko poprzez swą treść, lecz także poprzez swą melodyjność. Bowiem wiersz — to muzyka. A tej w „Ślubach Panieńskich” ...nie było. Owszem — muzyki tej trzeba się uczyć, a gdzie nasi aktorzy mieli się jej nauczyć? Sprawa dykcji, słowa scenicznego u aktorów „Sceny Polskiej” to i poza wierszem, sprawa bardzo bolesna. Komentarzy dalszych chyba nie trzeba.

Pomimo tego wszystkiego, miały „Śluby Panieńskie” nadzwyczajne powodzenie w terenie. Widz spragniony był tego rodzaju sztuki.

Następna sztuka, to „Makar Dubrawa” A. Kornejczuka w reżyserii J. Havláška. Gdyby miernikiem oceny poziomu artystycznego danego spektaklu miał być udział naszego widza w przedstawieniach SP, to w tym wypadku ocena ta była zbyt bolesną, bowiem sztuka ta należała do najslabiej uczęszczanych z dotychczasowego repertuaru. Może dlatego, iż nie jesteśmy jeszcze tak daleko, jak ludzie w Związku Radzieckim; nasz widz nie umiał żyć treścią sztuki, która rzucała go o kilkanaście lat naprzód, która była dla niego niezrozumiałą muzyką przyszłości.

Odwrotny wprost obraz widzimy u następnej sztuki. Była nią „Latarnia” A. Jiráska w reżyserii dyrektora teatru J. Zajica. Chociaż czas trwania spektaklu był stosunkowo długi (3¹/₂ godzi-



*Najstarszy aktor świata mistrz LUDWIK SOLSKI
ukończy dnia 15 marca 1955 roku swój setny rok życia*

ny — 6 odsłon), to jednak widz wypełniał sale do ostatniego miejsca. Sztuka była niejednokrotnie powtarzana w wielu miejscowościach, uzyskując największą popularność z dotychczas granych sztuk Sceny Polskiej. Co się na tołożyło? Problematyka bliska naszemu widzowi, gra aktorów na mniej więcej wyrównanym i dobrym poziomie, oto walory tego spektaklu. Gorzej wygląda ocena po stronie technicznej, bowiem niedociągnięć natury technicznej było bardzo dużo. A szkoda. Czasem bowiem

jakieś małe niedociągnięcie techniczne zwałało na łeb na szyję wysiłek aktorów. Czas pomyśleć i o tym, aby i w tym kierunku SP wystrzegała się błędów, które nie przystoją nawet teatrowi amatorskiemu. Więcej precyzji i wyczucia. Smutnym byłoby w przyszłości, gdyby szczerze wysiłki aktorów niweczone były przez brakoróbstwo techniczne.

Ostatnia w sezonie 1953-54 sztuka SP, to „Wodewil Warszawski”, Gozdawy i Stępnia w reżyserii W. Niedoby.

O ile wodewil ten, dzięki swej tematyce najbliższy był naszemu widzowi i wywołał w terenie same superlatywy, to poziom gry aktorów był tutaj niewyrównany.

Nie wystarczy stwierdzenie naszego widza, że było cudownie. Nie!

Dlaczego, pokazując naszemu widzowi „brylant”, nie pokazujemy mu go w jego doskonałym szlifie, w kolorowej tęczy barw, tylko zadawałamy się pokazaniem części spektra, mówiąc: masz, zachwycaj się...

To oszukiwanie widza i niesumienność, bowiem widzieliśmy niejednokrotnie Scenę Polską dopinać swe przedstawienia na ostatni guzik. Jeżeli zaś idzie o obsadę w pomienionym wypadku, to... ja już nie wiem. W czym tkwi błąd? Oto temat do zastanowienia się.

Scena Polska rozpoczyna nowy sezon 1954-55 sztuką Holly'ego „Spryciarz Gelo” w reżyserii M. Večeřy.

W czasie pisania mego artykułu sztuka ta jest w trakcie „rozgrywania się”, w trakcie „rozkręcania się” zespołu w tejże sztuce (pierwsze przedstawienia) i ocena tego spektaklu wypadnie „niezbyt”. Nie w tym jednak tkwi sedno rzeczy.

Widząc ten spektakl znalazłem się cośkolwiek w sprzeczności z samym sobą. Nie potrafię sztuki tej zaszereżować do jakiejś kategorii ze względu na jej gatunek. Ma to być niby komedia, która jednak (wnioskując z poszczególnych scen) wkracza w ton fraszki, to znów w ton dramatu. To jeden mankament, brak jednolitego przedstawienia w tonie. A jeszcze? Obsada, odtworzenie i realizm postaci. Trzy punkty dalsze, które ściśle wiążą się z sobą. Tu odczuwa się już niejako pewnego rodzaju eksperymentalizm w obsadzie, który za-

istniał w Scenie Polskiej bowiem zaistnieć musiał. Eksperyment jednak nieudany, który ostatecznie (ze względu na realizm postaci) powoduje zgrzyty w spektaklu. Do jakiego wniosku dojdziemy ostatecznie? Do tego wniosku, że eksperymenty tutaj nie pomogą. To znaczy eksperymenty tego rodzaju. Pomoże jednak eksperyment inny, który będzie również miał na celu podniesienie poziomu spektaklu, podniesienie poziomu zespołu. Eksperyment ten, to: artystyczne wyrównanie zespołu. Kilkakrotnie „eksperymenty” Sceny Polskiej wykazały słabizny zespołu. Wyrugować słabizny, wyrównać poziom artystyczny zespołu, znaczy wprowadzić do tego zespołu nowe, młode talenty. Znamy już dziś nieoficjalnie repertuar SP przyszłego sezonu. Repertuar niełatwy, wymagający na prawdę zespołu na wysokim i bardzo wyrównanym poziomie.

Nie ulega wątpliwości, że i zespół o średnim poziomie może dać przedstawienie. Nam, widzom, chodzi jednak o dobry poziom przedstawienia. Przykrym dla nas i dla Sceny byłoby stwierdzenie, iż krzywa poziomu idzie w Scenie Polskiej w dół zamiast w górę.

Nie zapominajmy przy tym na stałe wzrastający poziom przedstawień naszych zespołów amatorskich.

To wszystko powinno być dla zespołu a przede wszystkim dla dyrekcji, bodźcem w pracy nad podniesieniem poziomu przedstawień, nad podniesieniem poziomu artystycznego zespołu Sceny Polskiej.

Trzeba się więc uczyć, ciągle się uczyć, by stać się „inżynierami dusz ludzkich” w pełnym tego słowa znaczeniu.

Jerzy Janicki



Cieszyńska pieśń ludowa

Skala dur-moll w melodiach cieszyńskich pieśni ludowych

I

Podejmując się sformułowania niektórych zagadnień, dotyczących pieśni ludowej, zastanówmy się na wstępie nad pojęciem pieśni. Pieśń jest sposobem wyrażenia myśli estetycznej celem wywołania przeżycia estetycznego. Przeżycie estetyczne osiąga się w pieśni przez treść słowną, wyrażoną mową i przez treść muzyczną, wyrażoną dźwiękami muzycznymi. Treść słowna przyjmuje w pieśni formę poezji, a treść muzyczna — formę melodii. Dwa elementy estetyczne: sztuka poetycka i sztuka muzyczna tworzą najogólniejsze pojęcie pieśni.

Ażeby rozpatrzyć szczegółowe pojęcie pieśni, zajmiemy się jej stroną muzyczną i stwierdzimy, że istnieją dwojaki jej rodzaje: 1) pieśń o samej tylko melodii i 2) pieśń z melodią o podkładzie współbrzmienia wielodźwiękowego. Pierwszy rodzaj pieśni, to pieśń jednogłosowa, a drugi rodzaj — pieśń wielogłosowa i pieśń z towarzyszeniem instrumentalnym. Do pierwszego rodzaju pieśni, tj. pieśni jednogłosowej, zalicza się pieśń ludowa, drugim zaś rodzajem to pieśń artystyczna. W charakteryzowaniu zatem pieśni ludowej ograniczymy się do zagadnienia melodii jednogłosowej.

Etnologia i historia muzyki zajmują się zagadnieniem początków i rozwoju muzyki. Zagadnienie to ujmuje się jedynie w teorii hipotetyczne. Teoretycy, poświęcający się temu zagadnieniu, zajmowali się problemem pierwszeństwa z pośród dwu elementów melodycznych: rytmu i materiału dźwiękowego. Jedni z nich uznawali pierwszeństwo rytmu, drudzy — pierwszeństwo materiału dźwiękowego. Problemu tego nie da się rozstrzygnąć. Natomiast łatwiej jest wnosić przypuszczenie, jaka istniała i istnieje jeszcze dziś przyczyna wypowiedzenia się człowieka w sztuce mu-

zycznej i w pieśni ludowej, jeżeli chodzi o wykonawcę nie kształconego muzycznie. Przyczyną tą jest potrzeba wyżywiania się estetycznego, wrodzona człowiekowi w związku z jego zdolnościami muzycznymi, czyli dążność do piękna.

Warunki wyżywiania się estetycznego w różnych czasach są różne, co najwyraźniej uwidacznia się, gdy porównamy czasy dzisiejsze z dawniejszymi. Dziś mówi się o nieustannie postępującym zaniku pieśni ludowej i praktyki muzycznej wśród ludu. Przyczyną działającą hamującą od lat kilkudziesięciu na własną twórczość naszego ludu jest szybko postępujący proces cywilizacji wsi. Lud wiejski, odstępując od tradycji, przyjmuje zasady życia miejskiego (urbanizacja wsi), porzucając formy życia wiejskiego, zmienia przekonanie, obrzędy i obyczaje. Jeżeli chodzi o przeżycia muzyczne, to muzyka pochodząca z miasta (radio, gramofon, napływ pewnych instrumentów) wywiera zubożenie do własnej produkcji pieśniarskiej i instrumentalnej, a przez to niweczy pęd do własnej twórczości. Zubożenie to występuje u młodzieży. Starszyzna wiejska zachowuje jeszcze tradycję, dzięki czemu jest jeszcze możliwy zorganizowany wysiłek, zmierzający do całkowitego zinwentaryzowania bogactwa folkloru muzycznego. Bogactwo to, które z czasem przejdzie do stanu zaniku, jeszcze dziś świadczyć może o dawnej świetności. Żyją jeszcze dzisiaj jednostki, posiadające w swoim repertuarze po kilkaset pieśni. Wobec tego, że pieśń ludowa jeszcze nie zamarła, wyniki akcji zbierania dają ilości pieśni, liczące się nie na setki, lecz na tysiące. Zbiory dzisiejsze urastają do rozmiarów, jakich jeszcze nigdy nie było.



JAN TACINA

zasłużony zbieracz cieszyńskiej pieśni ludowej

Interesuje nas zagadnienie, co wchodzi w skład tak olbrzymiego zasobu, jaki stanowi pieśniarstwo ludowe. Biorąc pod uwagę najogólniejszy podział, rozróżniamy dwie grupy pieśni 1) właściwa pieśń ludowa, której twórcą bezimiennym jest sam lud i 2) pieśń napływowa, przyswojona przez lud, mająca swe źródło w twórczości artystycznej.

Właściwa pieśń ludowa odznacza się następującymi cechami: 1) bezimiennosc, 2) zmienność, 3) przekazywanie z pokolenia na pokolenie drogą tradycji ustnej i 4) ścisły związek pomiędzy tekstem i melodią.

Pieśń ludową nazywamy bezimienną, ponieważ za jej autora uważamy lud jako zbiorową całość. Inaczej mówimy, że pieśń ludowa ma wielu autorów, wśród których rozróżniamy 1) właściwego twórcę i 2) wielką ilość przetwórców. Twórca wyprodukował daną pieśń w swoim czasie, który nam jest nieznan; mogło to być przypuśćmy przed trzystu laty. Jeżeli pieśń sprzed trzystu

lat przetrwała do dziś, zawdzięczamy to pewnej liczbie ludzi, żyjących w trzechsetletnim okresie czasowym. Pieśń ta w tym czasie była przekazywana z ust do ust z pokolenia na pokolenie, przy czym każdy jej reproducent zmieniał melodię i treść słowną. Dwojakie są przyczyny tych zmian: 1) reproducent nie potrafił wiernie powtórzyć zasłyszanej pieśni, gdyż pamięć ludzka odznacza się tego rodzaju właściwością; są to zmiany niezamierzone i nieświadome i 2) reproducent zmieniał celowo melodię i tekst pieśni, aby ją dostosować do własnego upodobania; są to zmiany świadome. Zmiany, przetwarzające pieśń ludową: nieświadome i świadome, wprowadzane są nie przez pojedynczego reproducenta, lecz przez wielką ich liczbę. Pieśń, która przeszła już przez tego rodzaju wielokrotne przeróbki, nie nosi już znamion, odpowiadających indywidualnemu upodobaniu pierwszego twórcy, lecz przedstawia twór dostosowany do upodobań uogólnych, czyli całego danego społeczeństwa. To też za wielką liczbę przetwórców, a więc współautorów uważamy lud jako całość. Wobec tego, że wielka liczba współautorów razem z autorem pierwszym nie jest znana, uważamy pieśń ludową za bezimienną.

Zastanowienia godnym jest fakt przetrwania pieśni przez wiele setek lat. Na wythumaczenie tego można przytoczyć wymienioną już właściwość pieśni, jaką jest zdolność do zaspokajania potrzeb estetycznych człowieka. Im więcej dana pieśń posiadała walorów estetycznych, tym pewniejsze było jej przetrwanie. Potrzebami dla życia duchowego u ludu są dobra kulturalne różnych kierunków zainteresowań. Całość ich możemy zamknąć w trzech ideałach platońskich, jakimi są: dobro, piękno i prawda. Pieśń jest tym kierunkiem kultury ludowej, który zaspokaja potrzeby piękna. W pieśni są, jak już powiedziano, dwa źródła, z których wypływa piękno: treść literacka (poezja) i treść muzyczna (melodia). Obydwa źródła realizują piękno sposobem prymitywnym, tj. odpowiadającym samorodnemu poziomowi rozwojowemu ludu. Poezja i muzyka w twórczości artystycznej stanowią dwie odrębne sztuki. Na poziomie prymityw-

nym te dwie wyodrębnione sztuki prawie że nie istnieją, a występują w symbiozie, jaką jest pieśń. Sama poezja ludowa należy do rzadkości. Natomiast sama melodia bez tekstu jest częstsza. Należą tu pewne przykłady melodii instrumentalnych, przeznaczonych do tańca. Wprawdzie większość melodii tanecznych posiada także swoje przyspiewki, czyli teksty słowne, jednakże trafiają się melodie taneczne, które ich nie posiadają. Melodie taneczne, występują natomiast w innej symbiozie, jaką jest związek ruchu tanecznego z melodią.

Wymieniwszy cztery cechy pieśni ludowej, nie wypowiedzieliśmy jeszcze

o niej wszystkiego. Są jeszcze bowiem dalsze cechy, które oceniamy uchem, gdy słuchamy pieśni z ust śpiewaka czy śpiewaczki ludowej. Są to właściwości wykonania, czyli artykulacji. Innym czynnikiem pieśni ludowej jako jej cechą jest sama melodia, rozpatrywana pod względem następujących elementów: 1) materiału dźwiękowego, 2) ruchu melodii w czasie, czyli rytmu i 3) cechy linii melodycznej, czyli t. zw. melos. Elementy te przedstawiają odrębne zagadnienia, których obszerność nie zezwala choćby na pokrótke scharakteryzowanie w ramach artykułu, któremu przeznacza się niewielki rozmiar.

II

Przy omawianiu skali dur-moll opierać się będziemy na przykładach melodycznych pieśni ludowych, pochodzących z powiatu czesko-cieszyńskiego. Dzisiejszy rozmach życia, a zwłaszcza stadium upowszechniania nauki i kultury stawia przed nami zadanie właściwego ustosunkowania się do dóbr samorodnej sztuki ludowej, a zwłaszcza sztuki muzycznej, jako najbogatszej. W chwili, gdy ludową sztukę muzyczną wprowadza się do skarbów kultur ogólnonarodowych, stoimy wobec zadania zapoznania się z nią choćby tylko teoretycznie. Obowiązek przepracowania najprostszych podstaw z teorii muzyki winno spełnić przede wszystkim szkolnictwo elementarne. Poniższy wykład teoretyczny stawia sobie za cel służyć materiałem dydaktycznym zarówno dla pracy szkolnej jak i dla samouka.

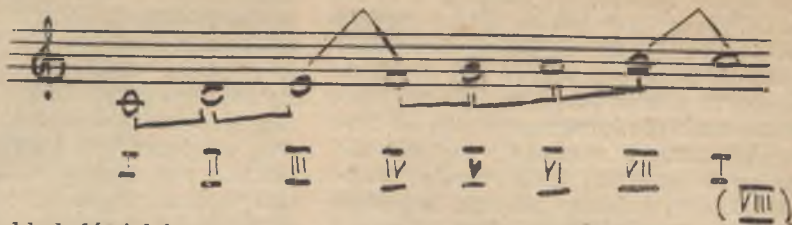
Skala dur-moll (system dur-moll) jest materiałem dźwiękowym, którym oprócz muzyki artystycznej stylu klasycznego posługuje się olbrzymia większość muzyki ludowej. W mniejszości występuje ta część muzyki ludowej, która opiera się na skalach najdawniejszych: archaicznych i kościelnych. Skale archaiczne i skale kościelne właściwe są nie tylko pewnemu pojedynczemu narodowi, lecz wielu narodom. Materiały pieśni ludowych z powiatu czesko-cie-

żyńskiego, jakie stoją do dyspozycji piszącego, stanowią repertuar, z którego nie da się przytoczyć przykładu na skalę archaiczną lub kościelną.

Skalę muzyczną stanowi — o czym już była mowa — materiał dźwiękowy. Materiałem dźwiękowym zaś to różne wysokości dźwiękowe. Ustosunkowanie się wzajemne wysokości dźwiękowych daje pojęcie skali. Ażeby zbadać ustosunkowanie dźwiękowe skali muzycznej, musimy dźwięki utworu muzycznego, np. melodii ludowej, uporządkować według wysokości. Czyniąc to, tworzymy stopniowanie dźwięków, które oznaczamy następnie liczbami. Ilość stopni w skali jest dokładnie określona. Nasze dwie skale, tj. skala dur i skala moll, są siedmiostopniowe. W oznaczeniu liczbowym mamy więc stopnie skali: I, II, III, IV, V, VI, i VII. Szereg dźwiękowy skali uzupełniamy jeszcze powtórzeniem stopnia I, który także możemy określić stopniem VIII. Między ośmiu stopniami szeregu jest siedem odległości międzystopniowych: pięć z nich są odległościami całotonowymi, a dwie — półtonowe. Odległości całotonowe nazywają się inaczej wielkosekundowymi, a półtonowe — małosekundowymi.

Skala dur posiada następujące rozmieszczenie całych tonów i półtonów:

pottony

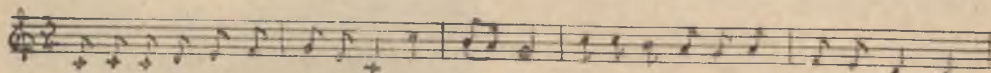


całe tony

Powyższy skład dźwięków posiadają następujące dwie melodie:

2

Oldrychowice 1928
Helena Liberdówna



Zie-lo-ne za-sia-łam, zie-lo-ne mi ze-szło, Gdzie się ja obróćę, wszędzie mi jest



tę-skno, wszędzie mi jest tę-skno.

1. Zielone zasiałam,
Zielone mi zeszło,
Gdzie się ja obróćę,
Wszędzie mi jest tęskno,

2. Tęskno mi jest, tęskno,
Ale nie wiem po kim.
Po szwarym syneczku,
Co jest za potokiem.

3. Co jest za potokiem,
A między górami,
Nikt by nie zrozumiał,
Co jest między nami.

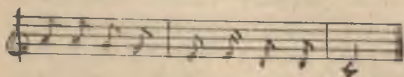
4. Między nami to jest,
Ze się radzi mamy,
A na całe życie
Szczерze się kochamy.

3

Milików 1930
Anna Kantorowa



Szła dziewczeczka do ga-i-czka, do zie-lo-ne-go, Spotka-ła tam myśliweczka, spotkała tam



myśli-we-czka bardzo szwarne-go.

1. Szła dziewczeczka do gaiczka,
do zielonego,
Spotkała tam myśliwiczka
bardzo szwarne-go.

2. Myśliwiczku, myśliwiczku, czorne
oczka mosz,
A ta twoja kochaneczka
oczka ociyro.

3. Czego płaczesz, lamentujesz,
dziewczyno moja?
Spod mi z głowy mój wióneckek,
popłynął mi w dół.

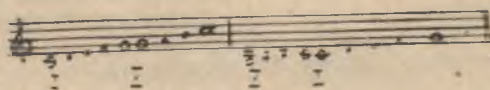
4. Nie płacz, nie płacz, nie lamentuj,
dziewczyno moja!
Móm jo jeszcze dwa łabędzie,
popłyną mi poń.

5. Łabędź płynie, wiónek tynie
do samego dna,
Jużeś ty jest, moja miła,
wianka nie godna.

Siedem stopni skali nie zawsze stanowią naturalny szereg liczbowy od I—VII jak w przykładzie 1. Przykład ten stanowi skalę oktawy na I stopniu, czyli oktawy toniczej. W melodiach występują skale oktawy także na innych stopniach, a najtypowszą jest skala oktawy V stopnia, czyli oktawy domi-

nantowej. Skalę tę tworzy się z oktawy toniczej w ten sposób, że zmienia się położenie dwu jej części: 1) kwinty toniczej i 2) kwarty dominantowej. W oktawie toniczej kwarta dominantowa położona jest nad kwintą toniczną, a w oktawie dominantowej — pod kwintą toniczną:

4



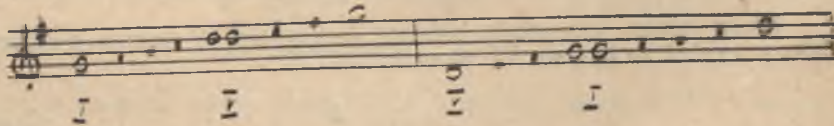
oktawa toniczna oktawa dominantowa

Przeniesienie kwarty toniczej o oktawę niżej daje ten rezultat, że oktawa dominantowa jest za niska i nie nadaje się do zapisu nutowego, a przede wszystkim do śpiewu. Wobec tego oktawę tę musimy przenieść do dogodnej wysokości, co nazywamy jej transpozycją. Trans-

ponując z jednej wysokości do innej, wprowadzamy nową tonację. W powyższych przykładach skala durowa oktawy toniczej i oktawy dominantowej podana jest w tonacji C. Dla oktawy dominantowej wybrać sobie możemy:

5

tonacja nr 9

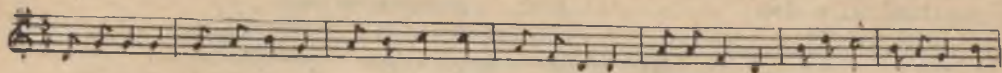


lub tonacja F

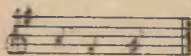


Te tonacje są wygodne dla oktawy dominantowej. Do zapisu melodii wy-

bieramy sobie jedną z nich (moglibyśmy wybrać także jeszcze inne):



Ciecze woda spod jawora Kole końszczyńskiego dwora, Wszystkie ławki pobrała, Jyny jedn⁴



niechała.

1. Ciecze woda spod jawora
Kole kónszczyńskiego dwora,
Wszystkie ławki pobrała,
Jyny jedne niechała.

2. Moja miła po ni chodzi,
Za nią moi łoczko wodzi,
Lecz mi ją gania ludzie,
Ze ś ni wiele nie będzie.

3. Powiadają bracia, siostry,
Ze łóna mo język łostry.
Choćby miała jako miecz,
Jo ją jednak muszę mieć.

4. Powiadają muzykanci,
Ze łóna szmatławo tańczy,
Niech tam tańczy, jak może,
Łóna za to ni może.

5. Powiadają wszyscy ludzie,
Ze łóna robić nie będzie.
Niech tam robi, abo ni,
Żodyn za nie nie zrobi.

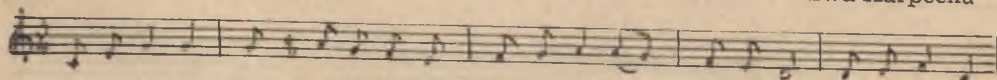
Mamy melodie w skali oktawy III stopnia, np.



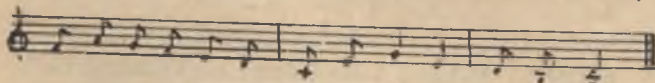
Straciła sie na sałaszu sło-ni-na, sło-ni-na, sło-ni, sło-ni, sło-ni-na.

1. Straciła sie na sałaszu słonina,
2. Łukozali na naszigo Marcina.
3. A Marcin se Panu Bogu przysiągał,
4. Ze łón ani na słonine nie sięgał,
5. Ze łón jyny z tej słóniny wziął kasek.
6. Położiliśmy Marcina na brzuszek,
7. Wytrzepali Marcinowi kożuszek.

Moga jeszcze być skale oktawy II stopnia, IV stopnia, a nawet VII stopnia.
Oto przykład na oktawę VII stopnia:



Ho-re Gródkym jest wążutko ce-sta, Furma-ni nła nie ja-dą. Są na Gródku



pyszni pa-choleczyka, Do tańca ji nie bio-ra.

1. Hore Gródkym jest wążiutko cesta,
Furmani nią nie jadą,
Są na Gródku pyszni pacholczyska,
Do tańca ji nie wezną.

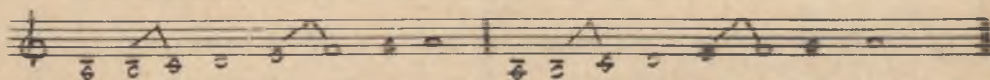
2. Jeden z nich jest jeszcze najpięk-
niejszy,
Bardzo pięknie tańczy,
Podziwiew sie do jego masztalki,
Jako konie futruje.

3. Ty kóniczki trzy dni nic nie jadły,
Ani wody nie piły,
Siekaniczko tak drobnuićki miały,
Mógby go brać na widły.

Oktawa skali dur VI stopnia ma wy-
jątkowe znaczenie — możemy ją prze-

mianować na skalę moll o innym roz-
mieszczeniu półtonów:

9



dur: VI...

VI moll I... I (VIII)

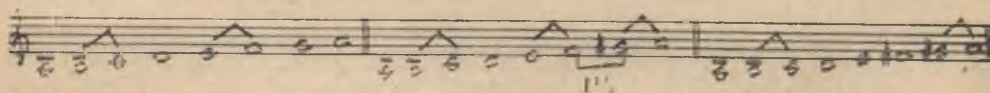
W ten sposób utworzona skala moll występuje w tonacji a (tonacje skali durowej oznaczamy dużymi literami, a tonacje skali mollowej — małymi literami). Pomiędzy skalą durową a skalą mollową, taką jak C-dur i a-moll, istnieje związek, który określamy paralelizmem. Mówi się, że skala a-moll jest paralełą skali C-dur. Paralelizm stanowi system dur-moll.

Różnica między dur i moll polega na odmiennym rozmieszczeniu półtonów, a wynikiem tego jest odmienna budowa

trójdźwięku. Trójdźwięk durowy różni się od mollowego tercją. Tercja ta jest w dur wielka a w moll — mała.

Skala moll posiada trzy odmiany. Rozpatrując te odmiany, badać będziemy dźwięki kwarty dominatowej, kwinta toniczna bowiem pozostaje zawsze niezmienna. Dźwięki kwarty dominatowej są zmienne. Są to Stopnie: VI i VII, które względem stopnia I mogą być odległościami (interwałami) wielkimi lub małymi. Trzy odmiany moll są następujące:

10



moll naturalne

moll harmoniczne

moll doryckie

Moll naturalne posiada sekstę małą i septymę małą.

Moll harmoniczne posiada sekstę małą i septymę wielką.

Moll doryckie posiada sekstę wielką i septymę wielką.

Przykładem melodycznym na moll naturalne jest melodia „O mój rozmajnie rozwijaj się”. Przykłady melodyczne na trzy odmiany moll podane będą po omówieniu zagadnienia, związanego z pojęciem skali, jakim jest po-

jęcie rozpiętości skali, czyli t. zw. ambitus.

Stwierdziliśmy, że skala dur i moll odznacza się siedmiostopniowością. Rozpatrywaliśmy przykłady melodyczne durowe na pomieszczenie tych siedmiu stopni w różnych oktawach. Badanie dalszych przykładów melodycznych nauczy nas, że nie tylko obręb oktawy może być zakresem skali dźwiękowej. Zakres ten może być mniejszy lub większy od oktawy. Przy zakresie mniejszym

pewne dźwięki z siedmiostopniowej skali są wyminięte.

Przy wyminięciu VI i VII stopnia

skali powstaje skala o rozpiętości kwinty tonicznej. Skala ta może być durowa lub mollowa:

11

Nawsie 1930

Anna Łyskowa



Och, mo-ja ma-mu-lko, ga-la-ni ja-dą,

Och, mo-ja ce-rzy-czko, na czym sie wie — — za? Woławiec na wo-zie, ku-



la-wiec na ko-zie. A mój nejmi- - le - jszy w pięknej ko-la- - sce.

1. Och, moja mamulko, galani jadą,
Och, moja cerzyczko,
na czym sie wieżą?
Woławiec na wozie, kulawiec na kozie,
A mój najmilejszy w pięknej kolasce.

2. Och, moja mamulko, cóż im dómy jeść?
Och, moja cerzyczko,
ty musisz wiedzieć.
Woławiec gałuszki, kulawiec papuszki,
A mój najmilejszy dobrą pieczonkę.

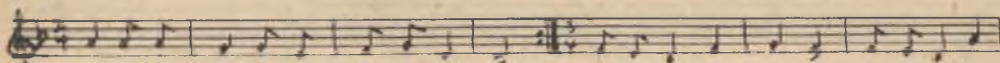
3. Och, moja mamulko, co im dómy pić?
Och, moja cerzyczko,
ty musisz wiedzieć.
Woławiec piweczko,
kulawiec wineczko,
A mój najmilejszy dobrą rozolkę.

4. Och, moja mamulko, kaj będą leżeć?
Och, moja cerzyczko,
ty musisz wiedzieć.
Woławiec na ławie,
kulawiec pod ławą,
A mój mój najmilejszy
ze mną w łódeczku.

12

Nawsie 1930

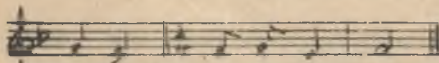
Anna Łyskowa



U - snę - la dziewczeczka pod le - lu - ją

Przyszł k ni syneczek o - bu - dził ją,

Ma dziyweczko, nie leż, me serduszko



po - ciesz, Bę - dziesz mo - - ją.

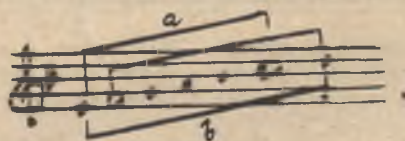
1. Usnęła dziewczeczka pod lelują,
Przyszł k ni syneczek, obudził ją.
Ma dziewczeczko, nie leż,
Me serdeczko pociesz
Będziesz moją.

2. Gdybych jo cie znała, syneczku mój,
Dałabych jo tobie wianeczek mój,
wianeczek zielony,
W Krakowie robiony,
Wianeczek ze złota,
Krakowska robota,
Syneczku mój.

Skala kwinty toniczej może być rozszerzona o jeden z dźwięków diatonicznych (13a), przez co uzyskuje się roz-

piętość seksty, lub obydwie dźwięki diatoniczne (13b), przez co uzyskuje się rozpiętość septymy:

13

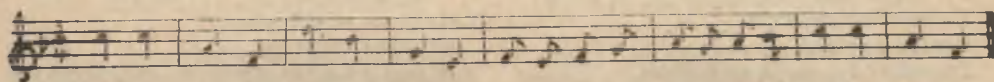


F-dur

Skala kwinty toniczej rozszerzona o obydwie dźwięki diatoniczne:

14

Gródek 1934
Anna Heczkowa



Cie-cze wo-da spod ja-wo-ra, Nie żyń sie ty mój syneczku bo cie szkoda.

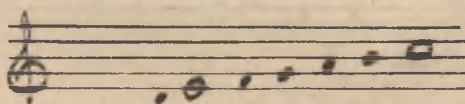
1. Ciecze woda spod jawora,
Nie żyń że sie, mój syneczku,
bo cie szkoda.

2. Bo łona mo żółte włosy,
Nie bedzie ci chleba jodać ze stokłosa.

3. Jyny bedzie winko pijać,
Musisz ją ty, mój syneczku,
dycki bijać.

Rozpiętość septymy może też mieć następującą budowę:

15

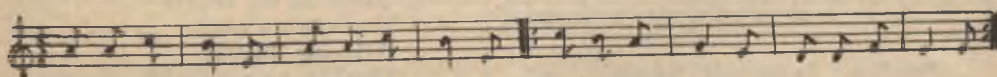


a moll $\bar{V}$

Jest to materiał dźwiękowy następującej melodii:

16

Nawsie 1930
Anna Łyskowa



Ej, w chlywie, w chlywie, za dwiyrecz-ka-mi, Sto-i łó-że-czko z pierzyne-czka-mi.

1. Ej, w chlywie, w chlywie,
za dwiyreczkami,
Stoi łózczo z pierzyneczkami.

2. A w tym łózczo czyrwione jabłko,
Dej mi, dzieweczko, kosała matka.

3. A co mi matka w tym rozkazuje,
Temu dóm gębulki, gdo mie miłuje.

4. Ej, Jaśku, Jaśku,
w czornym dómaszku,
Nie bedziesz chodził po mym sałaszk.

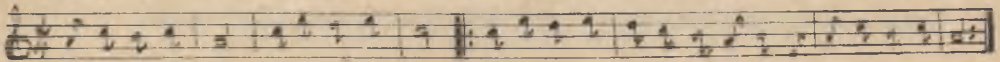
5. Bo mój sałaszek wielce bogaty,
Jedna łowieczka za trzy dukaty.

W jakimkolwiek zakresie skali dźwiękowej mogą być wyminięte pewne dźwięki. W przykładzie 6 wyminięty jest

VI stopień. A oto przykład na wyminięcie VI i VII stopnia w oktawie dominantowej mollowej:

17

Oldrzychowice 1930
Maria Cieniałówna



Zaświeć miesięczku, Prosto do sieni

Po-czekaj ty moja nejmilejsza, Aż do jesie-ni.

1. Zaświeć miesięczku
Prosto do sieni,
Poczekaj ty, moja najmilsza,
Aż do jesieni.

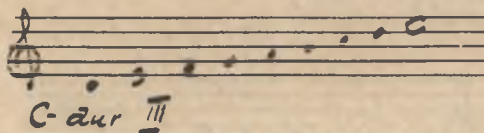
3. Krzywe nóżki mosz,
Szyroko stąpkosz,
A pod każdym prawym okiyniecznym
Bogactwa szukosz.

2. Cóż z ciebie za pan,
Ze cię czekać mam,
Jeszcze ja mam kapkę inakszego,
To se pójdę zań.

4. Bogactwa szukosz,
A sam go ni mosz,
Tylko jeden stare galaciska,
Co na sobie mosz.

Zakres dźwiękowy skali może też być od oktawy większy, np.

18



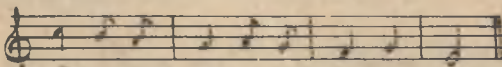
Przykład:

19

Oldrzychowice 1928
Helena Liberdówna



Czerwo-ne li-li- je, Białe tu- li- pa- ny Gdzieżeś się mi po- dział



Stra-li-ja, Ja-siu mój ko-cha- ny

1. Czerwone lilije,
Białe tulipany,
Gdzieżeś się mi podział,
Stralija, Jasiu mój kochany.

2. Alboż mi cię wzięły
Ptaszeta na góry,
Albo cię uniosły,
Stralija, na niebieskie chmury.

3. Alboż mi cię wzięły
Żeglarze na morze,
Ze się me serduszko,
Stralija, utulić nie może.

Melodia następnego przykładu posiada rozpiętość decymy (moll naturalne):

20

Milików 1930
Adam Kantor



A gdy przyjdzie chwila na-ru-ko- wać, A gdy przyjdzie chwi-la na-ru-ko- wać,



Nie zapła-cze ojciec, nie zapłaczę matka, Jyny zapła- ka-ją trzy dziewczą- tka.

1. A gdy przyjdzie chwila narukować,
A gdy przyjdzie chwila narukować,
Nie zapłaczę ojciec, nie zapłaczę matka,
Jyny zapłakają trzy dziewczątka.

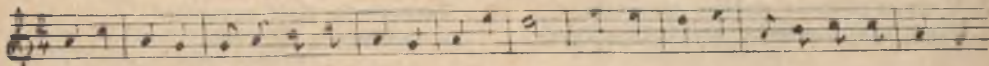
2. Jedna będzie płakać, że to jej brat,
Drugo będzie płakać, że to jej swat,
Trzecio będzie płakać, bo i ona musi,
Bo ona ode mnie pierścień nosi.

Dalsze przykłady melodyczne uwi-
dacznią nam nie tylko rozpiętość skal,
ale także dalsze odmiany moll. Z nastę-
pujących dwu przykładów moll natu-

ralnego pierwszy stanowi rozpiętość
septymy a właściwie kwinty tonicznej
z obydwu dźwiękami diatonicznymi,
drugi — rozpiętość oktawy VII stopnia:

21

Gródek 1934
Anna Heczkowa



Ej, jidą k nóm nasi gazdoszkwie, Ji-dą k nóm, A nie-sóm nóm dobrej go-rzo- leczki



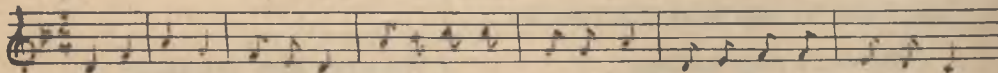
wielki zbón.

1. Ej, jidą k nóm nasi gazdoszkwie,
Jidą k nóm,
A niesóm nóm dobrej gorzołeczki
Wielki zbón.

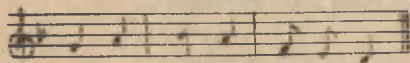
2. Ej, pośpieszcie nasi gazdoszkwie,
Pośpieszcie,
A rychło nóm dobrej gorzołeczki
Donieście.

22

Gródek 1935
Ewa Karpecka



Już tu nocka, już tu śpią, Już tu nocka już tu śpią, Ej, już nas tu nie puszcza,



Ej, już nas tu nie puszcza.

1. Już tu nocka, już tu spią,
Ej, już nas tu nie puszczą.

2. Dyby dziywczyn nie spało,
To by nas tu puściło.

3. Ale dziywczyn downo spi,
Ej, już nas tu nie puści.

4. Zoporeczka ciyniućko,
Złómiymy ją lahućko.

5. Zoporeczka złómano,
Ściebeleczkym związano.

6. My ściebełko urwiymy,
Ku dziywczynciu wlezymy.

7. Za dwyrzami złoty gnot,
Tam se połów swój kabot.

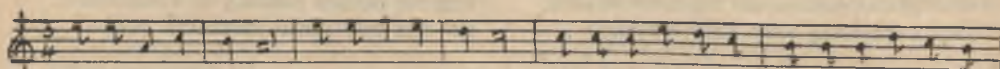
8. A powyszi klineczek,
Tam se zawieś kłobuczek.

Moll harmoniczne przedstawia nam
następująca melodia, zawarta w skali

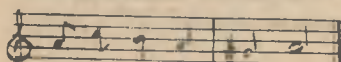
kwinty tonicznej z obydwu dźwiękami
diatonicznymi:

23

Puńców 1930
Maria Ofiokowa



U nasze-go pana zielo-na maszta-la, Sto-ją tam koniczki, sto-ją tam koniczki,



wy-glą-da-ją sia-na.

1. U naszego pana zielono masztala.
Stoją tam koniczki, wyglądają siana.

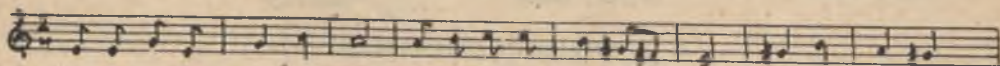
2. Daj ty, mój syneczku,
tym kóniczkóm siana,
Jeszcze się dość wypisz
z dziełuszką do rana.

Moll doryckie przedstawia nam nastę-
pująca melodia, zawarta w rozpiętości

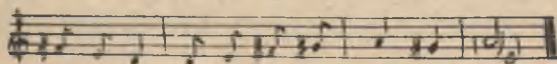
uwidocznionej w przykładzie 15, stosu-
jąca podwyższenie VI i VII stopnia:

24

Gródek 1934
Anna Heczkowa



Wspomóż Boże każde-go I gazdoszka na-sze-go. Co by go Bóg



po-żegnał, Ze nóm swa-czy-ne-czkę doł.

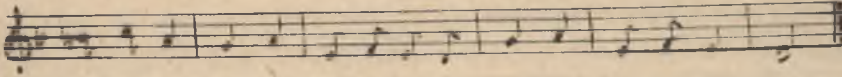
1. Wspomóż Boże każdego
I gazdoszka naszego,
Co by go Bóg pożegnał,
Ze nóm swacyneczkiem doł.

2. Wspomóż Boże gaździnóm,
Aż się z buchtóm łuwinóm,
Wspomóż Boże pachółki,
Co nóm dali gorzółki.

Melodie mollowe często posługują się dwoma lub trzema odmianami, jak to
widzimy w następującym przykładzie:



W ja-rzą-bkowym le-sie, kró-clu-tkie za-gón-ki, Ej, o - rze tam mój

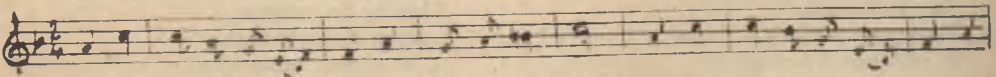


sy-ne-czek w ko-szul-ce bieluńkiej, w ko-szulce bie-luńkiej.

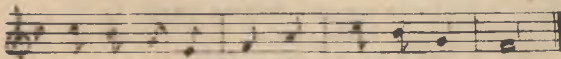
1. W jarząbkowym lesie
Króciutkie zogónki,
Ej, orze tam mój syneczek
W koszulce bieluńkiej.
2. Na koniec doorał,
Czapeczka mu spadła,
Czemużeś tak, moja miła,
Czemużeś tak zbladła?
3. Ej, zbladła jo, zbladła,
Przez ciebie syneczku,
Zawsze żeś mi obiecywał,
Że mnie weźniesz sobie.
4. Jo cie se nie wezně,
Wianka ci nie wróce,
Ale ci go, moja miła,
ale ci zapłacę.
5. Wyliczył jej tysiąc
Na zielonym stole,
Policz se to, moja miła,
Jeśli tego tyle.
6. Mało tego, mało,
Przyłóż jeszcze drugi,
Mój wianeczek jest za tysiąc,
Pocziwość za drugi.
7. Wzięła swe pieniądze
I w świat odjechała,
A zaś w jarząbkowym lesie
Pierwszą nockę spała.
8. Gdy się przebudziła,
Tak zaczęła płakać,
Mioleś mnie tu, mój syneczku,
mioleś mnie tu czekać.

Materiał dźwiękowy skali dur-moll, jaki powyżej przedstawiono, stanowi diatonikę. Pod diatoniką rozumiemy taki skład dźwięków, które, występując kolejnymi stopniami, postępują ruchem cało-tonowym i półtonowym. Oprócz dźwięków diatonicznych skali dur-moll występują w melodiach ludowych

dźwięki obce dla dur-moll, które nazywamy dźwiękami chromatycznymi. Dźwięk chromatyczny, to podwyższenie lub obniżenie pewnego stopnia skali. W poniższej melodii IV stopień, występując w melodii pięciokrotnie, jest jeden raz zmieniony przez podwyższenie:



Gazdo-szku, gaździnko, do was wstępu-je-my, Wszystkie-go dobre-go wam też



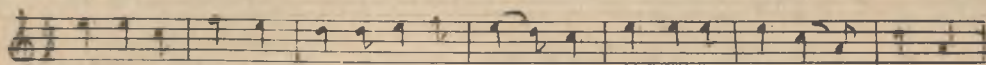
winszu-jemy, wam też winszu-je - my.

Gazdoszku, gaździnko,
Do was wstępujemy,
Wszystkiego dobrego
Wam też winszujemy.

Dwie następne melodie stanowią przykłady na podwyższenie III stopnia w moll:

27

Gródek 1934
Anna Heczkowa



Rozle-cie-li się si-wi go-lą-bko-wie. Po polu, ej, po — po-lu.



Nabier pszyniczki do zapa-śni-czki, A zwolej ich do dwo - - - ru.

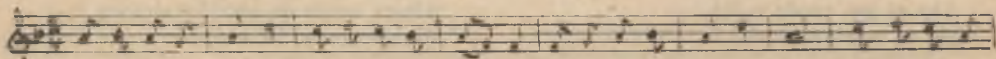
1. Rozlecieli się siwi gołąbkowie
Po polu, ej, po polu,
Nabier przyniczki do zapaśniczki,
A zwolej jich do dworu.

2. Jużech nabrała, aji zawołała,
Wołałach jich: duś, duś, duś,
Już jich nie bedym wyncyj wołała
O, nie bedym już, już, już.

3. W łokyneczku siedła,
szatkę wysziwała,
Bielusióńką jako kwiat,
Zmieniły się ji łocziczka jeji,
Zmienił się ji cały świat.

28

Ewa Karpecka
Gródek 1935



Zarżyj że mi zarżyj, Mój koniczku branny, Przez to pole ja-dą-cy, Aby u-sły-



sza-la, Moja nejmi-lejsza W o-kieneczku sto-ją-cy.

1. Zarżyj że mi zarżyj,
Mój koniczku branny,
Przez to pole jadący,
Aby usłyszała
Moja nejmilejsza
W okieneczku stojący.

3. Dybyś ty był dobry,
Syneczku nadobny,
Pumóg byś mi wołki paść,
Aleś ty je szelma,
Leżysz do południa,
A jo muszę sama spać.

2. A jak usłyszała,
Zaraz zapłakała,
O koniczka brannego.
Nie tak o koniczka,
Jako o syneczka,
O syneczka szwarneho.

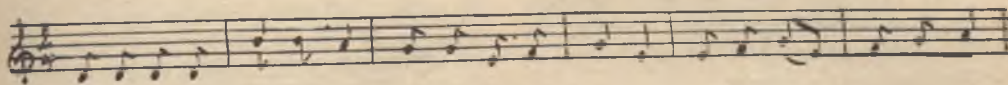
4. Pożynę jo wołki
Przez zielone dolki,
Beda sie mi dobrze paść,
A jo bede spała
Pod kopieczkym siana,
Muzyczka mi bedzie grać.

Zmiany chromatyczne, uwidocznione w przykładach 26, 27 i 28, nie wpływają na charakter skali. Natomiast ostatnie dwa przykłady tego artykułu

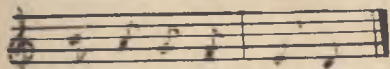
to melodie o materiale dźwiękowym, w którym nie możemy się dopatrzeć ani skali durowej, ani mollowej:

29

Ligotka Kameralna 1936
Maria Gadlinowa



Cieężko tymu kamiyniu co pod wodą płynie, A jeszcze ciężejszy



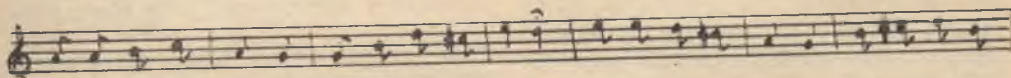
gdo ko-go mi - luje.

1. Cieężko tymu kamiyniu,
Co pod wodą płynie,
A jeszcze ciężejszy,
Gdo kogo miłuje.

2. A jo je ta sama,
Coch go miłowała,
Pan Bóg doł, Pan wziął,
Jo została sama.

30

Koszarzyska 1935
Adam Szmek



Ło-wieczki, ło-wieczki, Chowoł bych was mocki, A-le na was trzeba przestroniej lu-



boczki.

1. Łowieczki, łowieczki,
Chowołbych was mocki,
Ale na was trzeba
Przestroniej łuboczki.

2. Przestroniej łuboczki,
Wielkiego koszora,
Ach, k temu też trzeba
Mądrego łowczorza.

Jan Tacina



„Jak to ze lnem było“

„Był raz król taki, co miał wielkie królestwo, wszelkiego dobra i bogactwa pełne, tylko że w nim złota nie było...”

Król marzył o złocie.

Pewnego razu spośród kupców przejeżdżających z towarami przez stolicę królewską staruszek jakiś siwiuteńki mieszek siemienia dziwnego królowi podarował, że niby z tych niepozornych ziarenek złoto się urodzi na polu.

Sam król siemie owe wiosną w czarną, pulchną, ziemię posiał, sami ministrowie za bronami chodzili, cały naród z niecierpliwością czekał, kiedy złoto wykiełkuje i wyrośnie.

Nie złoto to jednak było, ale żdźbło przy żdźbłe wzeszło i rosło nad dziwy bujnie i zakwitło pięknie niebieskimi kwiatuśkami.

Król zafrasowany chodził, ale wiecznie się pocieszał, że to pewnie nasienie tych dziwnych roślin będzie tym przyrzeczonemu przez staruszkę złotem. Rozgniewał się jednak na dobre, kiedy po dojrzaniu jedną główeczkę nasienną zerwał i w palcach rozgniół. Przecie mu na dłoni także samo nasienie zostało, jakie wiosną od owego starucha dostał!

Wybuchnął straszliwym gniewem zawiedziony w swych nadziejach monarcha, służbę zamkową skrzyknął i mścić się rozpoczął na zielsku owym, które miast złota na królewskim polu wyrosło. Najpierw służący te łodygi co do jednej z ziemi wyrwali, kijami zbili, do wody cisnęli, gdzie je skazano na zgnicie i na zagładę zupełną.

A w międzyczasie gońcy po całym królestwie gonili, szukając owego starucha, który w tak niegodziwy sposób odważył się zadrwić z monarchy.

Nie danym było jednak doczekać się zielsku ostatecznej zagłady w głębinie rzecznej. Zobaczył je tam król spacerujący tamtędy i wyrzucić je kazał gdzieś

do padolu jakiegoś. Służba rozkaz spełniła, te przegniłe na wpół badyle pod las wyrzuciła, żeby je tam słońce spiekło do cna. Ale i tam spokoju nie znalazły, bo podczas polowania król je tam znowu spostrzegł, kijami omłócić a potem na rozstaje rzucić kazał.

Kupca-staruszką na darmo gońcy szukali po świecie.

Badyle zbite i sponiewierane leżały tymczasem na rozstajach, to w deszczu, to w skwarze słonecznym, aż znów po jakimś czasie koń królewski podczas przejażdżki w nie się zaplątawszy upadł, że król ledwo-ledwo nogi ze strzemion wysunął i na bok odskoczył.

Rozwścieczony król znów badyle owe przekląte po raz trzeci zbić kazał kijami, a potem w ogień cisnąć, żeby śladu najmniejszego po nich nie zostało. Ze zbitych badyli tylko białe, mięciuchne włókno zostało, i to właśnie włókno służba królewska porwała i na ogień ogromny niosła, żeby je spalić na popiół i na wietrze rozrzucić.

W samą porę gońcy odszukanego i schwytanego staruszkę do króla wprowadzili, bo już służba ogromne naręcza bielusiękich włókien na ogień niosła. Wstrzymał ją aresztowany staruszek i owe włókna do więzienia z sobą zabrał, gdzie go król za obrazę majestatu królewskiego wtrącić kazał.

Z włókien owych córka dozorczy więziennego sporo nici równiuteńkich naprędkła, a z nich na warsztacie tkackim, na którym dotychczas tylko jedwabie tkala, tak śliczne płótno wyczarowała, że nawet sam król nigdy dotąd jeszcze takiego nie widział. Podarował je staruszek córce królewskiej na podarunek ślubny, aby z płótna owego koszule dla sierot i chorych w całym państwie szyć kazała. Poznał król wreszcie, jakie złoto od staruszką otrzymał, przeprosił go i uściśnął serdecznie, a potem ową włók-

nodajną roślinę w całym swym państwie siać przykazał, ażeby wszyscy ludzie mogli się w szaty lniane przyodziewać, i nigdy już nie chodzić w skórach zwierzęcych, jak temu było dotychczas.

Taka jest treść opowieści Marii Kopnickiej o tym, jak to ze lnem było, jak do biednego ludu przyodziewającego się w skóry zwierzęce uśmiechnęło się szczęście. Akcja opowieści zamknięta została w ramach niecałego roku. Jak to ze lnem było w rzeczywistości — trudno nam dziś powiedzieć.

Samo odkrycie lnu, jako rośliny włóknodajnej, oraz proces uprawy lnu i jego obróbki był na pewno wynikiem wielowiekowych doświadczeń naszych przodków. Długa była droga od garstki siemienia lnianego rzuconego w nieumiejętnie prymitywnymi narzędziami uprawioną glebę do pierwszego kawałka szarego płótna lnianego.

★ ★ ★

U nas na Śląsku uprawa lnu, przędzenie i tkactwo lniarskie posiadają długowieczną tradycję.

Historycy wspominają, iż nawet wcześniej aniżeli w wieku XIII Śląsk zaczął produkować w większej ilości płótno, i to ze lnu uprawianego w samym kraju. Produkcja płótna odbywała się wówczas sposobem domowym.

Jak wspomina ówczesny kronikarz — w długie wieczory zimowe przadł cały dom: ojciec, matka, nawet małe dzieci. Pasterz zabierał z sobą kądziel w pole, pasterka przywiązywała sobie krowę lub kozę do pasa, a sama siadała na trawie i przadła. W większych gospodarstwach w ten sposób otrzymaną przędzę przetwarzano tylko na użytek domowy, klasa uboższa przadła także na sprzedaż. Przędzę w tym wypadku skupowali handlarze, którzy zawozili ją potem na targi do miasta, gdzie znajdowała chętnych nabywców. W miastach mieszkało bowiem sporo tkaczy, którym prawo zapewniało specjalne przywileje i jak gdyby monopol do wyłącznego zasycania handlu miejskiego produktami tekstylnymi. Płótna lnianego z innych miast nie wolno było sprowadzać. Pomimo posiadanych przywilejów tkacze miejscy

uważani byli za ludzi niżej stojących w hierarchii rzemieślniczej, cech tkacki uważany był za gorszy od innych. Taki stan rzeczy możemy sobie wytłumaczyć tym, iż kiedyś materie lniane nosili tylko niewolnicy i ludzie biedni, i z tego też powodu rzemiosło tkackie było lekceważone przez inne cechy zaspakajające potrzeby klasy zamożniejszych.

„Książę cieszyński Wacław — jak pisze dr Franciszek Popiołek — zakazał osobom stanu rycerskiego lub wyższego traktować pogardliwie mistrzów tkackich, a powołał się na przywilej króla Władysława i orzeczenie ławników magdeburskich, w których uznano tkaczy za ludzi uczciwych, stojących na równi z innymi rzemieślnikami.” (1554 r.) Tacy, którzy przekroczyli ten przepis, byli pociągani do odpowiedzialności i karani, za co każdy tkacz płacił do kasy książęcej po 16 gr, a cały cech po 1 zł rocznie.

Również we wsiach śląskich było sporo tkaczy. Robili oni płótno okolicznym chłopom i szlachcie, której byli poddani. Szlachta miała przędzy pod dostatkiem, ponieważ obowiązkiem jej poddanych chłopów było także między innymi dostarczanie pewnej ilości gotowej przędzy.

Książę Wacław Adam wydał w r. 1563 rozporządzenie, w którym zagwarantował przywilej tkaczy cieszyńskich, na mocy którego szlachta śląska była zobowiązana odsprzedawać im wszelką otrzymaną od chłopów przędzę. Szlachta oczywiście w pierwszym rzędzie zaspokoiła swe własne potrzeby, a potem dopiero spełniała swój obowiązek wobec tkaczy cieszyńskich, wypływający z przywileju Wacława Adama.

Tkactwo w owych czasach było rzemiosłem spotykanym bardzo często pod strzechami chałup śląskich. Nie było jednej wsi śląskiej, w której nie stukałyby całymi dniami warsztaty tkackie. Bładowice Dolne, powodowane na pewno tradycją z tych czasów, obrały sobie nawet w czasach późniejszych, jako godło wsi — dwa czółenka tkackie; herb ten znajdował się na pieczęciach gminnych używanych od r. 1880. (M. Gumowski: „Herby i pieczęcie miejscowości Woję-

wództwa Śląskiego"). Nawet nauczyciele ówczesni parali się tkactwem, o czym świadczą wzmianki w sprawozdaniach wizytatorów biskupskich, którzy w latach 1652, 1679 oraz 1687/88 zwizytowali parafie diecezji wrocławskiej. Wymieniają tam następujących nauczycieli-tkaczy: Laurentza w Karwinie, Lentza w Puńcowie, Pławieńskiego w Rudzicy i Folwarcznego w Skalicy. (Jungnitz: „Visitationsberichte”).

Poważnym ośrodkiem przemysłu tkackiego był w owych czasach Jabłonków. W trzydziestych latach XIX wieku było jeszcze w Jabłonkowie prawie 500 tkaczy, którzy sposobem domowym produkowali na swych warsztatach kilka tysięcy sztuk grubego płótna, wywożonego następnie na sprzedaż na Węgry i do Galicji.

Tkactwo podupadało jednak z biegiem czasu i groziło całkowitą ruiną. Cesarzowa Maria Teresa, próbując przeciwdziałać temu upadkowi, wydała zarządzenia, w których zachęcała szlachtę do uprawy większej ilości lnu na dobrach szlacheckich do zakładania warsztatów tkackich, blichowni i maglowni.

Kupiec cieszyński włoskiego pochodzenia, Dominik Contessa, założył w r. 1769 w Cieszynie przedsiębiorstwo bawełny, za co od cesarzowej otrzymał złoty medal i tytuł inspektora handlowego. Contessa w swej fabryce zatrudniał około 250 ludzi, wśród których znajdowały się nawet małe dzieci. Fabryka niedługo była w ruchu. Contessa zarzucił bowiem przemysł i został administratorem miejskim.

Jakie były dalsze losy tkactwa lnianego?

Z biegiem lat tkaniny fabryczne wyparły lniane płótno z powszechnego użycia, lud po wsiach uprawiał coraz mniej lnu, wreszcie jego uprawy zupełnie zaprzestały wskutek czego i tkactwo zanikło.

A dziś?

Tylko w niewielu chałupach góralskich w miesiącach zimowych starzy tkacze śląscy tkają na krosnach płótno lniane z przędzy dostarczonej im przez sąsiadów, którzy uprawiają len jedynie na swój użytek.

Już dawno poszły w zapomnienie liczne powiarki i starodawne zwyczaje, zamilkły melodyjne pieśni ludowe i ciekawe opowieści związane z rokroczną uprawą lnu, jego obróbką, przędzeniem nici a tkaniem lnianego płótna. Tylko nikielne strzępy tych prawdziwych klejnotów ludowego folkloru śląskiego błakają się jeszcze po pochylonych chatach góralskich i tam właśnie trzeba je starannie odszukiwać i ratować przed nieuchronnym zanikiem.

★ ★ ★

Len siano zazwyczaj na Zofię lub na Stanisława, bo „lyn zasioty na Stanisława rośnie jak ława”. Siało się go na zagonie dobrze przeoranym i odchwaszczonym, zawsze w kierunku od wschodu na zachód, tak jak codziennie po niebie wędruje słońko, i to w czasie, kiedy księżyc przybywa, bo „jak miesiόνczek idzie do góry, to lyn rośnie lepszy”. Siewca nabierał „siymiyniec” lub „siymióno” pełną garścią i szedł przy siewie powoli noga za nogą, ażeby zasiew był gęsty. Im gęściej rozrzucono siemię, tym delikatniejszy len wyrósł. Właściwą gęstość zasiewu sprawdzano w ciekawy sposób. Przykłękano mianowicie nad zagonem i językiem dotykano ziemi. Jeżeli do języka przyczepiło się co najmniej 7 ziarenek, to len dobrze „poschodzi”. Przy tym oczywiście nie obyło się bez żartów, jeżeli w tym czasie w pobliżu siewcy znajdowała się jakaś nie zorientowana o co chodzi osoba. Proszono ją również, żeby i ona przeprowadziła ową „językową próbę”, a kiedy przykłękła nad zagonem i swój wypłężony język zbliżała do rozrzuconego siemienia, wtedy niespodziewanie trącano ją w tył głowy, że nie tylko językiem, ale całą twarzą przeprowadziła pożądaną próbę. Pełno oczywiście było przy tym śmiechu i wesołości.

Potem len zabronowano lekkimi brodami. Ażeby obsiane półko zabezpieczyć przed ptakami, stawiano nad nim „straszdyła z hander”.

Kiedy len „poschodził”, wtedy go dwa lub trzy razy „przepleto”. Na polu było wtedy pełno przekomarzania się i śpiewu:

— Wyjeholech na poleczko,
jeszcze nie był dziyń,
nadeszelech dziyfche szfarne,
łono pleło lyn.

— Boże pómóż, dziyfche szfarne,
musiż-mojóm być!

— Boże dej zdrowie, syneczku,
nie łumiy m robić!

— Móm jo dóma brzezineczkym,
porząd za wroty,
nałuczcy cie pzydż-ji warzić,
fszelki roboty.

— Ło, jeszcze ty, mój syneczku,
do mnie nimosz nic,
a już mie ty łobiecujesz
brzezineczkóm bić.

Latem na roślinkach pojawiły się pączki, a niedługo potem cały zagon lnu rozniebieszczył się błękitnym kwieciami. Po przekwitnięciu kwiatów pojawiły się na ich miejscu zielone torebki nasienne, które po pewnym czasie zbrunatniały. Po dojrzeniu torebek nasiennych szły kobiety w pole i wybierały len. Wyrwały całe rośliny z korzeniami i rozpościerały na łące. Tam len pozostawiono przez około sześć tygodni, ażeby się dobrze „wyrosił”.

W „Zaraniu Śląskim” (rok 1909, zeszyt 3, str. 144) znajduje się ciekawy opis wybierania lnu, zapisany w Istebnej: „W drugiej połowie sierpnia, gdy łodyga i nasiona lnu dojrzeją, odbywa się piękny zwyczaj pobaby na len, który nazwać można prawdziwą uroczystością ludową. W dniu poprzednim gospodyni lub jej córka obchodzi sąsiednie chaty i prosi gaździnę i dziywki (dziywka = służąca lub każda niezamężna kobieta począwszy od lat 17) na pobabę, a następnie „gajdoszy” (gajdoszami nazywają się istebniańscy muzycy, którzy grają na skrzypcach i „gajdach”, czyli kobzie) i pachółków. W dniu oznaczonym przychodzą „broczki” (broczka to każda kobieta, która „bierze”, czyli rwie len) czyściutko ubrane ku zagonom lnu. Uroczystość rozpoczyna się zwykle po południu, a często przy świetle pochodni z łuczywa lub przy świetle księżyca. Otwierają ją dziewczyny odśpiewaniem pieśni ludowej:

Orle, miły orle,
spuszcz sie dołu ku mnie.

Spuszcz zie sie po murze,
po jedbownej szniurze.

Połednie, połednie,
z połednia sie schyla,

Nasza gospodyni
okiynkym wygląda.

Gdy „broczki” większą połowę lnu wybiorą, nadchodzi gazda z gajdoszami i parobkami. Gazda kosi trawę, która rosła pomiędzy lmem, gajdosze zaś przegrywają broczkom do śpiewu. Cała bowiem uroczystość ta przeplatana jest śpiewem, co jej dodaje tak wiele uroku. Skoro lisko skoszone, trawa sprzątnięta, zaczynają się tańce.

Po skończonych tańcach na świeżym powietrzu, które trwają niedługo, rozpościera się len na lisku. Górale lnu w wodzie nie moczą, lecz rozpościerają go na lisku warstwami na ½ cm grubymi i tak pozostawiają go działaniu słońca i deszczu.

Gdy praca skończona, zaprasza gaździna wszystkich uczestników i uczestniczki pobaby na „poczęsną” do pobliskiej gospody, gdzie tańczą do późnej nocy”. (Spisał stud. jur. Jan Sikora.)

Po sześciu tygodniach, kiedy len był dobrze „wyroszony”, wiązano go do dużych „ocipek” i zwożono ku chałupie. Następnie ocieпки dzielono na „półki”. Czyniono to zwykle na pobabie.

Len związany w „półki” kobiety „łodziyrgły na dziyrgcach”. („To były taki drzewianne zymby.”) „Łodziyrgowani” polegało na zerwaniu z roślin dojrzałych główek nasiennych. „Ty główki dawały sie do miyszka, a jag-łuschły, to sie jih-wymłóciło cepami. Potym sie ty wymłóczone główki zwiolo na fukacziu, ji szymiyniec był czisty. Coszika szymiynca łocsypało sie na zaszlocie, kielo sie już tam chciało, a z łostatka wyczyskało sie łolyj. Cały szymiyniec dawało sie też bydiu, przeważnie czielyntóm. Czielynta były s-tego piekne.” (Józef Sikora — „Krajczok”.)

Kobiety przy „łodziyrganiu” lnu śpiewały, a kiedy wszystkie półki były już



pozbawione główek nasiennych, wtedy „łodziyrgorczki” wesoło sobie zatańczyły. Tymczasem gospodyni z gospodarzem odziergnięte polki znosili do domu do dalszego suszenia.

„Kaj były kurloki, to sie ty polki pokładało pod powoływ na polynkach, albo też mówili na polyn.” (Polynie — były to pewnego rodzaju drążki pod tragarzami, na których kładziono deski.) Indziej suszono len w piekarszczoku po upieczeniu chleba.

Kiedy na polyni lub w piekarszczoku len dokładnie wyschnął, wtedy go „baby łómały na łómkach” (Marklowice Dolne), „trzyły na ciyrkach” (Milików-Liści), „trzępały na cierlicach” (Łomna Dol.-Kamienity) albo „miyndliły na miyndlicach” (Milików-Liści). Tak w różnych okolicach nazywano jedną i tę samą czynność oraz jeden i ten sam przedmiot.

Len do łamania brało się ciepły z polynia lub piekarszczoka. Cierlice (łómk, ciyrni, miyndlice) były przybite do długiej belki na podwórzu. „Trzepoczki” co chwila wołały: „Dejcie lnu! Dejcie lnu!” Gospodyń zdejmowała len z polyni i układała swym dzieciom na naręczach, a te zanosily go kobietom na podwórze. Kobietom spod rąk odpryskiwały na boki suche paździerze, a w dłoniach pozostawała już sama kądziel.

Kądziel uzyskaną z dwóch polek składowano razem; była to „gorstka”, którą przewiązano kilkoma włóknami kądzieli. Trzydzieści gorstek tworzyło jeden „klub”.

„Trzepoczki” podczas trzepania lnu śpiewały i tańczyły.

Kiedy gospodyni zdjęła z polyni ostatnią polkę, wtedy ją przystroiła „na lalkym”. Ubrała ją do swej pończochy (to były zbierane pończochy wełniane, ponad 2 m długie!), na głowie zawiązała jej jak gdyby chustkę i taką młoduchym” (tak właśnie tę ostatnią przystrojoną polkę nazywano) przez dziecko posłała „trzepoczkom”. „Młoduchym” chciała trzepać każda trzepoczka, bo to sprowadzało szczęście. „Swobodno trzepoczka po wytrzepaniu młoduchy stała się do roka prowadziwóm młoduchóm.” Ażeby więc nie było pomiędzy kobietami niepotrzebnych sprzeczek i zazdrości, dlatego „młoduchym” trzępały po chwileczce wszystkie trzepoczki; każdej więc dostawało się po trosze tego domniemanego szczęścia.

Po wytrzepaniu „młoduchy” kobiety wzięty długie kije, uderzały nimi po strzesze chałupy i śpiewały:

Ło, przeca, przeca
ześlazła s-pieca,
ześlazła s-polyniy,
jako synecziek do szfarnej dziyfeczyyny.

A potem śpiewały dalej:

Zaśzfidyż-mi, mieszióńczku, do moji sziyini,
łocziakuj mie, dziyfeczyyn szfarne, aż do jesziyni.

Cziózież ty za pan, dy ciezie cziakać mam,
mam ja jeszcze szfarniejszygo, co go cziakać mam.

Krzywe nogi mośz, szyroko stómpośz,
a pot-każdym łokiynećkym bogactfio szyukośz.

Bogactfio szyukośz, a sóm go nimośz,
ji galaty same łaty, jag-handerlok mośz.

Śzłubowałaśz ros, zie mi gymby dośz,
tyn wiónecziek z modrej miynty, co na głowie mośz.

Mamulko moja, boli mie głowa,
łodeszeł mie synek śzfarny, pocziecha moja.

Kozoł nie płakaćz, ani szie smuczićz,
zie szie jeśzcie dżiszio wiecziór mozie nawrócićz.

Potem trzepoczki dostały „po półeczce warzónki”, dostały pojeść, należną zapłatę („trzepoczki za cały dzień trzepania dostały łód gaździnej po siedym gorstek wytrzepanej kóndziele”), a potem „mazały ś-cierlicami do chałupy”.

Później sama gospodyni cesała kądziel na „szczeci”, a po wycziesaniu potrzasała nią „na próntku”, ażeby była delikatna do przedzenia. Wyczesana kądziel dała przędzę cienką, delikatną, z której tkacz utkał płótno cienkie, „ćwilichowe”. Z pozostałej kądzieli uprzedły kobiety nić grubszą na grubsze płótno.

Zimowym czasem zbierały się kobiety na prządkę. Przynosili z sobą kołowrotki i przęślice z krężelami, zasiadały przy kołowrotekach, zarzucały na krężeł warkocze delikatnej kądzieli i w odbłasku trzaskających szczyp rozpoczynały przędzenie.

„Cała praca przedzenia wydawałaby się obcemu nudną i jednostajną. A jednak tak nie było, owszem, była to praca zajmująca i przyjemna, i obficie urozmaicona. Miło było widzieć te warczące kołowrotki i słyszeć ten ich szmer, jaki sprawiał ich szybki obrót. Wprawne ucho mogło dobrze wyczuć tę ich zharmonizowaną muzykę, gdyż każdy kołowrotek na inny był nastrojony ton, bo kołowrotek na cienką przędzę wydawał dźwięk wysoki, kołowrotek na „grabkowinę” wtórował altem, a kołowrotek na „grubaczyznę” sekundował basem.” (Jan Kubisz — „Pamiętnik starego nauczyciela”).

Kołowrotki — jak dalek wspomina Jan Kubisz — wyrabiali specjaliści mistrzowskim sposobem tokarskim. Wówczas na

całą okolicę z wyrobu kołowroteków słynął wuj Kubisza, Płoszek z Lesznej. Kubisz, jako młody chłopak chodził tam często, przyglądał się nieraz jego dziwnej robocie i podziwiał gotowe kołowrotki rzędem ustawione na piecu piekarskim. „Stały tam na cienką jak młodziutkie dziewczeczki, smukłe i zgrabne, stały na grabkowinę jak pokaźne mamusie, stały tam na grubaczyznę jak zgarbione i zmarszczone, szerokie w plecach starki. A każdy kołowrotek miał swojego kawalera, niby swojego towarzysza pracy: przęślicę z krężelem. Przed kołowrotkiem na cienką stała przęślica smukła jak parobczak hoży, a przed tym na grabkowinę, to krężeł prezentował się jak tatuś poważny, a zaś obok na grubaczyznę trząsł się na przęślicy grubo powłóczony krężeł, jak dziadzio w kozuchu, by się otulić przed zimnem, aby się otulić przed nudnym gderaniem wiecznie niekontentnej połowicy.”

Kołowrotek składał się z kilku części: spodka, słupków, szłapki, pachołka (który łączył szłapkę z kołem), koła, fajfy albo falfy (cewki), szruba, piór (były to części metalowe) oraz sznióry.

Prządkę schodziły na pobabę. Każda prządkę zasiadała do kołowrotka, z krężela wyskubała niewielki kłaczek kądzieli, skreśliła go w palcach w nitkę, którą następnie przewlekła odpowiednio przez otwory w piórach, umocowała na fajfie i zaczęła prząść. Kołowrotek, wprawiany w miarowy ruch nogą prządkę, warczał niezmordowanie, skreślał i nawijał na fajfę równiuteńką, lniającą nić, formowaną zgrabnymi palcami

przędki. Nić podczas przedzenia trzeba było ślinić, dlatego przędki stałe zużyły „pieczki” (suszone owoce), albo „smołym pypulkowóm ze smreków” (grudki żółtej żywicy).

W dawnych czasach, „kiesika ludzie przóndali też kóndziyl na wrzeciónkach”. Nici uprzedzone na wrzecionie „były na dómowóm potrzeb, na łotani, na szyci, płachty łobrymbowali nimi”. O przedzeniu na wrzecionie pisze również wspomniany już Jan Kubisz w swym „Pamiętniku”: „Niektóre przędki umiały też prześć i na wrzecionie, tym prymitywnym narzędziu zamierzchłych czasów. Jak się umiały kręcić te wrzeciona wprawiane palcami w ruch niedostrzegalny, a niektóre zakręcone na łokciu silnym ruchem i puszczone swobodnie, tańczyły po izbie, aż je prządka porwała ku sobie i nić uprzedzoną zgrabnie około wrzeciona owiła.”

Kiedy prządka naprzędła pełną falfę nici, wtedy je było trzeba namotać na

motowidło. Nici te było trzeba liczyć; 24 nici tworzyło 1 pasmo, 1 nić w paśmie miała 2 i $\frac{1}{4}$ m długości. Pasma przewiązało się nitką, po czym bez odcinania poprzednich nawijało się dalsze pasma. 20 pasm tworzyło 1 łokieć. Na motowidło nawinęło się w ten sposób 30 pasm, które tworzyły 1 i $\frac{1}{2}$ łokcia przędzy; 12 łokci tworzyło 1 sztukę. Z 1 łokcia przędzy tkacz utkał zwykłe 1 „miarum”, czyli 60 cm płótna. „Kielo miała baba łokci przyndze, telo miała mior płótna.”

Po opróżnieniu falfy prządka zakładała ją na „pióra” i przędła dalej.

Podczas przedzenia mieszało się też kądziel z owczą wełną. Przędza taka była gruba i służyła do tkania grubego płótna, tzw. „raszu”.

Zwoje gotowej przędzy zanosilo się do „tkocza”, który na warsztacie uprządził z niej płótno.

Warsztat — „to nejbarzi łopisujóm krosna. Na przotku je wyszni nowój, pod wysznim nowojym je sztoga a prók. F-progu sóm zaprawiöne podnószki. Wyszni nowój przichytuje kluka. Při powale je łumocowano na żiertkach łoda, pot-kieróm je sztoga ji niźni nowój, na kiery szie nawijo gotowe płótno. Na zatku krosna je sziadok albo łafka. Na łafce tkoć sziedzi. Przec-sebóm mo szredni nowój. W łodzie je zaprawiöny błot, a za błotym je bardo. Bardo je zrobione z niczi, a błot je zrobiony s-trzciny. Na wyrchu při łodzie je karkulec. Tko szie cziółkym. F-cziółku je mało cyfka, na nij sóm niczi. Cziółkym szie chybo, nićz s- tej małej cyfki Zustowo f-płótnie. Niczi, co szie nawijo na nowój, nazywajóm szie łosnowa, a ty, co szie cziepie f-cziółku, nazywajóm szie wóntek.

Jak szie dostowo łosnowa na krosna. Piyrwej szie przyńdzińko (to sóm niczi, przyndza) nałózi na kiwa, a s-tych kiwól-szie sfinie na fajfy (to sóm cyfki, je jich sziesnośczie). Potym je tako deska, nazywo szie wróna; je w nij sziesnośczie dziurek. Do każdej dziurki nawlecze szie jedna nitka. S-tego fsziecki ty niczi toczy szie wroz na snowadła ji tam szie namierzi, kielo szie chce mieć



Paweł Sikora — („Kubiczek“)

metróf płótna. Ze snowadeł ty niczi jidóm na wyżni nowój. Tam sie jih-nawinie, no ji potym sie każdóm nit-kym przykryjnczi do barda, ji tko sie. Muszi sie przetłoczyć nogami. Połowa niézi jidzie w dół, a drugo połowa do góry, a miyndzy tymi niéziama sie chy-bo cziolkym. Wóntek sie przibijo blotym, co je zaprawióny w lodzie. Jak sie dobrze robi, to sie dziynnie (łód rana do wieczora) łutko sież-mior płótna. Miara, to je sieżdżiesziónt cyntimetróf.” (Józef Sikora-„Krajczok”).

Grubość utkanego płótna zależna była od grubości przędzy. „Przyndza je: ciynko, grapkowina i przyndza hrubo” (nazwana też grubaczyzną). Z cienkiej przędzy tkac „ćwilich” — „taki ciynki kfiotkowane płótno; ty kfiotka były wetkane”. Tkacza, który tkac „ćwilich”, nazywano „ćwilichorem”.

Utkane przez tkacza płótno było szare. Przed użyciem było je trzeba wybielić.

„Płótno sie biyli tak: roszcziongnie sie go na słóńce, polywo sie wodóm, potym sie go muszi dwa razy łuwarzyć, ji zaś na słóńce. Do waru dowo sie ług bukowy, to jes-czysty popiół bukowy. Jak sie płótno dwa razy łuwarzi, to sie go dobiyło na słóńcu.” (Józef Sikora-„Krajczok”).

Dokładniejszy opis bielenia zanotowałem w Śmizowicach z ust Jana Mrózka: „Płótno sie kiejsi biyliło łak. To były takowne kadzie, co sie w nich zmiesziło sto dwacet, sto sztyrycet kóp-płótna. Kopa płótna to było sieżdżiesziónd-mior, a miara miała dwijadwacet coli. To sie to płótno nałóżyło do tej kadzi, a przesypało sie to takownym popiołym z bukowego drzewa. Wedle kadzie był kociel, a s tej kadzi szła ruła s-takóm pipóm. To sie naloło do kotła wody, potym sie do ni dało zody na prani (dycki my z Gruszowa sztelowali zode a klor), ta woda musiała być-jyny troszyczke letnio, włoło sie jóm do tej kadzi. Potym-musiała być coraz barzy ciepło. Tak sie to płótno pore razy przeloło, aż ta kadź była pełno. Potym sie te wode pieknie łópuszczało do kotła, warziło sie jóm, ji zaś-sie loło do kadzi. Tak-dłógo to trfało, asz sie ta woda wywa-

rzyła. Na drugi dziyn sie płótno wypłókało z waru, wycióngło na blejch, ji polywało wodóm na słóńeczku. To trfało cały dziyn. Jak sie płótno przebiyliło na poły, tak sie go dało do wałchu. Wywałchowało sie go, a potym zaś to płótno, jesi to było handlyrski płótno, dowoło sie do kloru. Tyn klor, to było milijónstfo, strasznie to żrało. To my zaś-mieli takóm drugóm kać. Naloło sie do ni wody, trzista, sztyrysta litróf, do tego sie na gram łódwożył klor, aby go nie było za moc. Płótno f-tym klorze było ze dwanzod-godzin, potym sie go wypłókało, dało do wałchy, wybiyliło, ji było gotowe. Gotowe płótno szło do mangla, a z mangla to jusz-szło kany kómu.”

Płótno po wybieleniu i wymaglowaniu mogło służyć swemu przeznaczeniu: Z „ćwilichu” i niewzorzystego cienkiego płótna lnianego szyto „na lepszo” koszule męskie i kobiece oraz obrusy, z grapkowiny prześcieradła, poszwy na pierzyny oraz koszule kobiece, tzw. „ciasnochy” („ciasnocha” składała się z „ramiόνczek”, do których był przszyty ciasny, upięty „stónek”; od pasu w dół zwisał gęsto nabierany spód koszuli), a z grubszego płótna spodnie męskie, tzw. „galaty” albo „płótnioki” oraz suknie „na każde”, tzw. „prostule”. Z „raszu” szyły kobiety „raszki”; były to ciepłe, ciężkie suknie do odświeżonego stroju śląskiego.

Chłopczy i mężczyźni wiejscy chodzili kiedyś tylko w płóciennych „galatach”. „Joch tesz kiejsi chodził f-płóciennych galatach — wspomina 90-letni staruszek Jan Sikora z Markłowic Dolnych — a doż-dłógo! Jagech już zacznó zarobiać, toch powiedziól-łojcu: — Już jo wóm teras f-płóciennych galatach-chodził nie bydym! Bo ty płóciynne galaty, jagzmokły, były ffarde i odziyrały po nogach. Bo kiejsi sie w gaciach nie chodziło; jyny ty jedne galaty miól człowieg-na sobie.”

„Každy Wiślok-kiejsi miól koszule s-takigo grubego płótna, a rynkowy miól szyroki, a fszycko, co miól, nosił za koszulóm: nożyk s-krziwakym, fajke s-tabakym, chlyb za pół ryńskigo, a to jeszcze nic takigo, kyrpce, nowłoki a

kfarte gorzołki.” (Jan Mrózek, Śmiłowice.)

Kiedyś len uprawiano w każdym gospodarstwie na Śląsku Cieszyńskim. Zapobiegliwie Ślązaczki miały zawsze w domu zapas płótna lnianego na każdą potrzebę. Każda matka przez kilka lat



Godło Błędowic Dolnych

szykowała swym córkom „wybawe na wiesieli”, no i przygotowała też między innymi kilka grubych wałów śnieżno-białego płótna lnianego różnej grubości, chociaż trafiały się również takie wesela,

Źródła:

Do opracowania części materiałowej posłużyły mi informacje, których udzieliły mi następujące osoby:

Jan Biela, Ropica, * 7. VI. 1867 r. (portret: „Zwrot” Nr 7/1953);

Zuzanna Kohutowa, Łomna Dolna-Kamienity, * 7. IV. 1890 r. (portret: „Zwrot” Nr 2/1954 r.);

Maria Kubiszowa, Gnojnik, * 5. VII. 1874 r. (portret: „Zwrot” Nr 1/1954 r.); informatorką jest wdowa po poecie śląskim, Janie Kubiszu.

Jan Lisztwan, Łomna Dolna-Kamienity, * 17. III. 1885 r. (portret: „Zwrot” Nr 2/1954 r.); informator zimowym czasem sporządza chętnym nabywcom kołowrotki i cierlice;

o jakich wspomina stare przysłowie śląskie: „Żyła sie biyda z nyndzóm, kiepsko bydzie u nich z przyndzóm.”

„Mamulka przez pore roków chowała dło nas całe wielki wały płótna i raszu, żebymy miały, jak sie wydomy — wspomina sędziwa Maria Kubiszowa, żona śląskiego poety ludowego, Jana Kubisza — ale my tego potym nie chciały, bo już były gamlotki, taki ciynki, lekutki suknie.”

Tkaniny lniane ustępowały z biegiem czasu pod naporem fabrycznych tkanin bawełnianych. Kołowrotki i warsztaty tkackie powędrowały na strychy chałup śląskich i tam przyprószone kurzem stoją w zapomnieniu.

Jedynie starzy ludzie, nasze ukochane starki i starkowie, wracają do nich w swych wspomnieniach i z rozpromienionym wzrokiem opowiadają o tamtych odległych czasach swym wnukom i prawnukom. Jeszcze w górach beskidzkich, tych prawdziwych matecznikach naszej śląskiej tradycji ludowej, warczą kołowrotki i stukają krosna, rozbrzmiewają starodawne pieśni i starodawne gadki ludowe. Oby tak było jak najdłużej.

Anna Mrózkowa, Śmiłowice, * 15. VII. 1887 r. (portret: „Zwrot” Nr 4/1954 r.);

Jan Mrózek, Śmiłowice, * 17. VI. 1874 r. (portret: „Zwrot” Nr 4/1954 r.);

Jan Sikora, Markłowice Dolne, * 24. VI. 1864 r. (portret: „Zwrot” Nr 1/1953 r.)

Józef Sikora—„Krajczok”, Milików-Liści, * 17. III. 1871 r. informator był jednym z ostatnich tkaczy beskidzkich;

Paweł Sikora—„Kubiczek”, * 16. V. 1868 r. (portret w ramach niniejszej pracy).

Wszystkim wyżej wymienionym informatorom za udzielone mi informacje z tego miejsca jałk najserdeczniej dziękuję.

Józef Ondrusz

Ilustracja tekstowa obok: od góry przedstawia cierlicę; pod nią od lewej — dziyrgece, „młoducha”, motowidło, wrzectiónko, prątek; u dołu — szczec.



HENRYK JASICZEK

Zbójnicka śpiewka

Siekiereczko moja,
Siekiereczko ostra,
Tyś dla mnie zbójnika,
Jak rodzona siostra.

Z drzewa bukowego,
Ostrza stalowego,
Gdy w mym ręku dzwonisz,
Zawsze mię obronisz.

Hej, kamraci moi,
Zbójnickiego grają,
Siekiereczki błyszczą,
Gorą, migotają.

Grajcie nam, cyganie,
Niech dzwonią cymbały,
Żeby zbójnickiego
Ludzie pamiętali.

Grof za moją głowę
Skory do zapłaty,
Kto mu ją przyniesie,
Weźmie sto dukatów.

Lecz mnie nie dostaną . . .
Obuszek mam w ręce,
Panów i ich drabów
Z Beskidów przepędzę.

Wieszać mnie nie będą
Na cieszyńskim rynku,
Jeśli kiedy zginę,
To z siekierką w ręku.

Hej, grób mi wykopią
Pod jodłą wysoką,
Siekiereczkę moją
Położą przy boku.

Henryk Jasiczek



ZBÓJNICKIE sprawy i dokumenty

Zbójnicy! Oto temat z dawnych czasów do dnia dzisiejszego cieszący się powodzeniem wśród czytelników i opowiadaczy ludowych. Ulubione powieści ludowe i podania o zbójnikach, owych „chłopcach górskich, co świat równali, bogatym brali a biednym dawali” zrosły się przede wszystkim ze światem gór i górali. Tematem zbójnickim interesują się pisarze, wykorzystując go po swojemu, interesują się nim ludoznawcy, zbierający podania i pieśni zbójnickie, a może także tematem tym zająć się historyk, który zagadnienie to będzie starał się wyjaśnić i żywą legendę ubierze w realne kształty prawdy historycznej.

Ze zjawiskiem zbójnictwa góralskiego spotykamy się w dawnych czasach na całym prawie obszarze Karpat od Huculszczyzny po Beskid Śląski i Morawski. Zbójnictwo sięgało dawnych czasów, a największe nasilenie przybrało ono z końcem XVII i w początkach XVIII wieku. Takie nazwiska głośnych w swoim czasie zbójników jak Ołeksza Dobosz w Beskidzie Wschodnim, sławny Juraj Janoszik z Terchowej, zwany Janosikiem, Proćpak w Żywiecczyźnie, Ondraszek w Beskidzie Śląskim i inni, przypadają na ten sam mniej więcej czas, to znaczy na przełom wieków XVII i XVIII.

Dawniejsza burżuazyjna historiografia zjawisko zbójnictwa tłumaczyła żywiołową naturą górala, jej bujnością i fantazją, którym to cechom sprzyjał ponadto „ukrainny” charakter gór, słabo jeszcze wówczas zaludnionych. Ludzie, co weszli w konflikt z prawem, opryszki

przeróżne i uciekinierzy — wszyscy oni znajdowali w górach bezpieczeństwo i zasilali watahy góralskie, będące postrachem zamków, przełęczy i traktów. Literatura piękna w poszukiwaniu awanturniczych wątków wykorzystywała zbójnictwo, znajdując w nim temat, cieszący się szczególniejszym wzięciem.

W nowszej, powojennej historiografii pogląd na dzieje zbójnictwa karpackiego gruntownie się zmienił. Zbójnictwo — jak wykazały nowsze badania, posługujące się już metodą marksistowską — powstało i rozwinęło się na podłożu ekonomicznym i było jedną z form walki klasowej góralskiej ludności wiejskiej z feudalnym wyzyskiem poddańczym. Podstawową pracą na ten temat, wytyczającą nowy kierunek tego rodzaju badaniom historycznym, była rozprawa historyka radzieckiego E. Drakohrusta pt. „Galicyjskie Podkarpacie XVI w. i ruch opryszków”, ogłoszona w „Woprosach Istorii” w r. 1948. Drakohrust wykazał, że zbójnictwo w Beskidzie Wschodnim powstało w wyniku twórczenia się gospodarki folwarcznej i związanego z tym przydzielania do folwarków większej ilości chłopów z danego obszaru. To łamanie tradycyjnych norm powinności chłopskich, połączone z jeszcze większym uciskiem i wyzyskiem, wywołało energiczny sprzeciw mas chłopskich i łącznie z innymi przejawami stale rosnącego ucisku przyczyniło się najpierw do zbiegostwa, a w dalszym ciągu do powstania zbójnictwa.

Z końcem XVI wieku ruch opryszków, nazwany gdzieindziej zbójnikami, a u

nas (w słownictwie „urzędowym”) „rabusiami” czyli rabusiami, posiadał już określone formy organizacyjne i był typowym przejawem walki chłopstwa przeciwko uciskowi ze strony feudalnych panów. Z historyków polskich podobne stanowisko wobec zagadnienia zbójniczego zajęli Stanisław Szczotka i Władysław Ochmański (Zbójnictwo góralskie, Z dziejów walki klasowej na wsi góralskiej, Warszawa 1950, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza) a z historyków słowackich Andrzej Melicherčík (Janošíkova tradícia na Slovensku, Bratislava 1952, Slovenská Akadémia Vied a Umeni).

Nowe naówczas formy wielkopańskiej gospodarki i zjawisko odruchu chłopskiego wywołanego przez tę gospodarkę spotykamy także na Śląsku Cieszyńskim. Urbarze czyli wykazy dochodów pańskich, będące równocześnie wykazami powinności poddanego chłopstwa, powinności te coraz bardziej zwiększają i pomnażają, dodając nowe ciężary i obowiązki. Urbarz Komory Cieszyńskiej z r. 1692, określając powinności wiosek górskich nie zadawała się już czynszem pieniężnym z pól po wykarczowanych lasach czy też z wyrobisk (z połaci lasu, przerabianego w uprawne pola), lecz wprowadza dodatkową robocizną obowiązkową dla chłopów, o której w dawniejszych urbarzach nie było mowy. Tworzy się folwarki, a robocizną folwarczną obarcza się chłopów, do czego następne urbarze dodają jeszcze inne, coraz uciążliwsze obowiązki, jak np. kontygent wódki, jaką poszczególne wioski muszą pobrać z gorzelni folwarcznych, suto ją opłacając.

Na skutek wzrastających obowiązków pańszczyźnianych chłopstwo zaczęło stawiać opór przeciwko panom i pańszczyźnie. Co śmielsi i bardziej energiczni przestawali pełnić powinności poddańcze, zbierano się potajemnie, naradzano, uciekano w lasy, a nierzadko w grę wchodziły osobiste porachunki między wsią a dworem. Na takim tle społeczno-ekonomicznym wyrosło na przełomie wieków XVII i XVIII zbójnictwo beskidzkie, a największą sławę zbójnika zyskał tu sobie Ondraszek, pochodzący z Janowic pod Łysą Górą, gdzie urodził

się (według zachowanej metryki) 13 listopada 1680 r. Twórczość ludowa uczyniła Ondraszka bohaterem niezliczonych podań i powieści, opowiadanych z pokolenia w pokolenie, opowieści, w które lud włożył wszystkie swe tęsknoty za sprawiedliwością społeczną i wolnością, oraz miłość i wdzięczność za walkę, podjętą przez tego umitowanego zbójnika o lepsze jutro pańszczyźnianego chłopca. Historia tych opowieści ludowych nie potwierdziła, przekazując jedynie w skąpych zmiankach takie fakty, że Ondraszek naprawdę żył i jako zbójnik działał, stając się postrachem panów w szerokim zasięgu gór śląskich, morawskich i słowackich. Wiadomo tylko gdzie i kiedy się urodził, gdzie grasował i w jakich okolicznościach zginął, a wszystko inne, co lud o Ondraszku sobie opowiadał i opowiada (a także to, co o nim napisali poeci i pisarze) jest fantazją, niepopartą prawie żadnymi dokumentami. Pewne dokumenty historyczne do dziejów Ondraszki pojawiają się dopiero po jego tragicznej śmierci, a dotyczą towarzyszy jego, uprawiających w dalszym ciągu rzemiosło zbójcekie.

Spróbujmy zrekonstruować w sposób przybliżony „spacyfikowanie” obszarów, objętych działalnością Ondraszka i jego drużyny. Pomoże nam w tym „Besondere Anmerkung” (szczególna notatka!), umieszczona w „Topografii Śląska” Reginalda Kneifla (drugiego tomu część I, Berno 1804, str. 196—197):

„W r. 1711 wtargnęła na Śląsk i do okręgu przerowskiego znaczna ilość zbójników (Räubern) z południa, którzy tu rabowali, pustoszyli i dopuszczali się różnych okrucieństw. Dłuższy ich pobyt w tych stronach spowodował, że ci z miejscowej ludności, co się podobnym rzemiosłem trudnili, przyłączyli się do nich a osławiony Ondra (Andrzej) Szestest z Janowic został nie tylko tej bandy członkiem, lecz nawet hersztem. Starosta krajowy z Karniowa skarżył się z tego powodu przed władzami wyższymi we Wrocławiu na stosunki panujące na pograniczu śląsko-morawskim. Namiestnik krajowy Franciszek Ludwik, wielki mistrz Zakonu Niemieckiego (Hoch- und Deutschmeister) i biskup wrocławski, wydał cały szereg odpo-

wiednich zarządzeń, by wytopić i zlikwidować zuchwałych rabusiów. Miał się tym zająć hrabia Franciszek Prazma, pan na Frydku, ces.-król. podkomorzy i starosta krajowy oławski oraz wyższe urzędy królewskie w całym Górnym i Dolnym Śląsku. Do pomocy oddano im kwaterującą w tych okolicach wojska. Gminy miały się nawzajem ostrzegać przed rabusiami biciem w dzwony. Wszystkie te zarządzenia nie przyniosły pożądaných wyników. W następnym roku pułk althańskich dragonów, stacjonujący w Opolskim i Raciborskim, otrzymał rozkaz odszukania i zlikwidowania bandy. Za ujęcie herszta Ondraszka wyznaczono wysoką nagrodę 100 florentów. Ondraszka istotnie ujęto, przy czym życiem zapłacił on za swoje przestępstwa."

Do rozbicia zbójników nie doszłoby zapewne tak łatwo, gdyby nie zdrada wśród nich samych. Na wyznaczoną nagrodę pieniężną i zapewnienie, że wydanie Ondraszka przez samych zbójników przyniesie im łaskę — poszło kilku spośród zbójników z Juraszkiem na czele. W dniu 1 kwietnia 1715 r. w karczmie Antoniego Horaka w Świdniowie podstępnie zabili swego naczelnika i martwego przekazali władzy we Frydku, gdzie ku przestrodze i odstraszeniu wszystkich ciało jego poćwiartkowano i porozwieszano na drzewach „nad karczmą pod zamkiem koło lasku do miasta przyległego”.

Mordercom z Juraszkiem na czele — po myśli ogłoszenia o ujęciu Ondraszka — należała się nagroda pieniężna i ułaskawienie. Nagrody pieniężnej nie otrzymali, nie ścigano ich już jednak, choć byli do niedawna zbójnikami i mogli wrócić na razie (choć nie wszyscy, jak zobaczymy) bezkarnie do swych domostw. Juraszek wrócił do swoich rodzinnych Malinowic i miał „szczerzy” zamiar zostać „dobrym gospodarzem”, „zbójnikując” jednakże przez lata, z nadto zasmakował w rzemiośle zbójniczym i nie zerwał całkowicie z uprawianym dotychczas procederem.

Józef Londzin w swej pracy o zbójnikach (O naszych śląskich zbójcach, Gwiazdka Cies., 1923, nr 9, 11 i 13) podał treść dwóch ważnych w tej sprawie i ciekawych pism urzędowych, które

wnoszą dużo światła w zapomniane dzieje zbójnictwa śląskiego, przytłoczonego fantazją literatury ludowej. Pierwszy streszczony przez Londzina dokument, to pismo cesarza Karola VI do Oberamtu we Wrocławiu z dnia 29 lipca 1716 r. z zawiadomieniem, że pięciu zbójców z bandy Ondraszka, ponieważ go zabili, ułaskawia od zasłużonej kary śmierci, ale skazuje ich na galery w Riece (Fiume). W drugim piśmie z dnia 30 lipca 1716 r. Oberamt uwiadamia cieszyńskiego marszałka krajowego Adama Wacława hrabiego z Tenczyna o zarządzeniach cesarskich i dodaje jeszcze od siebie pewne w tej materii wskazówki.

Cesarz stwierdza, że ponieważ zbójcom obiecano darować karę śmierci, jeżeli wydadzą Andrzeja Janowskiego, zwanego także Ondraszkiem, żywego lub martwego, więc obietnica ta będzie dotrzymana względem pięciu zbójców, mianowicie Jerzego Juraszka (Fucimana), Bartłomieja Pawłoszka, Jerzego Polendy, Andrzeja Chłapczyka i Jerzego Wojtka, którzy istotnie Ondraszka martwego dostarczyli. Ponieważ jednak kara kryminalna nie została im darowana, a oprócz tego wymienieni zbójcy, gdy ich za kaucją wypuszczono celem poprawienia się, zaraz w tym samym dniu, to jest 2 maja 1715 r. zaczęli przeora Braci Miłosiernych i syna wójta cieszyńskiego, cesarz nakazał poczynić natychmiast starania, żeby owych pięciu zbójników złapać i do Cieszyna dostawić. Marszałek krajowy powinien ich po schwytaniu przez magistrat cieszyński powiadomić, że kara śmierci, na którą sobie wszyscy zasłużyli, została im darowana, ponieważ dowódcę rozbójników (Erzräuber) Ondraszka martwego władzom dostarczyli i że wypłaconych im będzie 100 florenów w równych częściach w obecności innych, poniżej wymienionych rabusiów, celem nadania sprawie rozgłosu. Kwota ta miała im być wypłacona na podstawie patentu, obiecującego oprócz darowania kary śmierci wynagrodzenie pieniężne za dostarczenie żywego lub martwego Ondraszka.

Ponieważ sprawiedliwość wymaga, czytamy dalej w piśmie cesarskim, żeby ich rabunki w inny sposób zostały ukarane i ponieważ ci sami w ostatnich

czasach znowu kilkakrotnie dopuścili się nowych zbrodni, mianowicie w dzień, w którym wypuszczeni zostali w Cieszynie, aby im dać czas do poprawy, zatrzymali niedaleko Frydku na otwartej drodze przeora Braci Miłosiernych i wymusili na nim okup (Ritter-Pfennig), a wnet potem synowi wójta cieszyńskiego w lesie frydeckim drogę zastąpili i domagali się od niego pieniędzy (Pansion) i dopiero na przedstawienie dwóch jego towarzyszy, że jest synem wójta miejskiego, pozwolili mu odejść, wobec tych ponownych przestępstw i niepoprawności zostali przez cesarza skazani na galery.

W myśl tego wyroku należy owych pięciu rabusiów, dobrze skutych i pod dobrą strażą, żeby w nocy nie uciekli, odstawić do granicy austriackiej i donieść do królewsko-czeskiej kancelarii nadwornej, kiedy mniej więcej i w której miejscowości granicę tę przekroczą, ażeby ich przejęcie przez najbliższy sąd austriacki nastąpić mogło, skąd natychmiast w stronę Rieki przetransportowani będą.

Ponieważ kosztą podróży przez kraje austriackie od każdego delikwenta wynosić będą 18 florentów, kazał cesarz potrzebne na ten cel pieniądze wziąć z dziesięcin i wręczyć je pierwszemu sądowi na granicy austriackiej, albo, gdyby w kasie z dziesięcin nie było tyle pieniędzy, kosztą pokryć należy z owej premii, wynoszącej sto florentów, którą za zamordowanie Ondraszka mieli otrzymać zbójcy.

Co się zaś tyczy Andrzeja Mariaka, który uciekł z hukwałdzkiego więzienia, lecz następnie dostał się do więzienia cieszyńskiego, należy go odesłać do robót przymusowych (opus publicum) na dwa lata, po czym przed jego wypuszczeniem, odnieść się o dalsze wskazówki. Odnosnie do Jana Łatki, który twierdzi, że z innymi zbójnikami nie ma nic wspólnego, należy śledztwo dalej prowadzić, a zbiegłego z więzienia Józefa Szobiszowskiego należy co rychlej przylapać. Wszyscy ci rozbójnicy twierdzący, że swoją zdobycz już zużytkowali a o zdobyczach Ondraszka nic nie wiedzą, powinni zeznania swoje potwierdzić przysięgą.

W końcu cesarz przypomina, że należy podane wskazówki ściśle wykonywać i jak tylko jakiś zbójnik złapany zostanie, należy go w sam dzień pojmania lub najwyżej w dniu następnym, jeśli się sam do rabunku przyznaje, lub choć się nie przyznaje, lecz winę jego stwierdzi dwóch świadków przysięgą, posłać do spowiedzi i na najbliższym drzewie powiesić.

Rozchodziło się teraz o wykonanie zarządzeń cesarza, zakomunikowanych Adamowi Waclawowi hr. Tenczynowi. Właściciel państwa frydeckiego hr. Prażma otrzymał nakaz tropienia przez wybrańców zbójników i odstawienia ich w razie ujęcia do Cieszyna. Kwota stu florentów za zamordowanie Ondraszka miała im być z generalnej kasy podatkowej w równych częściach wypłacona. Powinni oni byli stwierdzić przysięgę, że swoją zdobycz, uzyskaną z rozboju — jak zeznają — zużytkowali i że też nic nie wiedzą o pozostałości po Ondraszk. Następnie powinni być z wielką ostrożnością odstawieni na granicę austriacką i oddani w ręce sądu celem dalszego przetransportowania.

Tak się złożyło, że do streszczonych przez Londzina dokumentów jesteśmy obecnie w stanie dołączyć dokumenty inne, pozwalające nam na zamknięcie tego ostatniego rozdziału „sławy zbójcekiej” wiadomościami o epilogu całej tej sprawy. W niecały miesiąc od daty streszczonych pism, pod urojonym pretekstem, że chodzi o wręczenie nagrody czy jakiegos innego dowodu łaski cesarskiej, wezwano Juraszka i jego towarzyszy na zamek frydecki, a stamtąd sprytnie skierowano ich do Cieszyna, gdzie zbójnicy dopiero przekonali się, że wpadli w pułapkę. Chcieli się z niej wprawdzie wydostać, ale już było za późno... Zachowanie się Juraszka i jego kamrata Poledny w Cieszynie było tego rodzaju, że galery były już dla nich karą za małą. Lecz o tym wszystkim dowie się już czytelnik z innego tekstu.

Ostatni rozdział dziejów Juraszka utrwalony został w kilku protokołach, które w całości poniżej publikujemy. Szczegółów zawartych w nich bliżej nie komentujemy, bo dokumenty te mówią same za siebie. Znalazły się one w pli-

ku „Miscelaneów” (czyli mieszanin historycznych), zebranych przez L. J. Szersznika (1747—1814), zasłużonego twórcę cieszyńskich zbiorów biblioteczno-archiwalnych i muzealnych. Protokoły te wydobyl zapewne Szersznik z cieszyńskiej kancelarii magistrackiej około roku 1800, kiedy były już tylko wspomnieniem historycznym zapomnianych zdarzeń z przed wieku. Włożone do pliku pomiędzy inne papiery szczęśliwie przetrwały nowe półtora wieku i dziś dopiero zapoznajemy się z nimi.

Akt, o którym mowa, obejmuje 17 kart formatu 21×34 cm, zapisanych piśmem bardzo niewyraźnym i trudnym do odczytania. Sporządzony w cieszyńskiej kancelarii magistrackiej czystopis poszedł do instancji wyższej, o czym będzie jeszcze mowa. Protokoły spisano szwabachą w języku czeskim, tak zwanym morawskim, który był u nas wówczas językiem urzędowym, piśmownią dawną, o jakiej pojęcie daje kilka przytoczonych fragmentów w oryginalnym brzmieniu. Całość, przełożona tutaj wierne na język polski, w oryginalnym morawskim brzmieniu ukaże się zapewne na łamach jakiegoś innego wydawnictwa.

Zachowane protokoły — to zeznania czterech świadków cieszyńskich w sprawie Juraszka i jego towarzyszy oraz szczegółowe protokoły z przesłuchania (stad nazwa egzaminu) samego Juraszka i jego kamrata Polendy. Oto w przekładzie pełny tekst zeznania jednego z świadków:

Zeznanie Augustyna Szerszenia

1. Panie Augustynie Szerszeń, fojcie król miasta Cieszyna, czy byliście obecni, gdy dnia 20 sierpnia bieżącego 1716 roku Jerzy Juraszek, Jerzy Polenda, Andrzej Chłapczyk i Jerzy Wojtek, byli rabusie (rabirze) z Państwa Frydeckiego przyszli tutaj do miasta Cieszyna?

Odpowiedź: Byłem obecny i wymienionych rabusiów z polecenia Wyższego Królewskiego Urzędu Krajowego z dwoma zaprzysiężonymi radnymi (konsolami), mianowicie z Wacławem Czerwenką i Janem Jerzym Pochabą, a także z purgrabim frydeckim, zaprowadziłem do

tutejszego więzienia (ssatlawniho wienzeni).

2. Kiedyście wymienionych rabusiów do więzienia przywiedli, co oni w tym więzieniu robili?

O.: Kiedym ja tych byłych rabusiów do więzienia przywiódł, dałem Jerzego Polendę i Jerzego Wojtkę do jednej izby, a Jerzego Juraszka z Ondrą Chłapczykiem do drugiej; następnie gońcowi sądowemu (birzyczy), kiedy już obuchy czyli siekiery tym rabusiom odebrał, szepnąłem, aby pęta (pauta) przynieśli i rabusiów zamknął; potem usiadłem i takie formalia mówić począłem: Ponieważ Jego Rzym. Ces. i Król. Miłość wam wszystkim już raz łaskę dać raczyła, przeto teraz koniecznym jest, abym was z Ondrą Mariakiem, tu w więzieniu siedzącym, w niektórych punktach skonfrontował (i będziecie musieli przez jakiś czas w tutniejszym więzieniu pozostać) — tej chwili jednak goniec wniósł pęta do izby, co jak tylko Jerzy Juraszek zobaczył, wnet po nóż swój sięgnął; Wacław Czerwenka, zaprzysiężony konsol, zobaczywszy to, zawołał na gońca, aby uważał na siebie, bo Jerzy Juraszek wyciągnął nóż; nato zaraz goniec tego Jerzego Juraszka złapał, ale Jerzy Juraszek wyciągnął go z izby do sieni, gdzie chciał wyszarpnąć kratę żelazną, co jest w sieni przy drzwiach więziennych; teraz kat (mistr poprawni) ze swoim synem Jerzego Juraszka złapali i z powrotem do izby z nim weszli, gdzie Jerzy Juraszek gońca w prawy bok bodnął; goniec zawołał do mnie te słowa: Panočzku, jestem bodnięty . . . Potem znów kat ze swym synem i Jerzym Juraszkiem wytoczyli się z izby do sieni, a tam Jerzy Juraszek ugodził nożem kata w piersi, a zaprzysiężonego konsola Wacława Czerwenkę w prawą rękę; w tej chwili Jerzy Polenda z drugiej izby wyskoczył, porwał żelazne pęta i zaczął nimi bić i prać dokoła siebie, aż głowę katowi rozbił i piec (kamna) tymi pętami rozwalił; na ten wszystek krzyk i gwałt ludzie przez dach do więzienia wleźli i wszystkich nas obronili, a tych rabusiów, jak kto mógł bili.

3. Czy byli ci wymienieni rabusie wówczas pijani?

O.: Nie zauważyłem tego nawet, by byli pijani.

To spisane wyżej zeznanie wymieniony świadek wziął nie tylko na swą fojtowską przysięgę, na wierze i duszy złożoną na ratuszu król. miasta Cieszyna 9 grudnia bieżącego 1716 roku, lecz także potwierdził przysięgę cielesną.

★ ★ ★

Przytaczając powyżej pełną treść zeznań świadka Augustyna Szerszenia, nadmienić wypada, że z zachowanych protokołów nie podajemy na tym miejscu dalszych trzech „zeznań” trzech innych świadków, a mianowicie:

zeznań Wacława Czerwenki, konsola król. miasta Cieszyna,

zeznań Andrzeja Fercha, mieszcza-
nina król. miasta Cieszyna,

zeznań Jana Jerzego Pochaby, konsola król. miasta Cieszyna, gdyż pozostałe trzy protokoły są w swej treści prawie identyczne z zeznaniem Augustyna Szerszenia.

Egzamin dobrowolny

**w więzieniu miejskim król. miasta
Cieszyna dnia 7 grudnia 1716 r.**

1. Jak ci mówią?

O.: Jerzy Juraszek.

2. Skąd pochodzisz, czyś poddany i jakiej religii?

O.: Z Malinowic, Frydeckiego Państwa, religii katolickiej.

3. Jak starysz?

O.: Mam lat około czterdziestu.

4. Jesteś żonaty, czy swobodny?

O.: Jestem żonaty.

5. Ile masz dzieci?

O.: Mam pięcioro dzieci.

6. Czym się zajmujesz?

O.: Jak zbójnictwa poniechałem, od tego czasu jak tu z moimi kamratami po uśmierceniu głównego zbrojnika Ondraszka na egzaminie byłem, przebywałem w dziedzinie Malinowicach, gdzie wybudowałem sobie nowy domek i chciałem być dobrym gospodarzem.

7. Z jakiego powodu znalazłeś się w areszcie?

O.: Oficerów z frydeckiego zamku po mnie i po moich kamratów posłali, że

mamy się zjawić na zamku frydeckim, gdzie też zaraz udałem się, choć kosiłem na swoim polu siano. Hejtman frydecki nam powiedział, że od Jego Ces. i Król. Mości przyszło coś dla nas do hejtmana tutejszego ziemskiego, tak abyśmy do Cieszyna poszli i panu hejtmanowi do nóg upadli. Takeśmy poszli z jednym oficerem frydeckim, co z nami do Cieszyna na koniu jechał, a jakieśmy przyszli do Cieszyna, wnet nas wszystkich do aresztu zaprowadzili, gdzieśmy również szli dobrowolnie.

8. Dlaczegoś się tak bezbożnie sprzeciwiał prawu i tyle prawnych osób ośmieliłeś się śmiertelnie poranić?

O.: Uczyniłem to z głupiego rozumu i ze strachu, gdy bowiem z moimi kamratami do więzienia przyszedłem, to nam wnet nasze obuszki czyli siekiery odebrali, któreśmy także oddali, potem jednak, kiedy zobaczyłem, że goniec przyniósł pęta, zląkłem się i chciałem do sieni uciec. W sieni mnie jednak dopadli i bili, ja więc nóż swój wyciągłem i broniłem się.

9. Przecież ty nóż swój wyciągłeś nie w sieni, ale tu w izbie i bodnąłeś nim posłańca prawnego.

O.: Nie wyjąłem noża w izbie, lecz dopiero w sieni.

10. Czy ci fojt zaraz w tym więzieniu nie powiedział, dlaczegoś się tu musiał zjawić?

O.: Zaczął coś mówić, ja jednak nie pamiętam co, bo w tej chwili przyniósł posłaniec owe pęta.

11. Przecie wiedziałeś, musiałeś wiedzieć, że nie można się siłą sprzeciwiać prawu i mordować wbrew wszelkim prawom, tych bowiem, co takie ciężkie przestępstwa czynią, karze się na gardle.

O.: Ja tego nie wiedziałem i myślałem tylko nad tym, jak się z więzienia wydostać.

12. Dlaczego i w jakim celu odważyłeś się wtedy na taką ciężką zbrodnię?

O.: Dlatego, że koniecznie chciałem z więzienia uciec.

13. Kto cię na tę zbrodnię namówił?

O.: Kiedyśmy szli do Cieszyna, to po drodze Jerzy Wojtek mówił: Jak nas też tam w Cieszynie zawrą... Na to Ondra Chłapczyk odpowiedział... Będziemy



JURASZEK NAD ZWŁOKAMI ZBÓJNIKA ONDRASZKA
(Stary obraz olejny nieznanego malarza)

się bronić... Ja te słowa przypomnia-
łem sobie i koniecznie chciałem uciec.

14. Co jeszcze więcej w tej sprawie
wiesz, powiedz wszystko prawdziwie.

O.: Ja wtedy w tym strachu nic nie

wiedziałem, co robię, byłem już prawie
że nieprzytomny.

15. Byłeś wtedy bardzo pijany?

O.: Byłem pijany.

16. Czym się upiłeś?

O.: Rano we Frydku napiłem się piwa i gorzałki, a na drogę wzięliśmy ze sobą z Mistku gorzałki (palonej) więcej niż kwartę, którą po drodze z czterema kamratami piłem, ja najwięcej, bo kamraci moi pić nie chcieli.

Egzamin drugi dobrowolny Jerzego Polendy

ad quaestiones Jerzego Juraszka, tamquam socii criminis dnia 7 grudnia 1716 r.

1. Jak ci mówią?

O.: Jerzy Polenda.

2. Skąd pochodzisz, czyiś poddany i jakiej religii?

O.: Z Malinowic, poddany Frydeckiego Państwa, religii katolickiej.

3. Jak staryś?

O.: Mam około czterdzieści lat.

4. Jesteś żonaty czy swobodny?

O.: Jestem żonaty.

5. Ile masz dzieci?

O.: Mam pięcioro dzieci.

6. Czym się zajmujesz?

O.: Zanim dostałem się do więzienia w Cieszynie, siedziałem przez rok bez ośmiu tygodni w więzieniu na zamku hukwańdzkim; uciekłem stamtąd i wróciłem znów do Państwa Frydeckiego; przebywałem tam aż do chwili, gdy tu do Cieszyna przyszedłem.

7. Za co siedziałeś w więzieniu na zamku hukwańdzkim?

O.: Za to, że kiedy po tutejszym cieszyńskim egzaminie udałem się do Mistku na Morawy i chciałem sobie trochę rzy kupić, wtedy mnie złapano, na Hukwałdy zawiedziono i powiedziano: jeśli ty w Śląsku znalazłeś łaskę, to na Morawie nie...

8. Za co dostałeś się do tutejszego więzienia?

O.: Oficerowie frydecy mnie i moim kamratom polecieli, abyśmy udali się do Cieszyna, że od pana hejtmmana ziemskiego otrzymamy na piśmie zapewnienie w sprawie ułaskawienia i że otrzymam też pieniądze za uśmiercenie Ondraszka, byłego rabusia, którego Jerzy Juraszek ze mną i moimi kamratami uśmiercił; poszedłem tedy z moimi kamratami, a kiedy przyszedliśmy do Cie-

szyna, wnet mnie i moich kamratów do tutejszego więzienia zawiedli.

9. Dlaczegoś się tak bezbożnie sprzeciwiał prawu i tyle prawnych osób ośmieliłeś się śmiertelnie poranić?

O.: Byłem zamknięty w drugiej izbie, ale potem, jak rozpoczął się tu w więzieniu krzyk z Jerzym Juraszkiem, ktoś izbę otworzył i ja z niej wyszedłem; wnet mnie jednak w sieni purgrabia frydeckiego, nazwiskiem Jiskra, z gołym kordem w sieni stojący, zobaczył, zaczął po mnie rąbać tym kordem, ja jednak podwinąłem mu się pod kord i przyszedłem do tej izby; nie pamiętam już, czy wzięłem żelazne pęta i czy nimi kogo biłem lub nie, bo byłem w wielkim strachu i tyle tylko pamiętam, że mnie na ziemi bili.

10. Przecie ty tymi żelaznymi pętami katowi głowę rozbiłeś, a w sieni biłeś nogą od stolicy każdego, kogoś tam tylko zobaczył.

O.: W sieni nikogo nie biłem, pamiętam tylko, że tu w izbie trzasnąłem żelaznymi pętami, ale skąd je wzięłem, tego nie wiem.

11. Czy ci fojt zaraz w tym więzieniu nie powiedział, dlaczegoś się tu musiał zjawić?

O.: Jeśli w tej izbie pan fojt coś mówił, tego ja nie wiem, bo byłem w drugiej izbie.

12. Przecie wiedziałeś, musiałeś wiedzieć, że nie można się siłą sprzeciwiać prawu i mordować wbrew wszelkim prawom, tych bowiem, co takie ciężkie przestępstwa czynią, karze się na gardle.

O.: Nie wiedziałem, że ten, co się prawu sprzeciwia, na gardle jest karany, bo ja w prawach nie jestem biegły, ani też nie pamiętam, com robił; to tylko słyszałem, jak Jerzy Wojtek, co w drugiej izbie był zamknięty, wołał: broncie się, tak ja w strachu myślałem, że musimy się bronić.

13. Dlaczego i w jakim celu odważyłeś się na tak ciężką zbrodnię?

O.: Nie przyszedłem tu, by się bronić, nie pamiętam, jak powiadam, com robił, gdy po mnie Jiskra rąbał, a Jerzy Wojtek krzyczał z izby, abym się bronił.

14. Kto cię do tej zbrodni namówił?

O.: Do tej zbrodni nikt mnie nie namawiał, bo ja i moi kamraci nie szliśmy tu robić żadnej praczki, a tylko szliśmy po pocieszenie.

15. Co jeszcze więcej masz w tej sprawie do powiedzenia?

O.: Nic więcej w tej sprawie nie jest mi wiadomo.

16. Byłeś wtedy bardzo pijany?

O.: Byłem wtedy pijany.

17. Czym się upiłeś?

O.: Conformat cum Juraszek.

NB: Jerzy Wojtek jest nieobecny, ponieważ z Ondrą Chłapczykiem i Bartkiem Pawłoszkiem odesłany został ad triremes i egzaminowany być nie mógł.

★

Jako przykład brzmienia i pisowni protokółów w morawskim oryginale, dajemy poniżej kilka fragmentów.

Na pytanie szóste „Jaky obchod wessess?” Juraszek odpowiada: Jak jsem rabirzstwi poprzestal od toho času jak jsem z myma cammerady po usmrčení hlawniho rabirze Ondrasse zde na examenu byl, jsem se w diedinie Malinowitz zdržował, staweni nowe jsem sobie wystawil, a dobrym hospodarem beyti jsem chtiel.

Na pytanie siódme „Z jaky przycziny jsy do arrestu ssatlawniho przissel?” Juraszek odpowiada: „Officirow z frydeczkego zamku pro mne a pro mych cammeraduw na zamek frydeczky poslali, kamž take ja aczkoliw jsem seno na mym poli kosyl, chned se postavil, tu chned heytmán frydeczky nam powiedal, že od Jeho Czys. a Kral. Milost strany nas neczo k panu heytmánu zdeysšymu zemskemu przisslo, tak abychem do Tiessyna ssli, a jemu panu heytmánowi k noham padli, tak jsme my tež ssli z jednym officirem frydeczkim, který s nami do Tiessyna na koni jel, a přižaducz do Tiessyna chned nas wssech sem do arrestu ssatlawniho zaprowadili, kamž jsme my take dobrowolnie ssli.

Na pytanie zadane Polendzie „Kto jest tebe na takawou zloczynnost nawedl?” pada odpowiedź: Na tau zloczynnost mne żaden nenawadel, neb ja a moji cammeradi ne ssli jsme sem na żadnu pratku než tolko na potiesseni.”

A oto jeszcze zakończenie z zeznań

Ondrzeja Fercha: Widiel jsem, že Jirzi Pollenda Jirzimu Jurasskowi w teyz bitcze napomahal, pauta želazne a nohu z stolicze uchopil, a tiema jak posla prawniho tak mistrze poprawnihó bil, kdežto ja takowy gwałt spatricize, jsem chned z Janem Kaudrem a birziczowu manželku na horu wyskoczyl, a wssechni spolu gwałtu jsme krziczeli, na czo chned lidie jak na zvon se uderžilo se zbiehli, a teprw do mestskeho wiezeni na pomoc przissli a tiech rabirzi jak kto mohl bili, potom ale jak tzi rabirze do klady se wsazowali, tu jsem od jednoho stiech rabirzi, wssak od ktereho nepamatuji, slyssel ty formalia mluwiti: Kdybychom jenom aspon jeden obussek byli mieli ...

★

Prócz sześciu protokołów (4 świadków i 2 oskarżonych) omawiany akt obejmuje jeszcze brulionowe atestatum czyli świadectwo lekarskie w języku niemieckim, wystawione przez dwóch chirurgów miejskich dnia 11 grudnia 1716 r., pismo przewodnie, również w brulionie, do Król. Urzędu Krajowego, oraz notatkę urzędową.

Atestatum, potwierdzone przez chirurgów przysięgą, wylicza wszystkie obrażenia cielesne i rany, jakie odnieśli 20 sierpnia 1716 r. sędzia przysięgły Czerwenka, woźny sądowy i kat (w tekście morawskim „mistr poprawní”, w niemieckim „Scharfrichter”); rany te zostały im zadane przez Juraszka wałaskim nożem, a przez Polendę kajdanami (pauta, Füsseisen). Atestatum z datą 11. 12. 1716 podaje, że prawie wszystkie ich rany zostały już wyleczone.

Z brulionowego pisma do Król. Urzędu Krajowego dowiadujemy się, że Król. Trybunał Apelacyjny przesłał magistratowi *modella articulorum*, jak z *in carcerowanymi* zbrojnikami *in examinando* postępować. Przeprowadziwszy egzamin z wszystkimi zainteresowanymi, przesyła magistrat Urzędowi na piśmie zarówno *examen*, jak i *confessata iurata* — „do dalszego łaskawego disposniowania, aby to wszystko do należytych miejsc odesłane być mogło”.

Notatka urzędowa utrwała już tylko fakt, że „po bedliwym collationirowani slowo od slowa” sporządzono odpis

wszystkich tych dokumentów, opieczętowano je pieczęcią król. miasta Cieszyzna i zwyczajnie podpisano oraz wyekspediowano die 12 decembris anno 1716.

Chodziło już tylko o nowy wyrok (cesarski w zmienionych okolicznościach już nie obowiązywał), którego w akcie nie znajdujemy, ale który do magistratu na pewno niebawem nadszedł. Sprawa, z uwagi na „zasługi” Juraszka i jego towarzyszy przy likwidacji Ondraszka była początkowo mniej dla zbójników groźna: groziła im zsyłka na galary (ad triremes), która zawsze przecie dawała jeszcze pewne nadzieje wolności — po krwawej awanturze w więzieniu cieszyńskim stała się jednak sprawą gardłową i skończyła się dla Juraszka i Polendy wyrokiem śmierci, wykonanym na nich w Cieszynie niedługo potem.

O straceniu Juraszka w Cieszynie mówi m. in. w swej kronice Alojzy Kaufmann (Silesia 17. 3. 1927) podając, że stracono go przez łamanie kości. Innych schwytanych zbójników według dekretu cesarskiego wieszano, a los ten spotkał także Polendę. O Wojtku, Chłapczyku i Pawłoszku z zakończenia protokołów już wiemy, że poszli na galary adriatyckie i w grudniu, kiedy pisano protokoły, śladu już po nich w Cieszynie nie było.

Ondraszek w powieści ludowej wyrósł na bohatera i ulubieńca, o którym pieśni śpiewano, o którym tylko dobrze mówiono — Juraszek zaś stał się uosobieniem zdrady i zbrodni. O Ondraszku dziś jeszcze mówi się z miłością i sympatią — a o Juraszku, poza jego „czarną” w opowieści rolę, zapomniano, bo lud zdrady tej nie mógł mu wybaczyc.

Ludwik Brożek



TRZYNIEC NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM W ROKU 1842
(Według współczesnego obrazu olejnego)

Maglownia

Fragment powieści o Pawle Oszeldzie

Wieczór przykrywał burą płachtą okna nieborowskich chałup. Tu i ówdzie przed obejściem domostw krzątał się chłop, zwołując kierdel dzieci do domu na jałową wieczerzę. Prędkim susem podchodziła bezksiężycowa noc do dworskich czworaków pańskiego folwarku. A tuż pod tymi dworskimi sadybami na wzgórk, tylko świsnąć przez potok Nieborówkę rozlany w dolinę — a już jesteś u Oszeldów...

Paweł Oszelda to wolny chłop w Nieborach; zdołał się już wykupić, ale biedy u niego pod dostatkiem mimo harówki i zapobiegliwości. Trudno się temu dziwować, marny spłacheć roli nie zdoła chleba do syta przysporzyć. Trzeba się było imać nowych form gospodarowania. Najpierw wspólnie z ojcem i z pańszczyźnianymi chłopami, udebatowano po kryjomu, że przeciwko panom trzeba się bronić wszelkimi sposobami.

Od słów przyszło do czynów. Ojciec wtedy tak powiada: — Trzeba cegły nawypalać i zbudować maglownię, sąsiedzi pomogą, a my potem pomożemy sąsiadom. Inaczej będziemy ciągle niedojadać.

— Maglownię? — pyta syn. Jak to ojciec myślicie, co z tą maglownią... to przecie nie pański młyn, który mąką sypie, to nie ta dworska palarnia w Nieborach i trzy karczmy po kupie, skąd chłopci przymusowo muszą okowitą kupować, to nawet nie ta pańska garbiarnia skór, tam za drogą, z której dworscy rzadcy czerpią zyski pełnymi garściami...

— Nie tak synku ja to myślę z tą maglownią. Nie nam zyski zbijać. Gromadę

chcemy przyzwyczajać do czynu. Patrz na świat bystrym okiem. Ile to tkaczy jest w Jabłonkowie? Każdy z nich daje pół darmo panom owoce swej pracy. A gdyby zbić się tak w gromadę, uroilibyśmy w siłę... Urobek przeto u każdego z nas mały, jesteśmy oszukiwani, często brak nam przędzy. Tkałby tkacz, gdyby przędzę miał... ale nie zawsze ją ma. Wyrobi jej tylko tyle, ile jej zgarnie z własnego zagonu albo przygarnie z pańskich łąnów.

— To co z tego?

— Oj, synku, wiele, wiele! W Ropicy tylu tkaczy, w Końskiej również, w Gutach także... i w Śmiłowicach, Oldrychowicach, a u nas w Nieborach już dzisiaj kilkunastu doliczyć się ich można. Zbudować nam maglownię, postawić nam magiel, konny magiel i płótno maglować. Możemy i bielić to płótno, przez to tkacze zarabiać będą więcej, a my także wyjdziemy na swoje... Równą miarą dla wszystkich.

— Ale jeśli to zrobić, to pan się oburzy, nie zezwoli i powie: — Do mnie należy palarnia wódki, warzelnia piwa, garbiarnia skór i położy swą zachłanną łapę także na maglowni.

— Tego zrobić nie może psiajucha! Dokładnie to z tkaczami już wymedytowałem. Zarząd Arcyksiążącej Komory w Cieszynie jest kuty na cztery nogi, jeśli chodzi o poddanych chłopów, to ja wiem. Ale do mnie trudniej mu będzie zastosować prawo zakazu zbudowania maglowni, gdyż ja jestem wykupiony, jestem wolnym chłopem. A tkacze, którzy dotąd znosić muszą prawo pana, maglowni budować nie będą, zezwoleń na

nią nie potrzebują. Już wyręchtowaliśmy spisek z tkaczami. Będzie to nasza wspólna własność... wobec arcyksiążęcej władzy nazywało się będzie, że jest to maglownia wolnego chłopca Oszeldy. Do tej maglowni znosić będą swoje płótno wszyscy tkacze z kilku okolicznych wsi... a gotowe płótno z magła dostarczał będzie na zewnątrz — aby zatrzeć ślady naszego związku —... znowu tylko ten Oszelda.

— Lecz jak długo, ojczu, da się ukryć to wszystko przed okiem panów? Wpadną na trop, powiedzą, że ta maglownia to spisek przeciwko cesarzowi, przeciwko monarchii, przeciwko Austrii. Tkacze będą zachodzili do nas wieczorami z wałkami sprzedzonego płótna, wieść się rozniesie po dziedzinach, dotrze na zamek do Cieszyna i wtedy...

— Albo w pysk... albo czasy zaczną się zmieniać i wygramy!

Taką rozmowę prowadził ojciec Paweł Oszelda z synem, Pawłem Oszeldą, w jeden październikowy wieczór roku 1775 w swej murowanej chałupie pod numerem 43 w Nieborach. Sąsiadem Pawła Oszeldy, po drugiej stronie potoku, był jego brat, chłop pańszczyźniany Andrzej Oszelda, który posiadał sześciu synów, słynących na dalekie mile z kunsztu muzykanckiego. Nie zabrakło ich nigdy na żadnej odpustowej zabawie czy weseliskach w karczmie lub na dorocznych kiernaszach. Tych sześciu muzykantów odrabiało swą pańszczyznę we dworze — a w domu u siebie parało się cichaczem tkactwem i muzyką. A te instrumenty u nich to jakieś gęśle, szalamaje i oboje, jakieś klawiszowe piszczałki, harfa z przepaską na ramię i lichu wie, jakie tam jeszcze durlikanie.

Trzeba umieć wziąć życie w garść i trzymać je za lejce. Oszeldowie w Nieborach trafiali w sedno. Dość, że dwa lata potem chałupa Oszeldów pod numerem 43 wydłużyła się o dobudowaną drugą połowę. W tej nowej połowie stanął magiel... ale jaki magiel! Nie na siłę rąk ludzkich, lecz na siłę jednego konia. Dwadzieścia grubych dębowych walców zaczęło prasować płótno. Była to skomplikowana maszyna połączona z kieratem. Do kieratu zaprzęzo-

no konia, zawiązano mu oczy, aby się w drodze nie mylił i tak ruszał magiel. Dwóch ludzi obsługiwało magiel, a koń z czasem został tak wyćwiczony, że zawsze wiedział kiedy przystanąć w chodzie. Aby koń nie zbaczał na lewo czy prawo, tkacze wyłobili szeroki rów wykładany dylami, na które nasypywano trocin. I właśnie po takiej ścieżce w maglowni koń ciągnął kierat, przemierzając swą drogę zakreśloną w regularne koło.

Od tego dnia, kilkudziesięciu tkaczy, których obowiązywała pańszczyzna, pokumało się z wolnym chłopem Oszeldą, aby ulżyć swej ciężkiej doli, aby wspólnymi siłami takim oto sposobem walczyć i bronić się przeciwko samowoli i uciesnieniu ich przez książąt, baronów czy tę wszelką hałastę, która przywędrowała z dalekich krajów niemieckich na Śląsk, aby tutaj rządzić.

Od samego początku maglownia w Nieborach u Oszeldów stała się świadkiem wielu tajemnych szeptów i wieści, ba, nawet mów porywczych i gorzkich lamentów chudoby i pospólstwa. Często tam w kablak i pięść się zgłębia przeciwko losom pańszczyźnianego chłopca i padła siarczyna klątwa przygarbionego tkacza. Dojrzywał tu powoli wielki spisek ludzkiej krzywdy, wdzierając się ni stąd, ni zowąd myśl o buncie, o powstaniu; zabłąkany szlakiem trafiała tutaj iskra rewolucyjnego żaru. Kto wie, może jednego dnia z tej właśnie maglowni wyjdzie groźny sprzeciw, aby dopomnieć się wszelkich praw dla ludzi, aby o nie walczyć. Któż to wiedzieć może?

Czas stapał szybko naprzód.

W maglowni pracowano na pełną parę. Od białego rana do późnego wieczora, coraz częściej do obsługi trzeba było przyzywać dwóch z sześciu braci Oszeldów, mieszkających w sąsiedztwie za potokiem Nieborówką. Niedługo dowiedziano się i na zamku w Cieszynie, że wolny chłop Oszelda w Nieborach postawił maglownię.

Coś jednak z tą maglownią niedobrego się święci, bo ten Oszelda pokumał się z tkaczami w naszym cyrkule. Od pokątnych Żydów i kupców oświęcimskich, którzy jeżdżą zakupywać płótno do nieborowskiej maglowni, można się

dowiedzieć wielu dziwnych wieści. To jest chytry plan, którego ostrze skierowano przeciwko pańskiej zwierzchności na Śląsku.

Takie raporty przysyłali rządcy z cieszyńskiego zamku już nawet do Wiednia.

Nie było powodu ucześcić się tej sprawy. Lepiej nie zakłócać spokoju i nie judzić ludzi. Nigdy nie wiadomo, co mogłoby wyniknąć, gdyby te wszystkie

rodziny Oszeldów w Nieborach powrzucać na parę lat do lochów, pod jakimś tam pozorem...

Trzeba z innej beczki toczyć wino. Maglownię jako taką zostawić w spokoju, podpatrywać... podsłuchiwać... Wśród kupców płótna szpiegów zwerbować, wiedzieć co tkacze mówią, jak dzielą się zarobkiem, kiedy przynoszą płótno, jakie i o czym prowadzą roz-



mowy. To raz. Po drugie, podejść znie-nacka i chytrze ludzi, którzy przyczyniają się do tego, że wszyscy ci tkacze poprzez maglownię stają się jakąś rodzinną społecznością, która zaczyna wywierać szkodliwy wpływ na całą ludność. Ten wpływ ciągle rośnie i rozpowszechnia się daleko i szeroko. Rozciąga się na kupców z Krakowa, Oświęcimia, Kalwarii, Frydku. Chamy organizują się dzisiaj tak — a jutro, kto wie co z tego wyniknie...

Szykowano pierwszy cios.

I tak, jednego lata, nie pomnę już roku zatartego w pamięci, tych sześciu braci Oszeldów, znanych muzykantów, udało się w niedzielę na odpust do Gu-

tów. W odpust był i jarmark i zabawa i nabożeństwo w kościele i dwór wytaczał wiele antałów wódki, aby chłopom pańszczyźnianym rabować z kieszeni ostatni lichy grosz. Poszli na ten odpust nieborowscy hyrni muzykanci, poszli ze swymi gęslami ludziom muzyką wycinać do ucha. A wieczorem w karczmie po odpuście bawiono się hucznie w daleką północ. Z woli pana lano w bród wódkę chłopom na kredyt. Bywało, że chłop przepijał na takim odpuście i trzymiesięczny urodek pańszczyźniany...

W ten gucki odpust zahulało sobie i sześciu braci Oszeldów. Zjechał z nimi do Gutów jeden z kupców płótna w nieborowskiej maglowni, przywinał się do

nich znienacka, częstował, na krok nie odstępując.

A w tych Gutach jest starodawny kościółek z drzewa jodłowego. O ten właśnie kościółek sprawa poszła.

Przed północą sześciu braci Oszeldów uparło się odejść do domu. Kupiec przygadywał do nich w karczmie, aby zostali, dolewał wódki do kwaretek. — Przecie raz tylko w roku bywa odpust w Gutach. Ale bracia zgodnie postanowili wracać do domu, do Nieborów. Od samego rana dwóch z nich ma obsługiwać magiel, reszta na pańskim polu odrabiać pańszczyznę. Nie wrócić na czas, choć to ledwie godzina drogi, magiel nie zagruchoła swymi dębowymi walcami, Siwek będzie stał w miejscu i przedeptywał nogą, nikt mu nie powie „Wio Siweczku z lnu robotka”. Oszelda z maglowni wczesnym rankiem musi się udać do miasta, tkacze zjawiają się z płótnem, nie będzie go miał kto odebrać. Służba nie družba, magiel i do nas należy.

Podnieśli się z ław, zageślili piosenkę w przemarszu, torując sobie drogę do drzwi. Za nimi przeciskał się w rozbawionym tłumie ten kupiec. Wydostawszy się na próg karczmy mruknął sam do siebie:

— Pieknie się tutaj rozbawili ci ludkowie, za godzinkę będą isto noże między nimi latać i ławy wyrzgać... dyć to tak w Gutach bywo po każdym takim lóntrasiyniu...

Chlap, ciap... droga ubiegała. Za sześcioma braćmi kuszykał kupiec. Taki sobie żdziarach docierny, przed guckim kościółkiem zaczął się rozwrzaskiwać:

— Syncy, syncy, chłapieczkowie... w Gutach kościół z jedli!

— Kiej go zjedli, to go nima, nie repeć na wiatер pomietło jedno!

Utracysz kuśl dalej i dziobał nowym słówkiem.

— Holcy... a wyście co, my z tym kościółkiem wymaszczymy brewerie, wystraszymy do potargania wszystkich ludzi w dziedzinach.

I kupiec zaczął przekładać, że byłoby dobrze wyleźć na wieżę i zadzwonić o północy na kościółku w Gutach.

Nie było trzeba zbytnio namawiać braci Oszeldów do wykonania tego figla... Drzewniane odrzwia kościółka

zgrzytnęły. Sześć postaci mignęło krążgankiem, z hałasem i po omacku weszło z kruchty na schody wiodące na wieżę kościółka. Kupiec odpustowy i jarmarkowy straganiarz nie poszedł jednakże za braćmi, odsunął się od drzwi kościółka i zapadł w pobliskie zarośla skąd chciwie łowił każdy szelest uchem.

— Odważą się... czy się nie odważą?!

Pół minuty zbywa do wybiecia dwunastej godziny. Północ. Za parkanem kościółka pełgało małe światełko, jakby kto hubkę krzesał. Dzwon rozdygotał się na wieży. Bim, bim, bim bam-bum! — Spłoszne sowy sfrunęły z poddasza. Wiatr zachrząścił w przelocie.

— Uciekajmy! — odezwał się tknięty złym przecuciem jeden z braci. Przyjęto to jako rozkaz w milczeniu. Wyszypali się wszyscy hurmem i w popłochu na drogę. Spory kawał pędzili z wiatrem w zawody. Najmłodszy z braci prędko ustał w biegu, zziązał się niepoemiernie.

— Hop, przystańcie, już nie mogę tchu nawet złapać — wybełkotał i przysiadł nad rowem.

Wywiązała się narada.

— Co tu mówić, tchórze z nas niezdatni na zbójników! — zawyrokował najstarszy.

— Tchórze, tchórze! — podchwycili wszyscy chórem z jakimś dzikim chichotem.

Teraz spostrzegli dopiero, że brak wśród nich kupca i straganiarza Foma, to ich ponownie zaniepokoiło.

— Psia mać jego, namówił a teraz zwiął groch!

— Powsinoga niegodziwy, aby jeno złych rzeczy nie knuł w tajemnicy. Któż go tam wiedzieć może, co to za łązega!

— Nabijasz nam sęka w głowę z tym Fomem. Jeśli jawne się stanie, że sześciu braci Oszeldów dzwoniło w nocy na guckim kościele, będzie z tego straszny harmider. Ludzie powiedzą, że z nas świętokradcy, bezbożnicy, bluźniercy, przeciwko Bogu, kacerze! Rozsyczą się języki, doleje oliwy do ognia zamek w Cieszynie i pod sąd nas pożenie...

— Co tu robić? — rzuca ktoś od siebie pytanie.

— Milczeć jak grób!... nawet wobec Foma wyprzeć się wszystkiego, on jest

jedynym świadkiem... a nas sześciu... chodźmy stąd do domu polami nie drogą!

Kiedy sześciu braci Oszeldów dotarło przed rodzinne obejście ojca, najmłodszy tuż przed progiem zabiedował:

— Gdzie moje gęśle? Gdzie ja je zgubiłem... za pazuchą były... Najstarszy z braci wybuchnął gniewnym słowem i szpetnie zaklął.

— Ty mamlasie, przez te gęśle do nie-szczęścia wprowadzisz nas wszystkich. Przecie tam w kościele pociągałeś oburącz sznur na wieży, aby dzwon rozkołysać i gęśle na pewno wypadły ci wtedy zza pazuchy... a ty niedojdo, jak widać, przyszedłeś do samego domu bez gęśli.

Doszło do zwady; wracać po te gęśle do Gutów, to iść w paszczę wilka i na zagubę...

W maglowni od nowego rana ruszało życie starym trybem naprzód. Kto tylko zawitał tutaj, o niczym innym nie mówił, tylko o cudzie w guckim kościele. Pod wieczór przybyło trzech tkaczy z zapadlisk pod Jaworowym i także zgadali się o cudzie.

— Prawiutko o północy zaczął w Gutach na kościele dzwón rzypolić. Po dziedzinach szum o tym idzie między wszystkim ludem. Wiycie, to dzwóniyni to je palec Boży. Dość już tego nągrowania się panów z tórn pańszczyznóm; to długo trwać nimoże. Ale przed tym jeszcze przydzie cholera, tyfus albo głód, aby się naród mógł wzburzyć i robić inszy porządek na świecie!

Dwóch braci Oszeldów, którzy obsługiwali w ten sam dzień magiel, przysłuchując się rozmowom, rozpierała nawet duma, mącona dziwnym lękiem.

Przez kilka dni potężniała w Nieborach legenda o cudzie. Tylko Fom nie zjawiał się w maglowni, podobno ciężko zachorował i pozostawał w mieście.

Siódmego dnia, było to w niedzielę, do Nieborów zajechali nagle dragoni na koniach i urzędnicy cieszyńskiego cyrkułu książęcego. Pojmali oni wtedy sześciu braci Oszeldów, poszli z nimi do dworskiej kuźni i tam kazali ich zakuć w łańcuchy. W te łańcuchy zakuwali ich do późnego wieczora. A potem powieźli sześciu braci Oszeldów do Cieszyna. Od tego czasu nikt ich już więcej nie wi-

dział w Nieborach. W zgryzocie umarł ojciec a po nim matka tych synów.

W rocznicę guckiego odpustu, znowu w niedzielę, obszedł pacholek nieborowskiego dworu wszystkie chałupy i błając w bęben zwoływał ludzi na podwórze pańskiego folwarku — kilka stajen od maglowni — aby z woli miłościwie panującej zwierzchności przeczytać wyrok wydany na sześciu braci Oszeldów.

„Z rozkazu miłościwie panującej nam zwierzchności powiadomienie naszym poddanym ogłosić mam z wyroku na sześciu braci Oszeldów, którzy od długiego czasu tkaczy na Śląsku buntując, zmowy kuli między poddanymi przeciwko najjaśniejszemu cysarzowi i jego namiestnikom panom na ziemi śląskiej. W podżeganiu swym i niecnocie buntowniczej splugawili kościół Boży w Gutach, o północy bijąc w dzwon kościelny



„DZIEŃ OSZELDY“ W NIEBORACH

W 90-tą rocznicę śmierci czołowego rewolucjonisty śląskiego odbył się w Nieborach 30 maja 1954 r. po raz pierwszy t. zw. „Dzień Oszeldy“. Na zdjęciu fragment pochodu z uroczystości Oszeldowskiej

i zwołując zgromadzenie ludzi, aby ich podbechtać przeciwko woli Bożej i pańskiej. Ten postępek w czasowaniu sądu będąc, wyrokiem zakończony takim został:

Najmłodszemu bratu ręka prawa odcięta będzie u samego łokcia w rocznicę kacerskiego czynu, czego kat dokonał dzisiaj w Cieszynie o godzinie 8 rano.

Nadto pięciu pozostałych braci z delikwentem powieszonych zostanie do nieznanego więzienia, aby tam w skrusze i łasce tronu dokończyć swego życia!"

Dawne, dawne to lata... — Na austriackim tronie zasiadała cesarzowa Maria Teresa.

Tych sześciu braci Oszeldów więcej już nie powróciło do Nieborów. Przepadli dla ludzi i świata jak kamienie rzucone w powódź Olzy. Był to cios wymierzony skrycie przeciwko maglowni, chciano zastrzachać tkaczy, rozbić gromadę! Lęk szturchnął do ludzi, wielu tkaczy odpadło od nieborowskiej maglowni, zanosząc teraz swe płótno z własnego oprzędu do pańskiej maglowni w Cieszynie na ćwierćdarmowy zarobek...

Paweł Oszelda nie ułaski się gróźb

i pańskich syków. Magiel burczał dalej, i tkacze po czasie wrócili do starego pielesza. Raz wichur dmie silniej, raz słabiej. I napór najjaśniejszej zwierzchności bywał różny przeciwko pańszczyźnianym chłopom i naszej społeczności tkaczy.

Wiele groźnych burz przetrwał ten magiel; wielu ludzi on pamięta. Trudno wszystko naraz drapać z pamięci. Losy maglowni i związanych z nią ludzi przekazywane są jedynie w ustnych opowieściach, z ojca na syna. Od chwili zbudowania magla każdemu najstarszemu synowi w rodzinie Oszeldów w chałupie pod numerem 43 nadawane jest imię Paweł. Takie jest niepisane prawo rodzinne u nas, a to na pamiątkę tego najmłodszego z sześciu braci Oszeldów, któremu kat uciął toporem rękę w Cieszynie. Pradziad, ojciec — wnuk — to odtąd w naszej rodzinie wszyscy Pawłowie. W wielu rodzinach tkackich to samo. I syn mój najstarszy, który urodził się 16 lutego 1823 roku — wybierający się pojutrze na studia do Wiednia — także otrzymał na imię Paweł...

Paweł Kubisz

ANNA ZAWADZKA

Spełnione marzenie

W niedużym prywatnym domu za miastem, tuż koło toru kolejowego mieszka od kilku lat niestara jeszcze, ale trochę już posiwiiała kobieta. Zajmuje dosyć obszerny pokój na poddaszu z przyległą do niego maleńką, zupełnie ciemną kuchenką o małym, wysoko umieszczonym oknie w skośnej ścianie dachu.

Kuchnia, to właściwie taka ciemna komórka sąsiadująca z jej pokojem, która kiedyś ani kuchnią nie była. Pani Bronka po przeprowadzeniu się do tego domu skonstatowała, że gdyby przebić drzwi w jednej ścianie jej pokoju do tej komórki, mogłaby mieć kuchnię, wprowadzie nie bardzo higieniczną, ale zawsze jednak kuchnię. Ogromnie jej na tej

kuchni zależało, nie żeby z braku miejsca, ale odkąd zjawiła się w jej głowie pewna myśl, zaczęła się zastanawiać nad tym, że w tym jednym pokoju nie mogłaby przecież gotować i mieszkać zarazem.

Po dłuższych przetargach z gospodarzem i po zgodzeniu się z ciężkim sercem na pokrycie połowy kosztów przeróbki, Bronka ma wreszcie tę kuchnię.

Gdy wprowadzając się do tego mieszkania po tylu ciężkich przeżyciach, po bolesnym bądź co bądź rozstaniu się z mężem ustawiała meble, upatrzyła sobie w pokoju jeden kąt koło okna i powiedziała nagle do siebie: tu mógłby stać fortepian.

I nagle przeleżała się tej myśli, jak

czegoś fantastycznego, jakiegoś szaleństwa. — Gdzież jej do fortepianu? Nigdy go nie posiadała, nigdy w życiu nie miała takich warunków, żeby choć pomyśleć mogła o kupnie tego szlachetnego instrumentu — skądże więc bierze się teraz u niej taka myśl. Wszak życie na pewno nie będzie jej szczydziło szturchańców a może i biedy? Może z trudem przyjdzie jej wyżywić siebie i córeczkę — wszak nie wiadomo, co jeszcze może przyjsć.

Bronka z wysiłkiem odpędziła od siebie kuszącą wizję fortepianu, zastanowiła się nad swym przyszłym życiem. Z rozbitego małżeństwa prócz goryczy i zwątpienia pozostało jej trochę mebli, bielizny i niewielka sumka pieniędzy, prawie że trzymiesięczny zarobek, który złożyła na książeczkę oszczędnościową.

— Z tym trzeba zaczynać na nowo żyć — westchnęła, bojąc się trochę tego życia niejasno się przed nią kształtującego.

Ale życie w mieszkaniu na poddaszu układało się od samego początku dosyć pomyślnie. Nie było tam dotąd wielkich radości, ale nie było też tej codziennej goryczy, łez, niepokojów. Jeśli się kiedy zjawiała jakaś radość, była przeżywana tylko przez dwie osoby: starszą, poważną i zrównoważoną, i dziesięcioletnią osóbkę, nad wyraz ruchliwą o ciemnych, bujnych włosach i błyszczących, orzechowych oczach. Oprócz nich nikt do tego mieszkania nie zachodził, nikogo też obydwie jego mieszkanki nie potrzebowały.

I dziwne, że myśl o fortepianie prześladowała starszą coraz częściej. Dziwne, że po tylu przeżytych zawodach życiowych, po twardej szkole tego życia, wraca znów marzenie młodości, budzą się — te pragnienia nie spełnione, a z nimi wraca dawny ból... Coraz częściej staje przed oczyma dzieciństwo, bieda w domu, gderliwa, wiecznie zapracowana matka, ojciec pijak i ona z dziwnymi, nieokreślonymi pragnieniami w duszy, które budziły się w niej zawsze, kiedykolwiek doleciał do jej uszu dźwięk jakiegokolwiek muzyki.

Nie pamięta, kiedy się w niej obudziło to umiłowanie po raz pierwszy.

Chyba dawno przed tym, gdy jako 11-letnią dziewczynkę posłała ją raz matka po mięso do rzeźnika. Do owego rzeźnika było dosyć daleko, trzeba było iść przeszło pół godz. aż do kolonii na „Szóste”, ale nie dlatego, żeby w ich kolonii rzeźnika nie było, tylko że za lasem był jeden taki, który sprzedawał mięso taniej od innych. Mówiono, że to mięso dlatego tańsze, bo pochodzi ze „zdechlin i scyploków”, ale matka mówiła, że nikt jeszcze dotąd z niego nie zachorował, a te trzy korony zaoszczędzone na kilogramie, to się też w gospodarstwie pozna.

W tę pamiętną sobotę sierpniową wracała Bronka z mięsem do domu zmęczona jakaś i dziwnie senna, widocznie upał tak ją znużył. Kiedy więc znalazła się koło willi jakiegoś dygnitarza kopalnianego, kiedy ogarnął ją swym chłodem cień drzew wyciągających rosochate gałęzie daleko na drogę, nie mogła się już ubronić zmęczeniu i usiadła pod płotem w cieniu jabłoni. W trawie koło siebie znalazła kilka pospadanych jabłek, robaczywych, ale kuszących wonią i kolorem. Pozbierała je i chciwie zaczęła jeść, gdy wtem całą jej uwagę pochłonęła muzyka, dolatująca tutaj z otwartych okien willi. Ktoś na czymś grał — później dowiedziała się, że to był fortepian, ale w tej chwili nie miała o tym pojęcia. Z okna płynęły przez ogród prześliczne perliste dźwięki, odbijały się o uszy zastygłej w słuchaniu dziewczynki i wsuwały się głęboko w duszę łaskoczając ją, upajając jakimś nieznanym, miłym doznaniem, jakąś boleśnie słodką błogością. Bronka staje na palcach, zagląda przez szpary między gęstym murem zieleni do okna skąd dochodzi owo prześliczne granie, ale okno daleko od niej i zieleni za gęsta. Nie może dojrzeć niczego, ale to nic, może to i lepiej, bo przypomina najpiękniejszą bajkę, bo to owiane jakąś tajemnicą.

Melodia z wesołej, skocznej, przechodzi w jakąś smutną. Dźwięki biegną w tęsknym rytmie, szarpią boleśnie sercem... Och, jak tam coś łka... Bronka słucha, słucha a z oczu jej kap, kap... łezka po łezce — nie wiadomo skąd się biorą. Serce bije gwałtownie,

a za każdym niskim akordem, podmalowującym charakter melodii ściska coś i ściska, jakby niewidoczne palce zdusić chciały to drobne, rozchybotane w wątlej piersi serduszko.

I nagle jakby nożem ciął, melodia się urwała. Bronka wspina się na palce, spogląda błagalnym wzrokiem w stronę okna, jakby uprosić chciała tego kogoś co tak ślicznie grał, żeby jeszcze choć troszeczkę, choć kilka dźwięków, ale daremnie. Stała tak kilkanaście minut, ale nie doczekała się już niczego. Ruszyła więc przed siebie z duszą przepełnioną niezrozumiałym dla niej uczuciem. W uszach wciąż brzmiał jej dźwięk tej ostatniej, dotąd jeszcze nie słyszanej a tak pięknej melodii.

— Dlaczego ten ktoś grał tak smutno?... Bronce wydaje się, że stoi na wysokim brzegu i powiewa chusteczką w takt owej melodii czemuś drogiemu, nieznanemu...

— Co to jest...? Co to jest... — pyta sama siebie i nie może znaleźć odpowiedzi.

W lesie ocknęła się trochę z zadumy i... o Boże! Gdzież ja mam mięso?... Toż przecież zostawiłam je w trawie pod tamtym płotem. Pędzi co tchu zdyszana ogromnie, bo spory kawał już uszła — i staje przerażona. Duże bure kocisko szarpie łakomie jej mięso i aż się bestia krztusi, co tak pcha do siebie. Bronka rzuca się w stronę kota, ale ten w ostatniej chwili hop na płot z resztą krwawego ochłapu w pysku... W trawie pozostała tylko kość...

W domu matka sprząła ją za to na kwaśne jabłko a ojciec poprawił, że tydzień chodziła z siniakami na nogach i pośladekach. Ale wrażenie tamtej cudnej muzyki nie przechodziło.

Bronka z utęsknieniem czekała przyszłej soboty w tajemnej nadziei, że znów usłyszy owo granie, ale w przyszłą sobotę mama posłała po mięso brata. Dziewczyna popłakiwała za chlewem, ale matce nie mogła tego pokazać, bo by ją wnet przyprowadziła paskiem do rozzumu.

Od owej soboty z Bronką stało się coś dziwnego, jakiś przewrót. Wciąż jej w

duszy grało coś i grało... Wyszła do pobliskiego lasu, grały jej świerki — wyszła z kozą na pastwisko do „Kamieńczoka” — grały świerszcze, pszczoły, nawet wózki z węglem, idące nad jej głową z szybu „Jana” na „Głęboki” dzwoniły i dudniały, wystukiwały takt, lina jęczała dziwnym graniem...

Gdy do kolonii przyjeżdżała karuzela, Bronki nie utrzymałby w domu nikt ani na łańcuchu. Zawsze znalazła sobie pretekst, aby się wymknąć z domu i godzinami słuchała melodii płynących z „Klepetarza”. Ale to wszystko nie to, co tamta muzyka płynąca z okna inżynierskiej willi.

Pewnego razu, będąc z ciotką na odpuszcie, zobaczyła na jednym kramiku organki. W tej chwili ujrzała siebie w ich posiadaniu.

— Na tym też przecież można grać. Ogarnęła ją pierwszy raz chęć posiadania własnego instrumentu. Stanęła przy owym kramiku, wpatruje się w niego jak urzeczona i nie rusza się. Ciotka ciągnie ją za rękaw, ale Bronia nie reaguje. Jaka szkoda, że ma tylko koronę, a organki kosztują aż pięć.

— Ciotko, pożyczcie mi 4 korony, ja wam oddam, zobaczycie, albo odrobuję... będę wam codziennie nosiła po wiadrze „biedy” z „Kamieńczoka”. — Zrobię wam wszystko, co będziecie chcieli — wyrzuca Bronia z siebie jednym tchem, patrząc na ciotkę błagalnie.

Ciotka rozmyśla chwilę, gderając, ale wyciąga powoli z chusteczki 4 korony, ogląda je, jakby się jeszcze wahała, czy dać, czy nie dać, ale dobra ciotka daje!

Dziewczyna rzuca się do straganu i za chwilę organki błyszczą przy jej ustach metalicznym połyskiem...

— Dzioucho — dziwuje się po drodze do domu ciotka — tyś się miała urodzić synczyskiem... Kto to widział, aby dzioucha była tako głupio za organkami...

Odtąd Bronia grała. Matka przepędzała ją, gdykolwiek widziała ją grającą, obiecywała, że to źdźiorbo wyrzuci — ale Bronka swój skarb dobrze chowała.

Przy kozach nikt jej w graniu nie

przeszkadzał. Zaszywała się zawsze w brzózkach, na grobli między stawami i wydobywała ze swego instrumentu najpiękniejsze melodie... Próbowala nawet kilkakrotnie zagrać tamtą, słyszana pod płótem inżynierskiej willi, ale ta nie udawała się już jakoś... W duszy brzmiała jej ciągle, ale na usta nie można jej było przywołać.

— Gdyby tak chociaż raz jeszcze słyszeć ją — wzdycha Bronka i cierpliwie próbuje od początku. Kilka tonów wychodzi, a potem zacznie się mylić i ani rusz dalej.

Aż raz przecież znowu ją usłyszała. Miała już wtedy 14 lat i kończyła szkołę wydziałową. Przypadkowo znalazła się na jakimś koncercie w „Pracy” i tam ją ta przyjemność spotkała.

Po podniesieniu kurtyny widzi Bronka na scenie duże, czarne pudło na grubych nogach, którego kłapa w kształcie skrzydła podniesiona jest w górę. Do pudła podchodzi jakaś pani, siada i lekko uderza w szereg białych i czarnych kłapek, błyszczących z przodu pudła.

— Jezu, to jest przecie to... jęknęła radośnie Bronka i całym ciałem wychyla się przez balkon, jakby zapomniała, że od sceny dzieli ją ogromna przestrzeń rozciągającej się pod nią widowni...

— Coś ty, Bronka, jeszcze fortepianu nie widziała? — pytają ją zdziwione koleżanki — ale Bronka wcale nie pojmuje co do niej mówią, tylko z rozchyłonymi ustami słucha — połyka łakomie melodie wydobywające się spod palców pianistki.

Potem na scenie pojawia się chór — ślicznie śpiewa, Bronka to pojmuje, ale żal jej, że tamto się skończyło. Chciałaby słuchać i słuchać — i nie odrywać się od tej przepięknej muzyki.

Po chórze jakaś deklamacja — potem jakiś młodzieniec śpiewa solo — też ładnie, nie można powiedzieć, ale to nie to, do czego ona się zakochała całą żarliwością dziewczęcej duszy.

A oto na scenę wchodzi starszy człowiek w czarnym ubraniu — poważny, zamyślony. Zapowiada nieco przyciszonym głosem, co będzie grać, ale Bronka

nie zrozumiała. Czeką w napięciu, skoro spod palców pianisty popłyną te śliczne, umiłowane przez nią dźwięki.

Pan siada, poprawia krzesło i dotyka białymi palcami klawiszy. — Jakże te dźwięki znajome... Boże! znam to, znam! — chce krzyknąć Bronia, ale ze ściśniętego gardła nie może wydobyć się żaden dźwięk...

Tęskna, przesłodka melodia unosi się nad widownią, dociera do uszu stojącej



na balkonie Broni, wdzierą się w duszę jak wtedy tam pod płótem — obejmuje całą słodkim smętkiem... Bronia odruchowo podnosi rękę z chusteczką i zatrzymuje na wpół podniesioną w bezruchu... Nie, nie jest na wysokiej skale i nie żegna czegoś, co od niej odchodzi. To przecież balkon, a tam jakiś nieznajomy pan gra. Nie trzeba żegnać melodii, bo ona nie odejdzie od niej... nie odejdzie.

Skończył...

Z piersi Broni wydobywa się głębokie westchnienie — ręka z chusteczką opada i nawet nie stara się zetrzeć dwóch grubych łez błyszczących w kącikach oczu.

— Jak się nazywa ten utwór? — pyta Bronia koleżanek.

— E, jakoś tam — machają obojętnie ręką najbliższej stojącej.

— A ty Bronia, cóż ryczysz, czy ci mama umarła? — drwią niektóre z jej lez.

— Jak się nazywa ten utwór — powtarza rozpaczliwie Bronka — niemożliwe, żeby żadna z nich nie zrozumiała.

— „Pożegnanie Ojczyzny” Szopena, — informuje ją ochotnie jakiś pan siedzący w ostatnim rzędzie — i sam wyciera chusteczką okulary. — Chwyciło za serce... mówi ni to do siebie, ni do Broni, nie odwracając się w jej stronę.

Bronia coraz częściej, coraz boleśniej i coraz beznadziejniej marzyła o fortepianie. Śmieszne takie marzenia — jak strasznie śmieszne, ale opędzić się od nich nie można. Stale widziała siebie nad klawiaturą, dotykała pieśczośliwie klawiszy i w myślach wydobywała z nich swe ulubione melodie. Wiedziała, że są to nieziszczalne marzenia dla „dziouchy z budeli”, ale nie odganiała tych marzeń od siebie — nie broniła się przed nimi. Koleżanki jej opowiadały o chłopcach, próbowały wydobyć z niej, jak wygląda jej ideał i gniewały się, że jest taka tajemnicza, że się nie chce zwierzyć — a ona stale milczała, bo jakże mogła powiedzieć, że jej chłopiec jest zaklęty w czarne pudło, że jego głos jest przecudnym dźwiękiem kilkunastu drżących strun — jakże by ją zrozumiały i jakże by zrozumiały, że cierpi więcej, niżby kochała bez wzajemności...

Mając 16 lat poszła na służbę. Kiedy zobaczyła u swych państwa fortepian, omal że nie krzyknęła z radości. Pani zdziwiła się i skrzywiła drwiąco usta, objawiwszy u swej służącej zamiłowanie do muzyki i rozgniewała się bardzo, widząc, jak Bronia obcierała kiedyś fortepian z kurzu, próbowała uderzyć w klawisze. Nie omieszkiała zaraz zaznaczyć, że dziewczynie z kolonii więcej do twarzy z miotłą i ścierką od kurzu, niż przy fortepianie.

Ale pan był innego zdania. Pozwolił jej podchodzić do instrumentu, pozwalał podnosić wieko i biegać po klawisze, owszem, podczas nieobecności pani, bo ona jest nerwowa i gotowa urządzić z

tego powodu scenę, a może nawet wygonić ją ze służby. Grywał też specjalnie dla Broni i cieszył się jej zasłuchaniem. Po kilku takich koncertach podawał krzesło i kazał siadywać koło siebie, pozwalał przyglądać się palcom, jak chodzą po klawiszach, obiecywał nawet, że będzie ją uczył grania.

Raz podał również krzesło, kazał siadać koło siebie, lecz nie chwycił się grania. Usiadł wprawdzie obok, ale ręka zamiast spocząć na klawiszach, dotknęła jej kolana i usiłowała wsunąć się pod sukienkę. Bronka przygotowana całą duszą do słuchania muzyki, nie rozumiała w pierwszej chwili tego gestu, próbowała tylko strzepnąć natrętą rękę ze swego uda, ale pan się obraził.

— Zostaw głupia — ofuknął ją. — Chcesz grać, a siedzieć przy fortepianie nie umiesz. Do fortepianu nie można siadać, jak do dojenia kozy. Ciało musi być w kondycji — mówił i usiłował ją posadzić jak należy, dotykając przy tym niemoreśnie jej kształtów.

Bronka zerwała się z krzesła i zamierzyła ku drzwiom, ale ją wyprzedził i zaparł je sobą, pożerając ją dzikim, rozognionym spojrzeniem. Wtedy Bronia nie namyślając się, z żalem i gniewem w duszy skoczyła ku oknu i na parapet, lecz wtem w drzwiach zjawia się pani i spogląda chmurnie na to wszystko.

Ze służby zwolniła się z kilkunastu koronami w kieszeni i właśnie wtedy nadarzyła się sposobność kupna instrumentu o wiele skromniejszego, ale przypominającego dźwiękiem fortepian. Sądziad mówił, że to jest cytra. Bronia koniecznie chciała kupić tę cytrę, ale cóż, miała za mało pieniędzy. Rozmyślała skąd by tu wziąć, prosiła matkę, żeby jej pożyczyła do tego czasu nim znajdzie inną służbę, ale skądby się u matki wzięły pieniądze? Zresztą, chociażby je i miała, to na takie głupstwa nigdy by nie dała. Matka wykrzyczała ją co wlaźło, narzekając, że ją pan Bóg skarał takim niewydarzonym dzieckiem.

Bronia cytry kupić nie mogła...

Na drugiej służbie już nie było fortepianu. Było pracy o wiele więcej, czworo małych dzieci i niezwykle leniwa pani, która w domu nie tknęła się ni-

czego. Nie było czasu ani pomyśleć o fortepianie, pieścić ucho muzyką — snuć marzenia.

U tych państwa poznała się Bronia z chłopcem, na którego nie zwróciłyby większej uwagi gdyby nie to, że ładnie grał na skrzypcach. To jego granie tak ich zbliżyło do siebie, że wyszło z tego wesele.

Lecz cóż, chłop wprowadził ładnie grał, ale duszy chyba nie miał, bo jakże mógł przy takim ładnym graniu tak brzydko żyć. Lekkoduch, pijanica — nie wiele w nim było z człowieka.

Męczyła się tak z nim przez kilka lat ponieważ, bita i zdradzana, a w domu stale bieda. Było trzeba szukać Broni pracy, żeby bronić się trochę tej biedzie. I wtedy właśnie nabrała przekonania, że da sobie chyba rady bez chłopca. Zarabiała nieźle, a kłopotów będzie miała o wiele mniej. No i doszło do tego, że została sama w tym oto podmiejskim domku zaczynając jakoby nowe życie.

I dziwne. Teraz po tym odprężeniu, po otrząśnięciu się z tego wszystkiego zła, jakie w ostatnich latach przeżyła, znów zaczęła ją prześladować myśl o fortepianie, ale teraz już nie pragnęła go tyle dla siebie, ile dla swej dziesięcioletniej Wandzi.

— Jest prawie że w tym wieku co ja, kiedy brałam cięgi za to, że się zasmuchała w muzyce — myśli Bronka z gorączką.

— Ale ja bym za to nie biła... nie, nigdy bym za umiłowanie muzyki nie karała, i zobaczysz dziecko, że jeden raz doczekasz się tego, o czym ja przez tyle

lat tylko marzyłam. Będę pracować ile mi tylko sił starczy, aby kupić dla ciebie fortepian — postanawia nagle Bronka i teraz już wierzy, że jeden raz doczeka się tego.

★ ★ ★

Do pokoju na poddaszu sześciu chłopca z wysiłkiem, z napięciem wszystkich mięśni wnoszą czarne pudło. Ustawiają je w kącie niedaleko okna. Pani Bronka stoi w kuchennych drzwiach, patrzy i ciągle jeszcze nie może uwierzyć. Marzenie 22 swoich lat... i oto się spełniły. Czyż to możliwe?

— Wandziu chodź, popatrz — bierze córeczkę za rękę i jak do świętych relikwii prowadzi ją do jej własnego fortepianu.

— Popatrz, ty córka zwykłej „dziuchy z kolonii” będziesz mogła odtąd grać na własnym fortepianie.

Wandzia patrzy na matkę rozpromienioną, ale nie rozumie, dlaczego w jej oczach błyszczą łzy. Ona się przecież cieszy, dlaczego więc mamusia płacze?

A mamusia siada na krześle, podnosi wieko i w zamyśleniu dotyka palcami błyszczących klawiszy. Przebiera powoli... przebiera i z pamięci odtwarza pierwsze akordy polonezu Chopina. Nagle rodzi się jej widocznie w głowie jakiś pomysł, bo uśmiecha się wesoło i chwytając córkę w objęcia:

— Wiesz Wandziu, my się razem będziemy uczyły grać na tym fortepianie...

Anna Zawadzka



Czerwone maliny

Obrazek

W schludnym pokoiku, pełnym słońca i radości, która docierała do każdego zakątka dzieciennego pokoiku bawiło się dwojga dzieci: sześciolatek Zdzisiek oraz trzyletnia Marynia. Zdzisiek medytował coś nad konstrukcją olbrzymich dźwigów, które budował, ale jakoś nie pasowały mu pewne części, coś brakowało mu wciąż, więc na nowo przymierzał, na nowo dopasowywał, nowych części próbował, wciąż cierpliwie i spokojnie. Znajdzie rozwiązanie tej trudnej konstrukcji, na pewno znajdzie, przecież chce zostać inżynierem, wczoraj zwierzył się w sekrecie mamusi, która zwierzenie przyjęła z uśmiechem i pogłodziła go po kędzierzawej główce. — Zobaczysz mamusia, że dotrzymam słowa — powiedział całkiem poważnie. Marynia tymczasem ustawiła na podłodze cały rząd traktorów, musi zorać szerokie łąny pod ziemniaki. Czasem któreś zaszczebiotało dźwięcznym głosikiem, poza tym oboje pracowali w milczeniu i w skupieniu. Takie ważne wybrali sobie zadania i wcale nie łatwe, dlatego nic dziwnego, że całkiem byli pogrążeni w swej pracy. Słoneczko igrało złotymi odcieniami na ich kędzierzawych główkach, nisko pochylonych nad swą pracą. W sąsiedniej kuchni krzątała się babcia, gotując obiad. Raz po raz rzucała roześmianym okiem do sąsiedniego pokoju, rozkoszując się widokiem kochanych swych wnuczków. Chyba nie znalazłby nikt tak szczęśliwej i zadowolonej z swego losu babci pod słońcem. I nikt by chyba nie uwierzył, że przeżyła ciężką młodość i nieradosne życie. Wszystkie te ciemne, pochmurne obrazy dawno pogrążyły się w niepamięci, jak każdy i największy cień w blasku słonecznym. Te szczęśliwe dzieci córki przerosły jej do serca i chciałyby im serca przychylić.

— Co za czasy... szczęśliwe byłoby za mało powiedzieć — czasem mawiała sama do siebie, by nikt nie słyszał, bo

możeby wyśmiał ją, starą matkę, która tego wszystkiego w swym długim życiu nie przeżywała, która od swej najmłodszej młodości nie zaznała nic innego, prócz nędzy i biedy, prócz przekleństw, wzajemnej nienawiści, szpetnej zazdrości jeśli komuś lepiej się powodziło wśród ciągłej pogoni za kawałkiem chleba, za okrucieństwem uśmiechu, który występował tylko w bajkach, baśniach i opowiadaniach legendarnych.

Dzwonek zelektryzował wszystkich. Zdzisiek porzucił swe dźwigi, zatrzymały się w bezruchu na podłodze traktory Maryni. Oboje podreptali do drzwi, gdzie już zdążyła podejść z kuchni babcia, która właśnie otwierała drzwi.

— Mamusiu... mamusinka... — krzyknęły z głośną radością dzieci, i już Marynia znalazła się na rękach mamusi, a Zdzisiek stał przy boku mamusi i jego minka nagle zachmurzyła się. Zawsze musi być Marynia pierwsza, cóż, czy on jest coś gorszego od Maryni? Coś jakby odcień zazdrości szukało drogi do jego serduszka, ale od razu wszystko rozwiało się, kiedy mamusia również i o nim nie zapomniła i przygarneła go ramieniem przyciskając lekko do swego łona. Od razu jego oblicze rozpozgodziło się.

— Co nam, mamusiu, przyniosłaś? — dzieci ochłoneły z pierwszego wrażenia i zaczęły zadawać tysięczne pytania.

— Przyniosłam wam malin, takich smacznych czerwonych malin, o patrzcie, jak uśmiechają się do was — przerwała mamusia ich ciekawe pytania.

Roześmiały się oczy dzieci jeszcze słoneczniej, a buzie pokraśniały jak te maliny, które mamusia wysypała na szeroki talerz, który babcia już zdążyła przynieść z kredensu.

— Jedzcie sobie, jedzcie, Zdziśku i Maryniu, zachęcała babcia i już położyła przed nimi łyżeczki. — Ładnie łyżeczkami...

Babcia z powrotem podreptała do kuchni, a mamusia pozostawiwszy dzieci rozbierała się dopiero teraz w przedpokoju, a dzieci ukontentowane i spokojne zajały. Ich buzie poczerwieniały od soku, który niesforne zabrudził nie tylko podbródek Maryni, spływając z buzi, ale zdążył poplamieć kwitnące zdrowiem liczka, a Zdzisio miał zabrudzone czoło — to Marynia coś z pełną buzią tłumaczyła Zdzisiowi, który nie interesował się jej wywodami, więc ona nie zrażona tym wcale upomniła się łyżką o formy grzeczności dla niej i o uwagę. Do bójkii tym razem nie doszło, ponieważ Zdzisio zbyt mocno zajęty był zajadaniem wysmienitych malin.

Mamusia tymczasem rozebrała się i stanęła w progu. Przypatrywała się zadowolonym twarzyczkom dzieci, które rozkoszowały się wysmienitym smakiem malin.

W tej chwili widok czerwonych malin, które ze smakiem zajały jej dzieci, przywołał jej na myśl dawne, odległe wspomnienia. Niewesołe one były, bo głęboka bruźda zarysowała się na jej pogodnym zazwyczaj czole. Na oczach osiadł cień. Nie potrafiła odrzucić od siebie tego wspomnienia.

Podeszła do okna, za którym rozposcierał się szeroki widok wyrastających wciąż nowych aż po horyzont bloków mieszkaniowych. Jeszcze przed kilkoma laty były tutaj nieużytki, jakiś gruz i kawałek lichej łąki, na której pasły się kozy.

Na tej koziej łące i ona pała swą kozę, kiedy jeszcze była dzieckiem. Mieszkali w kolonii, a kiedy ojca zabiło na kopalni, wyrzucono ich z „pańskiego” mieszkania, więc znaleźli sobie mały pokójeczek u gazdów, u których za ten pokójeczek odrabiali pracę na polu.

Ciężkie było ich życie. Nikła emerytura nie mogła zaspokoić głodu kilkoro głodnych gąb, a ręce matki również nie mogły nastarczyć, ponieważ wartość ich pracy u „siedloków” była za szczupła. Zaledwie wystarczyło, by zatkać głodne gardła, a tu było trzeba wszystkich odziać. Gdzie tu nabrać tyle. Musiały zarabiać również i dzieci. Często matka dawała im duże dzbanki i wysyłała je do



szumbarskiego lasu, by, nazbierały poziomek lub malin dla pańskich rodzin.

Pamięta to wszystko tak wyraźnie, jakby to było dzisiaj.

Był dzień również pogodny, jeden z wakacyjnych dni, zanim rozpoczęto żniwa. Matka dała jej duży dzban i kazała jej zbierać pełny malin, ponieważ pani inżynierowa zamówiła maliny dla swych dzieci na kolację. Do tego celu zakupiła nawet śmietanę.

Zanim jeszcze odeszła, matka jeszcze raz przypomniała jej zadanie.

— Uzbieraj pełny, inżynierowa dobrze zapłaci, a sama wiesz, że wszystko z ciebie zlatuje, nie masz w czym chodzić...

Sprawa była jasna. Zabrała więc dzbanek i pośpieszyła do lasu, który czernił się daleko pod słońcem, które przechyliło się już na drugą stronę nieba.

Była młoda, silna, chociaż wychowana przez nędzę i biedę. Świat był taki piękny, tylko czasem głód jej dokuczał. Czasem to i zazdrościła tym wszystkim, któ-

rzy zajadali biały chleb z masłem. Często stokroć w marzeniach dociekała, jakiego smaku jest biały chleb z masłem, ponieważ ani razu jeszcze chleba z masłem nie jadła.

Droga jej szybko ubiegła i mroczny las objął ją swym ramieniem. Zrazu było jej jakoś markotno i strach ją oblatywał. Była taka samiuteńka w lesie, a drzewa w górze szumiały i skrzypiały czasem, kiedy wiatr mocniej nagiął suche konary. Przypomniały jej się te wszystkie wieczorne opowiadania, kiedy darli pierze w domu, straszne i ponure, napędzające dużo strachu. Spoglądała trwożnie dookoła siebie, ale szybko otrząsnęła się. Nie było czasu na bojaźń i strachy, wieczór nadejdzie szybko, a tu dzbanek musi być pełny. Nakaz mamy był jasny i nie znosił sprzeciwu ani żadnych wykrętów.

Jeszcze kawałek, знаła tę część lasu, tam spodziewała się znaleźć pożądane maliny. Ucieszyła się, kiedy zauważyła wśród liści uśmiechające się czerwienią maliny, które w słońcu, przekradającym się przez rzadkie gałęzie, wyglądały jak krople krwi.

Przycupnęła pod krzakami i pilnie zaczęła zrywać krwiste owoce malin, które poczęły wypełniać jej dzbanek. Zapomniała o strachach i strasznych baśniach. Las wydawał się jej coraz bliższy i piękniejszy. Zieleni otaczająca ją wokoło wydawała się jej taka miła i kochana, a zapachy najmiłsze na świecie. Dla biedaka przyroda zawsze wydaje się piękniejsza i wspanialsza. I ptaszki tak pięknie śpiewały jej nad głową, tak swojsko i tak jakoś zrozumiale, że wydawało się jej jakby przemawiały do niej: Nie bój się, Zosiu, nic złego ci się w lesie nie stanie. Nabieraj dużo malin dla córki inżynierowej, by inżynierowa dała pieniądze mamusi na twoją sukienkę. — Śmiać się jej chciało z wielkiej uciechy i ukontentowania. Jakie te ptaszki zmyślne, rozumieją nawet myśli i uczucia ludzkie.

Dzbanek napełniał się powoli. Już palce ją bolały, ociekające od malinowego soku jakby były od krwi, już i głód dopominał się swego i kiszki w brzuchu sprzęgły się przeciwko niej, wyprawiając jakieś kocie muzyki i nieprzyjemne burczenia.

Zaczęło ją kusić złe, by zaspokoila głód czerwonymi malinami, które uśmiechały się do niej z dzbanka. — Jakie one smaczne — szeptał jej jakiś głos do ucha. — Opierała się pokusie.

— Nie, nie... powtarzała uparcie. Maliny nie dla mnie, za te maliny będą pieniądze na moją sukienkę.

Jakże trudno było dziś zbierać malin pełny dzbanek do równości.

Już się prawie zmierzchało, kiedy ostatnią malinę rzuciła do pełnego dzbanka. Równiuteńki. Odetchnęła głęboko. — Wreszcie. Zrobiło się jej lekko na duszy, jakby spadł z niej jakiś ciężar. Wykonała polecenie matki i nie zjadła ani jednej maliny. — Nie, maliny nie są dla niej, ona jest za biedna, maliny mogą jeść tylko bogaci, córka pani inżynierowej, która nosi takie piękne kolorowe jedwabne kokardy. Dla niej jej mamusia, pani inżynierowa, kupiła do malin nawet śmietany. Nie umiała sobie wyobrazić smaku malin ze śmietaną, więc raczej starała się nie myśleć na ten temat.

Ruszyła wolnym krokiem w stronę domu. Teraz dopiero spostrzegła, że jest niemal ciemno, że las stał się jakiś straszny i taki jakiś ponury, kiedy ostatnie promienie słoneczne utonęły w nieprzebranych gęstwinach. Każdy szelest i skrzyp gałęzi napełniał ją bojaźnią.

Przyspieszyła więc kroku. Kiedy wyszła z lasu, rozjaśniło się. Wykroczyła raźniej. Skracala sobie drogę miedziami. Dookoła słychać było śpiew pasterzy, nawoływania wzajemne pędzących bydło do obór, gdzieś tam porykiwały krowy, a przed progami domostw popłakiwały dzieci, zmęczone daremnym czekaniem na swe mamusie.

Wszystko to było takie zwyczajne i takie codzienne, że nie zwracała na to uwagi.

Po drodze natknęła się na malca, który zaledwie wlec się potrafił po czterech. Umorusany był nie do poznania od ziemi, kiedy katulał się w brudzie. Obecnie gmerał palcami w miękkiej ziemi i rozbabrywał ją pod nosem z flegmą popłakując z cicha. Mamusia jego widocznie pracowała w polu i obecnie oddaliła się na chwilę, by coś załatwić w

zabudowaniach gospodarskich, skąd było słychać jej krzykliwy głos.

Zosia zatrzymała się przy malcu, który przestał płakać i dłubiąc palcem w nosie patrzył na nią swymi błękitnymi oczyma, które wyglądały jak dwa kawałki pogodnego nieba wśród brudnych chmur. Żał się zrobiło Zosi malca. Ten patrzył urzekającym wzrokiem na jej dzbanek pełen czerwonych malin. Po chwili wyciągnął swą brudną rączkę.

— Daj... daj... — powtarzał oblizując flegmę z brudnej wargi.

Zosia nie namyślając się i nie rozważając nad tym, co czyni, wyjęła brudną chusteczkę, którą zastępowała jej szmata ze starej bielizny i obtarła malcowi nos i ręce, a potem nie uświadamiając sobie skutków, wyspała mu do dłoni malin.

Rozjaśniła się buzia malca, który pokazał Zosi w podziękowaniu dwa wystające przednie ząbki, jak dwa koraliki. Brał swymi niezgrabnymi paluszkami jedną malinę po drugiej, które mu się rozsypały, i wkładał do ust rozmazując ich sok po buzi. Pocieszyło to był widok.

Uśmiechała się Zosia, zadowolona z siebie i kiwnęła malcowi na pożegnanie ręką.

Dopiero po kilku krokach uświadomiła sobie, że dwie garście malin, które dała malcowi, odsłoniły całą szyjkę dzbanka. Zadrżała. Co będzie, kiedy nie przyniesie pełnego dzbanka...

Cała jej radość rozwiała się jak mgła poranna. Co powie matka. Im bliżej była domu, tym szła wolniej. Opanowało ją coraz większe drżenie.

Z bojaźnią i niepewnością przekroczyła próg izdebki.

Matka na powitanie, myjąc młodszego jej braciszka i nie odwracając się do niej, zapytała:

— Dlaczego tak późno? — Już tutaj była służąca od pani inżynierowej. Córeczka jej na próżno czeka na kolację, a ty się gdzieś wałasasz...

Podniosła głowę znad balii i opuściła ręce. Spojrzenie jej spoczęło na dzbanku. Zbliżyła się do Zosi, która stała pokornie ze spuszczoną głową.

— Dlaczego nie uzbierałaś pełnego dzbanuszka? — powiedziała szorstko. —

Tak długo tam do tego jeszcze ślęczałaś...

Zosia chciała wytłumaczyć się, ale nie zdążyła. Matka chwyciła ją za włosy i uderzyła. Nieszczęście chciało, że trafiła w nos.

— Wynos się zaraz i zanieś pani inżynierowej... Jeśli ci nie da pełnej sumy, będziesz chodziła naga...

Z nosu kropla po kropli sączyła się krew, czerwona jak maliny i opadła na jej ręce czerwone od soku malin. Sok zmieszał się z krwią, kolory tak bardzo podobne do siebie, że nie można było rozpoznać co jest od krwi, a co jest od soku malin. Na kropkle krwi na rękach padały cichuteńko łzy...

Czuła się cała zmiażdżona i mała jak proch pod swymi stopami. Nie czuła żalu do matki. Bolała jedynie nad swym losem, nad losem swej matki, wszystkich bliskich i takich jak ona, jak wszyscy, którzy nie mieli prawa zjeść malin.

Wydarzenie to wryło się w jej pamięć na zawsze. Częstokroć w życiu nadchodzą wspomnienia z tamtych czasów i wtedy widzi się tą małą upokorzoną Zosią, która zbierała maliny dla bogatych dzieci inżynierów i przewiniła bardzo tym, że dała malcowi ubogiej matki trochę malin nie myśląc wcale o sobie. I dziś przeżywa we wspomnieniach to wszystko ponownie, co tak bardzo boli z tamtych czasów dzieciństwa i późniejszej młodości.

Lecz wspomnień raz rozsnutych, jak kłębko nici, nie wstrzymać nie potrafi, snuć się muszą dopóki nie zawinie je pamięć w kłębko do końca.

Bieda w domu wciąż powiększała się. Musiała pomagać w wyżywieniu rodziny. Pracowała na pańskim od świtu do nocy, by pomóc matce.

Potem zabłysło słońce w jej ciężkim życiu. Poznała się z Jurkiem, z którym pobrali się jeszcze przed wojną, która przyniosła jej nową gehennę.

Bolesny był dzień wiosenny czterdziestego roku, kiedy gestapo zabrało jej Jurka. Nie pomogły łzy i rozpacz. Te nie potrafiły rozpuścić kamienia, w które zamieniły się serca tych ludzi, drwiących z bólu i rozpaczyny ludzkiej.

W tych ciężkich chwilach jedynymi promykami były jego listy, nadchodzące

z obozu, które pomiędzy głupimi i poddyktowanymi przez mus słowami mieściły tyle ciepła miłości, wiary i otuchy, że zawsze po otrzymaniu każdego listu stawiała się mocniejsza i z niezachwianą wiarą patrzała w przyszłość.

Rok czterdziesty piąty zakwitł wolnością jak kwiatami, którymi powitała Jurka, kiedy powrócił z obozu. Z takiej radości można się upić do utraty zmysłów. Nawet dziś nie może sobie uprzytomnić tej chwili, która się przed nią jak burza, jak szaleństwo przewaliła, pozostawiając tylko przykre wspomnienie.

Niestety Jurek chorował, niedomagał i niebawem zmarł. To był ostatni cios, który jej nie uszanował. Wydawało się jej, że życie jej kończy się, że świat dla niej nie ma już żadnej wartości.

Nie. Jakże mogła takie myśli dopuścić do głowy. Czekają przecież na nią dzieci, zwłaszcza ten kilkumiesięczny w kołysce, który w ogóle nie poznał swego tatusia. Jakże spokojnie śpi, ufny w opiekę matczyną.

Stała się mocna, jak matka, jak matka dzieci, dla których płonie gorętsza niż słońce jej miłość matczyna.

Wtedy rozpoczął się nowy okres jej życia. Zaczęła pracować w hucie, a stara matka zatroszczyła się o jej dzieci. Dziś jest jedną z najlepszych pracownic, poważaną i szanowaną, która może dać swym dzieciom inną młodość niż ona sama przeżywała.

Jej źrenice napełniły się radością dumy matczynej, która wywołała łzy, łzy, które jak deszcz wiosenny zmywa resztki czarnego, przypominającego zimę śniegu, przywróciły jej spokój i równowagę ducha. Odwróciła twarz do dzieci, twarz zalaną łzami, lecz zarazem płonąącą najszcześliwszym uśmiechem.

Dzieci właśnie dojadły maliny.

Zdzisiek pierwszy zobaczył płaczącą ze szczęścia matkę. Rzucił łyżkę i pobiegł do niej.

— Mamusiu, ty płaczesz...

Podniosła go wysoko a potem ucałowała gorąco.

— To nie płacz, Zdzisiu, to radość wielka...

Zdzisio nie rozumiał tych słów, więc patrzył w twarz matki z niedowierzaniem.

Chodźcie oboje do mnie, to wam opowiem. Usiadła na krześle, a Zdzisia i Marynkę usadowiła na swych kolanach. Wyglądali bardzo pociesznie. Umorusani aż po uszy, tylko oczy ich śmiały się z uciechy i zadowolenia jak rozżarzone węgliki.

— Dobre były maliny? — zapytała ich.

— Baldzo dole... — wyprzedziła braciszka Marynia.

— Widzicie dzieci... Mamusia wam kupiła maliny, które wam bardzo sma-



kowały. Ale widzicie, kiedy wasza mamusia była taka mała jak wy, wtedy nie miała malin, chociaż je zbierała w lesie, ponieważ musiała je sprzedawać bogatym mamusiom inżynierowym dla swych dzieci, a mamusi waszej nie było wolno zjeść malin, ponieważ za otrzymane za maliny pieniądze było trzeba kupić sukienkę.

To ty jesteś też teraz bogata i dlatego nam kupujesz maliny...

— Dzisiaj, mój ty kochany Zdzisiu,

wszyscy, którzy pracują, są bogaci i mogą swym dzieciom kupić maliny...

— ... widzicie, i dlatego mamusia dziś rozplakała się ze szczęścia i z radości, że nie ma takich biednych dzieci jak były dawniej, jaką była wasza mamusia, że dziś wszystkim dzieci mogą jeść maliny, nie tylko bogate...

— ... i że wam lepiej powodzi się niż waszej mamusi, że nie ma już tych dawnych strasznych czasów...

Gustaw Przeczek

WL. OST.

Czy umiemy czytać książki

Wzrost czytelnictwa i oświaty notujemy nie tylko w naszym państwie. W Polsce w chwili obecnej uczy się i kształci blisko 7 milionów obywateli, korzystając z książki naukowej i szkolnej. A ileż jest czytelników książek innych? Warto jednak się zastanowić czy ta potężna wielomilionowa armia czytelnicza czyta swoje książki tak, aby z nich jak najwięcej skorzystać?...

Przypuścimy, że zaawansowany czytelnik przyswaja sobie w przeciągu jednego kalendarzowego roku przeciętnie około miliona słów drukowanych. Czy słowa te stanowią jednak istotny bodziec dla jego myśli, uczuć i woli? Wszak według definicji Pawłowa „Słowo jest dla człowieka takim samym bodźcem warunkowym, jak wszystkie inne, wspólne dla niego i dla zwierząt, ale zarazem jest ono bodźcem tak wiele obejmującym, jak żaden inny”.

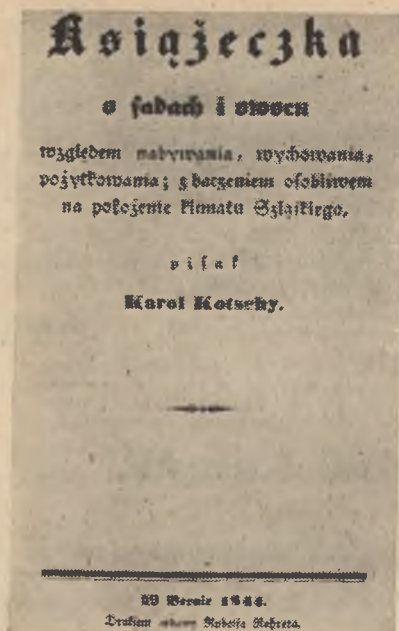
Słowa, które przyjmujemy z książki są dwójakiego rodzaju. Mogą nas one budować, kształcić, prostować moralnie, ale mogą także burzyć to wszystko, co w nas najlepszego, mogą tłumić nasze zainteresowania rzeczami ważnymi, mogą wypaczać nasz światopogląd. Ważną staje się rzeczą przeto, abyśmy umieli dobrać sobie odpowiednią lekturę.

Jakaż to będzie ta odpowiednia lektura? Przede wszystkim powiązana z naszymi zainteresowaniami, tak żywymi, jak i zawodowymi. Wtedy będzie

nas pociągać, będziemy jej szukali. Bo cóż warta jest książka, którą czytamy, jedynie z musu czy dla „zabicia czasu”? Nie wiele.

Książka musi nas porwać, rozpalic wielkie uczucia, pobudzić do czynu. Książka nudna zabiera nam nie tylko cenny czas, ale sprawia to, że zrażamy się do czytelnictwa. Przyswajamy sobie w sposób mechaniczny zdania, ale nie zarysowują się one głębiej w naszym umyśle. Nie pobudzają we właściwy sposób naszej wyobraźni. Są to słowa drewniane jakby, pozbawione mocy oddziaływania.

Czy oznacza to, że mamy wziąć do ręki książkę, posiadającą cechy taniej sensacji. Nie. Musimy się zatroszczyć o to, aby do rąk naszych, dostawała się zawsze książka dobra pod każdym względem. Winniśmy unikać książek, które nas niezdrowo podniecają — one bowiem wpływają demoralizująco na naszą psychikę. Takich książek nie ma już prawie w naszych bibliotekach. Przepędziliśmy je jak najdalej od siebie. Ale jeszcze tułają się one tu i ówdzie, różne Naty Pinkertony, chorobliwe mąjaczajenia ludzi piszących dla łatwych zysków. Jeszcze tu i tam znajdzie się jakiś kryminalny romans, opowieść o duchach, zła, wypaczająca prawdę historyczną rycerska przygoda. A przecież mamy tyle dobrych książek: dzieła naszych klasyków, Żeromskiego, Sienkie-



*Główny pomolog cieszyński Karol Kotschy
wydal swą książkę w r. 1844*

wicza, Orzeszkowej, Prusa i wielu innych, dzieła pisarzy nowoczesnych czy wreszcie książki naszych śląskich twórców. A ileż dobrych tłumaczeń pojawiło się na rynku wydawniczym. Jest w czym wybierać. I jest gdzie wybierać. Mamy w każdej miejscowości bibliotekę. Posiadamy te biblioteki przy zakładach pracy, w szkołach i różnego typu instytucjach i organizacjach społecznych. Nie będzie więc rzeczą trudną dobrać sobie książkę odpowiednią dla siebie, książkę naprawdę dobrą.

Pamiętajmy jednak, że nie każda, która nas interesuje od pierwszej do ostatniej strony jest książką dobrą. Książka nie jest bowiem tylko wyłącznie rozrywką, ale i to poważnym instrumentem wychowawczym. Ona uczy nas lepiej, rozsądniej żyć i pracować. Poszerza nasze horyzonty myślowe, uzbraja nas wewnętrznie, czyniąc nasze życie piękniejszym i doskonalszym.

Zasadniczy cel książki leży w tym, aby nie tylko nas bawić, ale i kształcić jednocześnie. Ma nam ona dostarczać

godziwej rozrywki, kształtując nasz charakter, uodporniając na złe wpływy. Ma ukazywać nowe, nieznane horyzonty myśli i wiedzy ludzkiej. Dopiero takie książki formują nas, są naszymi przyjaciółmi, pozwalają patrzeć dalej, szerzej i głębiej.

— No, dobrze — powie niejedyn — ale jak tu w tej olbrzymiej masie książek, wybrać spośród setek i tysięcy tomów tę, która jest dla mnie najlepsza? Często stoimy przed półkami zawałonymi książkami i nie wiemy, jakiego autora wybrać. Czyż dziw, że wybór jest często przypadkowy, że opiera się na opinii zasłyszanej? A przecież książka może jednemu się podobać a drugiemu nie. Nie ma jednakowych prawideł oceny dzieł, pod względem ich wartości. Komuś lepiej odpowiada powieść współczesna, innemu historyczna. Jeden lubuje się w Tolstoju, drugi z pasją pochłania książki francuskich klasyków. Aby dobrać sobie odpowiednią książkę, trzeba nieco popracować nad sobą, trzeba umieć sobie przede wszystkim zdać sprawę z tego, czego oczekuje się od książki. Trzeba nie tylko ograniczyć się do stereotypu katalogowego, gdzie nie ma nic oprócz tytułów i autorów. Jeśli z kimś rozmawiamy, a rozmowa ta jest nudna i mało wartościowa — unikamy takich rozmów. Dziwne, że potrafimy bez przekonania rozmawiać całymi godzinami z autorem nawet nie lubianym a nawet nieodpowiadającym nam duchowo. Rada jest jedna: należy wiedzieć coś więcej o autorze, należy sięgnąć do historii literatury czy encyklopedii, by zasięgnąć tam języka, kto zacytował ten, któremu powierzmy swe myśli, któremu pozwolimy na siebie wpływać.

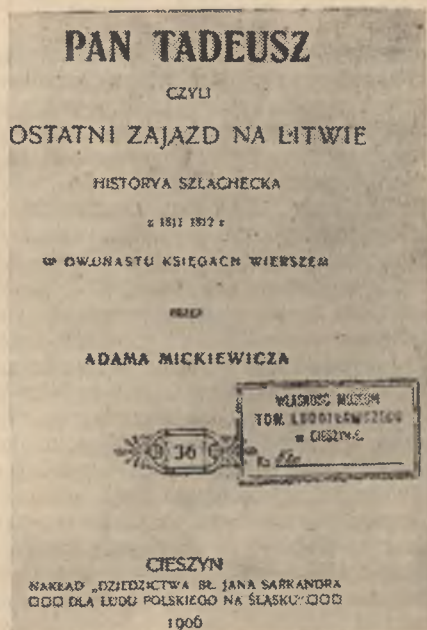
Wielu czytelników bibliotecznych polega całkowicie na opinii bibliotekarza. Może to jest najlepsza forma wyjścia, gdy się nie ma samemu wyrobionego sądu o książkach. Ale nie oznacza to bynajmniej, że powinniśmy już stale iść tą drogą najmniejszego oporu. Bibliotekarz szacuje nas zazwyczaj „na oko”. Nie zna jednak naszych upodobań artystycznych, nie zna naszych specjalności zawodowych, nie zna nas oczywiście tak, jak my sami siebie znamy. Dla-

tego też celem naszym będzie wypracować sobie własną metodę doboru lektury. Mamy za mało w życiu czasu, aby trawić je na czytanie książek przypadkowych, wręcz nieodpowiednich, nieprzystosowanych do naszych specyficznych zainteresowań czytelniczych. Sztuka dobierania sobie odpowiednich książek jest niemińszą zdolnością i umiejętnością, niż samo czytanie. Człowiek czytający wiele przeczyta, nie więcej jak trzy tysiące książek przez całe swe życie. Jak wielką korzyść odniósłby ten cierpliwy czytelnik, gdyby umiał dobrać sobie odpowiednią lekturę, gdyby obok wytrwałości czytelniczej, cechowała go systematyczność w pracy. Stosunkowo mało uwagi zwraca się jeszcze u nas na ten odcinek pracy z czytelnikiem. Jeszcze za mało uczy się czytelnika, jak ma sobie radzić w poszukiwaniu książki ściśle zespolonej z jego potrzebami. Błądzi on często zbyt długo nim trafi na właściwy ślad. Traci nie rzadko wiele czasu na poszukiwanie „swojej” książki. Wszak świat książki jest ogromny.

Wystarczy tu przytoczyć choćby kilka cyfr z biblioteki im. Lenina w Moskwie, aby nabrać wyobrażenia o obszarze słowa drukowanego, zamkniętego w książkach. Biblioteka ta została ostatnio znacznie poszerzona. Budynek biblioteczny posiada ni mniej ni więcej tylko 18 pięter. Ogólna długość regałów bibliotecznych w tym kolosie wynosi ponad 200 km. Ustawiono na nich 15 milionów książek i kompletów czasopism, wydanych w 160 językach całego świata.

Czyż dziw, że przeciętny czytelnik czuje się dziwnie mały wobec masy książek, jakie sferuje mu czytelnia, księgarnia, biblioteka? Trzeba by więc pomyśleć o planowaniu swej lektury. Nie będzie już wtedy wyboru na chybił trafił. Takie planowanie wymaga co prawda pewnego już odczytania, ale i dla nie zaawansowanych czytelników jest to droga jedynie słuszna. Pomoc znaleźć można w poradniach bibliotecznych, u ludzi, którzy z tytułu swych zajęć zawodowych służyć winni radą innym, jak np. nauczyciele, kierownicy świetlic, oświatowcy. Są jeszcze i inne pomoce.

Kto pragnie w sposób racjonalny i systematyczny pogłębiać swą wiedzę o życiu i świecie, ten musi nauczyć się korzystać z tych wszystkich pomocy. Jakże to są te pomoce? Poza więc opiniami ludzi fachowych, poza katalogami bibliotecznymi, poza recenzjami w pismach codziennych i periodycznych, istnieją różnego rodzaju bibliografie, przewodniki czytelnicze, poradniki czytelnictwa, wykazy literatury z danej specjalności, krytyczne omówienia literackie, spisy lektury zawodowej. A poza tym, kiedy się już do naszych rąk dostanie książka przez nas poszukiwana, pozostaje nam jeszcze jeden sprawdzian jej dla nas przydatności — nasza własna opinia o książce przez wykorzystanie tzw.: „źródła orientacyjnych”. Opinię tę urabiamy sobie na podstawie pobieżnego zapoznania się z książką. Nie tylko z samym tytułem i spisem treści. To byłoby stanowczo za mało. Spójrzmy więc na wydawcę, a przede wszystkim na autora książki. Kto to jest? Czy go znamy? Czy warto mu poświęcić wiele, wiele godzin myśli? Najlepiej jednak przy dokony-



W Cieszynie wyszedł także po raz pierwszy „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza w r. 1906



Wydano nakładem SLA-PZKO w Cz. Cieszyńie
w r. 1954

waniu wyboru książki oprzeć się na krzyżowej opinii: ludzi, którzy już daną, książkę czytali, recenzji czy jakiegoś omówienia drukowanego, wreszcie wykorzystując wyżej już wspomniane „żerdzie orientacyjne”.

Na terenie Związku Radzieckiego wielką pomocą dla czytelnika stanowi „Przewodnik Bibliograficzny”, miesięczne wydawnictwo pt. „Bibliografia zawartości czasopism”, wreszcie bardzo pożyteczny periodyk, informujący o nowych wydawnictwach pt. „Nowe książki”. W Czechosłowacji i Polsce istnieją też różnego rodzaju bibliografie; na tym odcinku pracuje się dalej, aby zbliżyć jak najbardziej książkę do czytelnika. Już w najbliższym czasie ukaże się cenna praca zasłużonego badacza czytelnictwa w Polsce, Grycza, pt. Chodźmy do biblioteki. Odda ona niewątpliwie duże usługi tym, którzy zechcą z niej korzystać.

Jak czytać?

Drugim niezwykle ważnym zagadnieniem w czytelnictwie jest sprawa właś-

ciwego czytania książek. Wybranie dobrej książki, to dopiero połowa zagadnienia. Trzeba bowiem umieć jeszcze tę dobrą książkę dobrze przeczytać. Umiejętność odczytywania liter nie oznacza jeszcze umiejętności czytania w szerszym tego słowa znaczeniu. Podobnie, jak planowo i systematycznie należy postępować przy dokonywaniu wyboru książki, tak też planowo i systematycznie należy się zabierać do samego już czytania. „Niektórzy czytelnicy — pisze w swej nowo wydanej w języku polskim książce pt. „Jak korzystać z książki” A. Primakowski — przyzwyczajeni do bezplanowego czytania literatury pięknej, zadawają się w zasadzie tylko uczuciami i przeżyciami, jakie wzbudza w nich przeczytana książka dzięki interesującemu tematowi, dzięki opisowi wydarzeń i przyrody. Takie jednak czytanie, bez poważnej analizy treści utworu, i bez zrozumienia stosunków społecznych i przyczyn zjawisk historycznych, przyczynić się może do bier-



Wydano nakładem SLA-PZKO w Cz. Cieszyńie
w r. 1954

ności myślenia, zatruty samodzielności sądów i spłyceń światopoglądu czytelnika. Beżładne, chaotyczne czytanie jest nie tylko stratą czasu lecz często i wyraźną stratą dla umysłu. Wyraził to kiedyś słynny pisarz Romain Rolland, mówiąc, że: „nic tak nie obezwładnia twórczego umysłu, jak nadmierne czytanie”.

Czytanie planowe, wyznaczone rozsądnym działaniem, stanowi przeto ważny element naszego życia. O takim to zapewne czytaniu mówił Puszkina, że „to najlepszy sposób uczenia się”.

Jak więc należy czytać? Spójrzmy na przykład Lenina. Wspomina o nim Uljanowa, że „Iljicz umiał pracować nad książką systematycznie i wytrwale. Książki nie tylko czytał, ale gruntownie je studiował. Czytał według określonego planu”.

Przykłady wielkich ludzi uczą nas, że czytać należy powoli, nie stosując przerw dłuższych przy ogarnianiu całości kształtu zagadnienia. Natomiast ważną jest rzeczą, by czytelnik dokonywał krótkich przerw dla wypoczynku w trakcie samego czytania czy studiowania



Wydano nakładem SLA-PZKO w Cz. Cieszyźnie
w r. 1954



Wydano nakładem SLA-PZKO w Cz. Cieszyźnie
w r. 1954

dzieła. Godne szczególnej uwagi ustępy w książce zaleca się przeczytać — nawet kilkakrotnie — głośno. Poza innymi wartościami takie głośne czytanie kształci i kulturę języka mówionego. A na tym odcinku jest jeszcze wiele u nas do zrobienia. Ważną jest również rzeczą prowadzić sobie, odpowiednie dla swoich potrzeb notatki. Warto również ciekawsze ustępy w treści odnotowywać na kartce, by po skończeniu lektury, powrócić do nich. Wymagają one często świeżej myśli, a zawsze są godne, aby utkwily nam mocniej w pamięci. Można też sobie odpowiednie strony, dla nas specjalnie ciekawe, pozaznaczać luźnymi, wąskimi karteczkami, z krótkimi adnotacjami, sporządzonymi na gorąco. Są to tak zwane „węzły myślowe”, które w dogodnym czasie możemy sobie „rozwiązywać” włączając je do naszego archiwum myśli, godnych żywszej pamięci. Nie ma tu żadnych reguł żelaznych. Każdy winien sobie sam metodę wypracować, dostosowaną do jego indywidualnych potrzeb.

Czytając taką czy inną książkę napotykałyśmy na zwroty niezrozumiałe, na wyrażenia obco brzmiące, na fakty i zdarzenia, których nie możemy ogarnąć w ich szerszym zasięgu przyczynowym. Co wtedy uczynić należy? Zwyczajnie: sięgnąć do lektury pomocniczej. Do niej zaliczamy wszelkiego rodzaju słowniki, mapy, encyklopedie, poradniki, informatory, historie, wykresy, dane statystyczne itp. Wtedy rozjaśnimy naszą myśl, nadamy jej właściwy kierunek biegu. Sprawą zasadniczej natury jest bowiem aby: „całość lektury wiązać z kierunkiem swoich zasadniczych zainteresowań, z rodzajem pracy zawodowej”. Zawsze jednak musimy pamiętać, że książkę trzeba czytać z sercem. Wtedy czytanie stanie się naszym nie tylko przyzwyczajeniem, ale i pasją. Odczujemy jej wartość, jej przydatność, jej konieczność w naszym życiu. Winna się ona stać potrzebą dla naszych myśli, tak jak powietrze dla płuc. Wtedy hartować się w nas też będzie systematyczność i wytrwałość — cechy, bez których trudno mówić o dobrym czytaniu.

Potrzeba czytania musi wyrastać z potrzeb życia, ma temu życiu służyć. Gdy czytanie oderwane jest od życia, staje się balastem. Czytanie dla samego czytania, czytanie bez celu i kierunku jest zwykłą stratą czasu, jest stratą życia. Żyjemy zaś zbyt krótko, by móc sobie pozwolić na bezmyślne marnotrawienie swego czasu.

Powstaje na koniec jeszcze jedno pytanie — kiedy czytać? Chorobą społeczną naszych czasów, wydaje się być brak czasu. Dokładna jednak analiza zagadnienia wyprowadziłaby nas z mniemania, że wina za ten brak czasu leży wyłącznie po stronie tak zwanych „przyczyn obiektywnych”. A może wina leży także i w nas samych? Budujemy przyszłość w tempie, którego nie znało dotąd żadne pokolenie. Czy nauczyliśmy się jednak indywidualnie lepiej gospodarować swoim czasem? Obliczmy z grubszą ile tego czasu trawimy na zgoła niepotrzebne rzeczy. Na bezużytecznych, a nawet szkodliwych często rozmowach i pogwarkach, na zabawach, nawet na pijatykach. Ile czasu przechodzi w nic — coś w poczekalniach dentystów i le-

karzy, urzędów, stacji kolejowych? Nikt tych straconych bezpowrotnie godzin nie liczy. Są to miliony jednostek twórczej energii ludzkiej, tonącej w codzienności życia. Walczymy o likwidację tych przystani zła. Rugujemy je powoli lecz systematycznie. Ale czy każdy z nas, czekających na swoją kolejkę w poczekalni lekarza, czy urzędnika takiej czy innej instytucji zadał sobie trudu, aby te puste godziny czekania wypełnić jakąś pozytywną treścią? Może to być nawet wartościowa rozmowa. Czy pomyślał nad tym, że można by sobie wziąć za towarzysza długiego często oczekiwania — książkę? Wtedy nie trzeba będzie narzekać na „stratę czasu”. Bo obcowanie z książką jest wielokrotnieniem czasu ludzkiego, jest wypełnianiem tego czasu myślą. Życie uregulowane wymaga od nas harmonijnego działania. A oznacza to, że czas winien się znaleźć na wszystko. Ponury byłby nasz świat, gdyby wszyscy zamienili się w upartych szperaczy książkowych i namiętnych czytelników, nie widzących poza książką świeżych barw życia. Ale my zazwyczaj mamy czas na wszystko, lecz nie posiadamy go na książkę. Kalinin, gdy komsomolcy, aktywiści uskarżali się na to, że brak im czasu na czytanie — odpowiedział: „Jestem również człowiekiem zajęтым, a mimo to codziennie poświęcam czas na czytanie. Codziennie czytam chociażby osiem do dziesięciu stron literatury marksistowskiej, prócz tego czytam nowości z beletrystyki”.

Mamy tu u nas na Śląsku Cieszyńskim wspaniały przykład człowieka, który dzięki wielkiemu umiłowaniu książki, stał się — mimo wieloletniej pracy w hucie trzynieckiej — człowiekiem olbrzymiej wiedzy historycznej, znawcą wielu zagadnień i posiadaczem wspaniałej biblioteki. Jan Wantuła z Ustronia, który umarł przed półtora rokiem, pozostawił po sobie wzór doskonały dla nas wszystkich, jak można, biorąc sobie książkę za przyjaciela, uczynić swoje życie głębsze, radośniejsze, pełne złoceń i lśnień — życie, oddane w służbę społeczności, a przez to — szczęśliwe.

Starajmy się ten piękny wzór Jana Wantuły naśladować.

W. Ost.



KIEJ SIĘ W GŁOWIE ROZUM JEŻY - to wykipi ciasto z dzieży.

(Ze zbioru klechd i bojek śląskich p. t. „Zaszuwierzony świat”)

...Daremnie o to pytać, kiedy się wydarzyła ta historia, o której teraz opowiadam. Było to dawno, bardzo dawno. Tak przynajmniej twierdził mój dziadek, a jemu tak twierdził jego dziadek. I nawet ja sam już nie pamiętam, czy dobrze zapamiętałem tę bojkę, zasłysznaną w latach wczesnej młodości od dziadka na przyzbie starodawnej wieśniaczej chałupy... Chcę ją tak opowiedzieć, jak ją zapamiętałem. Nic do niej nie dodam, najwyżej przepomnę jakiś jej szczegół. Wiadomo, z upływem lat baśniowy czas dzieciństwa mgła niepamięci oprósza, a ja sam już także jestem siwym staruszkciem. Niech więc dorosłe dzieci, słuchając mego opowiadania, zachowują się grzecznie. Niech nie przeszkadzają i nie przerywają a w szczególności, niech niepotrzebnie nie zadawają mi pytań, na które i mnie brak odpowiedzi.

A stało się to w ten dzień, przed wielu, wielu laty, kiedy w Cieszynie, skazano zbrojnika Jurę Juraszka na śmierć straszliwą. Było to już kilka lat po śmierci słynnego zbrojnika Ondraszka, którego Juraszek miał zdradzić ale chyba go nie zdradził, bo zbrojnicy sobie zawsze wierności dotrzymywali i nigdy na pański lep nie siadali. Otóż, jak się rzekło, do sądu w Cieszynie zgłosił się Juraszek ani przeczuwając, że mu tam śmierć zgotują. A do tego sądu Juraszek przybył z jakimś innym kamratem, z którym zbrojniczył a kamrat ten pochodził z Dobracie na Śląsku. Prócz tego kamrata, poszli z Juraszkciem do tego

sądu w Cieszynie jeszcze dwaj inni zbrojnicy kamraci, obydwaj z Galicje przystali do Juraszka, jeden z Wadowic a drugi, dobrze tego nie pamiętam, zdaje się z jakiejś tam dziedziny w pobliżu Żywca.

Nie przeczuwając nic złego, z jakiejś głupiej sprawy, tych czterech zbrojników stanęło przed sądem w Cieszynie. Ten zbrojnik z Wadowic, to był z urodzenia cygan i nazywał się Fyrtał-Pyrtał, a później ludzie, opowiadając o jego gibkich nogach i kiepskim rozumie, wydali mu przezwisko Pierzchała. Jak długo tych czterech zbrojników przesiadywało w tym cieszyńskim areszcie, to nie pamiętam, ale chyba tylko kilka dni. No, krótko mówiąc, kto by chciał wszystko dokładnie wiedzieć, o tej przygodzie, niech sobie zajdzie do Cieszyna i tam odszuka w starych papierach akt sprawy Juraszka, który jest napisany w starodawnym języku, gdzie pełno jest słów z polskiej biblii Modrzewskiego. Dziadek mojego pradziadka, widział ten akt na własne oczy — i na poświadczenie prawdziwości tej bojki, przypominał z niego wierutne zapodanie.

A teraz sobie wyobraźcie, że jesteście my w Cieszynie. W ratuszowej sali jest długi dębowy stół. Przy stole siedzą sędziowie i rajcy. Na tym stole palą się świece w lichtarzach. A dalej przed stołem, zakuci w łańcuchy stoją zbrojnicy. Jest to Juraszek wraz z swoim kamratem z Dobracie i z Galicji ten cygan Fyrtał-Pyrtał z tym swoim kolegą od Żywca. Zbrojników otacza straż miejs-

kiego cyrkułu. W tej sali ratuszowej zapada wyrok na Juraszka i jego trzech kamratów. Wyrok straszny...

Juraszek wraz z trzema towarzyszami został skazany na śmierć... ale na jaką śmierć... przez łamanie kości na kole.

Po wygłoszeniu wyroku — w sali powstał straszny harmider. Juraszek rzucił się na straż, rozbił skuwające go łańcuchy i od razu położył dwóch ludzi trupem; nie inaczej zaczęli się srożyć i jego zbrojnicy. Wszyscy chcieli uciec... Jako pierwszego obezwładniono jednak Juraszka i ten też zginął w Cieszynie, tu w tym mieście śmierć jego nastąpiła, jak to historia potwierdziła. Stało się to w ten sam dzień, kiedy wydano wyrok na czterech zbrojników. W ten sam dzień, kiedy w Cieszynie stracono Juraszka, późnym wieczorem do bystrzyckiej plebanii zapukał zdrożony podróżny. Plebanem był tam wtedy półgłuchy Gaworek, dziwak i sknera ksiądz, przypochlebny zwierzchności pańskiej, gotów za marny grosz pędzić wesz po ścierniku do Wiednia. Podróżny natarczywie szturchnął w kołatkę, w drzwi pana plebana.

Ale długo trwało zanim drzwi się otwały. Wyjrzała z nich młoda, przystojna zdawało się w ćmie wieczornej, gospodyni.

— A kiż smyki sie tu ciopłajóm? — pyta się gospodyni.

Niespodziewany gość zaczął odpowiadać z wysoka. Zaraz na początek palnął kilka węgierskich słów, jak zasłyszała gospodyni. Pomyślała nawet: — „to jakiś urodzony pan, trzeba z nim pokorniej, bo nuż to dziedzic włości czadeckich albo margrabia z Cieszyna?” A gość jedzie z wysoka dalej:

— Gdzie jest pleban?

Służebna plebana zdołała objaśnić, iż „do snu ułożyła go godzina”. — „Do snu?... no, to pomówiem z nim jutro przy obiedzie, a teraz przygotujcie mi prędko nocleg i obfitszą wieczerzę dajcie, bo utrudzon własnym nieszczęściem jestem straszliwie.”

— A godność jaka waszej jasności pytam? — rzecze gospodyni. Zanim jednak podróżny odpowiedział, wścibił się

z ruchem pełnym powagi za drzwi plebanii i dopiero teraz, wyjawiał swe pochodzenie.

— Ja to jestem starszy syn hrabiego Tekely. Jechałem landauerem i w drodze zbójcy mnie napadli, lokaje będąc z nimi w zмовie, obrali mnie ze wszystkiego, potem sfrunęli w lasy z końmi. Z duszą się wydobyłem i nocleg mi potrzebny. Płacę za tę pomoc złotem, mój ojciec posiada 18 majątków i 30 winnic na Węgrzech.

Przeraziła się służebna plebana tych wszystkich bogactw. Zaprowadziła hrabiego do swej własnej noclegnej komory i rozświeciła łuczywo. W blasku tego łuczywa zoczyła ona przed sobą przystojnego mężczyznę z czarnymi jak kruk oczami, nie inny był wąż pod nosem i jego czarne włosy w połysku.

— Węgier... a taki jedyny oczajdu-sza — pomyślała ukradkiem. — „Tylko te szuwory, którymi się odział, nie pasują na hrabiego... a cóż dopiero te bose nogi, z których gnój potokiem spływa.” Coś ją mimowoli tknęło, — czy to nie czasem jakiś zawalidroga i wyrąbek ludzki...

Tekely, jakby przeczuwał, że tak myśli, usprawiedliwiał się z powagą.

— Te zbójce odziały mnie w to diadowskie odzienie i buty cholewiaki zdarli a potem przez ten jar świercznowiecki pędzili obkładając biczyskiem — stąd moje bose nogi mułem pozachodziły... Kiedy zaś wieczerzę uspokojona gospodyni podała, to hrabia Tekely nie mógł się nachwalić jej kucharskiego szyku. Chwaliłby gospodynię lichu wie jak długo, gdyby nie to zmęczenie, które powieki sklejało. Poradziła gospodyni podróżnemu, aby ułożył się do snu.

— Podeścielę trzy skóry baranie, jesień jest chłodna, zbiegnę jeszcze po kapiastą poduszkę, aby pod głowę była i spanie dostatnie dla was.

Przyniosła tę kapiastą poduszkę w bielusińkich, lnianych otokach płótna i podścieliła pod głowę, ale ten był tak wyczerpany niecnymi przejęściami dnia, że nawet nie odpowiedział gospodyni na jej — „dobranoc”!

Przed rozbrzaskiem rana, rumiana i młoda gospodyni, która całą noc zasnąć

nie mogła, bo tak ją rozmarzyło to nieoczekiwane spotkanie z przystojnym Węgrem, wsunęła twarz do komorki, aby popatrzeć czy podróżny śpi jeszcze.

Podróżny spał, spał jak suseł, w komórcie ściany dudniały od jego chrapania. — Mara czy jawa? Gospodyni patrzy i nie może się napatrzeć, tak ją nagle zatkało ze złości.

— A to świnia! — powiedziała głośno i ręczę podbiegła do śpiącego. To co zobaczyła nie było do wytrzymania. Lunęła go ręką przez twarz i zaczęła nim trząść.

Śpiący otworzył oczy i spojrzał na nią zdziwiony i sapnął rozniewany: — Co się tak drzesz krasawico na cztery strony świata? Węgier otrzymał prędką odpowiedź. — „Bo kto to widział, ja mu dam bielusięnką poduszkę pod głowę a on prosie i świnia, zamiast pod głowę, to se na tę poduszkę dał swoje zagnojone nogi. — Czy wy panie macie rozum w głowie czy kaj indzi?”

Tekely tym ujadaniem się nawet nie wzruszył. Powoli tylko, słowo za słowem wyjaśniał, że z ludźmi różnie bywa, niekiedy owszem trzeba mieć rozum w głowie, niekiedy wystarczy zamiast tego rozumu korzec sieczki i tak szeroka gęba na zawiasach, jak u jednej jałówki bystrzyckiego plebana... ale ciebie złotko szczerę — mówił Tekely w tej

chwili do gospodyni — nie mam na myśli. Innym razem, wiesz lubczyku mój drogi... zamiast rozumu w głowie, trzeba posiadać siłę w nogach. Jedno moje węgierskie przysłowie powiada nawet, że „kiej się w głowie rozum jeży — to wykipi ciasto z dzieży”! A ja tak samo, wczoraj musiałem uciekać, bo gdybym nie był uciekał, kosztowałoby mnie to głowę. Że się tak nie stało, zawdzięczam to nie swojej głowie ale swoim nogom. Dlatego też pod te nogi z wdzięczności podłożyłem sobie tę kopiaistą poduszkę a nie pod moją głowę.

Gospodyni plebana przysiadła obok Tekelego i zaczęła się wpatrywać w niego rozszerzonym wzrokiem. Jaka rozmowa się między nimi dalej potoczyła nikt już dzisiaj na świecie nie pamięta.

Jedno jest tylko wiadome, że ten hr Tekely nie był tym, za kogo się wydawał; był to ten cygan z Wadowic, który się nazywał Fyrtał-Pyrtał a któremu później ludzie wydali przezwisko Pierzchała. Ten sam, który zbójnikował z Juraszkiem i po skazaniu go na śmierć przed sądem w Cieszynie, zdołał jedyny z tych czterech zbójców uciec i długo jeszcze żyć na świecie. A to dlatego, że nie szanował swego rozumu, ale miał gibkie nogi, które nie tylko czcił, lecz szanował.

Jerzy Duraj





W dawnych czasach żył na Kozubowej pewien stary baco. Żył sobie beztrósko, bo mleka, masła i sera było na szafasie pod dostatkiem, wełny na kopyca dały owce, a ludzie z dołu przynieśli mu chleba, słoniny i tytoniu. Wywiesił więc ów szczęśliwy baco na starucnej kolibie deszczulkę z napisem:

„Tu się żyje bez starości!”

Pewnego razu wędrował groniami cesarz ze swą świtą. Zatrzymał się przed kolibą i przeczytał napis na deszczulce. Pokręcił głową i kazał do siebie sprowadzić szczęśliwego bacę.

Baca przygnał właśnie kierdel do koszora, bo nadchodziło południe, zdjął z głowy swój rosochaty strzechocz, skłonił się cesarzowi i rzekł wesoło:

— Witejcie do nas, panoczku!

— Tak wy tu, baco, żyjecie bez starości? — zapytał cesarz górala.

— Bez starości, panoczku, bez starości! — odparł zapytany.

— Tak jo je cysorz, baco, abyście wiedzieli, złota móm pełne kasy, ludzie kole mnie obkakujóm, ale bez starości nie żyjym.

— Nie zowiszczym wóm, cysorzu, ani tego złota, ani tego obkakowania — rzekł stary baco.

— Ale jo wóm zowiszczym tego życia bez starości — przerwał bacy cesarz. — Abyście się też mieli, baco, nad czym starać, tóż posłóchejcie: Od dziś za rok zaś tu do was przidym i wtedy odpowiecie mi na trzy pytania:

Piwsze pytani: — Wiela byłoby trzeba toczek, aby przewiżyć Kozubowóm na insze miejsce?

Drugi pytani: — Co je najjaśniejsze na świecie?

Trzeci pytani: — Co sobie teraz myślę?

To sóm, baco, trzy pytania. Jeśli mi na wszystkie pytania odpowiecie, to dostaniecie sto talarów. Jeśli na pytanie nie odpowiecie, to bydziecie o głowę miynszy!

Teraz już baco nie żył bez starości. Deszczulkę z napisem rzucił na wiatr i chodził cały zastarany.

W lesie niedaleko szafasu mieszkał cygan ze swą liczną rodziną. Żył tak samo bez starości, jak stary baco. Cygan wkrótce zauważył brak napisu na ko-

libie, i poznał, że baco chodzi jakiś zatroskany.

— Kanyż macie deszczułkę z napisem — spytał raz bacy.

I baco opowiedział cyganowi o wielkim swoim kłopotcie.

— Nie starajcie się, baco — rzekł wesoły cygan — jeszcze nigdy nie było, żeby jakosi nie było. Za rok, kiej cysorz przidzie na szałas, to się pięknie schowiecie w buczkach, a jo se pójdym pomówić z cysorzem. A talarami, to się pięknie podzielimy na poły!

Baco z niedowierzaniem pokiwał głową, i zamiast o talarach pomyślał o karze, jaka go niechybnie spotka po roku, kiedy cesarzowi nie odpowie na zadane zagadki. —

Rok minął. W żadnym roku nie naliczył jeszcze baco tylu bezsennych nocy, co w tym ostatnim. Nawet jego włosy w tym ostatnim roku nagle posiwiały.

Wcześniej rano przybiegł na szałas cygan z nowiną, że cesarz już się wspina

na Kozubową. Baco zbladł, ale cygan zdjął bacy z głowy jego rosochaty strzechoc i nacisnął go sobie głęboko na czoło, w rękę chwycił baczowską ciupagę, gwizdnął na psa i jak gdyby nic pilnował kierdała. Baco skrył się w buczkach.

Wkrótce na szałasie zjawił się cesarz ze swą świtą.

— Witajcie do nas, cysorzu! — odezwał się wesoło cygan przebrany za baczę.

— Tak, baco, rok minął, idym po waszóm odpowiydź!

— Odpowiyw wóm, odpowiyw. Teraz mi zadowejcie ty wasze zagadki, a jo wóm bydym odpowiydoł.

Cesarz uśmiechnął się do swej świty i zadał pierwsze pytanie:

— Wiele byłoby trzeba toczek, aby przewiyżć Kozubowóm na insze miejsce?

— Wiele byłoby trzeba toczek? — rzekł cygan. — Tóz, to zoleży od tego, jak wielki ty toczki bydóm. Jeśli bydóm



tak wielki jak ta Kozubowo, to wystarczóm jyny jedne. Jeśli bydóm miynsze, to bydzie trzeba obrócić wyincej razy.

Cesarz spojrział na swą świtę, pokręcił głową i rzekł:

— Hm... mocie, baco, prowde. A teraz drugi pytani: — Co je najjaśniejsze na świecie?

Cygan odpowiedział:

— Wszyscy mówiom, że nejjaśniejszy je cysorz. Bezma go też tytułujóm: Nejjaśniejszy Panie! Ale jo tymu nie wierzym, że cysorz je nejjaśniejszy. Nejjaśniejsze na świecie je słońce. Na was, cysorzu, mogym się dziwać bez ustanku, a do słońca nie wydzierzym ani na chwileczke.

Cesarz znowu pokręcił i przytaknął

głową, a potem zadał ostatnie pytanie:

— Co sobie teraz myślým?

— Hm... — odpowiedział cygan — wy sobie myślicie, cysorzu, że mówicie z bacóm, ale wy nie mówicie z bacóm, jyny z cygóným!

Cesarz i cała jego świta roześmiali się głośno. Potem cesarz wydobyl z zanadrza jedwabny woreczek, odliczył sto złotych talarów, podał je cyganowi, a potem uciekł z Kozubowej ze wstydem, że taki prosty człowiek prześcignął go swym rozumem.

A cygan podzielił się talarami pół na pół z bacą i dalej żyli sobie obaj na Kozubowej bez starości.

Józef Ondrusz

ADAM WAWROSZ

ZOLYTY

„Nie dobrze człowieku samymu” prawiła Trokuła swojemu synowi, kiery przychodził na niedziele do domu dycki jakisi oswiały. „E, dejcie mi też raczy pokój” odfuknął Jędrys więcej z żalym niż złośliwością.

Kumornica Trokuła, kiero całe swe wdowiński serce miała dlo swoigo jedynoka, wyczuła, że synkowi cosi chybilo. „A cóż by też inszego” myśli se, „jak nie baba”. Dyc Jędrys miał te roki w kierych to na człowieka przichodzi i targo za serce. I naprowde chyciło go i to porządnie, jyny tej tajymnice nie zdradził by nigdy żodnymu. Ani swoi matce.

Miał rod Haniczke, jedynaczka swoigo gazdy Fryca. A to był największy dramat jego życia. U Fryca słóżył od dzieciętego roku. Za to jego mama dostała zadarmo kumorkę i kasek zagóna wedla grómadziska. Jędrysa mieli gazdowie radzi za to, że był cichy, robotny i moc nie kosztował. Jego całe nieszczęście było, że sie zakochał do jejich Haniczki. Już jako chłopiec jak posował krowy, Haniczka dycki rada za nim na posiónek chodziła i nosiła mu skibki chleba z

masłem, kiere wybącała po mamie, dlo wiecznie głodnego Jędryska. Miała go rada swoją dziecinną miłością za to, że umiał z nią wywodzić, bawić i opowiadać pięknie o przyrodzie. Radzi bawili sie na żynichów przy tym ślubowali se dycki wierność aż do grobowej deski, goszcząc się pieczokami.

Roki leciały. Jędrys od krów został powyższony na pogónicza, bo do szkoły już przestoł chodzić, zaś z Haniczki chcieli mieć sztudyrowanóm dzieuche tóż jóm posłali do miasta na trzy roki do szkoły. Były to czasy, kiedy z dzieci wyrastają ludzie. Nic też dziwnego, że kiedy Haniczka za rok przisła do domu na feryje, to ji Jędrys ani poznać nimóg. Dzieucha wyrosła, wyfajniała, że uciecha było sie na nią podziwiać. Piyrszym jejim życzeniem była objyżdżka na koniu kole pola. Jędrysowi nie trzeja było dwa razy mówić. W mig osiodłał konie do siebie i Hanki i puścili sie miedzami do pola.

Była słoneczna niedziela. Wiaterek rozczychroł její złote włosy i kolyboł po obóh stronach miedze, kłosami zdrzałego zboża. Jechali cichutko. Ona na



przodku, zadziwano do kraju, a ón do niej. W polu pod rosochatym grabym zsiadli z kóni i zpczynili na opuszczonej ławeczce. Słoneczko kulało sie ku zachodowi i na chwile poglądali na piękne kolory nieba a potem w oczach chladali gwiazd. On podziwił ją jak wyrosła i wypiekniała za tyn rok, óna zaś wykładała jak ją było teschno za dómym i za nim. Na chwilke posłóchali rżynio polnych kónieczków. Potym zaczyni opowiadać i wspominać dziecinne roki. Jędryś poczuł, że ją mo fórt szczerze rod, i ónej też jakosi serce dziwnie skokało. Dyć Jędryś miała dycki rada. Gor dzisiaj, wyglądał ji jakisi szumniejszy. Miał na siebie bielutkóm koszule „panama”, włosy pięknie na przędziol poczosane, twarz miał brunatnóm opólónóm od słoneczka i bielutki zdrowe zęby. Hanka miała jasne miejski szaty i w rękach dzierżała kłobuk z wielkucnóm strzechóm. Twarz jej nie widziała wiele słoneczka, tóż była jakby z marmuru, jyny oczy modrzyły sie jak bławatki. Uśmiechali sie do siebie i było

im jakosi dobrze. Nic dziwnego, młodzi ludzie, młode serca. Wspóminali na ich wiesiela i śluby z dziecinnych lat. Óna przypóminała mu z uśmiechem w oczach jak pod świętym bukiem ślubował ji małżyństwo jak urosną, i jak ją przitym niezgrabnie po brodzie pocałował. Jędryś ani nie wiedział jak sie to stało, że uścisnął Haniczke i zgrabnie mocno po chłopsku pocałował malinowe jej usta. Hanka nie bróniła sie, bo wyczuła, że to nima dziecinno, ale prowadziwo miłość, kiero niezno granic ani przeszkód. Kiedy nietopyrz fyrknył kole nich, spamięтали sie, że już czas wracać do domu.

Haniczka po feryjach odjechała, aby za dwa roki wróciła już na dycki, a potym?... Co beje potym nieroz Jędryś myślał o tym, a serce mu wtedy jakosi dziwnie zapytlowało. „Dają mu Haniczke, czy ni?” Robił dycki pocziwie, jako na swoim i choć nie roz při wypłacie zaszkliły sie mu oczy, bo za rok zarobił jedynie na te łącziska. Dwa roki przeleciały jakby z bicia strzelił. Z Jędryśa sie stał szumny zdrowy i silny pachofek

z Hanka gryfno frelka. Wróciła ze szkoły, ale nie było to już ta Haniczka, kieróm han downi znoł, i z kieróm sie mieli tak radzi. Zrobiła sie jakosi pańsko i cudzo. Jędrysa unikała jakgdyby gañbiła sie za niego. Zimno i rozkazywajaco odzywała sie do niego, że wyczul synek tą wielką przepaść jako je między prostym pachółkym i sztudyrowaną ceróm wielkiego siedloka. Chodził tak ze spuszczonóm głowóm i mocowół sie sóm ze sobóm. Czym więcej rozmyśloł tym bardzi poznowół jak by śmiyszny wygladoł, gdyby sie odwożył chcieć po Frycowi jego jedynoczke, bo w oczach pańskich był biydokym i kóniym roboczym.

W tóm niedziele prziszeł wczas rano do domu i mama wyczula, że sie cosí stało. Jędryś jednak nie blaknył ani słowa wszystko to dusił w sobie. Dzisiaj mo przisć ku Haniczce na zolyty jakisi pajac bogaty tak więc poszedł od Fryca, aby w cichym kącie zrobić pogrzyb swoim nadziejóm. Jędryś dowiedziół sie od pastyrzy, że to mo być jakisi Skiba od Wielopola, kiery mo kupe piniędzy i chlado szumny grunt do swojego syna. Starzi Frycowie byli w siódmym niebie, bo bogactwo stawiali dycki na piyrse miejsce. Haniczka sie na to zgodziła, choć nigdy Skiby ani na oko nie widziła. Chciała już roz zrobić ze sobą porządek i zagłuszyć serce, kiere wołało za Jędrysem. Teraz kiedy zmądrzała, wiedziła, że óna szkolono z prostym pachółkym by nimógła żyć. Wiedziła, że wojne tóm musi wygrać, jej rozum a nie serce. Czym prędzj tym lepi. Już w sobote załatowała z kuchynie wórń kołoczy i gęsiny. Hanka góniła jakosi nie swoja i było widać, że ją cosí gryzie. Jędryś cały dzień glancowół kolase i pucowół chumąty bo miół w niedziele jechać na założyni do kościoła, a z kościoła przywiesć zolytnika. Jędryś zamiast do kościoła prziszeł do domu. Za chwile przilecioł za nim zdyszany pastyrz ze wskazym, że mo jechać zaroz do kościoła. Nie pomógło ani pytani jego mamy, kiero wylékano, że ji Fryc zabiere tyn kasek zogóna i wyciepie z kumory chciała synowi przemówić, do sumiynio, ale nie nie pumógło. Fryc wściykoł sie i zacinoł pięści. Wyciepie żebrać pas-

kudnóm — to było jedyne co móg zrobić. Frycowa skłodała ręce, co sie to z tym potulnym Jędrysym porobiło. Cóż sie tak uwziół prowie dzisiaj, kiedy takich gości bedóm mieć w chałupie.

Do kościoła pojechał pastyrz. Oblykli mu po starzikowi kabot i na bosc nogi kozali mu wdzioć stare sztybleciska aby też kapke na człowieka wygladoł. Po powrocie z kościoła była u Fryców wielko gościna.

Haniczka, kiedy piyrszy roz Alfónsa uwidziła, to sie ji aż w głowie zakręciło. Od razu poczuła jakisi wstręt do niego. Był to niepodarek, mały i brzuchaty, z dlógiem szpicastym i czyrwiónym nosikiem jakby od gorzołki. Oczy miół wylupiate jak u kapra, a gupkowaty uśmichy wiecznie wykrziwiół mu gębe. Jedyne co było piekne na nim, to łąty pieknie uszyte i oblote jakimsi perfumym. Na palcu pobłyskowół sie mu brylant a na wyrchu czaszki poświycowała glaca, co wykazowała, że żynich już je w nejlepszych rokach. Przed oczami stanyła ji postać Jędrysa i jego mocny uścisk w polu pod grabym. Kaj też Alfóns podła niego. Odegnąła prędko i te myśli od siebie. Wloła do siebie pełną szklónke wina i zaroz mankulija sie straciła i wiesielszo myśl wpadła ji do głowy. Kiedy ale debata zaczyna sie kręcić o majątku i wiesielu, i kiedy widziła, jak Alfóns szulo pierściónek w kap-sie, jakosi słabo sie ji zrobiło i musiała se isć legnyć. Bez Haniczki zaręczyn nielza było dokończyć. Domówili sie wszyscy, że na drugi dziyń przy zdrowych zmysłach całą rzecz chynóm na papiór i uroczyście pierściónkym zakonczóm. Było już po północy, kiedy polygali. Stary Skiba społ w izbie w łózku, zaś młody żynich na górze w izbeczce. Hanka całóm noc nie spała i oblywała zógłówek gorskimi łzami. Czula, że sie cosí w nij łómie i poznała, że miłość je silniejszo niż uwziętość, pycha i majątek. Czula sie opuszczono i nieszczęśliwo. Chciałaby być dziwczackym i uciyc na posiónek ku Jędrysowi, albo pod grab na miedze i powiedzieć mu jako óna je zło, jak bez serca zdeptała wszystkie jejich marzynia. Skiba był dlo ni cudzy i wstrętny, kiery widzi jyny majątek a óna z takim chłopym nie poradzi żyć.

Serca jej targoł ból i poznała, że jest podło, bo się puściła na chodnik, z kierego nima powrotu.

Jędrys tej nocy też nie spał. Widział Hanke jak cieszy się przy stole ze załotnikym. Zaciął pięści i przeklinał ustrój taki, kiery tworzi dwa światy. Świat panów i świat chamów. Przeklinał byde w kierej się urodził i cały swój los.

W masztali Jura na pryczy też nie spał. Miał Jędrysa rod i słyszał nie roz jak we spaniu wołał Hanke. Nie prawil żodnemu nic jyny sie w duchu radował, że Jędrys isto beje kiejsi gazdóm i że sie i jymu to głodowani skóńczy. A tu stało się inaczy. Całóm noc myślał jak by pumóc Jędrysowi, aż wymyślał.

Rano, kiedy Alfóns stanął i poszedł do zogrady obszacować majątek kiery miał przyjść do jego rąk, Jurek zatyn czas pocichutku wkrot się do jego izbeczki z tajemniczą litrówką, napelnionóm jakimś płynym. Kiedy nieskorzi słózaco szła do izbeczki łózko pościylać, naszła na śnieżno białej płachcie mokre żółte kolco, wielkości lawora. Poszepiała też to zaraz kucharce, kucharka Frycowej i Hanka, kiedy słyszała dziki śmich w kuchni i słyszała co się stało poleciała na wyrch do izbeczki. Tam naszła kole łózka skupionóm rodzinie. „Jo tego prosioka nie chcę” powiedziała i wytraciła się z chałupy. Goście czekali do obiadu na Hanke i wyczuli, że tu coś nima w porządku. Po obiedzie odjechali z tym, że im Fryc napisze, kiedy by mógli ubić interes. Hanka przysła do domu aż wieczór. Pozwała ojców do izbeczki i powiedziała im dobitnie. „Za takigo żynicha wóm dziękuję. Jo se chłopą wybierę i to takiego, z kierym się bedymy mieć radzi. Jo chcę naszygo Jędrysa z tym jeśli mie ón beje chciół a jak ni to jo sie wydać nie muszym. Ani wy mie do tego nie zmusicie.”

Kiedy Frycowie usłyszeli Hanczyne życzyni to obóch na chwile jakby zatkało, bo żodyn z nich nimóg słowa wypowiedzieć. Na chwile zrobiła się grobowo cisza, kiere przerywało jyny cykani pędłówek na ścianie. Za chwile ze zgrozą w oczach odezwał się Fryc. „Dzieucho czy ci co na rozum pizło?” „A co wy miślicie, że po tym wszystkim

co się stało to cysorz po mnie przidzie? Wyście mie do gańby przywiydli, bo cało dziedzina wiy, że u nas zolytnik nocował i co narobił. Energicznie odpalerowała mu Hanka. Matka proszącym głósym zaczyna jej tłumaczyć, że pacharzine, albo czy te zdziyrza idzie wylyczyć. Przeca panu Alfónsowi nie inaczy nie chybio. Do Haniczki wlażał szewiecko. „Jak się wóm Alfónsek podoba, to se możecie z nim spać,” odflagła prosto matce. Fryc był w kłopotach. Ludzkich języków się boł a Jędrysowi też gruntu by się mu nie chciało dać.

Hanka jednak trwała na swoim i wyłożyła ojcóm całóm krziwde, kierym popelniała na Jędrysowi. Dzieucha rozplakała się żałośnie i powiedziała albo ón albo śmierć. Wylékany Fryc posłał pastyrza go Jędrysa bo nimóg się dziwać jak usycho jego jedynaczka. Jędrys spodziwył sie kory, bo znał Fryca i wiedział, że ón nie pofolguje. Wiedział, że pozbeje robote. „Ale niech tam!” I tak by nie poradził żyć z nowym gazdóm i Hankóm pod jednym dachym. Zdziwił się ale strasznie, kiedy Frycowie przyjyni go serdecznie, jakby gościa jakigo, posadzili go za stół i kozali jeść kasek gęsiny i kucharka postawiła przed nim gęsior z winym. Stary Fryc chrząknął pore razy i było widać, żeby chciół zacząć, ale nie wiy z kierej becзки. Z kłopotu pumógła mu Frycowa, kiero zaczęła słodko. Ej Jędrysku, Jędrysku, telki roki robisz u nas, a my cie już mómy jako za swoigo a tyś taki niewdzięczny. Zamiast nóm powiedzieć, że mosz Haniczke rod, to ty to dusisz w sobie i tropisz się. Jędrys się rozpolił jak szyna i z ręki wypadła mu łyżka. Co do diabła po mie chć? żeby se symnie błozna robili? — myśli zawstydzony. Nó tóż widzisz synku, jak już to je tako wóla Bożo, tóż my tam przeciwko tymu nie nimómy prawda tato? — ciągnęła Frycowa dali. Gazda coś zamruczoł pod nosym, znaczyło to jako by się zgodzoł. Jo się tam do was miyszać nie bedym, odburknył, i wyniół się z izby a za nim wyszła gaździno. Jędrys nie wiedziół czy się mo radować czy smucić. Za chwile przysła Hanka wystrojóno, siedła se ku niemu i powiedziała mu wszystko od początku. Kiedy Frycowie przysli do

izby by rozświecić lampę, uwidzieli ich szczęśliwych i zrozumieli, że miłość i młodość zwyciężyła. Dziepro teraz, zaczęły się prawdziwe zolyty. Choć gęsi i kołocze Skibowie pozjodał, ale w piwnicy były rzędy flaszek z winym, tak se popijali aż do nocy. Na koniec oba starzy Frycowie się rozplakali, ciężko ale było zbadać czymu. Czy ze złości, że cały grunt przidzie do rąk pacholcowi, czy z rozpaczyny nad niepodarzoným Ski-bóm.

Przeleciało od tego czasu kupe roków. Jędrysowi białą się już włosy, ale z Hanczką pięknie se żyją. Na jejich gruncie

już czeladź nie haruje, bo przilaczyli się do spółdzielczej rodziny. Po polach uganio traktór a za wolantym z fajczkóm w zębach siedzi Jurek, kiery słóżył za chłopca u Fryca i co to obloł płachtę, aby odegnać Alfónsa od gospodarki. Zaś Zośka, cera Jędrysa chodzuje wieczór na miedze pod rosochaty grab kaj sie po robocie młodzi zbiyrają. Żodyn ji nie bróni poglądać za synkym traktorzysty Jurka. Hanka prawi „Jak sie mają radzi niech sie bieróm” a Jędrys tupluje. Nowe czasy — nowi ludzie.

Adam Wawrosz

KAROL PIEGZA

Hawirskie bojki

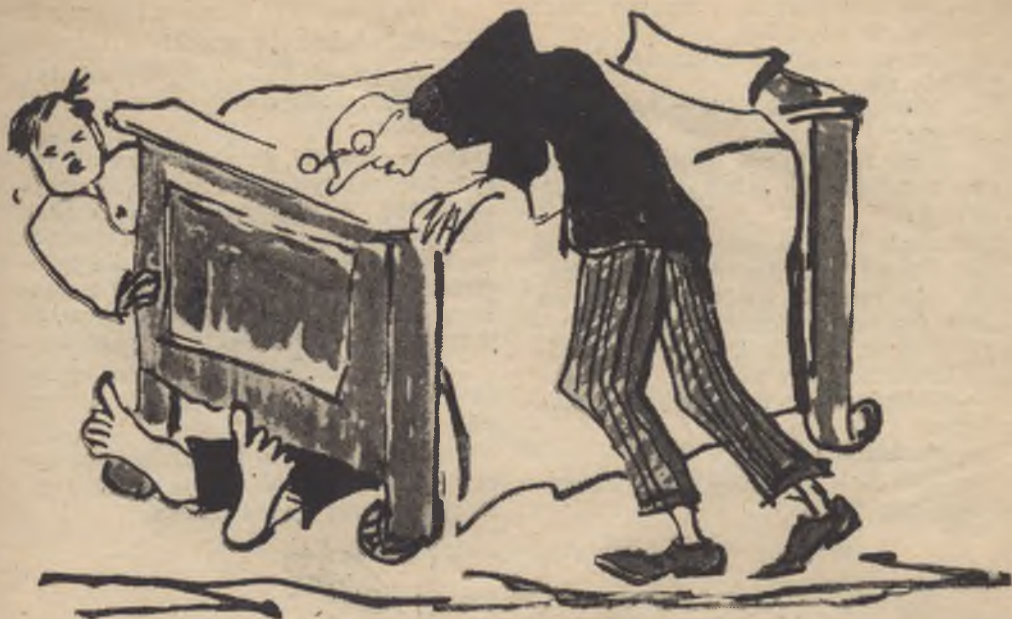
Jak Jozef Szeliga zapómnioł nogi pod łózkym.

Ja dzisio — to już hawirze pięknie zarobiajóm. Ale downi to nie było nikiedy wert iść po tóm wypłate na szachte. Dostoł tego człowiek pore korón a u Żyda było już dwa razy wiyncyj wybrane. Człowiek mioł strach iść z tóm wypłatóm ku chałupie, bo jak nie zapłacił długu we sklepie, to już po drugi nie dostał na bóróg towaru i nie było co w chałupie jeść. Baba sie wadziła, dzieci płakały a tyn chłop by sie był niejraczy utopił abo obiesił. A jeszcze gorszy było z tymi handrami i butami, jak tych dziecek było kupa. To wiycie, że taki gizdy tego zedrzóm, że hruza. Tak jakby to na nich gorzało. A wtedy — to je za piyrszej republiki — było towaru dość, jyny piniyndzy mało — tak to żodyn nie kupowoł. Chodzili wóm wtedy po kolónijach rozmaici agynci, a ciśli ludzióm te handry na raty. Człowiek sie zgodził, że bydzie każdóm wypłate tela a tela spłocoł, ale nikiedy to nie szło — bo ty wypłaty były byidne i tóż taki agynt sie djabligo ugónił niż ty pinióndze za ty handry dostał. Ludzie cyganili jak mógli. Ale nie była to dycki ich wina, bo nimieli, a z próznego nie nalejesz.

Tak, mieszkoł wóm na Mizamie hawirz a nazywoł sie Jozef Szeliga. Prziszeł roz do niego agynt i namówił go na nowy ancug, a że to może spłacać po pindziesiónt korón miesięcznie. Szeliga tam od tego nie był, bo już ancuga na niedziele nimioł a jeszcze mioł iść swoji siostrze na wiesieli. Tóż tam moc nie rozmyśloł, karte agyntowi podpisoł a ancug dostał za trzi dni pocztóm. To wiycie na wiesielu był w całej paradije, ale gorszy to było z tym płacyniym. Tým piyrwszóm rate jeszcze jako tako zapłacił, ale na tóm drugóm już nimioł. Tak dycki jak było po wypłacie a tyn agynt obchodził tych swoich dłużników, uciekoł z chałupy abo sie też schowoł. Ale roz go to dostało. Siedzi se tak ze synkym przy stole a cosik majstruje a tu wóm tyn agynt lezie do furtki. Na zamykani już nie było czasu, tak jyny swojemu synkowi krziknół — Karlik powiysz, że mie nima dóma — a pierónym sie schowoł pod łózko.

Agynt wloz do izby, pięknie pozdrowił a pyto sie tego Karlika: Na syneczku — każ mosz tego twojigo tate?

Ja, taty nima dóma!



A każ sóm? — pyto sie agynt.

Na kansik poszli a przidóm aż rano!

Agynt jyny głowóm pokryncił, bo widzioł spod łózka tyrceć Szeligowe nogi a prawi:

Tak syneczku wiysz co — powiydz

tymu twojemu tatowi, jak pójdzie po drugi roz z chałupy, aby se nie zapómniół wzióńc nogi ze sobóm.

Jako tymu Szeligowi było pod tym łózkym, to już nie wiym. Tela jyny wiym, że mu tyn agynt tyn ancug zebroł.

Jak hawiyrz Mrugała przeniół prosie przez granice

Robiło wóm na Strzybniozcze za piyrszej republiki dwóch hawiyrzy. Jednymu było Francek Mrugała, a tymu drugimu Gustaw Gruchała. Francek był z Darkowa a Gustaw z Pogwizdowa z Polski.

Roz przy robocie, prawi Gruchała do Mrugały:

— Ty Francek — jo ci móm małe prosięta!

— Na nie prow — a moc tego mosz?

— Na osiym — a same strokate!

Nale sakulyndy kany, to je piękne, mieć osiym takich strokatych cycoków w chlywku. A za chwile — wiysz co? Moja staro mo strasznie rada prosięta. Nie sprzedał byś mi jedno?

— Czymu ni — prawi Gustaw — ale jak to przeniesiesz przez granice, dyć wiysz, że mieszkóm w Pogwizdowie.

— O to sie nie starej — to je moja starość. Jyny mi powiydz, czy mosz dóma psa?

— Mómm! — prawi Gustaw.

— A złego?

— To wiysz, że złego!

— Tak to je dobre! Jutro rano mie czakej u siebie. A że sie już szychta kończyła, tak więcej już społym nic nie mówili, jyny zbrój zamkli do fachu i szli pod szachte.

Na drugi dziyn wczas rano, ledwo Gruchała wyloz z łózka a już Mrugała stoł z miechym w siyni.

— Tak co Gustawie — tego psa mosz?
— Toć, że móm!
— Tak mi go ło to wstycz do miecha, aby mie nie ugryz!

— Nale dyć Francku kupujesz prosie a nie psa?

— Jyny sie o to nie starej co kupujym, pakuj psa do miecha a o nic sie nie pytej!

Gruchała głowóm pokręcił, ale co miół robić. Psa od budy przismyczył i Franczkowi do miecha wpakował. Franczek miech dobrze zawionzoł, na ramie chyntył i szeł ku granicy. Dochodzi ku budce a financ na niego woło:

— Chłopku — co tam niesiecie w tym miechu?

— Na psa!

— Nie róbcie błozna — pytóm sie was co tam niesiecie?

— Na psa — dyć zech jim już prawił!

— Rozwiążcie tyn miech!

— Ja, tobych był głupi, aby mie tyn pies ugryz. Jeśli chcóm, to se go sami rozwiążóm.

Financ widzioł, że z chłopym nic nie swiedzie, tak tyn miech zaczón sóm rozwiązować. A pies jyny na to czakoł, jak głowe wystyczyl, tak na financa harknół, aż tyn o mało kozła nie przewrócił, pies z miecha wyskoczył a upalowół ku chałupie. Mrugała udowoł, że je rozgnywany a prawi tymu financowi:

— Tak widzóm panie financ, co mi narobili. A prawił zech jim, że niesym psa!

Financa to troche mierziało i tóz zaczón Mrugała holkać, aż sie nie gniywo, że tyn pies nie bydzie daleko.



Mrugała jyny na to czakoł. Na oko jeszcze udowoł, że sie gniewo, ale kóniec kónców, wzión prózny miech pod paże i szeł naspadek do kamrata. Tyn, jak uwidzioł Mrugałę, zaczón sie śmiec i prawi:

— Ty Francek, jo już móm psa dóma!

— Dyc jo wiy — ale teraz mi hónym napakuj prosie do miecha, aby se to tyn financ nie rozwożył.

Gruchała już sie wiyncyj nie wypytowoł, jyny niepiekniejszego cycoka za uszy z chlywka wyciągnął i styrczył kamratowi do miecha.

Mrugała za prosie zapłacił, miech przez ramie przechynął i szeł ku granicy. Jak dochodził ku mostu, tak już z daleka wołół na financa:

— Tak co panie financ — zaś chcóm widzieć tego psa?

A tyn jyny rynkóm kiwnął a prawi:

— Jyny już idźcie z tóm potforóm, dyc mi omało galot nie rozerwoł! Francek poprawił miech na ramiyniu, pod fusym sie uśmiechnół a wiesioło kroczoł ku chałupie.

Jakosi kole nowego roku pozwoł Francek Mrugała, Gustawa Gruchała do siebie na podgarli. Gruchała sie nie doł moc pytać i przyszeł z babóm. A jak Mrugalino postawiła piyrszy talyrz z jelitami na stół tak sie kamrat Mrugała uśmiechnół a prawi do kamrata Gruchały:

— Tak Gustaw, skosztuj troche jelit z tego twojigo psa!

Jak Francek Piguła wygroł liter kwitu od masorza

Roz wóm też prziszeł do gospody na Wesole masorz aż z Rychwołda a miół wóm takigo wielkigo psa jak ciele. A to wiyecie — masorze sóm masorze, a radzi sie też pochwołóm a gor przed hawiy-rzami. I tóz siednół se ekstra za stołym, kozoł se naloć piwo, tymu psowi zaś pół kila obyczejnego wórtzu i zaczón sie chwolić jakigo to nimo psa.

— Ja — prawi — to je pies aż ze Szwańcaryje. Tyn poradzi takigo hawiy-rza jak wyście sóm na śniodani zeżrać. Dzieszynć ryńskich zech za niego doł, tak jak za krowe. Spróbujcie sie mnie tknóć a uwidzicie, co sie stanie.

A siedziół wóm wtedy między hawiy-rzami Francek Piguła, co mieszkoł w Zimnym Dole a tyn to był pierón chłop. Żodnego sie nie boł a bijok był piyrszej klasy. Jak prziszło co do czego, to i pół gospody sóm wyproł. Tyn jak to usłyszoł stanół od stoła, poprawił se galaty, szeł ku tymu masorzowi a prawi: — Ty spuchły Janku, jyny sie tu s tóm kocz-kóm nie chwoł, bo wiyysz żeś je między hawiy-rzami, a jak nie ucichniesz, to cie wyciepiym i z tóm twojóm zdechlinóm na pole.

Toście mieli widzieć tego masorza! Jak nie wyskoczy spoza stołu, łap tego Pigułę pod kark i prawi:

— Coś to rzyk ty murcyglu!?

Piguła go jyny klepnół rynkóm po palczyskach a prawi:

— Na to — że jak sie nie przestaniesz chwolić, to cie wyciepiym z tym psym na pole!

— Spróbuj! — prawi masorz. — Jak żeś je taki morus tak pokoż co umiysz. Jak mi tego psa wyżyniesz na pole, tak oto liter postawim na stole. Ale jak pódziesz bez galot a bez kabota do chałupy, to po mnie nic nie chciyj.

— Być isty, że jo po ciebie nie by-dym nic chcioł, jyny abyś ty po mnie co nie chcioł!

— Jo ni, bobyh z ciebie nic nie wzión, chyba tóm skurzanóm łate co nosisz na zadku. A moc tu nie mów, jyny zacznij, jo już oto liter kazujym naloć.

— Tak dobre, jyny se oto pieknie sied-nij za stołym a siedź. Masorz se siednół za stołym, a pies legnół przy nim na ziym. Jak už tak troche podrzymowoł, odpión-Piguła tyn hawiy-rski flek od galot, szeł se zadkym po cichutku a jak już był blisko, szasnół tak tym flekym o zym, że to strzeliło jak z kanóna. Toście mieli widzieć, co sie robiło. Pies sie tak złónk, że spod tego stoła wyskoczył a rownymi nogami skoczył do



okna. Jyny sie po nim zakurzyło, co tak uciekoł ku Rychwołdu. A tyn masorz, tyn stoł przy tym stole jakby hróm do niego uderzył a nie wiedziół co mo powiedzieć. Hónym tyn liter i to piwo zapłacił a uciekoł za tym psym. Zaś Francek Piguła wziół liter ze szynk-

wasu, szeł ku stołu a wiesioło czynstowoł swoich kamratów.

Ja, z tym psym to było tak, że dziepro po trzech dniach prziszeł tymu masorzowi cały wylynkany do chałupy.

Tego masorza my już wyincej w Łazach nie widzieli.

Czemu sie Paweł Bumbała ożynił?

Ja wóm powiym, że człowiek za to nikiedy nimoże, że je taki niepodarzony. Już taki przidzie na świat i nie do sie nic robić.

To robił wóm downi na Hopszachcie niejaki Paweł Bumbała a pochodził ze Szpluchowa. Za młodu pos krowy kanksik we dworze, a jak był starszy, tak prziszeł na szachte i był do śmierci wozaczym. Tak był s niego chłop robotny i dobry, ale cóż kiedy był strasznie trómbelaty. Dycki go na szachcie nabiyrali, kiedy sie ożyni, bo był swobodny, a już mu było kole sztyrycet roków. Ale Paweł o żyniaczce nie chciół ani słyszeć, bo sie boł bob jak ognia i każdóm dziouche omiñoł z daleka. Ani wóm ku muzy-



ce nie chodził. Ale jednego co miał rod, to były ryby. Dycki w lecie przed szych-tóm, abo po szychcie siedziół w Dóm-browe nad rzykóm i chytoł ryby. Ale że miał dobre serce, tak dycki to co chycił, zaroz puścił do wody. Taki to był s niego rybierz. Kaj jakóm rybe znoł i wiedziół jak sie nazywo.

I zdało sie, że tyn Paweł Bumbała już sie nigdy nie ożyni i że do śmierci tym starym pachółkym zostanie. Aż tu naroz gruchło po szachcie, że sie Paweł żyni, a że se biere Ślimptokową Neszkę, co długo robiła na płóczce a dycki była nimocno. Jak prziszeł Paweł na

szychcie, tak go hned wszyscy obstępili a pytali sie go.

Na, ty Paweł powiydz nóm, co mo ta Neszka w sobie, że se ją bieresz? Paweł długo nie chciół powiedzieć, ale jak go już tak długo nabiyrali, utrżył se ryn-kóm nos a prawi:

— Na — glisty!... A to jo potrze-bujym na te ryby, aby dobrze brały! To se możecie wyobrazić, jak to potym na tej szachcie huczało, jak sie dowie-dzieli czymu se tyn Paweł tóm Neszkę biere.

Karol Piegza





Rudolf Żebrok — Przędka z Dolnej Łomnej-Kamienitego (kołowrotek z przęślicą i krężelem)

Epistoly rozrywkowe

Hinduski folklor

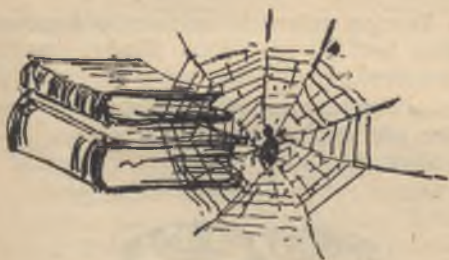
Lud hinduski ułożył mnóstwo bajek, przysłów, przypowieści i opowiadań humorystycznych. W większości z nich lud ostro wyśmiewa Anglików i „swoich” eksploatatorów, służebników kultu hindusów i muzułmanów — braminów i mułłów — lichwiarzy i policjantów. Znany zbieracz hinduskiego folkloru Szujama

Szankar opublikował przykłady hinduskiej twórczości ludowej w książce, której dał tytuł „Dowcip i mądrość hinduskiego ludu”. Niżej drukujemy opowiadania z tej książki. (Przekładu polskiego dokonano z przekładu rosyjskiego.)

SZUJAMA SZANKAR

Jedno prawo dla ciebie, a drugie dla mnie

Bramini w Indiach zwykle nakładają daniny religijne na tych ludzi, którzy przychodzą do nich spowiadać się ze swoich grzechów.



Jeden człowiek przyszedł do bramina i powiedział:

— O braminie, jaka powinna być kara za zabicie pająka?

— Pająka? O, to — bardzo wielkie przestępstwo! Ten, kto zabił pająka, powinien, po pierwsze, złożyć ofiarę pieniężną. Tak... Następnie — zaczekaj, daj mi pomyśleć — miarę ziarna, gąsior masła roślinnego, cośkolwiek z ubrania, no... i ofiarować coś dla boga Wysznu.

— Och, jaka szkoda! — powiedział ten człowiek. — Przecież wam przyjdzie ponieść takie wielkie wydatki!

— Mnie? — zdziwił się bramin. — Dlaczego to niby ja mam ponieść te wydatki?

— Dlatego, że wasz syn zabił pająka.

— O! Mój syn? Zaczekaj, popatrzę w święte księgi. Ja, zdaje się, poplątałem. Tak jest w rzeczywistości! Zabicie pająka wymaga ofiary tylko dwóch pajs. No, czego ty tak patrzysz na mnie? Ty rozumiesz: Tylko dwa pajsy...

...Nie nadaremnie lud mówi: „Bałwany słuchają pienia chórów, braminie jedzą cudze ofiary.”

„Święci ludzie”

Czterech mułłów modliło się w meczecie. Jeden z nich przypadkowo wypowiedział coś nie odnoszącego się do modlitwy. Drugi mułła natychmiast krzyknął:

— Ty, durniu, coś powiedział w cza-



sie modlitwy? Teraz cała twoja modlitwa nadaje się tylko dla osła!

— A dla kogo nadaje się twoje gadulstwo? — krzyknął trzeci mułła. — Obaj jesteście dobrzy ze swoim gadulstwem!

Czwarty mułła burknął pod nosem:

— Wszyscy gaduły. Chwała Ałłachowi, że choć ja milczę!

Angielscy sędziowie w Indiach

Sprawa odbywa się w Indiach. Pewien Anglik został oskarżony o zabójstwo Hindusa. Angielski sędzia zapytał oskarżonego:

— Dlaczego pan zabił tego człowieka?

— Wysoki sędzie, on był bezczelny względem mnie!

— Czy będzie jeszcze pan bezprawnie postępował? — spytał sędzia.

— O nie, wysoki sędzie, już nigdy!

— No, to... to, może pan odejść! — z zadowoleniem rzekł sędzia.

Gdy oskarżony odszedł, pisarz Hindus zwrócił uwagę sędziemu, że zgodnie z hinduskim prawem karnym zabójstwo jest karane bardzo surowo, niekiedy nawet śmiercią.

— Tak — odpowiedział sędzia angielski

ski — ale przecież gdy ten kodeks układano, ja jeszcze wówczas mieszkałem w Anglii!



Nie nadaremnie ludzie mówią:

— Hinduskie prawo jest pisane nie dla Anglików i ich nie obowiązuje.

Przełożył Fr. Swarzycza

LUĐOWE BAJKI HINDUSKIE*)

Chłop i sługa

Chłop i sługa maharadży spotkali się na drodze. Sługa zapytuje chłopą:

— Powiedz mi, przyjacielu, ilu jest w twojej wsi mieszkańców, ile domów, ilu fryzjerów, ilu służących i ilu kapłanów?



Chłop mu odpowiada:

— W mojej wsi jest dziewięciu mieszkańców, dziewięć domów, dziewięciu fryzjerów, dziewięciu służących i dziewięciu kapłanów.

— Jakże to może być? — zdziwił się sługa maharadży.

— Tak jest, w mojej wsi wszyscy mieszkańcy sami wykonują swoje prace.

Pięć chlebów

Pewien człowiek codziennie kupował pięć bochenków chleba. Kiedyś spotkał swojego przyjaciela, który go zapytał:

— Powiedz mi, dlaczego zawsze kupujesz pięć bochenków chleba?

A on mu odpowiedział:



— Jeden zjadam sam, dwa komuś pożyczam, a dwoma spłacam dług.

— Nie rozumiem cię — odpowiada przyjaciel.

— To bardzo jasne: jeden chleb sam zjadam, dwa chleby daję dzieciom, a dwa oddaję ojcu i matce.

* Bajki rzeczywiste zapisane i przetłumaczone z sanskrytu na język rosyjski przez sławnego uczonego rosyjskiego J. P. Minajewa w 1875 roku w czasie jego pobytu w Indiach.

Figlarz

Kupiec przychodzi do pisarza i prosi go:

- Bądź taki dobry i napisz mi list!
- Chętnie — odpowiada pisarz — ale noga mnie boli.
- Przecież nigdzie cię nie posyłam!



— Tak, ale odbiorca listu przyśle po mnie, żebym mu ten list przeczytał, bo nikt inny tego nie dokona.

M. MALISZEWSKI

Mądry lekarz

Przyszedł do lekarza chory i mówi:
— Panie doktorze! Boli mnie brzuch, wylecz mnie!



— A co wczoraj jadłeś? — zapytuje doktor.
— Zielone owoce! — odpowiada chory.
— Dam ci lekarstwo do oczu.
— Dlaczego do oczu?
— Żebyś na drugi raz lepiej patrzył, co jesz.

Przełożył z rosyjskiego
Fr. Swarzycza

Skirli

„Skirli” jest wyrazem onomatopeicznym. Jak wiadomo, określa on skrzypienie drewnianej nogi niedźwiedzia ze znanej bajki ludowej. Tutaj wyraz ten stanowi nazwę małych utworów literackich, które są typem twórczości pośrednim między baśnią a przypowieścią.

Żuki-leśniki

W lesie żyły Żuki-tracze i Żuki-garbarze.

— Nie harmonizuje się — mówią garbarze. — Las sosnowy, a w nim połowa dębów!

I zaczęły żreć dęby, żeby las był sosnowy.

— Nie pasuje! — powiedziały Żuki-tracze. — Las dębowy a w nim połowa sosen!

I zaczęły żreć sosny, żeby las został czysto dębowy. Żuki tak zajęły się swoją

pracą, że gdy skończyły, nie mogły w żaden sposób znaleźć: jedno — lasu dębowego, a drugie — sosnowego.



Bóg i świat

Bóg stworzył świat i wysłał go na wystawę. Na wystawie czytają:

— Wykonano w ciągu sześciu dni.



Wzruszają ramionami:

— Sensu w tym nie ma. Ameryka znowu źle wykonana!

Koza i Krowa

Przyprowadzono Kozę do Krowy, żeby przyswoiła doświadczenia, bo Krowa daje dużo mleka.



Koza zaznałomiła się z Krową. Porozmawiały... Spotkały się po upływie miesiąca.

— No, cóż, Kozo, dajesz więcej mleka? — zapytała Krowa.

— Nie-e-e!

— A dlaczego nie? Przecież widziałas, ile ja daję?

Wrona w pawich piórach

Przyszła wrona na podwórze do wron, cała ubrana w pawie pióra. Wrony śmieją się z niej niezmiernie.



— Cóż tu jest śmiesznego? — mówi ucharakteryzowana. — Każda z was może zrobić to samo!

Drozd

— Tak! powiedział Drozd. — To przykre, gdy po całym lesie rozlega się prześliczny śpiew przelotnych ptaków, a tu nagle ktoś obok ciebie zakracze!



— Zakracze? Bezczelność! — oburzyła się obok siedząca Wrona. — Jakże my „Drozdy” możemy do tego dopuszczać?

Poświerka indywidualistka

Poświerce zginęły pisklęta.

— Jastrząb zjadł?

— Nie! — skrzywiła się poświerka.

— Grad pobił?

— Nie!

— Kukułka wyrzuciła z gniazda?

— Nie!

— A może je źle karmiłaś?

— Wcale ich nie karmiłam!

— Po co więc wychodziłaś za mąż, wia-
łaś gniazdo, wysiadywałaś jajka?



— Wszystkie za mąż wychodzą i ja też
wysłam. Wszystkie gniazda wiją, i ja
uwiłam. Wszystkie pisklęta wysiadują —
i ja również wysiedziałam!

— Dlaczego nie karmiłaś piskląt?
Przecież wszystkie karmią?

— W tym jest właśnie moja indywi-
dualność.

Lelek i Sroka

Sroka zapewniała Lelka, że wszystko
wie.

— A czy wiesz, droga Sroko, że jesteś
głupia? — zapytał Lelek poruszając wą-
sami.



— Oczywiście, że wiem! — odpowiada
Sroka. Odpowiedzieć „nie wiem”, to
oznacza utracić na zawsze autorytet!

Jak skowronki notatkę drukowały

Skowronki przyleciały wieczorem i
oddaly do „Leśnej gazety” notatkę, taką



małą, że nie można było nic w niej
poprawić:

„Jutro śpiewamy.”

Zimorodek redaktor przegląda notat-
kę: skreślić nie ma czego, dodać nie ma
potrzeby, zmienić „jutro” na „wczoraj”
nie można, „śpiewamy” na „słuchamy”
— także nie można.

Kazał wydrukować notatkę do góry
nogami.

Wróbel i Krowa

Krowa poprosiła Wróbla, żeby wydał
jej zaświadczenie o mleczności: — Prze-
cież żyjemy obok siebie!



— Jakże mam jej napisać? — zapy-
tuje młody Wróbel starego.

A stary odpowiada:

— Napisz w dwóch egzemplarzach! W
jednym napisz: mleczna, w drugim na-
pisz: niemleczna. A później uważaj,
gdzie i komu jakie dać.

Ryś i Borsuk

Niedźwiedź wysadził Borsuka wysoko na grube drzewo. Rozsiadł się Borsuk i zrobił się ważny. Zachciało mu się jeść, ale obawiał się zlażyć. Położył się brzuchem na sęku, rozczapierzył łapy i patrzy na dół.

- Rysiu, Rysiu, przynieś mi jeść!
- Zleż i najedz się!
- Nie mogę, Rysiu. Boję się, że stracę miejsce. Potem sam nie wejść.



- Po co więc tam lażeś?
- Zostałem wyniesiony za zasługi!
- Za zasługi, ale nie na właściwe miejsce! — odpowiada Ryś i poszedł. Borsuk zlażył, żeby się najieść, ale nie może wyleźć z powrotem: Niedźwiedzia nie ma!

Rozsądny Niedźwiedź

Borsuczicha przysłała do Niedźwiedzia i prosi o wyasygnowanie jej pięciuset rubli na leczenie męża. Borsuk zachorował i może umrzeć, bo czas jest brzydki.

Niedźwiedź pomyślał, pomyślał i odmówił.

— Dlaczego nie dajesz, Misiu? — zapytuje Borsuczicha.

— Jak mogę dać? — odpowiada Niedźwiedź. Przecież Borsuk żyje! Powiedzą, że pieniądze wydałem niepotrzebnie, bo mógłby wyzdrowieć bez nich.

Borsuczicha wytarła chusteczką zapłakane oczy i poszła.

Po trzech miesiącach przychodzi znowu: prosi o pieniądze na pogrzeb Borsuka i na zapomogę dla siebie.

— Tak dam! — mówi Niedźwiedź. —

Położenie twoje, Borsuczicho, jest ciężkie! Szkoda Borsuka! Porządny był Borsuk! Trzeba ci pomóc, trzeba!



I wypisał zlecenie na pięćset rubli na pogrzeb i na pięćset rubli na zapomogę. Borsuczicha dziękuje Niedźwiedziowi i wymawia mu:

— Ech, Misiu! Gdybyś był wyasygnował w swoim czasie pięćset rubli, możliwe, że Borsuk byłby żył.

Niedźwiedź jej odpowiada:

— Byłbym to chętnie zrobił, ale pomyśl sama: choroba — rzecz wątpliwa. Dziś chory — jutro zdrow. Jak mogę wydać na chorobę? A umarł — to już nie można zarzucić! Na pogrzeb zawsze można pieniądze wydać! A zresztą i dla ciebie przecież lepiej: miałabyś tylko pięćset rubli, a tak to masz tysiąc!

Wrona

Wrona siedzi na gałęzi. Druga wrona lata przed nią w powietrzu, i też chce usiąść, ale pierwsza jej nie pozwala.

— Co? Nie wolno, czy co?



— Dlaczego nie wolno? Wolno!

— A co? Miejsca nie ma?

— Jak to nie ma? Jest miejsce.

— Czy przeszkodzę tobie?

— Mnie? czymże możesz mi przeszkodzić? Nie, nie przeszkadzasz mi!

— Więc co, żal ci gałęzi?

— Dlaczego ma być? Nie żal mi.

— O co ci więc chodzi? Czy tylko z lenistwa nie chcesz przesunąć się trochę?

— Nie, lenistwo nie wchodzi tu w rachubę.

— Powiedz więc, o co chodzi? Dlaczego nie pozwalasz mi usiąść?

— A dlaczego mam ci pozwolić, jeśli mogę nie pozwolić, co?

Miłość Wilczycy

Ryś i Wilczyca siedzieli wieczorem w lesie na darniowej ławce i spokojnie rozmawiali. Wciąż na „tematy”.

— Mówią, Wilczyco, że ty jesteś taka zła, że nikogo nie kochasz, oprócz siebie! — powiedział Ryś. — Czy to jest prawda?

— Nie, Rysiu! To nie prawda. Ja bardzo kocham Baranka.



— Za co ty go tak kochasz, Wilczyco? Za rozum? Za szlachetność? Za uczciwość? Czy za odwagę?

— Nie Rysiu! — odpowiedziała Wilczyca. — Baranek, oczywiście jest rozumny, szlachetny, uczciwy i odważny. Ale prawdziwa miłość nic nie rozróżnia. Niech on będzie nawet głupcem, łajdakiem, oszustem i tchórzem, a ja kochałam, kocham i będę kochała Baranka!

Słowiki na taśmie magnetofonowej

Utrwalono śpiew słowika na taśmie magnetofonowej.

— Wyrzućcie trele! — powiedział Wróbel — bo pomyślą, że nie przeprowadziliśmy konsultacji.



Wyrzucili trele i zaczęli słuchać.

— Wytnijcie modulacje — powiedział drugi Wróbel — bo powiedzą, że nie redagowaliśmy.

Wycięto modulacje i zaczęto słuchać.

— Wyrzućcie wysokie nuty! — powiedział trzeci Wróbel — bo przyczepią się, że nie montowaliśmy.

Wyrzucono wysokie nuty i zaczęto słuchać.

— Teraz prawdziwy słowiczy śpiew: ćwir! ćwir! ćwir!...

Sroka i Wilga

— Te łajdaki, wróble, wybrały wszystko z pomysł! Powiedz, Wilgo, czy to nie lotry?



— Nie wiem, Sroko! — odpowiada Wilga. — Nigdy nie korzystałam z pomysł!

Słowik i Piegża

Piegża uczyła młodego Słowika śpiewać. Słowik zaczął śpiewać lepiej od Piegży.



— Uczeń lepiej śpiewa niż ty! — powiedziały Ptaki.

— Po to go trzeba było uczyć, żeby śpiewał lepiej niż ja! — odpowiadała Piegża. — Po to my jesteśmy Piegże, żeby Słowiki lepiej od nas śpiewały!

Lew i trest

Mianowano Lwa dyrektorem trestu, a Kota przeniesiono gdzieindziej. Lew jest bardziej reprezentatywny.

Gdy tylko mianowano Lwa, od razu posypały się skargi na trest: ziarno przepada!

— Dlaczego skarżycie się na trest? Czy ja, Lew, jem wasze ziarno?

— Nie, ty nie jesz — ale szczury szaleją!



— Aha, o to chodzi! — zadziwił się Lew. — Skandal! Hańbią cały trest! Ale niestety, nie mogę w niczym pomóc! Ja szczurów nie łowię!

— A kogo?

— Słonie!

— Ale słonie nie robią szkody w śpichrzach!

— Czyżby? — zadziwił się Lew.

Zwolniono Lwa, a Kota przeniesiono z powrotem i sprawa poszła gładko jak po maśle. I szczurów nie ma, i ziarno jest w całości, i na trest żadne skargi nie wpływają.

Lwy i Osioł

Zebrały się Lwy celem przedyskutowania spraw. Zaprosiły Osła, żeby usłyszeć i jego zdanie.

Osioł przyszedł i w pierwszym rzędzie zaczął zapewniać ich, że jest osłem. Ale gdy sprawy się skomplikują, wygląda tak, że on nie jest osłem.



Lwy zmiękły. Zaczęły zapewniać Osła, że on nie osioł, bo w przeciwnym razie nie zapraszałyby go.

Wychodził Osioł z zebrania i uszami porusza:

— Czyżby lwy naprawdę myślały, że ja nie jestem osłem?

A Lwy między sobą usprawiedliwiają się:

— Przecież to jest bardzo otwarty i szczerzy głupiec!

Sroka — plotkarka

Coś ty naplotkowała, Sroko, że Wróbla zjadł Jastrząb. Przecież on zdechł z obżarstwa i lenistwa, nie wychodząc spod strzechy!

A Sroka odpowiada

— Jednak Wróbel umarł?

— No tak, umarł!

— A więc główna myśl jednak jest prawdziwa?!

Dwa wydarzenia w życiu Kreta

Dziś w życiu Kreta nastąpiły dwa ważne wydarzenia.

Pierwszy raz w życiu wylazł z nory pospacerować po świeżym powietrzu i



pierwszy raz w życiu został porwany przez jastrzębia, który bardzo nisko leciał mu na spotkanie.

Sroka i Wiewiórka

Sroka przyleciała do cudzego gniazda. Wypiła jajka, rozrzuciła i popsuła gniazdo.



— To Sroka narobiła takiego nieporządku — mówi Wiewiórka.

A Sroka jej odpowiada:

— Nieporządek bywa tylko w swoim gnieździe! A to jest porządek!

Lisica i jajko

Podarowała Lisica na imieniny Lisowi zębem. Trzeba było wypić. Podarowała kurze jajko, lecz gdy niosła, natłukła je puste jajko.

— Przepiękne jajeczko podarowałaś mi! — mówi Lis. — Jeszcze takiego nie jadłem!

— Cóż ty, mężulku opowiadasz! Jak ono może być przepiękne! Przecież jest puste! Gdy niosłam, zębem stłukłam! Wyciekło!

— Nic nie szkodzi, że wyciekło! Puste jest lepsze! Prawda, drodzy goście, że lepsze?

Usłyszała Sroka, jak u Lisicy puste jajko chwalono. Rozplotkowała po swojemu po całym lesie. Kto jak kto, ale Lisy to już wiedziały, jak to było. Ale w wersji Sroki to brzmiało tak:



Przyszedł Niedźwiedź do Niedźwiedzicy. Przyniósł jej puste jajko.

— Puste? — pyta Niedźwiedzica.

— Puste!

— No, to dobrze! To modnie! Z pełnym jajkiem nie puściłabym cię nawet na próg domu.

Sroka i Orzeł

— Orle, Wrony wymyślały grubiaństwo na ciebie! Niby to mówiły o srokach: takie to łajdactwo ptasie! A przecież ty



także ptak! Widzisz, Orle, pod twoim adresem piją do srok! Bo nie śmieją mi otwarcie powiedzieć o tobie, dają tylko do zrozumienia aluzjami!

Jak suseł zużytkował intensywnie dzień

— Jakżeż tak można robić, pół dnia żuć i pół dnia spać! A kiedy pracować? — robił Żuraw wyrzuty Susłowi.

— I to prawda — pomyślał Suseł. — Kiedyż pracować? Trzeba bardziej intensywnie zużytkować dzień!

I Suseł zaczął robić tak: pół dnia śpi i we śnie żuje, a pół dnia żuje, a żując śpi.

Niedźwiedź i Hiena

Pewnego razu Niedźwiedziowi dano pół porcji. Niedźwiedź zjadł i położył się spać. Od tego czasu Niedźwiedziowi stale zaczęli dawać pół porcji.

A Hienie dano porcję. Hiena zaczęła ryczeć na cały zwierzyńiec. Trzeba było dawać jej dwie porcje.



Od tego czasu Hienie dają dwie porcje. I to jeszcze ryczy.

**Przełożył z rosyjskiego
Fr. Swarzyca**





KALENDARZ „ZWROTU” na rok 1955
Rocznik II

Redaktor: PAWEŁ KUBISZ

Komitety redakcyjne: Bogumił Goj, Henryk Jasiczek, Józef Mrózek

Okładkę wykonał Franciszek Szoltys

Ilustracje tekstowe: Władysław Cejnar i Rudolf Żebrok

Nagłówki do kalendarium: Inż. Leopold Wałoszek

Zdjęcia: Vl. Čudka i archiw „Zwrotu”

Kalendarium opracował prof. dr Karol Kozieł

Tłoczono w drukarni „Ostravské tiskárny”, przedsiębiorstwo narodowe,
oddział 08 w Czeskim Cieszynie, Nr 113478/54/SV I

Cena 10 Kčs

Wszelkie prawa zastrzeżone

Czytajcie, rozpowszechniajcie
i prenumerujcie miesięcznik

Zwrot

poświęcony sprawom społecz-
nym, oświatowym, kulturze
i sztuce

wydawany przez

**POLSKI ZWIĄZEK
KULTURALNO-OŚWIATOWY
W CZECHOSŁOWACJI**

•
Prenumerata roczna 12 Kčs
Pojedynczy egzemplarz 1 Kčs

•
Adres Redakcji i Administracji:
Czeski Cieszyn, ul. Gottwalda 18
hotel „Piast” Telefon nr 335

O wydarzeniach z kraju
i zagranicy informuje
bieżąco Wasz przyjaciel,
doradca i informator

GŁOS LUDU

czasopismo Okręgowego
Komitetu
Komunistycznej Partii
Czsl. w Ostrawie

poświęcone sprawom
polskiej ludności pracu-
jącej w Czechosłowacji

WYDAWNICTWO



W CZ. CIESZYNIE

wydalo w roku 1954 następujące książki:

PAWEŁ KUBISZ

RAPSOD o Oszeldzie

Z ilustracjami Franciszka Świdra
i Rudolfa Żebroka. (Wyczerpane)

II wydanie w przygotowaniu do druku.
Cena 10 Kčs.

*

HENRYK JASICZEK

GWIAZDY NAD BESKIDEM

(Na wyczerpaniu) Cena 6'50 Kčs

ANNA ZAWADZKA

KU NOWYM DNIOM

Powieść

Cena 10 Kčs

*

JÓZEF ONDRUSZ

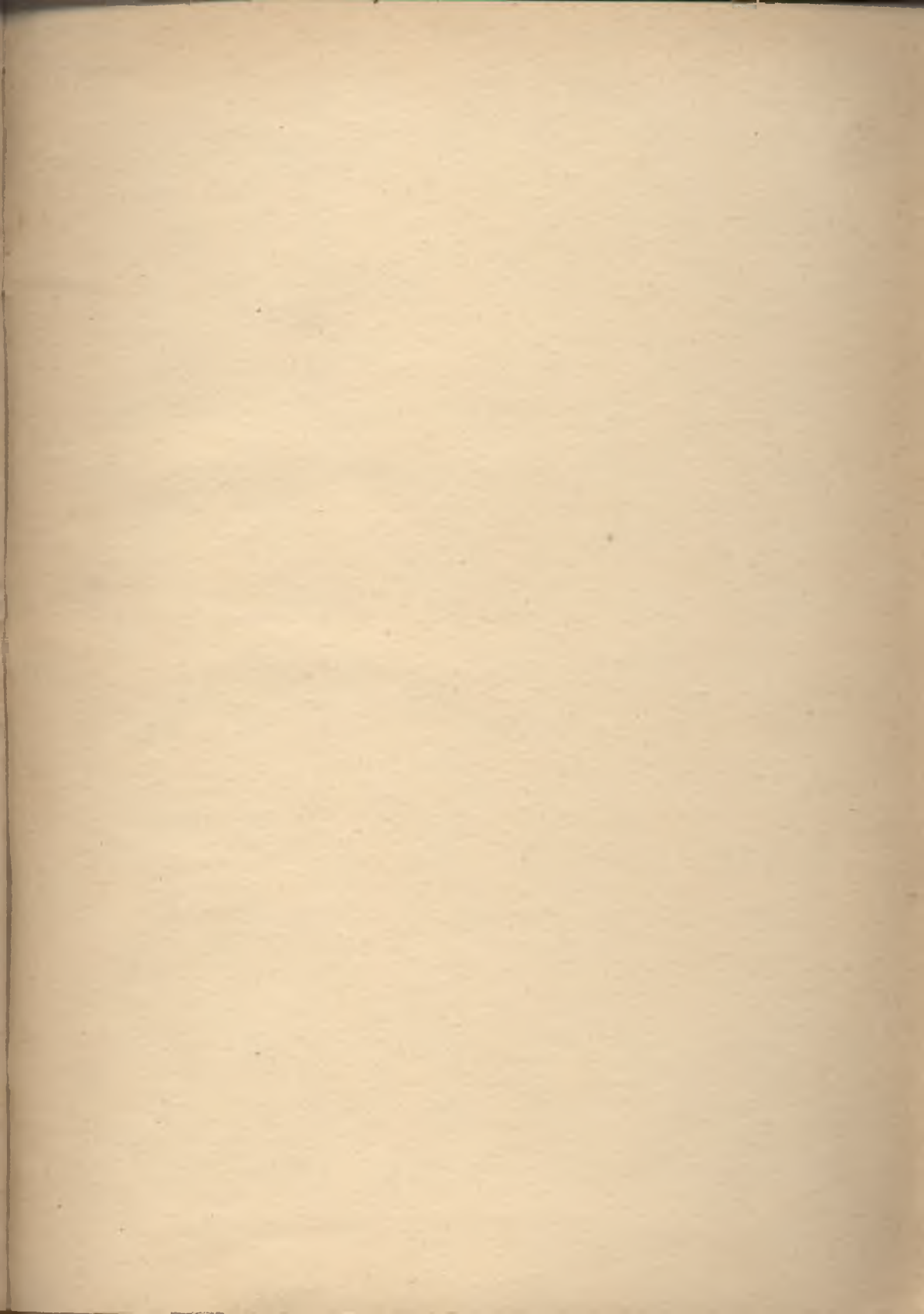
PRZYSŁOWIA

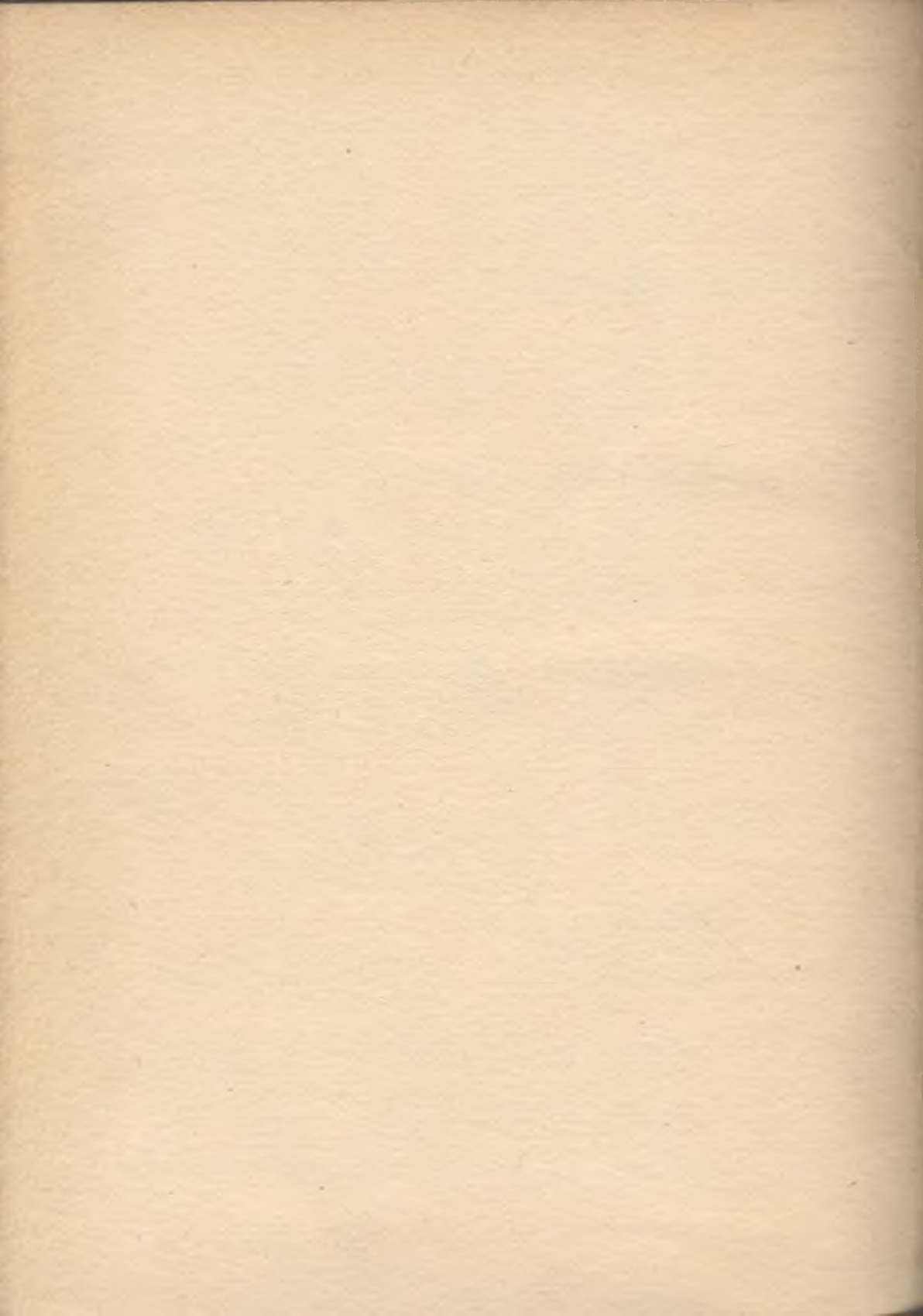
**I POWIEDZENIA LUDOWE
ZE ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO**

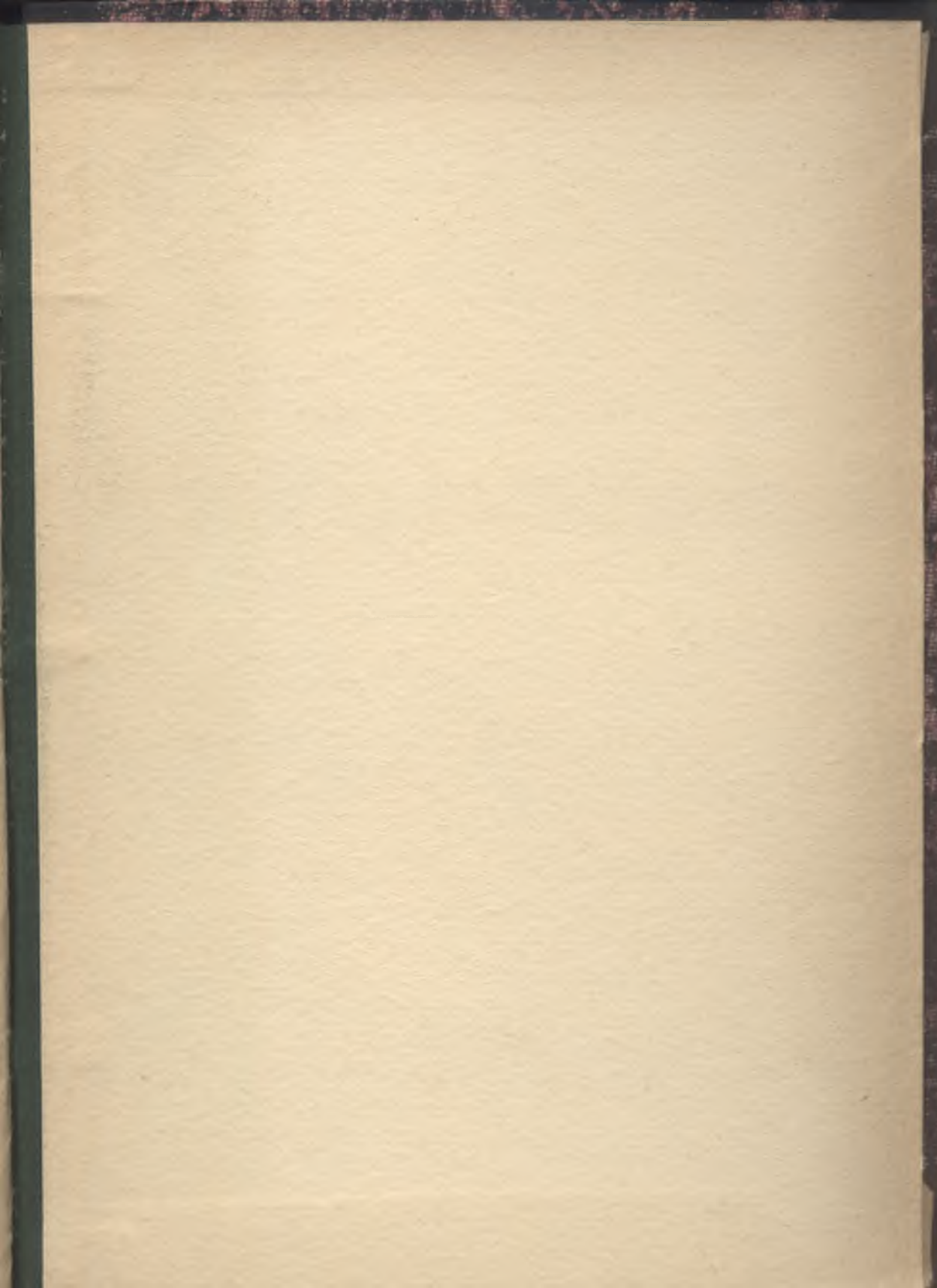
Cena 12 Kčs

W roku 1955 w edycji SLA ukaże się dalszych pięć nowości książkowych

**Główny skład i rozdzielnie wydawnictw SLA: księgarnie
PZKO w Czeskim Cieszynie i Karwinie**







Biblioteka Główna

Książnica Cieszyńska

CZ II 637/ 1955